

A movie poster for the film '13 RAN'. The background is a dark, blue-tinted image of a woman with long, dark hair, her face and chest covered in blood. She is looking down with a grimace. The title '13 RAN' is written in large, red, jagged letters in the upper right. Below the title is a list of names in white, bold, sans-serif font. At the bottom left, there is a small logo and the word 'Replika' in white.

13 RAN

EDWARD LEE
STEFAN DARDA
GRAHAM MASTERTON
MAGDALENA M. KAŁUŻYŃSKA
ALEKSANDRA ZIELIŃSKA
CARLTON MELLICK III
CICHOWLAS & KYRCZ
ANNA KLEJZEROWICZ
RICK HAUTALA
ROB KAYMAN
JONATHAN MABERRY
ŁUKASZ RADECKI
JACK KETCHUM


Replika

Antologia

13 RAN

Jack Ketchum (ur. 1946) - właściwe nazwisko: Dallas Mayr. Jeden z najpopularniejszych autorów horrorów na świecie. Jego pierwsza powieść, *Poza sezonem*, popchnęła opiniotwórczy magazyn „Village Voice” do publicznego oskarżenia wydawcy o szerzenie brutalnej pornografii (sam autor nie zgadza się z taką oceną). Ale Jack Ketchum to nie tylko spragnieni ludzkiego mięsa kanibale. Jego opowiadanie *Pudełko* zdobyło prestiżową nagrodę imienia Brama Stokera, a sukces ten powtórzyło *Zniknięcie*. Potem były jeszcze dwie statuetki - za zbiór opowiadań *Królestwo spokoju* i powieść *Czas zamknięcia*. Ketchum jest autorem dwunastu powieści, z których pięć zostało sfilmowanych. Wydał też kilka antologii, a jego zagorzałym czytelnikiem jest sam Stephen King. Opowiadanie *Silniejszy* było nominowane do nagrody Back Qjiill Award w kategorii najlepszy krótki utwór literacki.

Jack Ketchum

SILNIEJSZY

No i stało się. Otworzył się przede mną, wylał z siebie wszystko. Rozmowy o pogodzie i gadki-szmatki mamy już za sobą. Zupełnie jakbym poruszyła coś, co, jak mówi, siedziało w nim od przeszło dwudziestu lat. Może to jego trzy szklaneczki szkockiej na moją jedną, a może coś głębszego. Tak, wydaje mi się, że to coś wiele głębszego. Mówi mi, kim jest i jak to wszystko się wydarzyło.

- Nadal nie umiem jeździć konno - wyznaje. - Boję się nawet zbliżyć do konia.

Wykłada prawo na NYU, niedawno skończył sześćdziesiąt lat i nie jestem w stanie pojąć, dlaczego mówi coś o swoich fobiach związanych ze zwierzętami. Przecież dorastał na farmie. Z tego, co pamiętam, była to ferma z trzodą. Zamiast wyjaśnić, o co mu chodziło, porzuca ten wątek i zagłębia się w inny.

- Jakim człowiekiem był mój ojciec? Był jak lodowiec. Ludzie z zewnątrz widzieli jedynie wierzchołek. Chcesz wiedzieć, co kryło się głębiej? Moja mama miała dużą rodzinę, dziesięcioro braci i sióstr, więc odwiedzały nas całe gromady kuzynostwa, zwłaszcza w lecie. Hrabstwo Sussex jest wyjątkowo piękne o tej porze roku. Krajobraz ciągnących się w nieskończoność wzgórz usłanych uprawami, a wszystko kwitnące na zielono. John zawsze chętnie witał się z dziećmi - z moim kuzynostwem. To był taki jego zwyczaj. Miał ogromne ręce, jak bochny chleba, i bardzo chętnie ścisnął w nich mniejsze dłonie chłopców, z którymi się witał. Ścisnął im knykcie tak, żeby bolało. Dziewczynki podnosił do góry w

niedźwiedzim uścisku - pamiętaj, że miał ponad dwa metry. Golił się raz na parę dni, na powitanie ocierał się policzkami o ich policzki, szczerząc się cały czas, jakby to była świetna zabawa, szorując kilkudniowym zarostem po delikatnej skórze. Ocierał się i miażdżył uściskiem. I nie pamiętam, żeby którykolwiek z rodziców się uskarżał, ot, po prostu John to John. Taki był.

Odchyła się na pluszowej, pasiastej kanapie. W ręku ma drinka, nogi rozłożone, a wzrok wbity w sufit, który jest nisko nad nami. Jesteśmy w niewielkim mieszkaniu z jedną sypialnią, ale nie wydaje się małe. Na ścianach jest sporo pustej przestrzeni, co sprawia, że całość staje się wizualnie większa. W salonie są jedynie dwa obrazki - jeden to japońska wyszywanka przedstawiająca gejszę i stojącego nad nią srogiego mężczyznę, a ten drugi to rustykalny pejzaż angielskiej wsi., Czyli dzieciństwo na farmie nie poszło w zapomnienie. Jest tu też zabytkowa szafka, oburęczna piła, szachownica i sito. Całe umeblowanie jest raczej w prymitywnym, amerykańskim stylu i poza bujanym fotelem, na którym siedzę, i kanapą, wygląda na niezbyt wygodne. Domyślam się, że mój kuzyn nie jest zbyt rozrywkowym człowiekiem.

Jeżeli o mnie chodu to przywykłam do bardziej otwartych przestrzeni. Może nawet nazbyt otwartych. Odkąd Mary wyjechała do koledżu a mama zmarła, nasze dwupoziomowe mieszkanie w Sarasocie wydaje mi się czasem wielką, pustą powłoką — jak kokon motyla, który uciekł w świat.

Już prawie dopił drinka. Mnie została połowa. Ciekawe, czy będzie chciał kolejny — Pozwól, że opowiem ci o moim bracie — zaczyna.

Jego starszy brat, Steve, zmarł na raka trzy lata temu.

- Steve był piekielnie celnym strzelcem, zarówno strzelba, jak i łuk nie miały przed nim tajemnic. Jednak był beznadziejnym myśliwym. Ojciec mawiał, że nie potrafił zagonić zwierzyny. Żeby ustrzelić królika albo bażanta, trzeba go zagonić i przewidzieć jego trajektorię ruchu. Stewowi nigdy się to nie udawało. Podświadomie wiedziałem, że chybiał celowo. Pewnej nocy wybrali się zapolować na szopy. Wuj Bill, ojciec, Jackie Wertz i Cal Hampshire. Cal wziął swoje psy. Steve miał wtedy zaledwie trzynaście lat i nigdy wcześniej nie polował w nocy, więc był bardzo podekscytowany, kiedy ojciec chciał go zabrać ze sobą. Stwierdził, że wybranie się po ciemku z czterema dorosłymi facetami i zgrają ujadających psów pędzących na spotkanie burzy z piorunami w gwieździstą noc, to będzie świetna zabawa. I tak było, ekscytująco jak cholera, dopóki nie natrafili na trop zwierza. Weszli na małą polanę, księżyc był w pełni. Na powalonym drzewie siedział przestraszony szop, nie więcej jak piętnaście stóp przed nimi. Psy ujadły, skacząc wokół niego, warcząc i szczekając. Ojciec podał Steve'owi swoją dwudziestkę dwójkę i kazał strzelić. Ella Steve ten strzał był prościzną. Kurwa, ten strzał był poniżej jego godności, ale co najważniejsze — on nigdy niczego nie zabił i wcale nie zamierzał tego robić. A już na pewno nie coś tak pięknego i wystraszonego, jak ten biedny szop siedzący na drzewie w blasku księżyca. Steve próbował oddać ojcu strzelbę, ale ten nie chciał o tym słyszeć. Powiedział mu: „Synu, masz dwa wyjścia. Strzelaj, żeby zabić - między oczy - albo ja postrzelę go w łapę tak, żeby spadł i rozszarpią go psy. Wybór jest twój.

I jak będzie?” To było ostatnie polowanie mojego brata. Strzelił bezbłędnie.

Miesza szklanką, lód i resztki szkockiej wirują w środku. Wstaje i idzie w stronę kuchni. Zaraz naleje sobie kolejnego. W pół drogi zatrzymuje się i pokazuje mi szklankę, pytając unosząc głowę.

- Wybacz - mówi. - Odplynąłem myślami w zupełnie inne miejsce. Napijesz się jeszcze?

- Nie, dzięki. Jeszcze mam, jest OK.

Odrobinę skłamałam. Nie jest OK, trochę mnie to wszystko niepokoi. Nie chodzi tylko o to, czego się dowiaduję, ale o to, co już wcześniej wiedziałam o Johnie McFee. To, co słyszę,

jedynie utwierdza mnie w moim przekonaniu. Poprawiam spódnicę. Taki tik nerwowy.

Wraca z pełną szklanką i sadowi się na kanapie. Następuje chwila niezręcznej ciszy, która uświadamia mi, że w ogóle się nie znamy. Jest moim dalekim kuzynem, chyba w trzeciej linii. Spotkaliśmy się dziś pierwszy raz w życiu. Rozmawialiśmy jedynie przez telefon. Ale nigdy tak jak dziś.

- Mówiłeś coś o koniach.

Śmieje się.

Ej to przez metody, jakimi mój ojciec chciał nauczyć mnie jeździć. A raczej jak nie jeździć. Oboje z mamą mieli konie. Prawie nigdy nie jeździli razem, ale kochali to robić. Konie nie były nam potrzebne na farmie. Trzymaliśmy je, jako luksus. No i było to tak, że kiedy miałem sześć lat, może siedem, strasznie męczyłem ojca, żeby dał mi się przejechać. Więc pewnego dnia osiodłał Chestera, to był jego koń, usadził mnie na końskim grzbiecie, ale nie podciągnął strzemion — do których moje stopy nie mogłyby sięgnąć nawet wtedy, gdybym bardzo się postarał. Nieśmiało o tym wspominałem. On stwierdził, że to nie ma znaczenia. Następne, co pamiętam, to że — wybacz słownictwo - strzelił konia z całej siły w tyłek. Zwierz skoczył naprzód, a ja poleciałem w tył.

Na zewnątrz słychać dźwięki syren. Mój wzrok wędruje w stronę otwartego okna. Zauważa to.

- Czasami już nawet ich nie słyszę - mówi. - Dwie przecznice stąd jest posterunek straży pożarnej. Czasem słyszę te wycia, a czasem nie. Człowiek myśli za każdym razem o jakiejś interwencji, o ludzkiej tragedii. To chyba pozwala pozostać przy zmysłach, prawda?

- Powiedz mi o studni - proszę go.

Patrzy na mnie i mruga ze zdumienia. Wiem, że przerywam mu opowieść, ale to właśnie o tych tragicznych wydarzeniach przyjechałam tu porozmawiać.

Sięga po paczkę Winstonów, wygrzebuje jednego i zapala.

- Wydaje mi się, że jest wiele poziomów okrucieństwa - zaczyna. - Wiesz, o co mi chodzi, prawda? Ktoś robi coś okropnego, ale są rzeczy jeszcze gorsze. Kiedyś słyszałem o takim kolesiu, który wszedł do Bloomingdale'a na dział futer. Było tam z pół tuzina kobiet, przymierzały sobie norki, lisy, co tam chcesz. A on miał na sobie futro do kostek. Ale nie takie zwykłe futro. Było zszyte ze skór różnych psów. Pudle, chow-chowy, husky, charty, długowłose i krótkowłose, różne, różniaste. Facet rozgląda się i pyta: „Które z pań mają pieski? Będą panie z nimi spacerować w tych futrach? Bo ja wyprowadzam swoje pieski w tej chwili! I jak wam się to podoba?!” Wstrętna sprawa, nie? Biedne kobiety. Upokorzył je i to dotkliwie. Można by uznać, że zachował się w sposób okrutny. Ale tak naprawdę, to kto jest gorszy? Gość w skórach czy te kobiety?

- Gorszy jest Bloomingdale's.

Nie wiem, dokąd zmierzają jego myśli.

- Nie wiem, dokąd z tym zmierzasz - mówię mu wprost.

Bierze łyk.

- A niech mnie, ja też nie wiem.

Odczekuję i kończę swojego drinka. Niezbyt przepadam za szkocką, ale bardzo lubię, kiedy drink mi się kończy i na dnie zostaje roztopiony lód i resztki płynu, które nabierają kremowej konsystencji, a ich smak łagodnieje. Teraz smakuje całkiem nieźle.

- Powiem ci, czego nikt z was nie zauważał. Czego nie zauważał nikt, kto nie był z rodziny. Nikt, kto nie był mną i Steve'em.

Jeszcze nie pora na studnię. Ale nie naciskam, niech dojdzie do tego w swoim tempie.

- Nie widzieliście, co działo się między nim a mamą. A tak właściwie, to co spowodowało, że to odgrzebałaś?

Mówiłam mu to już przez telefon, ale chyba nie pamięta.

- Po śmierci mojej mamy przeglądałam album rodzinny, wiesz taki z metalowymi

trójkącikami, w które wkłada się zdjęcia, żeby nie wypadły. Na niektórych zdjęciach widniały daty, na innych nie. Na odwrocie paru z nich znalazłam zapiski mamy, mówiące o tym, kto jest na zdjęciu. Większość z nich i tak już znałam. Ciotki i kuzynki. Psiapsioly mojej mamy. Ale było tam jedno zdjęcie młodej kobiety opierającej się o ogrodzenie. Jedną stopę miała opartą o deskę u dołu, a wzrok wbity wprost w obiektyw. I nie tylko była ładna, ale i miała przepiękny uśmiech. Wyglądała... wyglądała tak silnie. Wydała mi się silna i... szczerą. Silna i szczerą to chyba najlepszy opis, na jaki mnie stać. Takie sprawiała wrażenie.

- Taka właśnie była moja matka. Dobrze ją opisałaś - mówiąc to, kiwa głową Chcąc wyrazić swój szacunek mruczę coś po cichu.

— Wyjęłam to zdjęcie z ramki, żeby zobaczyć, czy mama napisała coś na odwrocie. Ale niczego nie znalazłam, ani daty, ani imienia. Patrząc na sukienkę kobiety na fotografii, domyśliłam się, że zrobiono ją w późnych latach 20-tych albo wczesnych 30-tych. Twoja mama wyglądała jak jedna z kobiet fotografowanych przez Walkera Evansa, tylko była od nich o wiele ładniejsza. No i nie wyglądała na przestraszoną ani zagubioną jak one. Wyliczyłam sobie, że musiała mieć wtedy około dwudziestu lat, co sprawiło, że jej mina i determinacja wydały mi się jeszcze bardziej... niepokojące. Wiesz, chodzi o to, że tak młoda kobieta miała wypisane na twarzy bardzo wiele.

W każdym razie, moja ciotka Kay wpadła z wizytą na weekend, żeby przejrzeć część rzeczy po mamie. Pomyślałam, że zapytam, czy wie, kim jest kobieta ze zdjęcia. Położyłam więc zdjęcie obok zastawy, żeby o nim nie zapomnieć. Usiadłyśmy przy kawie, a ona spojrzała na fotografię. Od razu rozpoznała, że to kuzynka Louise. Zona Johna McFee. Na początku była mile zaskoczona, ale chwilę później jej twarz mocno posmutniała.

Powiedziała mi wszystko, co sama wiedziała. Ze twoja matka skrzyła sobie kark, wpadając do studni, że miała wtedy zaledwie trzydzieści lat. Mówiła, że było śledztwo, ale uznano jej zgon za nieszczęśliwy wypadek. Ponoć wyszła w nocy bez latarki na podwórce i wpadła do studni. To dało mi do myślenia, jak mogła wpaść do studni na swojej własnej farmie? To nie miało sensu. Była na swojej ziemi, znała ją na wylot. Na te przemyślenia moja ciotka Kay nie miała odpowiedzi, ale z jej twarzy wyczytałam, że jest coś, o czym mi nie mówi. Kisiałam to w sobie przez parę tygodni, co jakiś czas nie dawało mi spokoju i wracałam myślami do tego zdjęcia. Zwyczajnie nie mogłam przestać o tym myśleć.

O tej kobiecie, która była moją krewną. O tej silnej, młodej kobiecie. Jak to możliwe?” Jakbym miała kamień w bucie, który uwierał mnie nieustannie. Wiesz, o czym mówię, prawda? Zdobyłam się wreszcie na odwagę i do ciebie zadzwoniłam.

Kiwa głową. Po chwili, zupełnie jakby nie słyszał, co do niego mówiłam, wraca do swojej opowieści.

- To, czego nikt nie widział, to to, jak on traktował moją matkę. Miał w sobie gniew i niech mnie piekło pochłonie, jeżeli wiem, skąd ten gniew się brał. Może to przez wojnę. A może to jego ojciec go w nim zaszczepił - wiesz, coś co miał już we krwi. Na dłuższą metę to nie miało znaczenia. Zupełnie jakby ogarniał go szal, nie musiał nawet pić, żeby w niego wpaść. Potrafił wybuchnąć jak bomba i robił to równie niespodziewanie. Piwko, które popijał wieczorami nie pomagało. Matka zawsze nas broniła - mnie i Steve'a - przyjmowała wszystko na siebie. Ten człowiek nienawidził dzieci. Bóg mi świadkiem, nienawidził też własnych dzieci. Dzięki mamie i jej poświęceniu on prawie nigdy nas nie dotknął. Ale tego „prawie” nie należy traktować zbyt lekko. Ona zbierała cięgi za siebie i za nas, po równo, jeśli można to tak nazwać. Zazwyczaj pozwalała mu się wyżywać, dopóki się nie zmęczył albo nie znudził. Najgorzej było, kiedy próbowała mu się postawić. Nikt niczego nie zauważał, bo nie bił jej po twarzy. Nigdy nie bił jej w twarz. Tylko po ciele. Taki był sprytny. Bił zawsze tak, żeby nie było nic widać. Ale jestem pewien, że parokrotnie złamał jej zebro, albo i kilka. Widziałem, jak wyłamał jej ze stawu ramię, robił to nagminnie, później

nastawiał je na miejsce. Bardzo to lubił. Bolało ją to okrutnie, a jedyne ślady to parę siniaków. Nie jesteś sobie w stanie wyobrazić, jak czuliśmy się słuchając jej wrzasków. BU ją, kopał i to wszędzie, wszędzie, gdzie tylko mu się podobało. I wierz mi, nie jesteś...

No i dzieje się nieuniknione.

Zaczyna po cichu szlochać. Zaczyna się trząść.

Pytam samą siebie: „Co ja tu robię? Czego ja chcę od tego mężczyzny? Jaki to wszystko ma sens?”

- Znosiła to wszystko - mówi łagodnym tonem. - Wszystko dla nas.

- Jeff, bardzo mi przykro. Ja, ja nie powinnam...

- Nie, nie. Jest w porządku. To nie twoja wina. To siedzi we mnie od tylu lat i nie miałem okazji z nikim porozmawiać. Mam chyba charakter po mamie, bo nigdy nikomu o tym nie mówiłem. Boże, ona była taka dzielna. Tak cholernie dzielna! Czemu ona musiała być tak cholernie dzielna?

Nie mogę się powstrzymać. Sięgam w jego stronę i łapię go za rękę. I jak mi się wydaje, to jest potrzebne nam obojgu. Po chwili jego szlochanie cichnie.

- Wiesz, chyba jednak przyda mi się ten drink.

Oboje siedzimy z pełnymi szklankami. Dla niego to już piąta, ale kto by liczył w takiej sytuacji. Nie widać po nim, ile wypił. Zapewne wylewając z siebie tę okropną historię, pozbywa się też alkoholu.

Znowu schodzimy z tematu. Może to i dobrze. Opowiadam mu o Mary i o tym, jak wychowywałam ją samotnie na Florydzie. Mówię mu o rozwodzie i śmierci mojej mamy, umarła na tego samego raka, który zabrał mu brata. Okazuje się, że Steve był onkologiem i miał wątpliwą przyjemność zdiagnozowania samego siebie. Onkolog. Profesor. Ci chłopcy z farmy w Jersey daleko zaszli. Własnymi siłami.

- Tej ostatniej nocy - zaczyna - znaleźliśmy ją pod werandą.

- Pod werandą?

- Steve i ja zwykle zamykaliśmy się w naszym pokoju, kiedy zaczynały się awantury, słuchaliśmy jej krzyków. Tej nocy było gorzej niż zwykle, wydierał się na nią z całych sił. Towarzyszyły temu odgłosy uderzeń, jęków, sapania i przesuwanych w szale mebli. Aż wreszcie, po jakimś czasie, nastąpiła cisza. Oczekaliśmy chwilę, bo nigdy nie było wiadomo, co może się stać. Wreszcie Steve otworzył drzwi i szedł na dół. Ja czaiłem się za jego plecami. Wydaje mi się, że tamtej nocy jednak był pijany - leżał na kanapie chrapiąc, wokół walały się puszki po piwie. Nie mogliśmy znaleźć mamy. Szukaliśmy w kuchni, w sypialni, w łazience. Wyszliśmy na werandę. Noc była ciepła, więc myśleliśmy, że może wyszła na zewnątrz. Ale tam również jej nie było. Obeszliśmy cały dom dookoła. Steve wołał ją, cicho, ale wyraźnie, żeby nie obudzić ojca. Weszliśmy do stodoły i tam również jej nie było. Mocno nas to przstraszyło. Bo co by się z nami stało, gdyby stwierdziła, że ma dość tego pieprzonego bydlaka i uciekła? Wcale bym jej nie obwiniał, gdyby to zrobiła. Kto by nie uciekł? My sami to rozważaliśmy. Wiedzieliśmy, że nie zostawiłaby nas z nim samych, nie ona, nie mogłaby czegoś takiego zrobić. Pomyśleliśmy, że skoro nigdzie jej nie ma i nie uciekła, to może ją zabił. Może tym razem przesadził. No i przestaliśmy szukać mamy. Zaczęliśmy szukać ciała.

- Dobry Boże.

- Steve przyniósł ze stodoły latarkę, wiesz, taką, jaką mieli przed wojną, w kształcie litery L. Bakelite, tak się chyba nazywała. Obszukaliśmy stodołę. Później za domem. Pola. Poszliśmy w górę strumienia. Nic. Byliśmy wyczerpani, więc wróciliśmy do domu. Wtedy Steve pomyślał o jedynym miejscu, w którym nie szukaliśmy. Pod werandą.

- I tam ją znaleźliście.

Kiwa głową.

- I tam ją znaleźliśmy. Kucała w błocie, jak jakieś uwięzione zwierzę. Jak szop, którego

ktoś zatrzęsął w kuble na śmieci.

I wiesz, co nam powiedziała? „Tylko nie mów tatusiowi”.

Kiedy mi to opowiadał, nie wziął ani łyka. Teraz to nadrabia. Ja też.

- Zobaczyliśmy, że tym razem było inaczej.

- Jak to?

- Miała zmasakrowaną twarz. Tym razem bił ją po twarzy. Cholera, tym razem wyglądała jakby kopał ją po twarzy. Było tak źle. Jedno oko miała całkiem zapuchnięte, drugie ledwie otwarte. Usta rozcięte, a szczeka spuchnięta i sina. Jezu!

On widzi tę twarz. Widzi ją teraz.

Znów ma dziesięć lat. I po raz ostatni w życiu widzi swoją matkę. A ona wygląda w taki sposób.

- Nigdy, przenigdy wcześniej tego nie zrobił. Skurwysyn, zawsze był ostrożny.

Znowu słyszę syreny. Z różnych stron. Miasto nie śpi. Jest tak jak mówił, czasami zauważa te dźwięki miasta, a czasami nie. Tym razem nie docierają do niego.

- Powiedziała nam, żebyśmy poszli grzecznie do łóżek, jakby nic się nie stało. Jakby jej twarz była taka jak zawsze. Kazała nam udawać, że nic się nie stało, wstać rano, jakby nic się nie stało. Zrobiliśmy tak, jak chciała. Nie zamieniliśmy nawet słowa między sobą.

Rozebraliśmy się i położyliśmy do łóżek. Każdy ze swoimi myślami. Rano okazało się, że nie musieliśmy odgrywać teatryku. O świcie zgłosił na policję, że zaginęła. Pierwsze, co zobaczyliśmy po wstaniu to dwóch zastępców szeryfa, którzy rozmawiali przy kawie w naszej kuchni. Z tego, co mówiłaś mi przez telefon, wnoszę, że znasz dalszy ciąg tej historii.

Znam. Poszukiwania. Stara, głęboka i wyschnięta studnia. Śledztwo, jeżeli można to tak nazwać.

- Może poza jednym szczegółem - mówi. - Donieśliśmy na niego.

- Zrobiliście to?

- Powiedzieliśmy szeryfowi Downeyowi, że ją bił. Byliśmy już wystarczająco duzi, żeby wiedzieć, co to autopsja. Błagaliśmy go, żeby zrobił autopsję. Żeby zrobił jej prześwietlenie i zobaczył te wszystkie połamane kości i urazy, które nosiła po cichu przez te wszystkie lata. Wysłuchał nas. Powiedział, że się zastanowi i uwzględni to w raporcie. Szeryf i ojciec polowali razem. Obaj byli weteranami. Obaj należeli do koła łowieckiego. Dlatego do autopsji nigdy nie doszło. W zamian szeryf zrobił coś innego. Wydaje mi się, że ostrzegł ojca albo go przestraszył, bo ten już nigdy nas nie dotknął. Kiedy się wściekał, to zachlewał się do nieprzytomności. Zupełnie jakby się obawiał mnie i Steve'a. Chcesz jeszcze jednego?

Zdałam sobie sprawę, że mieszałam pustą szklanką.

- Poproszę.

Uświadomiłam sobie, że nie muszę prowadzić. Zatrzymałam się w motelu nieopodal. A po dwóch czy trzech drinkach człowiek uzmysławia sobie, że wynajęcie taryfy nie jest złym pomysłem. Wraca z dwiema szklankami i zanim dochodzi do kanapy, widzę, że już lekko się zatacza.

- Wiesz, co mi się wydaje? Wydaje mi się, że zbudził się w nocy albo nad ranem i zaczął jej szukać. Znalazł ją pod werandą i zdał sobie sprawę, że tym razem przesadził. Że tym razem ktoś zauważy. Nie mieliśmy zbyt wielu sąsiadów, ale d, których mieliśmy, wpadali często niezapowiedziani. Czasem chcieli coś pożyczyć, a czasem po prostu pogadać. Stan mamy ciężko byłoby wyjaśnić. Niech mnie! Potrzebna jej była pomoc lekarska. Myślę, że zatarł ślady. Złamał jej kark i wrzucił ciało do studni.

- O Boże.

Powiedziałam to już po raz drugi, ale nic innego nie przychodziło mi do głowy.

- Wiesz, właściwie to cieszę się, że zadzwoniłaś - mówi to tak cicho, że ledwie go słyszę.

— Naprawdę?

Nie wiem, czemu miałby być z tego powodu zadowolony. Wybebesza się przecież przed obcą osobą.

- Jakaś część mnie zawsze chciała tam wrócić. I po twoim telefonie zdobyłem się na to. Pojechałem tam.

— I co, spotkałeś się z nim?

Jego ojciec ma teraz około osiemdziesiątki. Wciąż żyje na farmie. Sprawdzałam.

— Nie widziałem go od pogrzebu Steve'a, a przedtem jakieś dwadzieścia lat. Wiesz, że na pogrzebie nikt koło niego nie stał? Ani jedna osoba. Odjechał zaraz po ceremonii. Stracił sporo na wadze, jakieś sto funtów. Nie miał już tych wszystkich mięśni. Ale tak, zobaczyłem się z nim. Jeden ostatni raz. Widziałem farmę i jego. I już nigdy tam nie wrócę. Steve i ja naprawdę chcieliśmy tej autopsji. Czuliśmy się oszukani. Jakby cały świat nas oszukał. Nie tylko on i szeryf, ale wszyscy ludzie. Bo mama zasługiwała na to, by ktoś ją usłyszał. Ktoś powinien usłyszeć jej nawoływania z tej studni, ktoś powinien usłyszeć, jak wymawia imię swojego mordercy. I wiesz, co zrobiłem? Tym razem poszedłem do studni.

I wysłuchałem jej. To było zanim wszedłem do domu. Najpierw poszedłem tam i jej wysłuchałem. To był przyjemny i cichy dzień.

Podnosi szklanę. Zastanawia się, czy wziąć kolejny łyk. Nie bierze. Odstawia szklanę. W oddali słyszą syreny.

- O tak. Wysłuchałem wszystkiego, co miała do powiedzenia. I wróciłem do domu. Siedział na krześle. Mocno się zdziwił, kiedy mnie zobaczył. Później, kiedy wracałem do studni, nie byłem sam.

Przełożył Jakub Wiśniewski

Robert Cichowlas (ur. 1982) - pisarz i redaktor. Ukończył kulturoznawstwo na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Publikował na łamach „Czachopisma”, „Grabarza Polskiego”, „Magazynu Fantastycznego”, „SFFiH”, a także w antologiach. Współautor (razem z Kazimierzem Kyrzczem) bestsellerowego Siedliska i Efemerydy, autor mrocznej powieści Szósta era, inspirowanej kulturą Azteków, a także współtwórca (razem z Piotrem Pocztarkiem) obszernej pozycji biograficzno-beletrystycznej poświęconej brytyjskiemu pisarzowi Grahamowi Mastertonowi: Masterton. Opowiadania. Twarzą w twarz z pisarzem. W 2013 roku ukaże się premierowy zbiór opowiadań autora zatytułowany Wylęgarnia.

Kazimierz Kyrzcz Jr (ur. 1970) - pisarz, poeta, recenzent. Absolwent filologii rosyjskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, a także podyplomowych studiów Zarządzanie Kapitałem Ludzkim i Public Relations na Uniwersytecie Ekonomicznym w Krakowie. Publikował na łamach wielu pism oraz w antologiach zbiorczych. W 2009 roku na podstawie opowiadania, które napisał z Łukaszem Śmigłem, powstał anglojęzyczny film Head to Love, wyreżyserowany przez Amerykanina Vana Kassabiana. Współautor (razem z Robertem Cichowlasem) zbioru opowiadań Twarze Szatana, jak również powieści Siedlisko, Koszmar na miarę i Efemeryda. Wspólnie z Dawidem Kainem opublikował zbiory opowiadań Piknik w piekle, Horrorarium i Chory, chorszy, trup. Najnowszy zbiór, Lek na lęk, powstał we współpracy z Łukaszem Radeckim.

Robert Cichowlas i Kazimierz Kyrzcz Jr

PRAGNIENIE

Czy zastanawiałaś się kiedyś, jak to jest, gdy sny są piękniejsze od rzeczywistości? Marzyłeś kiedykolwiek o swojej kobiecie, by była taką, jaka nie jest i nigdy nie będzie? A jeśli tak, to czy nie uważasz, że tęsknota za lepszą nią była zdradą?

Nie osądzam cię, bynajmniej. Ale ty też tego nie rób.

•••

Mówi się, że w dzisiejszych czasach człowiek bez wyższego wykształcenia jest nikim. Jak dziecko we mgle, jak żeglarz bez steru i okrętu. Wiem coś o tym. To znaczy nie tyle o żeglowności, co o studiach, których nigdy nie skończyłem. Choć byłem już na piątym roku...

Wtedy właśnie zaczęła się moja never ending story.

Miałem do odfajkowania dwa ostatnie egzaminy i jedno zaliczenie, ale, jako że nie chodziłem na wykłady, zrodził się pewien problem. Musiałem mianowicie pożyczyć notatki. Jediną osobą, która nie wyjechała na wakacje, była Andżela. Niestety, mieszkała w Kryspinowie, a przy urokach naszej komunikacji miejskiej dojechanie tam wcale nie jest proste.

Wybawieniem okazał się Volkswagen mojej Ewy. Samochód, który przeszedł i widział niejedno... Poprosiłem ładnie, no i zgodziła się mnie podwieźć tam i z powrotem.

- Tylko się zachowuj - rzuciła, kiedy mijaliśmy roгатki miasta.

Posłałem jej pytające spojrzenie, którego nie zauważyła. Odwróciła akurat głowę, aby sprawdzić, czy lewym pasem nic nie jedzie. Ewa należy do tych mistrzyń kierownicy, które nie korzystają z lusterek.

- Zabijesz nas kiedyś - powiedziałem.

- Nie zmieniaj tematu, kotku.

- O co ci chodzi?

- O nic. Proszę cię tylko, abyś był grzeczny.

- Za kogo ty mnie masz? - fuknąłem. - Jadę po notatki. Jak chcesz, możesz mi towarzyszyć. To była zazdrość? Ewa miałaby być o kogoś zazdrosna? To do niej niepodobne, dlatego zdziwiłem się podwójnie.

- Zaczekam. Głowa mi pęka.

- Ostatnio jesteś jakaś...

- Niby jaka? - spytała ostro. - I co to znaczy ostatnio?

I to znaczy, odkąd cię poprosiłem, żebyś mnie podwiozła.

Coś dziwnie się czuję i tyle. Nie jestem o ciebie zazdrosna, jeśli o to ci chodzi.

- Serio?

Wzruszyła ramionami, ale jakoś bez przekonania.

- Prawe jesteśmy - oznajmiła po chwili. - Zatrzymam się o tam, przy sklepie, okej? Kupię coś na kolację.

- Jak sobie życzysz. Do zobaczenia.

Wychodząc z auta usłyszałem głośne chrząknięcie, a potem Ewa pochyliła się i dotknęła mojego uda.

- Co jest? - zapytałem, ździebko zdezorientowany.

— Nic — znowu się wyprostowała i pochwyciła kierownicę, jakby była kołem ratunkowym. — Po prostu uważaj na siebie, dobra?

Kołatka na drzwiach była ciężka i dwa razy większa od mojej dłoni. Kształtem przypominała twarz diabła. Nie tego stereotypowego, obdarzonego rogami i brodą, lecz o wiele bardziej przerażającego, którego samo spojrzenie wywołuje ogólny paraliż. Albo niemoc, jeśli szukać bardziej poetyckich określeń. Poczuję się nieswojo. Odwróciłem się, aby sprawdzić czy Ewa już pojechała. Nie wiem, co zamierzałem. Poprosić ją, aby poszła ze mną, czy aby tylko pottrzymała mnie za rękę? Problem i tak miałem z głowy, bo ujrzałem jedynie oddalający się samochód. „W porządku - pomyślałem. - Załatwię to raz-dwa i zwijam się stąd”.

Chwyciłem za kołatkę i zastukałem kilka razy w drzwi. Hałas odbił się echem we

wnętrzu domu.

Po chwili zapukałem ponownie. Znowu to samo.

— Świetnie — stęknąłem, cofając się kilka metrów. Podniosłem głowę i omiotłem spojrzeniem okna. Chałupa była wielka, dwupiętrowa, wykonana z czerwonej cegły. Wysoki na kilka metrów komin usytuowany na spiczastym dachu wyglądał jak palec ostrzegający niepowołanego gościa przed wtargnięciem na teren posesji.

W momencie, gdy wyjąłem z kieszeni džinsów komórkę i odszukałem numer do Andżeli, zamki w drzwiach zagruchotały niczym kółka szpitalnych noszy. Rozległo się skrzypienie, po czym zobaczyłem tę staruszkę.

Mogła mieć siedemdziesiąt, może nawet osiemdziesiąt lat. Zerknęła na mnie spode łba, wyraźnie niezadowolona.

Pomyślałem, że pierwsze jej słowa będą brzmiały: „Wynoś się!” i będą zarazem ostatnimi. Kobięcina jednak milczała i to przez dobrą minutę, w trakcie której zdążyłem się przedstawić i zapytać, czy zastałem Andżelę.

- Chciałbym pożyczyć od niej notatki — dodałem, zbity z tropu. - Na egzamin.

- Na egzamin - usłyszałem szorstki głos, w którym wątpliwości walczyły o lepsze z ironią.

- Tak, proszę pani.

- Przyszedłeś trochę nie w porę... Andżelika jeszcze nie skończyła.

Otworzyłem usta, aby powiedzieć, że nie zajmę jej dużo czasu, kiedy staruszka nagle otworzyła szerzej drzwi i gestem zaprosiła mnie do środka.

- Możesz wejść - sapnęła z niezadowolaniem, najwyraźniej mając w głębokim poważaniu tradycyjną polską gościnność. - Ale postarajcie się szybko uwinąć. Mamy masę pracy.

- Dziękuję - odparłem, przekraczając próg. - Minuta czy dwie i mnie nie ma. Obiecuję.

- Mogę zaproponować herbatę albo kompot.

- Dziękuję, piłem niedawno.

W domu panowała ciemność i musiałem nieźle wyteńczyć wzrok, by o nic nie zawadzić. Nie dostrzegłem salonu, jakby w ogóle go nie było. Tylko długi niczym wagon korytarz z pięcioma parami drzwi, za którymi zapewne mieściły się kuchnia, łazienka i pokoje. Nietypowy układ jak na dom. Na końcu korytarza dostrzegłem zarys schodów prowadzących na piętro.

- Zaprowadzę cię do jej pokoju - głos staruszki jakby nieco zmiękł. Czyżby miała w sobie odrobinę empatii?

— W porządku - odpowiedziałem, pozwalając, aby mnie minęła. Przerzedzone, całkiem siwe włosy miała związane w nie grubszy od ołówka kucyk. W szarym zmechaconym swetrze i w przynajmniej o numer za dużych spodniach wzbudzałyby litość, gdyby nie to, że wyglądała na podstarzałą heterę.

Kryło się w niej jednak coś jeszcze. Jakaś tajemnica. Wyczułem to natychmiast, kiedy na mnie spojrzała.

„Dom ma taką atmosferę, jakby nawiedzał go tabun duchów”

- pomyślałem, po czym zarechotałem pod nosem, aby dodać sobie odwagi.

Notatki. Nic więcej mnie nie interesuje.

Staruszka zatrzymała się przy schodach i spojrzała na mnie wymownie.

— Potrzebujesz specjalnego zaproszenia?

- Słucham?

- Pierwsze piętro. Pierwszy pokój po prawej. Zaczekaj tam. Andżelika wkrótce do ciebie przyjdzie.

Kiwnąłem niepewnie głową. Chciałem zapytać jak długo będę musiał czekać, a także dodać, że mogę wpaść innym razem, ale zamiast tego ruszyłem na górę.

Korytarz na piętrze miał identyczny układ jak ten na parterze. Na pokrytych ciemną

tapetą ścianach wisiało kilka obrazów, o których najwyraźniej zapomniano - farba łuszczyła się, a metalowe ramy pokrywała patyna.

Pokój Andzeliki był otwarty. W środku stały dwa fotele, drewniana ława i dwa wysokie niemal do sufitu regały. Półki ugięły się pod ciężarem książek. Twain, Nietzsche, Kapuściński, Archer, Lodge, Chmielewska. Ktokolwiek zgromadził te wszystkie pozycje, raczej nie palił się, by je posegregować, chociażby tematycznie.

Zbliżyłem się do okna. To było dziwne, klaustrofobiczne uczucie. Szopa na zewnątrz zdawała się lypać na mnie z pogardą. Stary rower bez tylnego koła, przymocowany drutem do trzepaka, mierzył w moją stronę końcówką kierownicy, jakby winił za pokrywającą go rdzę właśnie moją skromną osobę...

Stop. Wyluzuj, chłopie.

Może panująca w domu aura rzeczywiście nie jest najlepsza, ale to nie powód, aby zmieniać się w obłąkańca.

Ewa. Mimo wszystko żałowałem, że nie ma jej tu ze mną. Chciałem do niej zadzwonić. Usłyszeć jej głos. Ale to by mnie tylko pogrzyżyło, uświadomiło mi, że jestem nie tyle zaniepokojony, co przerażony. A ja wołałem odganiać od siebie myśli o strachu.

Pamiętaj, powtarzałem w duchu, notatki. A potem wychodzisz i twoja noga już tu więcej nie postanie. A jeśli Andzela poprosi o zwrot papierów, wyślesz jej pocztą. Dołożysz złotówkę czy dwie i puścisz te pieprzone notatki priorytetem. I koniec. Basta. Uspokój się, kretynie.

- Cześć.

Serce podskoczyło mi do gardła, utknęło w przełyku, po czym wróciło na swoje miejsce, waląc jak młot.

Odwrociłem się na pięcie z gracją łyżwiarza wykonującego piruet.

- Hej - wykrztusiłem. Nie było mnie stać na nic więcej. Raz, że czułem się idiotycznie, a dwa, że byłem kompletnie onieśmielony jej wyglądem.

Andzela wydawała się wyższa, niż ją pamiętałem. Pewnie dlatego, że założyła czerwone szpilki na niesłychanie wysokim obcasie, w których mierzyła dobre sto osiemdziesiąt centymetrów. Jej czarna jedwabna sukienka była tak krótka, że przez chwilę ostentacyjnie wlepiąłem wzrok w jej nogi. Brakowało tylko, abym wyciągnął język. Może zrobiłbym na niej jeszcze większe wrażenie. Mój wacek zareagował natychmiast. Wyprostował się w slipach i stwardniał tak bardzo, jakby chciał wyskoczyć na zewnątrz i wypluć z siebie płyny zalegające od przeszło tygodnia. Ewa rzadko mi dawała. Za rzadko.

A Andzela... Ona...

Rety, odpuść, zmitygowałem się, walcząc z wyrzutami sumienia. Niech to szlag! Widzisz skąpo ubraną dziewczynę i od razu zachciewa ci się ruchać?

Rugałem się jeszcze przez chwilę, a potem nagle uśmiechnąłem się głupkowato, wciąż gapiąc się, to na kusząco długie, gładkie, opalone nogi, to znów na całkiem spory biust, schowany pod delikatnym materiałem sukienki. Nawet ramiona dziewczyny wywoływały we mnie dreszcze podniecenia. Jej pomalowane na czarno usta, podkreślone czarnym tuszem oczy, połyskujące na czarno paznokcie...

Odwala ci, warknąłem w duchu.

- Słyszałam, że przyszedłeś po notatki - odezwała się tonem świadczącym o jej uległości. - Dostaniesz je.

Wyszczrzyłem zęby.

- Dzięki.

- Nie ma sprawy. Każdy czasami bywa w potrzebie, prawda?

Powiedziawszy to, puściła do mnie oko i zachichotała.

A mnie zaschło w gardle.

„O kurwa” - pomyślałem. Ona jest absolutnie doskonała! Jej piersi miały zdecydowanie

zbyt wiele swobody. Tańczyły pod materiałem sukienki z taką gracją i finezją, jakby nagle ożyły. Musiałem użyć całej siły woli, aby oderwać od nich wzrok. Speszony, chrząknąłem.

- Dziękuję. Naprawdę - bąknąłem.

Andżela znowu zachichotała.

- Jesteś skrzepowany - stwierdziła, zakładając za ucho niesforny kosmyk włosów.

- Troszeczkę.

- Nie musisz.

Podeszła do mnie, uśmiechając się przebiegle. Nie miałem pojęcia co robić, jak się zachować. Czego ona chciała? Pieprzyć się? Do diabła, ona? Taka laska? Akurat ze mną? Nie wierzyłem w to. Nawet nie chciałem o tym myśleć. Myślałem o Ewie. Kochałem ją. Nie dawała mi zbyt często, ale czy seks jest w związku aż tak ważny?

Jasne, że jest.

Nie, wcale nie. Nie jest najważniejszy...

- Może jednak się czegoś napijemy? - spytała miękko Andżela.

- Ja... - wydusiłem, po czym zamilkłem, nie mając pojęcia jak właściwie powinienem zareagować na tę propozycję.

- Przyniosę ci coś, dobrze? Coś mocniejszego, co cię wstępnie rozluźni.

- Wstępnie?

- Owszem. Resztę zostaw mnie.

Pochyliła się, abym mógł obejrzeć sobie głęboki rowek między jej piersiami. Wydawało mi się, że dostrzegłem również fragment brodawki. Była ciemna niczym plama od soku wiśniowego.

- Wiesz... Na dole czeka na mnie Ewa.

Dziewczyna nagle spoważniała. Sądziłem, że za moment powie mi, abym się wynosił, skoro nie potrafię docenić jej szczodrości, ale ona ostatecznie nadęła wargi i podeszła jeszcze bliżej.

Poczułem delikatny zapach jej perfum. Oszalałem.

— Marzenia są po to, aby je spełniać, mój drogi — odparowała. — Ja jestem jednym z nich. Jednym z twoich największych marzeń. Mam rację?

Jakoś nie mogłem zaprzeczyć.

Bo wsadziła mi język do ust.

Dotknąłem jej ramienia, a moja dłoń powędrowała ku piersiom.

Omal nie eksplodowałem.

Gdy oderwała ode mnie swe usta, uklękła.

— A teraz się napijemy - wyszeptała, sięgając mi do rozporka.

Nie mogłem uwierzyć, że mi obciąża. Szybko, sprawnie, z zaangażowaniem. Po maksymalnie dwóch minutach tej zabawy odruchowo chwyciłem Andżelę za włosy i spuściłem się, jęcząc jak Niemra z pornola.

Na zewnątrz nie wydostała się ani kropelka. Połknęła wszystko.

Podniosła wzrok, wciąż trzymając go w ustach. Jej rozmarzone spojrzenie mówiło jednoznacznie, że to jeszcze nie koniec. Od momentu, gdy wstała i objęła go dłońmi, wciąż twardego, wiedziałem, że ta gra toczy się dalej.

— Na fotel — rozkazała. - Już!

Posłuchałem.

Patrzyłem jak ściąga sukienkę. Już same jej ruchy sprawiły, że znów byłem bliski wytrysku. Kiedy ujrzałem pełne, drobne pośladki Andżeliki, westchnąłem i zacisnąłem dłonie po bokach fotela. Były idealnie gładkie, idealnie krągłe, a rowek perfekcyjnie wyżłobiony. Nigdy wcześniej nie widziałem takiej dupci. Perfecto!

I te piersi. Uwolnione ze stanika, ciężkie, ale nie obwisłe, choć i nie super twarde.

Ciemne brodawki posiadały idealny kształt, małe, ledwie zauważalne sutki przypominały pestki czereśni.

- Jesteś doskonała - powiedziałem, a następnie powtórzyłem dużo głośniej. - Jesteś absolutnie doskonała i mam ochotę zerznąć cię do krwi.

Przygryzając dolną wargę, podeszła do mnie i usiadła mi na kolanach. Chłodną dłonią pochwyciła mój członek i zaczęła masować go w górę i w dół.

- A twoja dziewczyna? - zapytała z przekąsem.

Pokręciłem głową. Wierzcie mi, byłem jak w transie, jakby ktoś nafaszerował mnie dragami.

- Pieprzyć ją.

Andżelika zaniósła się histerycznym śmiechem.

- Pieprzyć to będziesz mnie.

•••

Srebrne bransolety na przegubach rąk dźwięczały delikatnie przy każdym ruchu. Była niczym kapłanka zatopiona w ekstazy tańcu. Jej oddech brzmiał jak najpiękniejsza melodia, jak pieśń bez słów, a wargi, zespolone w konglomerat pychy i wrażliwości, wydawały się sięgać wszędzie, obejmować mnie, zniewalać... Czuję się tak, jakbym cały rozpadał się na atomy, które teraz właśnie, uwolnione od przyciągania ziemskiego, wystrzeliły w kosmos.

Była obłądna.

Więc zbłądziłem.

•••

Dosiadała mnie, wykonując coraz szybsze ruchy biodrami. Przez głowę przelatywały mi setki pytań. Co ja robię? Czy naprawdę ujeżdża mnie najładniejsza laska na uczelni? Co powiem Ewie? Albo czego jej nie powiem? Dlaczego czuję się, jakby coś wisiało w powietrzu? Skąd wziął się we mnie ten niepokój?

Andżela głośno jęczała. Zastanawiałem się, czy staruszka, która otworzyła mi drzwi (jej babcia?), słyszała, co robiliśmy. Pokój był otwarty, dziewczyna nadał jęczała, krzyczała, abym rznął ją mocniej.

Z jej twarzy spływały kropelki potu. Miała zamknięte oczy, rozchylone usta, włosy opadały jej na ramiona, kręcone, wilgotne, pachnące kwiatami.

Piękność. Przez minutę, albo dwie, po prostu patrzyłem na nią. Na płaski brzuch, kołyszące się piersi, zgrabne uda, kształtne stopy.

I nagle osłupiałem.

Zamrugalem, sądząc, że to przywidzenie.

Ale nie. Nie mogło być mowy o przywidzeniu.

Już nie Andżelika mnie ujeżdżała, ale staruszka...

Na bezdechu gapiałem się na wysuszone ciało siedemdziesięciolatki, nie pojmując, co się dzieje. Mój członek wciąż był twardy, a kobiecina dosiadała mnie ostro niczym dziwka. Obwisłe, niekształtne piersi unosiły się i opadały, a ja nie reagowałem. Słyszałem jęki przeplatające się z gulgotaniem, jakby staruszka na przemian rozkoszowała się seksem i dławiała własną flegmą.

Miała otwarte usta, wyglądała jak trup.

Gdy zaczynało docierać do mnie, co się dzieje, usiłowałem poruszyć się, zrzucić z siebie skaczącą po mnie kobietę, ale bezskutecznie. Byłem sparalizowany. Tylko penis zdawał się tętnić życiem. Twardy i gruby, raz pojawiał się, raz znikał w czeluściach pochwy, która już dawno straciła swój powab.

Krzyknąłem. A potem jeszcze raz. Nagle poczułem mdłości, a cała zawartość żołądka podeszła mi do gardła. Zwymiotowałbym, gdyby nie to, że w ułamku sekundy staruszka znów stała się dziewczyną o niebiańskich kształtach.

- Andżela - wychrypiałem. - Co tu się...

- Ciii - przerwała mi.

Mimo, że nadal chciała się kochać, mój wacek kategorycznie odmówił współpracy. Nawet, gdy zesza ze mnie i polizała jądra, pozostał miękki.

- Muszę iść - oznajmiłem, skołowany.
 - Ależ nie... - zaproponowała.
 - Muszę. Moja dziewczyna czeka na zewnątrz.
 - A co z twoim pragnieniem?
 - Jakim pragnieniem? O czym ty mówisz?
 - Nie podobało ci się, jak to robiłam ustami? Przecież tak właśnie lubisz najbardziej?
- Skąd wiedziała? Nie dociekałem. Chciałem się stamtąd wynieść.

- Było super, ale teraz wychodzę.
- A notatki? Pójdę po nie.

Zawahałem się, po czym kiwnąłem głową.

- Pośpiesz się, proszę.

Straciłem ochotę na pożyczanie od niej notatek. Nie po tym, co się między nami wydarzyło. Nie po tym... Jak to nazwać? Złudzenie? Przywidzenie? Co to, do cholery, było? Może moja paranoja? Nie, na pewno nie. Widziałem dokładnie pomarszczoną skórę, obwisłe piersi, plamy wątrobowe...

Jezu.

Gdy dziewczyna z powrotem założyła swoją sukienkę, po czym, prosząc, abym na nią zaczekał, opuściła pokój, ja rzeczywiście zaczekałem, ale tylko do momentu, gdy zniknęła w ostatnim pomieszczeniu po lewej stronie korytarza. Wtedy na palcach wyszedłem i wolno ruszyłem w stronę schodów.

Ewa, kochanie, już idę do ciebie. Już idę...

Modliłem się w duchu, aby po drodze nie natknąć się na tę starą. Pragnąłem jedynie zbiec na dół, dać nogę z tej przeklętej chawiry. Mijałem jakieś stare szafy, których wcześniej nie widziałem, zardzewiałą pralkę pamiętającą czasy PRL-u i regały z pokrytymi grubą warstwą kurzu książkami w skórzanych oprawach, zapewne dziełami Marksa i Engelsa.

Dopadając do schodów, zacząłem zbiegać, pokonując po kilka stopni na raz. Drewniana poręcz była zimna i śliska.

Myślałem tylko o tym, że zaraz się uwolnię z tego miejsca. Nie wiedziałem jeszcze, co powiem Ewie, ale nie to było najważniejsze. „Coś wymyślę - powtarzałem w duchu. - Byle tylko się wydostać”.

Wyciągnąłem komórkę i wybrałem numer Ewy. Po drugim sygnale rozległ się głośny trzask, po którym nastąpiła cisza.

Kur...

Ponowiłem próbę. Nikt nie odebrał, choć mogłem przysiąc, że po drugiej stronie usłyszałem krótkie: - Stój. - Głos należał do Andżelik.

„To niemożliwe” - pomyślałem.

Zbiegłem, jak mi się zdawało, na parter, ale zamiast drzwi wyjściowych na końcu korytarza była ściana. Na chwilę mnie zamroczyło.

Co jest, kurwa?!

A potem usłyszałem wołanie:

— Hej, gdzie jesteś? Miałeś poczekać!

Ku memu nieopisanemu zdumieniu schody prowadziły dalej na dół. Z kuchni dobiegały dźwięki krzątaniny. To zapewne ta starucha. Chrzanić ją. Muszę wyjść, wyjść z tego pierdolnika!

Przeświadczony, że gdy wchodziłem do pokoju Andżeli najwyraźniej umknęło mi jedno piętro, ruszyłem na parter. Tym razem nie zbiegałem, aby nie zwrócić na siebie uwagi starej.

- Jesteś tam? - usłyszałem głos dziewczyny.

Nie odezwałem się. Na półpiętrze zorientowałem się, że do parteru zostało nie pół, lecz

kilka albo i kilkanaście kondygnacji. Co gorsza, klatka schodowa co rusz zmieniała perspektywę - raz wydawała się maleńka, jakby została przeniesiona z domu lalek, by w następnej chwili nadać się i wydłużyć niczym kiszka Krakena. Stałem przy balustradzie i nie mogłem uwierzyć w to, co widzę.

Nie miałem jednak czasu, aby to analizować. Andżelika pędziła w moją stronę w tempie rozjuszonej błyskawicy.

- Wiesz, zawiodłam się na tobie, zawiodłam się na tobie - powtarzała.

Pokonałem kilka kolejnych pięter i zdyszany zatrzymałem się. Słyszałem jej tupot, goniła mnie. Do moich uszu nadal docierał dźwięk z kuchni, wicie, jakby ktoś rozkładał talerze i sztućce.

-Zawiodłam się. Myślałam, że mnie pragniesz.

„Pragnę - pomyślałem. - Naprawdę cię pragnę. Ale również boję się ciebie”.

Na pewno nie powiedziałem tego na głos, jednak Andżela usłyszała.

- Jeśli mnie naprawdę pragniesz, to, czemu uciekasz? Poczekaj, nie odchodź! Zostań, a nie pożałujesz!

»Nie" - odparłem w myślach.

Zziąjany, nie mogąc złapać tchu, stałem przy balustradzie na półpiętrze, którego nie powinno być i zastanawiałem się, gdzie podziała się logika.

Gdy ujrzałem na schodach Andżelikę, z miejsca wypaliłem:

- Kim ty jesteś, do diabła?

Popatrzyła na mnie uważnie.

- Jestem twoim największym pragnieniem, zapomniałeś?

- Proszę cię, odpieprz się. Po prostu się odpieprz! Dlaczego tu jest tyle pięter?

- Tak bardzo o mnie marzyłeś, nie pamiętasz? Chciałeś mnie mieć! A twoje fantazje?

Drżałem, usilnie próbując się uspokoić. Ewa. To ją kochałem. Zdradziłem ją. I to nie tylko z Andżelą. Ale kochałem ją. Naprawdę ją kochałem.

- Oszukujesz siebie, nie ją - usłyszałem.

- Nie. Zależy mi na niej.

- Nie, nie zależy. Chcesz, aby tak było. Ale nie jest.

- Odejdź, proszę. Gdzie tu jest wyjście?

- Jestem twoim pragnieniem, pozwalam ci walczyć o swoje szczęście... - odparła, ignorując moje pytanie. - Sam musisz się mnie pozbyć. Ale nie radziłabym. Zapomnisz, co znaczy dobry seks, jędrne piersi... - zachichotała raz i drugi. - Pozostaniesz jej niewolnikiem. Opamiętaj się, nie bądź głupi. Jesteś taki młody, nie pozwól...

- Zamknij się! — wrzasnąłem tak nagle, że zaskoczyłem samego siebie. — Zamknij się - powtórzyłem już nieco ciszej.

Wtedy Andżelika podeszła do mnie i kiwnęła głową.

- W porządku.

Nie wiedziałem, co ma na myśli.

- Co w porządku? - wydukałem.

- To ty podejmujesz decyzje. Ty wiesz, czego pragniesz. Chcesz stąd wyjść, wyjdiesz. Nie zabronię ci.

- Pozwolisz mi wyjść? - strach, że mogłoby mi się coś stać był paralizujący.

- Ależ oczywiście. Wyjdź. Teraz. I oszukuj się dalej. Większość z was tylko się oszukuje. Nie macie pojęcia, czego pragną kobiety. Nie macie pojęcia, czego wy sami pragniecie. Po prostu wyjdź. Wyjdź, a więcej mnie nie zobaczysz.

Nie wiedzieć czemu, po tych słowach poczułem się bardziej samotny niż kiedykolwiek wcześniej.

Mimo to wyszedłem.

•••

- Co tak długo?! - warknęła Ewa, gdy zdyszany wskoczyłem do samochodu i trzasnąłem drzwiami.
 - Jedź! - krzyknąłem.
 - Wiesz, która godzina?
 - Po prostu musimy stąd odjechać! Jedź!
 - Jaja sobie robisz? - syknęła, ale zapaliła silnik. Wrzucając jedynekę, spojrzała na mnie tak, jakbym roztrzaskał jej na głowie szklankę z gorącą herbatą.
 - Wkurwiłeś mnie i to porządnie. Co wy tam robiliście? Możesz mi powiedzieć?
 - Ewa, ja... Próbowałem zadzwonić.
 - Co?
 - Zadzwonić... Próbowałem ci powiedzieć.
 - O czym ty gadasz?
- Pociągnąłem nosem. Chciało mi się płakać.
- Trudno mi to będzie wyjaśnić.
 - Mówiłeś, że zejdiesz za piętnaście minut, a nie było cię dwie godziny!
 - Jakie dwie godziny?
 - Minęły dwie godziny! Dwie godziny! — dziewczyna warczała jak wściekły pies. - Mam w dupie, co robiliście. Nie jestem twoim szoferem, rozumiesz?
 - Ewa, nie wiedziałem... — głos mi się załamywał. Byłem rozdygotany.
 - Nie wiedziałem, nie wiedziałem. Ja też nie wiedziałam! Że jestem aż tak naiwna!
- Czekałam na ciebie, podczas gdy ty zabawiałeś się z nią! Przyznaj!
- Gdy wjechaliśmy na jezdnię, niezdarnie zapiąłem pas.
- Ewa, powiedz, ile naprawdę mnie nie było?
- Prychnęła, wściekła niczym przekwitająca teściowa.
- Nie wkurwiał mnie jeszcze bardziej, dobra?!
 - Proszę, odpowiedz.
 - Dwie godziny. Nie było cię przez dwie pieprzone godziny!
 - Tam działo się coś dziwnego - jęknąłem. - Próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale... — nie dokończyłem zdania.
 - Odebrałam telefon i usłyszałam jak mówisz, abym poczekała jeszcze piętnaście minut, bo niedługo schodzisz. I ja, głupia, czekałam!
- „Szok” - pomyślałem. To się nie działo naprawdę.
- Wybacz mi - poprosiłem, zdając sobie sprawę, że nie jestem teraz w stanie wyjaśnić Ewie tego, co mi się przytrafiło. — Nie wiedziałem, że tyle czasu zleciało. Przez cały czas... Przez cały czas myślałem o tobie. Dzwoniłem, aby nie zwariować. .. Ewa, nie masz pojęcia, co wydarzyło się w tym domu.
- Słuchaj, paliłeś coś? - spytała nie bez ironii.
 - Nie - odpowiedziałem. - Ale mam wrażenie, jakby ktoś wywrócił moje życie do góry nogami.

•••

Opuszczając budynek uczelni, marzyłem tylko o tym, by wstąpić do monopolowego, kupić flaszkę i zacząć pić już w drodze do domu.

Nikt z moich znajomych nie słyszał nawet o kimś takim jak Andżela. Robili wielkie oczy i pytali, czy wszystko ze mną w porządku. Dajecie wiarę?

-Przecież ona jest w naszej grupie — powtarzałem z uporem.

- W naszej grupie nigdy nie było żadnej Andżeliki - nieodmiennie mi odpowiadano. - Ani na tym, ani na żadnym wcześniejszym roku... Chłopie, takiego imienia się nie zapomina. A jeśli wygląda tak jak mówisz, to już na stowę.

Nie było jej. Nigdzie. Szukałem w bibliotece, w stołówce, pytałem o nią w sekretariacie i dziekanacie. Rozmawiałem z ludźmi, z którymi, jak doskonale pamiętałem, Andżela utrzy-

mywała kontakt. Nikt nie kojarzył tej dziewczyny.

- Pomyliło mu się - mówiły jej przyjaciółki.

Pomyliło? Co to za pieprzenie?!

Musiałem się napić. Wydawało mi się, że wariuję, że za chwilę rozpadnę się na kawałki.

To wszystko przez Ewę, myślałem. Nie miała pojęcia, czego potrzebuję. Nigdy nie dawała mi tego, czego pragnąłem.

Zatrzymałem się, zdezorientowany.

A co ma do tego wszystkiego Ewa?

Ja naprawdę wariuję, stwierdziłem, a potem przypomniałem sobie Andżelę. Jej ruchy, dotyk aksamitnie miękkich ust, wąską szparkę...

Potrząsnąłem głową. Smutek zadomowił się we mnie, uwił sobie w moim wnętrzu wygodne gniazdko. Nie potrafiłem tego wyjaśnić, ale brakowało mi jej. Przypomniało mi się, jak mówiła, że jest moim pragnieniem. Co miała na myśli? Kim ona, u diabła, była? I gdzie jest teraz?!

Jestem twoim pragnieniem. Jestem twoim pragnieniem. Jestem twoim...

Wyjąłem telefon i wystukałem numer Ewy.

Wierście mi albo nie, ale naprawdę pragnąłem poprosić, by mi wybaczyła. Zamiast tego powiedziałem:

— Odchodzę.

Chyba ją zamurowało, bo przez dobre trzydzieści sekund milczała. Pomyślałem, że się rozłączyła, gdy nagle zapytała:

— Jesteś pewny?

-Tak.

Znow cisza. A potem:

— Rozumiem.

— Przepraszam cię. Po prostu... - urwałem.

— Kim ona jest?

— Znasz ją.

— Kto to? Tylko mi nie mów, że Sylwia!

Sylwia była najlepszą kumpelą mojej dziewczyny, sorry, mojej eks. Mieszkały na tej samej ulicy i dość często się spotykały. Gdy odwiedzałem Ewę, Sylwia niejednokrotnie otwierała mi drzwi, śmiejąc się do rozpuku, gdy okazywałem zaskoczenie. Głupia pinda.

— To nie Sylwia.

— Więc kto?

— Andżelika.

Ewa znow zamilkła. Spodziewałem się wybuchu hysterii, byłem gotowy przyjąć na klatę wszelakiej maści wyzwiska, a usłyszałem jedynie:

- Jaka Andżelika?

Nie byłem w stanie mówić. Zatkaną mnie na amen.

- Hej, co to za laska?

- Znasz ją. To ta Andżela...

- Kurwa, pierwsze słyszę o jakiejś Andżelice. Poznałeś ją na imprezie? Hej, jesteś tam?

Pytam się, gdzie ją poznałeś? Ty skurwielu, odpowiedz! Odpowiedz, słyszysz? Chcę wiedzieć! Skurwysynu. To jedno chcę wiedzieć...

•••

„O co w tym wszystkim chodzi? Skąd ta zbiorowa amnezja?” - zastanawiałem się, okupując kanapę w mojej ulubionej knajpie i chyba pierwszy raz w życiu nie pijąc piwa, tylko kawę. Tak, nie miałem wyboru. Musiałem zachować trzeźwy umysł. Musiałem. ..

Czego one mogły ode mnie chcieć?

Miałem mętlik w głowie.

Może podano mi narkotyki i bezwiednie brałem udział w jakimś eksperymencie?

Taka opcja wiele by wyjaśniała. Choćby to, dlaczego kiedy pieprzyłem się z Andżelą, od czasu do czasu wydawało mi się, że zamiast niej dosiada mnie stara...

Był tylko jeden mały problem, nieścisłość w rozumowaniu, której za cholera nie umiałem wytłumaczyć: w domu koleżanki ze studiów nie zjadłem ani nie wypłem niczego.

Musiałem coś zrobić.

Musiałem...

Nie, do cholery, nie! Nie chciałem tego... Ale musiałem...

.. .tam wrócić.

Tym razem nie mogłem liczyć na Ewę, więc pojechałem do Andżeli busem. Straciłem kupę nerwów, słuchając puszczonej przez kierowcę wiązanki disco polo. Ale nie było odwrotu - musiałem znów ją zobaczyć. Dotknąć. Pocałować.

Przekonać się, czyje na mnie zależy.

Co ja, kurwa, plotę? Dotknąć? Pocałować?

Podstępnie mnie wykorzystała, doprowadziła do tego, że zerwałem z Ewą. Nie interesowało ją, co się ze mną dzieje. Suka. Suka. Suka.

Nadal jej pragnąłem.

I musiałem się z nią rozmówić.

Nawet, jeśli ona nie miałaby na to ochoty.

Od przystanku, na którym wysiadłem, zostały mi do przejścia jakieś trzy kilometry. Mimo wszystko byłem z tego zadowolony - miałem okazję, by po drodze nieco ochłonąć, przemyśleć sobie, jak postąpić z Andżelą, o ile oczywiście ją zastanę.

Niestety, moje obawy okazały się w pełni uzasadnione. Dwupiętrowy dom mojej koleżanki-kochanki wyglądał na niezamieszkały, mało tego — opuszczony dobrą dekadę temu. Na parterze okna zabite deskami, na parapetach kurz i pajęczyny...

Nie potrafiłem tego wszystkiego ogarnąć.

Gdzie ona się podziała? Co stało się z tym cholernym domem?

Załomotałem w drzwi. Echo uderzeń poniosło się po budynku. Jak można się było spodziewać, tylko ono mi odpowiedziało.

Obszedłem dom, rozgarniając gęszcz przerośniętych chwastów, które tuliły się nieomal do samych ścian, i znalazłem okno, zabite dwoma deskami. Oderwałem je w ciągu kilku minut, po czym wybiłem szybę i wdrapałem się do środka.

Pokój, w którym się znalazłem nie wyglądał zachęcająco. Drewniana podłoga skrzypiała niczym pokład Latającego Holendra podczas sztormu, stęchłe powietrze nasuwało na myśl lochy, w których w dawnych czasach przetrzymywano skazańców. .. Z mebli na pierwszy plan wysuwał się poszatkowany przez korniki kredens i zapadłe łóże, na którym bałbym się nawet usiąść, a co dopiero położyć.

Latarka okazała się strzałem w dziesiątkę, bo klatka schodowa tonęła w ciemnościach. Jej ściany aż po sufit zapełniały jakieś bazgrały, napisy w języku, którego nawet nie potrafiłem zidentyfikować, nie mówiąc o odczytaniu.

Coraz mniej mi się to podobało. Miałem ochotę odejść, uciec, zapomnieć. Ale wtedy trafiłbym do punktu wyjścia, nawet gorzej - nie dość, że byłbym wyrolowany na całej linii, to świadomość własnego tchórzostwa chyba nie pozwoliłaby mi żyć.

Po zwiedzeniu obu pokoi, kuchni i łazienki, które mieściły się na parterze, ruszyłem na piętro. Od pomieszczenia do pomieszczenia, od jednych rozpadających się gratów, do drugich... Widziałem sterty książek, raj dla moli, szafy wypełnione strojami, dziesiątki zwędzonych roślin doniczkowych i mnóstwo podobnego barachła.

Nigdzie jednak ani żywego ducha. Żadnego dowodu na to, że jeszcze przed kilkoma dniami mieszkały tu przynajmniej dwie kobiety.

Byłem tak bardzo zaaferowany poszukiwaniami, że nawet nie zauważyłem, kiedy dotarłem

na czwarte piętro.

Czwarte, choć dom był dwupiętrowy. Miałem serdecznie dość tej diaboliady.

Czas na mnie, zdecydowałem, wracając na klatkę schodową.

I wtedy ją zobaczyłem. Aż nogi się pode mną ugięły. Ledwie udało mi się sięgnąć poręczy balustrady i wesprzeć się na niej, inaczej na pewno bym się przewrócił.

Andżela nigdy nie miała w sobie anielskiej cierpliwości swojej imienniczki z filmu Luca Bessona. Wręcz przeciwnie. A jednak nie da się ukryć, że była pociągająca.

Przynajmniej, póki żyła.

Teraz jednak jej widok wywoływał we mnie odruchy wymiotne.

Ktoś czy może coś ją zabiło, to nie ulegało wątpliwości. Kto?

Odpowiedź pojawiła się szybciej, niż bym sobie tego życzył. Gdzieś na górze rozległo się nieludzkie wycie, przerwane znanym mi już rechotem.

Starucha. To ona. Podstępna i żywiąca się...

Wolałem nawet o tym nie myśleć.

Zadudniły kroki. Ktoś zbliżał się ku mnie i z tego, co mogłem się domyśleć, nie miał dobrych zamiarów.

Ostatni raz spojrzałem na Andżelikę, a raczej na to, co z niej zostało: kępkę włosów na gładkiej czaszce, buciki ze sztucznego tworzywa i zaplamione krwią kości, po czym pognałem w dół.

Biegłem i biegłem, pokonując kolejne piętra. Kawalki pokruszonych cegieł zgrzytały mi pod stopami. W końcu zauważyłem drzwi, różniły się jednak od tych, które dotąd mijałem.

Wyglądały całkiem współcześnie, wręcz elegancko. Poza tym nie nosiły śladów uszkodzeń, zupełnie, jakby ekipa fachowców dopiero, co je wprawiła.

To mogła być moja szansa. W przyływie nadziei nacisnąłem klamkę. Nic. Naparłem ramieniem. Ani drgnęły.

Kurwa!

Szarpnąłem.

Obezwładniający strach na chwilę ustąpił.

Skrzydło otworzyło się. Za nim jednak nie było nic poza ścianą.

Płacząc i klnąc, pobiegłem dalej, gorączkowo rozglądając się za drogą ucieczki lub kryjówką.

W tym samym momencie poczułem coś, jakby pstryczek w ucho. Musiał być jednak na tyle mocny, że spłynąłem na ziemię, miękko niczym jesienny liść.

Próbowałem zawołać o pomoc, lecz z moich ust nie wydobył się nawet szept.

Przymknąłem na chwilę powieki, a kiedy otwarłem je ponownie...

- To by było na tyle - starucha nachylała się nade mną, trzymając coś ciemnego w wykrzywionych artretyzmem paluchach. W kąciку jej pomarszczonych ust zgromadził się pęcherzyk śliny, który pękł bezgłośnie.

- O czym... ty... mówisz? - spytałem, dziwiąc się, czemu mój głos tak bardzo przypomina skrzek. - Co to... wszystko... ma znaczyć?

- Lustreczko, powiedz przecie... - odwróciła przedmiot, przybliżając do mnie srebrzystą powierzchnię lusterka.

Mimowolnie spojrzałem w jego owal. Doznałem wstrząsu.

Ujrzałem twarz starca. Pokrywały ją plamy wątrobowe, całe mnóstwo zmarszczek i jakichś dziwnych blizn.

Rozchyliłem usta, wstrząśnięty. Starzec po drugiej stronie poszedł w moje ślady.

Zamrugalem. Starzec również zamrugał.

Wyszeptałem bezgłośnie:

-Nie.

Starzec zrobił dokładnie to samo.

To nie mogę być ja, jęknąłem w duchu. To na pewno nie ja...

— Patrz, głupcze. Nie odwracaj oczu! - szydziła starucha, jazgocząc niczym przedpotopowa pralka. - Jesteś samotnym, przegranym zerem! Nie znajdzie się nikt, komu chciałoby się zapalić świeczkę na twym grobie... Straciłeś swe najlepsze lata na pogoń za mrzonkami, za czymś, co nie mogło dać ci szczęścia. Straciłeś tyle lat... Tyle lat, podczas których mogłeś korzystać z tego, co w życiu najlepsze...

— Ja... ja... - trząsałem się, nie spuszczać wzroku ze swojego odbicia.

— No właśnie! Ty i tylko ty! Zobacz, do czego cię to doprowadziło!

— To niemożliwe.

— Ależ możliwe. Mogłeś ją mieć. Wyłącznie dla siebie.

— Andżelika - szepnąłem.

— Tak. Andżelika. Chciała pokazać d raj. Jednak zabrakło szanownemu panu odwagi, co? Głupcze! Patrz, do czego cię to doprowadziło.

Nie miałem sił, aby dalej rozmawiać. Nie miałem sił, aby dalej oddychać. W jednej chwili uświadomiłem sobie, jak wiele straciłem.

Byłem zmęczony. Tak bardzo zmęczony...

Rozejrzałem się ostatkiem sił.

Ciemność. Wszechobecna. Zwiastująca najgorsze.

— Gdzie?—jęknąłem słabo. — Gdzie ja... jestem?

Staruszka pokręciła głową, jakby nie wierzyła, że można zadać tak idiotyczne pytanie.

Mimo wszystko odpowiedziała:

- Nigdzie.

Edward Lee (ur. 1957) - amerykański pisarz, autor kilkudziesięciu książek z gatunku horroru, specjalista od prozy ekstremalnej, wychodzący naprzeciw oczekiwaniom czytelników spragnionych kontaktu z literaturą przekraczającą granice wszelkiego tabu. Jako jedno z głównych źródeł swoich inspiracji wymienia Howarda Phillipsa Lovecrafta, którego Mitom Cthulhu poświęcił serię powieści. Autor takich bestsellerów jak: Sukkub, Ludzie z bagien, Golem. Opowiadanie Pan Kadłubek było nominowane do nagrody Brama Stokera.

Edward Lec

PM KADŁUBEK

Stary Lud wiedział, że dawał im cel, robiąc to, co robił. Zgodnie z tymi książkami, które czytał. Tak nakazywał Bóg, więc tak robił Lud. „O tak — pomyślał. — To działa”. Wywalił swojego fajfusa na Miss Sierpnia magazynu „Hustler”. Najfajniejsza blond-lalunia, jaką widział. Ooo tak. No dobra, czasami to chwilę trwało. Czasami miał problem z postawieniem starego wygi, ale Jezusie kochany, ma sześćdziesiąt jeden lat, który koleś w tym wieku może cały czas?

Co by te laleczki mogły robić, jak nie to? Łapać choróbska, jarać jakieś świństwa, dawać się posuwać typom. A tak, stary Lud pomagał im robić to, do czego Ten Na Górze je stworzył i oddawać potem tym, co to ich strasznie potrzebują. I nieźle za nie płacą. Wicie?

Lud musiał się jeszcze trochę urobić, żeby mieć dłuższego, zanim będzie w stanie coś zrobić, więc zaczął z tą Miss Sierpnia, lalunią z aksamitną pizdeczką i melonami pierwsza klasa.

O tak!

Fakt, że robił to codziennie nie był żadną perwerą. Naprawdę nadawał życiu tych laleczek jakieś znaczenie, tak jak było napisane w książkach. Dawał im cel.

Kiedy miał już sztywnego i mógł zacząć działać, zastanowił się, jak Miss Sierpnia wyglądałaby bez rąk i nóg. „Pewnie niefajnie - pomyślał.

Ale wiadomo, wypełniać wolę Boga nie zawsze jest łatwo.

Tipps właśnie wysiadał z samochodu służbowego, kontemplując ideę dydaktycznego solipsyzmu i jego różne założenia. Teleologia wartości? Tipps tego nie kupował. Musiała być subiektywnie egzystencjalna. „Musiała” - pomyślał. Jakakolwiek alternatywa była mrzonką.

Ludzie Służby Technicznej Hrabstwa wyglądali jak krążące w ciemności szkarłatne fantomy. Przenośne lampy uv świeciły upiornym fioletem. Technicy mieli na sobie czerwone poliestrowe kombinezony, żeby przypadkowe włókna rúe zostały uznane przez zajmującą się nimi ekipę za dowody znalezione na miejscu zbrodni. Ale Tipps, w swoim wrzosowo-szarym garniturze od Gucciego, wiedział, że technicy pracują na marne.

Wisząca nad polem kukurydzy tarcza księżycy przypominała bladą ludzką twarz. Tipps podszedł do wąwozu, gdzie pulsowały czerwone i niebieskie światła. Może chłopaki z południa hrabstwa zdążyli się już przyzwyczaić. Młody sierżant ukląkł na kolano i schował twarz w dłonie.

- Wstawaj - nakazał Tipps. - Bądź twardzielem, jak na policjanta przystało.

Dzieciak wstał i mocno zamrugał oczami.

- Kolejne 64? - zapytał Tipps.

- Tak, proszę pana. Znaleźliśmy kolejny tułów.

„Pan Kadłubek” — pomyślał Tipps. Tak ochrzcił w myślach podejrzanego. Piętnaście zestawów kończyn porzuconych na ulicach całego hrabstwa w ciągu ostatnich trzech lat. I trzy tułowia, wszystkie należące do białych kobiet rasy kaukaskiej. Oprawca wyrwał im zęby, a twarze, dłonie i stopy polał kwasem. Tipps zamówił nawet badania na materiał genetyczny wszystkich członków, ale bez rezultatów. Znaleziono trochę lubrykantu i spermy na wszystkich trzech tułowiach. Nasienie było zarażone HIV. „Nic wielkiego” - pomyślał Tipps.

- Proszę tu spojrzeć — policjant wskazywał na oświetlony wąwóz. - Przepraszam, ale nie daję sobie z tym rady.

- Trochę ciężko się robi w tym hrabstwie - mruknął do siebie Tipps i szedł w stronę światła.

Na dole technicy poruszali się na kolanach i podpierali rękami, świecąc sobie latarkami czołowymi. Postawiono znaki odgradzające miejsce zdarzenia; szukali śladów po oponach. — Pan Kadłubek uderza ponownie - wymamrotał Tipps, patrząc przed siebie. Przy przepuszczeniu dwóch techników wyciągało z rury ucięte kończyny. Wtedy z upiornej poświaty wyłoniła się czyjaś sylwetka. Beck, szefowa techników.

- Znowu mamy tego od kadłubków - bardziej stwierdził niż zapytał Tipps.

Beck miała grube okulary i włosy zmierzwione jak czarownica.

- Acha - odpowiedziała. - Dwie ręce i dwie nogi. I jeszcze jeden tułów, który nie pasuje do kończyn. To ile już teraz? Cztery?

- No - potwierdził Tipps. Tułów leżał na boku, a jego sflaczałe piersi sięgały pach. Kikuty, tak jak u pozostałych, wyglądały na zagojone. Twarz rozpuszczono kwasem.

- Będę wiedzieć więcej, jak się jej przyjrzę u siebie, ale jestem pewna, że niczym się nie różni od reszty.

„Reszty” — powtórzył w myślach Tipps. Poprzednie riafo zostały poddane prymitywnej lobotomii, jak orzekł patolog. Twardy, ostro zakończony przedmiot został wbity w lewy oczodół. Przebito bębniaki w uszach. Zaklejono powieki. Pan Kadłubek pozbawiał ich zmysłów. „Dlaczego?” - zastanawiał się Tippsi

- Sprawdźcie materiał genetyczny - polecił.
- Beck uśmiechnęła się nieznacznie.
- Do tej pory była to tylko strata czasu, poruczniku. Nigdy nie znajdziemy pasującego profilu.
 - Po prostu to zróbcie - odrzekł Tipps.
- Cały sarkazm Beck gdzieś uleciał, kiedy znowu spojrziała w wawóz.
- Czysta makabra. To szesnasty zestaw kończyn, które porzucił, ale tylko czwarte ciało. Co on do cholery robi z ciałami?
- Tipps rozumiał, o co jej chodzi. I jaki, na Boga, stoi za tym cel? Tipps był dziwnie pewien, że jakiś istniał. Mówił mu to jego zmysł filozoficzny.

••••

Celem starego Luda było, oczywiście, wszystkie je zaciążyć. A potem poczekać aż wypchną bękarty, a on je sprzeda gościom, co sami swoich bachorów mieć nie mogą. Ale on na tym nie zarabiał, nie - stary Lud brał zielone, żeby zapłacić rachunki, a resztę dawał na biednych. Nic w tym złego.

No, ale najpierw musiał je przygotować, żeby było humanitarnie. Żeby nie było traumy. I musiał im obciąć łapy i nogi, żeby nie brykały i stary Lud nie musiał martwić się, że uciekną. Przebił im też bębenki, bo lepiej, żeby ich pokręcone mózgi nie usłyszały czegoś, co by im namieszało. Dlatego zakleił im też oczy. Laleczki nie muszą nic widzieć.

No i było mu przecież ich żal, więc trochę pomieszał im w głowach, tak jak jego ojczulek robił lata temu, jak jakaś krowa stawiała się zbyt zadziorna. Trzeba tylko wbić przebijak w oczodół laleczki, aż pęknie kość, a potem szybko przekręcać. Nie giną od tego, tylko trochę im się miesza w głowach i nie mogą myśleć. Tatko nazywał to lobotomią. Lud wcale nie potrzebował myślących laleczek. To by było okrutne, gdyby tak mogły sobie myśleć, a nie widziały nic ani nie słyszały, ani nie mogły chodzić i nawet czegoś chwycić. No i wiadomo, że trzeba to mieszanie robić ostrożnie. Parę mu wcześniej wykitowało, więc. teraz dezynfekuje przebijak, żeby się im tam gdzie żadne zarazki nie dostały.

O tak, Ludowi było bardzo przykro, gdy tamte cztery zmarły, ale co mógł poradzić, no co?

Dlatego je wyrzucił. Wybił im zębiska kluczem od samochodu i spalił kwasem bużki, żeby ich gliniarze nie rozpoznali i nie wpadli na to, jak je porywa.

Lud trzymał je wszystkie w rzędki w piwnicy, wszystkie dwanaście. Każda leżała w świńskim korycie z obciętym jednym końcem, żeby wystawały trochę nad krawędzią. W ten sposób wystarczyło, żeby Lud stanął przed nimi i ściągnął gacie, jak chciał im wcisnąć fajfiisa, no i mogły sobie szczać i robić kupę, nie świniąc przy tym, bo Lud stawiał każdej wiadro na mleko. Karcił laleczki trzy razy dziennie zdrową papką z ziemniaków i mleka z duszonym mięsem i warzywami, żeby rodziły pulchne i silne bachory. A laleczki przeżuwały i połykały bez problemów, bo Lud nie wrywał im zębów dopóki żyły, a robił to później, bo raz na CNN widział program, gdzie mówili, jak gliny rozpoznały ofiary po zębach.

Lud pracował według miesięcy. Dlatego miał dwanaście laleczek, po jednej na każdy miesiąc. Na przykład teraz był sierpień

i dlatego właśnie miał swojego fajfusa w laleczce z sierpnia. Robił to przynajmniej trzy razy dziennie, każdego dnia przez cały miesiąc. W ten sposób miał pewność, że zanim się skończy sierpień, laleczka już zaciąży. A potem będzie robił to z laleczką z września. Kiedy ich nie posuwał albo ich nie karmił, albo nie mył, szedł na górę i sprawdzał, czy ktoś nie dał ogłoszenia, że szuka bachora do adopcji. Sporo było bogaczy, co gotowi byli zapłacić niezłą sumkę bez zadawania pytań, zamiast czekać kilka lat na legalnego dzieciaka z agencji adopcyjnej. A w wolnym czasie Lud lubił czytać swoje ulubione książki o istocie życia i w ogóle.

O tak, przepadał za tym.

Najgorsze było posuwanie laleczek, Czasami sporo czasu zajmowało mu postawienie

sobie fajfusa, bo każdemu facetowi by zmiękł przy tych, no, laleczkach bez rąk i w ogóle. A gorsze były chyba tylko te dźwięki, które czasami wydawały, kiedy Lud próbował się szykować, takie muczące jakby „gaaaa-gaaaa”. To przez to, że Lud im pomieszał w mózgach. O tak, ten ich wygląd i te ich odgłosy wcale nie były pociągające, dlatego Lud kładł na ich brzuchach rozkładówki, by móc popatrzeć sobie na coś inspirującego, kiedy je posuwał.

Czasami mały mu miękł i sam wyłaził, jak teraz, z tą rudowłosą z sierpnia.

- Jeżu czyste! - przeklął, bo Lud nigdy nie wymawiał imienia pana nadaremno. Tak to w życiu jej nie zaciąży! Biedny Lud odsunął się od koryta ze spodniami spuszczoneymi do kostek, żeby znowu sobie postawić fajfusa, ale w międzyczasie ten żel w dziurce obsychał. No bo żeby Lud mógł posunąć laleczkę musi ją trochę w środku nawilżyć żelem, bo one same nie mogły się zrobić mokre, bo im namieszał w mózgach. Ale jak już wspominał, ten żel to wysychał czasami na klej, tak jak teraz z tą rudą, więc Lud musiał kucnąć i wcisnąć jej tubkę prosto w dziurę, żeby znowu ją zmoczyć, nadal pracując przy tym nad swoim fajfusem. Czasami go to wkurzało.

— Nie mam cholera całego dnia, żeby trzepać sobie kapucyna przed samym kadłubkiem! - wrzasnął. - Jeżu czyste! Już mi nie staje i ledwo co udaje mi się dojść! - Kiedy coś takiego przydarza się Ludowi, najpierw ostro się wkurza, ale potem zaczyna kombinować. Jasne, że czasem bywało trudno, ale robił to w imię Boga. Musiał być wdzięczny, bo przeca w jego wieku to niejeden w ogóle nie może, a swojego fajfusa mógłby trzepać, aż by zsiniał, a i tak by mu nie stanął. W książkach wszystko napisano czarno na białym. To Ten Na Górze sam go do tego powołał i za nic w świecie nie zawiedzie Tego Na Górze! Praca w jego imię nie zawsze jest łatwa, ale i nie powinna taka być.

Dlatego Lud się spał porządnie, skupił na tej rozkładówce Miss Sierpnia na brzuchu, udając, że to ją posuwa, a nie tę rudą bez rąk i nóg, co drze się „gaaaaaa-gaaaaaa!”, kiedy on trzepie sobie z całych sił, gapiąc się na te gorące ślicznotki z rozkładówki, na ich papierowe cycki.

— Och tak, jeżu! — cieszył się, bo jego mały wreszcie znowu zaczął rosnać. - Tak, o tak! Już nadchodzę, ruda! - obiecał, i tak to stary Lud wepchnął swojego fajfusa w rudowłosą cipę, żeby zaserwować jej porządną porcję swoich soków, prosto w dziecioróbną dziurę.

— Gaaaaa! Gaaaaaaaa! — zabrzmiało z obślinionych ust laleczki.

— Nie ma za co, panienko - odpowiedział Lud.

Następnego ranka obute w Gucciego stopy Tippsa zawiodły go prosto do miejskiego oddziału policji, gdzie jakieś świeżaki właśnie wymieniały się dowcipami.

- Hej, a jak kadłubek gra w kosza?

—Jak?

- Ledwo co!

- Ej, a jak pływa?

- Szybko, bo uszami!

Salwa śmiechu zamarała, kiedy na pomieszczenie padł cień Tippsa.

- Następnym koleś, który opowie dowcip o Kadłubku zostanie przeniesiony - powiedział tylko, a potem przeszedł do swojego biura.

Wpadające przez okno światło słoneczne oślepiło go. Tippsa nie interesowało to, czego szukała większość policjantów; miał to gdzieś. Nie interesowała go nawet sprawiedliwość. „To pojęcie znane jedynie zadowolonej jednostce” — zauważył. Tipps miał obsesję na punkcie filozofii. Miał czterdzieści jeden lat, nigdy się nie ożenił, nie miał żadnych przyjaciół. Nikt nie lubił jego, on też nikogo nie lubił i całkiem mu to odpowiadało. Nie znosił gliniarzy tak samo, jak nie znosił przestępców. Nienawidził czarnuchów, makaroniarzy i kitajców. Nienawidził pedofilów i wierzących. Nienawidził Boga, Szatana i ateistów, wiary i niewiary, biznesmenów i rowerzystów, homoseksualistów, lesbijek, dewiantów i abstynentów. Nie znosił Żydów, Włochów i białasów. A już zwłaszcza tych ostatnich, bo sam

urodził się biały. Nienawidził wszystkich i wszystkiego, ponieważ ten nihilizm w jakiś sposób sprawiał, że nie czuł się tak zupełnie fałszywy. Nie cierpiał fałszywych ludzi.

Uwielbiał prawdę i jej filozoficzne aspekty. Prawda, jak wierzył, mogła zostać osiągnięta jedynie poprzez samoocenę jednostki. Na przykład nie istniała prawda globalna. Nie było żadnych politycznych czy społecznych aksjomatów. Jedynie prawda jednostki przeciwko całemu światu. To dlatego Tipps został policjantem. Ponieważ dla niego prawda mogła zostać odkryta jedynie poprzez odnalezienie celu, a ten zyskiwał na wyrazistości w duchowej bliskości z ulicą. Bycie gliną zbliżało go do odnalezienia odpowiedzi.

— Cholera — zaklął przy biurku. Chciał poznać cel innych rzeczy, bo tylko w ten sposób mógł poznać swój. To dlatego tak fascynowała go sprawa Pana Kadłubka. Jeśli do prawdy można dojść wyłącznie przez kontemplację celu wszechrzeczy, to jaki cel przyświecał temu?

„Powiedz mi, Panie Kadłubku”.

Musiał być szczególny. Musiał być...

„Doskonali” — pomyślał Tipps. Pan Kadłubek robił wszystko, by go nie zidentyfikowano, więc nie był ani mordercą patologicznym, ani osobowością bipolarną. Jego m.o. było wręcz drobiazgowo identyczne za każdym razem. Pan Kadłubek nie był też nedorozwinięty, nie miał schizofrenii i nie zachowywał rytuałów ani nie cierpiał na halucynacje. Gdyby tak było, profilerzy już by to dostrzegli, technicy zresztą też. „Pan Kadłubek” - pomyślał Tipps. Jakież to cel mógł przyświecać czynkom takiego człowieka?

„Powiedz mi, Panie Kadłubku”.

Tipps musiał się dowiedzieć.

Lud zawsze organizował to tak, żeby spotkać się z nimi gdzieś gdzie mógł podjechać swoim pickupem. Stare działki, sklepy i tego typu miejsca.

- Och, dzięki Bogu. Wprost nie mogę w to uwierzyć!, paplała wyniosła damulka, kiedy Lud podał jej świeżego bachora. Dzieciak zaczął gaworzyć i bawić się perłami nowej mamusi swoimi pulchnymi pierwsza klasa paluchami. Damulka popłakała się ze szczęścia. - Richard, zapłać panu.

Lud podrapał się po kroczu, siedząc na tylnej kanapie tego wielkiego, bajeranckiego sedana, jednego z tych szpanerskich jego zdaniem wózków. Ale ten siwowłosy w garniaku spojrział na Luda krzywo. A potem, jakby się wahając i kombinując, koleś zapytał:

- Czy mógłby pan, hmmm, powiedzieć coś o matce?

„Ma tylko tułów, ty kutasie” - pomyślał Lud. I to mój fajfus ją zaciążył. Ale kto by się tym przejmował? Macie co chcieliście, nie? Jeżu czyste, d bogacze!

- Chodzi mi o to - kontynuował garniak. — Czy jest pan pewien, że taki układ jej odpowiada? To znaczy... dziecko nie Zostało porwane ani nic takiego, prawda?

- Nie ma mowy, żeby ten bachor został porwany, panie, więc nie trzeba się martwić. - A potem Lud stwierdził, że koleśowi przydałaby się powtórka z zasad. - No i zgodziliśmy się, że nikt nie zadaje pytań, prawda? Tak jak było w ogłoszeniu, wszystko poufne. A jak nie, to żaden problem. Ja zabiorę bachora z powrotem, a państwo se mogą z powrotem do agencji iść i poczekać te pięć czy sześć lat.

- Zapłać panu, Richard - powiedziała damulka głosem diabła, który miał zły dzień. Kobiety potrafiły czasami nieźle pokazać swój gniew. - Daj panu pieniądze i zabieramy nasze dziecko do domu! I to zaraz, Richard, natychmiast!

- Tak - zgodził się nowy tatulek w garniturze. - Oczywiście. - A potem podał Ludowi kopertę pełną zielonych papierków, grubą na dwadzieścia tysięcy. Lud uśmiechnął się szeroko.

- W głębi serca wiem, że wychowacie bachora na zdrowego i porządnego dzieciaka. Nie zapomnijcie tylko nauczyć go, by codziennie modlił się do Tego Na Górze i chował się zgodnie z jego wolą, słyszycie?

- Tak zrobimy — powiedział garniak. - Dziękujemy.
- Dziękuję, dziękuję! — zawołała świeżo upieczona mamusia z tą śmiesznie błogą miną i ze łzami w oczach. — Dzięki panu jesteśmy bardzo szczęśliwi.
- Nie dziękujcie mnie, tylko Temu Na Górze - rzucił Lud i wyskoczył ze szwabskiej bryki zaparkowanej w miejscu zarezerwowanym na krótkie postoje. Bo to On tak chciał. Kiedy bogacze odjechali, Lud też ruszył swoim pickupem i zaczął myśleć. Dzisiaj musi popracować. Ta chuda dupa z brązowymi włosami wczoraj mu zmarła (Lud stwierdził, że chyba do jej głowy dostały się jakieś zarazki, kiedy jej mieszał w mózgu i dlatego tak krótko żyła). Musiał sobie spreparować nową laleczkę, żeby obstawić czerwiec. No, ale najpierw to chyba, tak myślał, powinien jeszcze dać swojego fajfusa tej rudej z sierpnia, porządnie ją posunąć. W końcu Lud miał zamówienia, a nie wypada, żeby Wola Boska czekała. No i wiedział też, ze swoich ulubionych książek, że Ten Na Górze trzymał się z dala od świata odkąd Ewa położyła swe łapy na tamtym jabłku, więc chodziło też o fizjologię i dlatego Lud wiedział, że musi napełniać dziurę tej laleczki tak często, jak tylko może, żeby mieć pewność, że porządnie zaciąży.

I przynieść światu nowe życie.

Fluorescencyjne światło w kostnicy sprawiało, że Tipps był upiornie blady i mógł uchodzić za świetnie ubranego trupa. Jan Beck, szefowa techników, postawiła butelkę malinowej mrożonej herbaty na drugiej edycji analizatora do pomiaru gazów we krwi.

- Będę za minutkę — oznajmiła, dopasowując wyniki do wskazań standardowych. Tipps zastanawiał się, jak ona stosowała własne pojęcie prawdy do ogólnej oceny celu człowieka. Czy w ogóle się nad tym zastanawiała? Zawodowo badała skład mózgu, przeprowadzała autopsje kurczaków i zapewne widziała w życiu więcej flaków niż wysypisko na rybim targu. „Czym jest prawda?” - zastanawiał się.

- Koleś nosi buty w rozmiarze 11.
- To świetnie! - ucieszył się Tipps.
- Ziemia była wczoraj mokra. — Beck zaczęła gryźć końcówkę grubego pędzelka z włosiem wielbłąda. - Więc chłopcy mieli na czym pracować. - Zniechęcona zamknęła grubą czerwoną księgę z napisem Lakiery samochodowe sprzed 1980 roku. - Sprawdziłam każde źródło i nigdzie go nie ma.

- Czego nie ma? — zapytał Tipps.
- Och, zapomniałam powiedzieć. Kiedy wczoraj w nocy podjeżdżał pod wąwóz, zadrapał tylni błotnik o krawędź przepustu. Nie jest to standardowa farba samochodowa, więc nie podam ci marki i modelu. Mogę tylko powiedzieć, że ma czerwony samochód.

Tipps poczuł przyływ radości. Wreszcie mieli jakiś konkretny ślad...

Beck kontynuowała, popijając swoją herbatę.

- A te badania genetyczne, o które pan prosił? Cóż, tym razem miał pan prawdziwego farta, poruczniku. Mamy zgodność z danymi z CID. Tułów Numer Cztery ma imię. Susan H. Bilkens.

- Czemu jej dane genetyczne są przechowywane?
- Jest dziwką. No... była. Zgarnęli ją sześć razy w pięciu miastach jednego hrabstwa. W zeszłym roku złożyła skargę na swojego alfonsa, więc poproszono ją o próbki materiału genetycznego. Alfons ją trochę pociął, więc mieli nadzieję, że będzie zgodność z krwią znaną na jego ubraniach. — Beck zaśmiała się bez cienia radości. - Szkoda, że to nie przeszło w sądzie, pieprzeni sędziowie chyba całkiem powariowali. Ale przynajmniej mamy nazwisko dziewczyny i możemy ją sprawdzić.

- Susan H. Bilkens — powtórzył Tipps. Otaksował wzrokiem nagi tułów na stole sekcyjnym ze stali nierdzewnej, który był w zestawie ze zdejmowaną misą zlewową i automatyczną regulacją wysokości. Spalona twarz bardziej przypominała ekskrementy, a zaszyte cięcie w kształcie litery Y wyglądało jak makabryczny suwak.

- Wspominałaś, że jest dziwką?
- Była dziwką, zgadza się.

Kolejny śmiech.

- Teraz jest tylko martwym tułowiem. Pracowała przy barach z ziołem przy zachodniej, aż w końcu ta sprawa z alfonssem ją pogrążyła. Przez ostatni rok próbowała swoich sztuczek na postojach dla ciężarówek przy trasie.

- To... wspaniale - zaintonował Tipps.

- Sekcja wykazała to samo, co poprzednie. Wszystkie zęby ręcznie wyrwane krótko po śmierci. Bębenki przekłute, powieki sklezione klejem cyjanoakrylowym, znanym też jako Wonder Glue. Drobną raną kluta przez boczne fałdy płata czołowego.

Zrobił jej lobotomię jak pozostałym. Och, i udało mi się dopasować jej ręce i nogi z tych, które znaleźliśmy w Davidsonville - cztery miesiące temu. Gotowy na gwóźdź programu?

Tipps spojrział na nią.

- Proszę sobie to policzyć, poruczniku. Tak jak mówiłam, kończyny znaleźliśmy cztery miesiące temu.

- Słyszałem.

Beck upiła łyk herbaty.

- Kiedy umarła, była w drugim miesiącu ciąży.

„W drugim miesiącu ciąży” - powtarzał sobie, jadąc 154. nieoznakowanym radiowozem. To jakaś spektakularna... obrzydliwość. Każde kolejne odkrycie jeszcze mocniej zachęcało Tippsa do próby zrozumienia koncepcji ludzkiej prawdy wyznawanej przez Pana Kadłubka, a przez to jego empirycznego celu.

„Panie Kadłubku — pomyślał Tipps. - Złapię cię, kolego, i wszystkiego się dowiem”.

Tipps był nie tylko skrajnym nihilistą, ale też doskonałym śledczym. Na kolanach miał raport podsumowujący życie zmarłej prostytutki. Dwadzieścia pięć lat, rasa kaukaska, brązowe włosy, piwne oczy, sto sześćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu, pięćdziesiąt pięć kilogramów. Tipps zastanawiał się, ile ważyła bez rąk i nóg. Odkąd dostała czerwone światło w mieście, zaczęła pracować na zjeździe dla ciężarówek blisko granicy hrabstwa, zwanym Ogniskiem. Właśnie w takie miejsca w pierwszej kolejności uciekały wygnane prostytutki, a na całym południu hrabstwa było tylko jedno takie...

Zatrzymał się między półdężarówkami Peterbilt na końcu parkingu. W tle widać było światła niewielkiego baru, w oknach znać było jakiś niewielki ruch. Tipps zanucił sobie w myślach piosenkę, lekko zmieniając słowa: „Osiemnaście Kół i Tuzin Kadłubków”. Rozglądał się przy tym po okolicy przez małą lornetkę Bushnell 7x50, a w jej polu widzenia w kształcie znaku nieskończoności dostrzegał ludzi zapuszczonych, niedożywionych i zdesperowanych. Większość, jak się domyślał, stanowiły narkomanki, których jedynym celem życiowym było zaspokajanie aksjomatycznego i pierwotnego męskiego popędu płciowego w zamian za pieniądze na crack. Kręciły się w barze, zagadując korpulentnych kierowców ciężarówek, których silne ramiona ozdobione były tatuażami. Niektóre dziewczyny chowały się na zewnątrz, trzymając się cienia.

Tipps zaczął zastanawiać się nad nimi, tymi sex-widmami. Czy w ogóle zdawały sobie sprawę, jakie zajmują miejsce w eterycznym wszechświecie? Czy rozmyślały kiedykolwiek o egzystencjalnej różnorodności, psycho-społecznym atomizmie, tezie trójdzielnego eudemonizmu? „Czy próbują znaleźć swój cel? — pytał sam siebie Tipps. - Czy one w ogóle mają jakiś cel?”

Ni z tego, ni z owego Tipps wyprostował się. Doskonała niemiecka lornetka właśnie ukazała zdezelowanego, czerwonego pickupa, który zatrzymał się na parkingu. Widać też było długą, świeżą rysę na prawym tylnym błotniku. Lud podjechał pod Ognisko. Ubrany był jak zwykle w za duże buty o rozmiarze 11 ze stalowymi noskami i niósł torbę na czasopisma. Bo w Ognisku zaraz przy kasie leży sterta

pisemek z panienkami, a wiele wrześniowych numerów właśnie się ukazało. Lud nie wiedział, czemu na przykład te wrześniowe zawsze ukazywały się w trzecim tygodniu sierpnia, ale niewiele go to obchodziło. W przyszłym tygodniu zacznie wsadzać fajfusa w tę małą blondyneczkę z zajęczą wargą, co sobie leży wygodnie bez rąk i nóg we wrześniowym korycie. Miała całkiem fajne cyce ale dziurę tak wielką, że można by tam wsadzić golonkę. Co ci kolesie w nią wpychali, że się tak rozciągnęła - swoje pieprzone głowy? A może po prostu taka się urodziła? No ale skoro jest taka szeroka to łatwiej jej wypychać bachory. Jezusie, jest tak wielka, że mogłaby od razu urodzić całe przedszkole! A wargi przy jej cipie wyglądały jak jakieś kiełbaski czy coś. Przynajmniej się tak nie wierciła jak ta sierpniowa, której Lud miał już dosyć. Właśnie dlatego Lud kupował sobie co miesiąc nowe pisemka, żeby mógł położyć je im na brzuchach i porządnie stwardnieć, a potem dojść. A skoro czerwcową mu zmarła i musiał ją wczoraj wyrzucić, Lud musiał znaleźć sobie nową laleczkę. Dziwki zawsze trzymały się blisko Ogniska, bo pełno tu było napalonych tirowców, którzy próbowali spuścić się jakiejś panience między nogami, a w tej zapadłej dziurze i między tymi wszystkimi wielkimi maszynami Lud mógł zgarnąć laskę zanim ktokolwiek by się zdążył pokapować.

Po drodze jednak Lud zauważył leżące na cemencie gumki, całą masę gumek, i zrobiło mu się smutno. „Czy oni już całkiem nic nie kapują? Ich głowy służą już tylko jako podpórka dla czapek?” Fajfusowe mleczko nie było tylko po to, żeby było fajnie. To eliksir życia, ot co. Specjalny prezent od Tego Na Górze, żeby kolesie wkładali swoje fajfusy w cipki tak, jak On sobie to obmyślił i żeby się po takim dobrym pieprzeniu rodziły bachory. Fujara jest po to, żeby dawać życie. Wyrzucać na świat nowe dziedory, żeby żyły jak Bóg przykazał. I cholernie szkoda było Ludowi patrzeć, ile się porządnego materiału zmarnowało tylko dlatego, że komuś się zachciało pieprzenia. Faceci nie mają się spuszczać w te piekielne kondomy! Walające się dokoła gumki były jak policzek wymierzony Temu Na Górze przez ludzi, którzy wymyślili sobie, jak oszukiwać Jego wyroki. Lud pomyślał, żeby zbierać je wszystkie co noc i może wypróżniać je do jakiejś miski czy coś, a potem skombinować sobie jakiś sprzęt do nadziewania indyka, żeby mógł dawać laleczkom porządne dawki bez własnego wkładu. No niestety, to chyba nie byłby dobry pomysł, skoro tyle się tu pałęta diabelskich chorób. Tylko cholernie szkoda mu było, że tylu facetów marnuje tu swoje soki w taki parszywy sposób. To jakby wkładać kawałeczek Boga do plastikowej torebki i spuszczać Go w kiblu na jakimś zawszonym parkingu...

- Hej dziadku, za dwadzieścia docłów będę ci ssać tak mocno, że ci jaja dupskiem wyleżą.

Lud zerknął na chudzinkę, która wyszła z cienia. Większość tego typu lasek wyglądała jak chodzące worki kości, miały proste włosy i małe cyce, nie tak jak ta wrześniowa lalunia z porządnymi melonami. - Cóż, panienko, to chyba niezły interes - pochwalił Lud. - Tylko chodź ze mną do mojego wozu i będziemy sobie mogli podokazywać.

Poszli do jego pickupa i Lud wyciągnął swoją fujarę zanim tamta zdążyła schować do kieszeni darowanego jej dwudziestaka. A potem otworzyła usta i zabrała się do mokrej roboty. Lud stwierdził, że da jej chwilę possać, choć oczywiście nie zamierzał marnować porządniej dawki swojego bachorodnego eliksiru w jej gębie, ale po prostu niech chwilę popracuje, żeby miał sztywnego, kiedy będzie zajmował się sierpniową laleczką na dobranoc. Lud był za to wdzięczny. Znacznie łatwiej było się nagrzać przy lasce, która ciągle miała łapy i kopyta, o tak, miła odmiana po gaworzącym bez składu kadłubku z naoliwioną żelem dziurą. A ta chudzinka walczyła z jego pałką jak żołnierz piechoty, macając przy tym też jego jaja. Bożuniu, ależ ona potrafi ssać! - zawołał w myślach Lud. - Pracuje jak tłok, zaraz mi zedrze całą skórę!” A potem przestała i zadzierając trochę nosa powiedziała:

- Hej dziadku, już trochę to trwa. Dochodzisz?

. - No panienko, trza uzbroić się w cierpliwość. Staruszek czasami potrzebuje chwili

więcej, żeby sobie ulżyć.

Chwilę jeszcze ssała, mocniej i szybciej pracując ręką nad jego workiem, jakby próbowała wydoić krowę. Siorbała i lizała, robiąc przy jego mięsie więcej hałasu niż dwa spore wieprzki walczące o koryto, ale zaraz przerwała i zaczęła psioczyć:

- No dalej, dziadku. Pośpiesz się, okej? Nie mamy całej noc\$ muszę kończyć.

- To, co musisz zrobić, panienko - poprawił ją Lud uprzejmiem - to zejść ze złej drogi i zacząć robić to, co w oczach Boga powinny robić kobiety, czyli rodzić bachory i przedłużać gatunek Mówię tu, panienko, o celu tego całego bałaganu, który nazywamy życiem - i w tym samym momencie z głośnym plaśnięciem wymierzył jej w łepetynę pustą butelką po piwie i zgasił jej światła w mózgownicy. Pchnął ją pod siedzenie i wyjechał z parkingu z fajfusem na wierzchu, nadal sterczącym i gorącym po tym ssaniu pierwsza klasa, które mu zaserwowała i po którym aż szkoda mu będzie zrobić to, co musi.

Robi to w ten sposób, że bierze je na dół i każe im zjeść całą miche tuczonych ziemniaków z uspokajaczem dla koni, żeby zasnęły snem długim i głębokim. Potem zakleja im oczy i przekłwa bębenki i jeszcze robi dziurę w czaszce przebijakiem, żeby już nic nie ogarniały i się nie męczyły. Potem odrąbuje im ręce i nogi toporkiem z dwoma ostrzami, a do tego oczywiście obwiązuje ciasno każdą kończynę mocnym sznurem, żeby się lalunie nie wykrwawiły na śmierć, kiedy już zostaną bez rąk i nóg.

I to właśnie zrobił Lud, jak wrócił z tą laleczką od ssania, którą zabrał z Ogniska. Za każdym razem szło mu sprawniej, teraz stary Lud mógł odciąć lasce ręce i nogi tak elegancko, że bardziej się nie da, oczywiście o ile trzymanie żyjących kadłubków w piwnicy jest w ogóle eleganckie. Rany goją się pięknie w kilka tygodni i potem może już zaczynać je nadziewać. Ta tutaj, jak już ją rozebrał, okazała się mieć całkiem niezłe baloniki i fajniutką, sporą kępkę włosów na swojej dziurze, a nawet miała cieniutką linię włosów od cipy po pępek, a Lud zawsze uważał, że to słodkie. Lud jednak niekoniecznie lubił tatuaże - mnóstwo tych lasek miało tatuaże — a ta tutaj miała nad prawym cyckiem głupie serduszko, chyba przebite nożem. Lud myślał, że to naprawdę szkoda, że te laski w ogóle nie szanowały swojego ciała i tak je niszczyły, bo dla Luda, tak jak było napisane w książkach, dało jest świątynią Tego Na Górze i oszpecanie go takimi głupimi tatużami to jak wyrzucanie śmieci w kościele, wypisywanie na ścianach przekleństw i rzucanie kamieniami w witraże albo coś. Ale to już nieważne, przynajmniej dla tej chudzinki z brązowymi włosami, bo teraz zacznie naprawdę kroczyć ścieżką Pana. Lud poczeka, aż się rozgości w korycie z czerwca, a w międzyczasie zabandażował jej rany, żeby się nie zaczęły paskudzić. Potem zebrał jej ręce i nogi z podłogi, wziął na górę i wrzucił na tył pickupa, żeby je później wywieźć, jak już wypali kwasem rtęciowym dłonie i stopy. Wszedł na schody, kłapiąc za dużymi butami kłap, kłap, kłap, ale zatrzymał się na najwyższym stopniu, bo zobaczył jakiegoś kolesia w wymyślnym gamiaku, który czekał na niego z jakąś gównianą giwerą, kierując ją prosto w twarz Luda...

- Przekłęte diabelstwa! - wrzasnął staruszek w ogrodniczkach. Zatrzymał się na ostatnim stopniu, trzymając w rękach...

„Kończyny - zdał sobie sprawę Tipps. — Niesie odcięte kończyny”.

. - Nie ruszaj się. — Tipps wpatrywał się w pomarszczonego mężczyznę zupełnie zaskoczony. Utrzymał jego głowę na muszce swojego Glocka 17, którego magazynek pełen był 9. milimetrowych remingtonów. W jego głowie zdawały się właśnie dokonywać niezbadane kalkulacje. - A teraz — powiedział Tipps. — Rzuć kończyny.

Staruszek skrzywił się i upuścił ciężący mu ładunek. Dwie pary kończyn uderzyły głośno o podłogę.

- Usiądź na krześle obok komody. Trzymaj ręce na kolanach. Jeden fałszywy ruch i odstrzelę ci pieprzony łeb, jak Boga Kocham.

Mrużąc oczy, starzec usiadł na zabytkowym fotelu ratanowym, który zaskrzypiał pod

jego ciężarem.

- Nie trzeba przeklinać, synu, ani wzywać imienia Pana nadaremno.

Tipps nadal w niego celował.

- Ty jesteś tym... Panem Kadłubkiem.

- Tak sobie umyślili mnie nazwać? - wyrzucił z siebie Pan Kadłubek. - Najgłupsza przekłeta ksywka, jaką słyszałem.

Ale odczucia Tippsa zmieniały się jak w kalejdoskopie: najpierw był zaskoczony, potem ogarnęła go fala triumfu, a na koniec przyszło samozadowolenie. „Mam go - pomyślał. Złapałem Pana Kadłubka”.

- Jesteś przeklętym gliną, prawda? - zapytał Lud. - Jakżeś mnie znalazł, synu? Gadaj.

- Jechałem za tobą od parkingu dla ciężarówek

Lud mógł wałnąć się prosto w pusty czerep. „Właśnie zrobiłem z siebie kompletnego, zidiociałego kretyna!” Zaprowadził tego wyeleganconego psiura w garniaku od Gucciego prosto do domu! Jeżuniu, kiedy ostatni raz byłem w kiblu musiałem wysrać własny mózg!”

Ale, oczywiście...

Lud wierzył w opatrność. Wierzył we wszystko, co wypatrzył w książkach, a wyroki Tego Na Górze były faktycznie niezbadane. To opatrność, Lud umyślił, że ten glina kazał mu usiąść na fotelu zaraz obok kredensu jego martwej mamuni. A Lud wiedział dobrze, że w najwyższej szufladzie leży rewolwer starego...

Tipps nie mógł utrzymać wzroku w jednym miejscu. To jak sen na jawie: Jestem w domu Pana Kadłubka!”

- Chcę wiedzieć, co robiłeś.

- O co ci chodzi, synu?

- O co mi chodzi? - Tipps miał ochotę się roześmiać. - Chcę wiedzieć, dlaczego w ciągu ostatnich trzech lat odciąłeś kończyny szesnastu kobietom, to właśnie chcę wiedzieć. Utrzymujesz je przy życiu, prawda?

Biała czupryna Pana Kadłubka była w nieładzie, a z brody sterczały białe, niedogolone włosy.

- Utrzymuję co przy życiu?

- Dziewczyny! Ich... tułowia! - wrzasnął Tipps. - Moi technicy mówili, że tułów, który porzuciłeś zeszłej nocy zmarł w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, ty pieprzony dupku! Dopasowaliśmy jej ciało do kończyn, które znaleźliśmy cztery miesiące temu, a ona była w drugim miesiącu ciąży! Zapładniasz je, prawda? Powiedz mi, czemu, Chryste Panie!

Pan Kadłubek przymknął oczy.

-Ach, synu, czy mógłbyś przestać wymawiać imię Pana nadaremno? No już, starczy.

Tipps zrobił krok do przodu, poprawiając ustawienie swojego Glocka. Ale w tym samym momencie jego rozbiegany wzrok spoczął na rzędki stojących na komodzie książek. „Co do... cholery?” Wiele z tych tytułów rozpoznawał, wiele sam posiadał. Najważniejsze prace napisane przez największe tuzy w historii myśli filozoficznej. Sartre, Kant, Sofokles i Hegel. Platon, Heidegger i Jaspers. Św. Tomasz z Akwinu, Kierkegaard...

- Ty... H zawahał się Tipps. - Czytasz... ich?

- Jasne - przyznał Pan Kadłubek. — Bo co, bo jak noszę ogrodniczki i mieszkam w zapadłej dziurze to wszyscy myślicie, że jestem jakimś głupolem, co nie wie nic o znaczeniu życia? Powiem ci coś, synku. Żaden ze mnie perwers, jak pewnie sobie myślicie. Ani psychopata.

- Kim w takim razie jesteś? - zapytał ostro Tipps.

Pan Kadłubek spokojnie kontynuował:

- Umyśliłem sobie, że jestem dostawcą. Dostarczam uprzedmiotowioną dynamikę międzyludzką. Idealizm dobrowolny, tak to nazywają, synku. Widzisz, absolutyzm to siła irracjonalna, o ile nie zastosujesz jej w mechanizmach wartości powszedniej, jako

przeciwwagi dla zgubnej poprawności doktryny nihilistycznej. Mam na myśli to, synku, że jako jednostki z tego samego uniwersum musimy poddawać się dualizmowi metafizycznemu i koniecznie zdawać sobie sprawę, że widzimy byty transcendentalne i zająć się rzeczywistymi aktami, synu, żeby nasze byty przetworzyć na funkcyjną dawkę subiektywnej wartości w imię Tego Na Górze, rozumiesz? Nie jestem psychopatą. Jestem narzędziem, sprawcą fundamentalnego celu człowieka według Kierkegaarda.

Tipps patrzył na niego, jakby właśnie wypił duszkiem dwusetkę Johnny'ego Blacka. „Ja pieprzę! — pomyślał. - Pan Kadłubek. .. to teologiczno-chrześcijański fenomenalista!”

— To się nazywa branie spraw we własne ręce, rozumiesz? Tak jak z tymi laluniami, żyjącymi w nihilistycznej otchłani duchowej bezmyślności. A ja daję im cel, którego nigdy by same nie odnalazły. Ratuje je przed ludzkim absolutyzmem, synu. No wiesz, żeby nie zmarnowały swojego potencjału jako wartościowe jednostki. Inaczej tylko by dostawały AIDS, zarażały opryszczką, usuwały ciążę, ćpały i pewnie skończyły pobite na śmierć. Ale wszystkie siły świata są cykliczne - jak ten, no wiesz, jeden byt pożerający drugi aż do absolutu. Jasne, sprzedaję bachory, ale tylko tym, którzy nie mogą mieć swoich. A kasę, której nie potrzebuję dla laleczek, oddaję biednym.

Tipps był oszołomiony, nie mógł się ruszyć. Zaskoczenie sprawiło, że opuścił nieznacznie rękę, w której trzymał Glocka...

-To wszystko ma cel, synu. Ostateczny cel człowieka.

„Cel” - pomyślał Tipps...

...i w tym momencie but w rozmiarze u z podbitym stałą czubem uderzył go prosto w krocze. Upadł na podłogę; ból go rozsadał. Zamglonym wzrokiem dojrzał, że Pan Kadłubek wstał i zaczął przeszukiwać szuflady komody.

— Niech to! Gdzie ten główniany rewolwer!

Tipps uniósł drżące ramię i wymierzył swoją broń. Udało mu się nacisnąć dwukrotnie spust - i jakimś cudem 9- milimetrowe pociski trafiły Pana Kadłubka między nogi, od tyłu...

- Jezu Chryste! Matko Boska! - zawołał żałośnie starzec upadając i próbując zatrzymać upływ krwi z krocza. - Ty przeklęty nihilistyczny psie! Odstrzeliłeś mi jaja!

Tipps, nadal zwijając się z bólu, powłókł się, by dokończyć to, co zaczął. Ledwo mógł oddychać. Ale kiedy uniósł broń.... „Codo...”

... zgrabiała ręka jego oponenta ruszyła do przodu i odepchnęła broń, a w tym samym momencie nad głową Tipps dostrzegł ruch.

I wtedy usłyszał obrzydliwe kaKRACH!

Świat przed oczami Tippsa zgasł, jakby zabrakło nagle prądu.

•••

- Założę się, że masz teraz kaca jakbyś się wczoraj nawalił jak tankowiec, co? — Śmiech. Ruch. - No nieźle cię ten rewolwer grzmotnął w czaszkę, co? Od razu cię zbiło z nóg, oj tak.

Kiedy Tipps się obudził, poczuł się jakby pływał w powietrzu...

- Już się podjarałem, żeby cię kropnąć, ale zacząłem kombinować.

Po swojej prawej i lewej stronie Tipps dostrzegł długi rząd czegoś, co przypominało otwarte metalowe koryta na palach. Wszystkich było dwanaście, a każda miała przyklejony kawałek taśmy z nazwą miesiąca. Tipps poczuł, jak rośnie mu gula w gardle...

W każdym korycie leżał tułów.

- Przywitaj się z moimi laleczkami, glino.

Leżały nagie, po jednej na koryto, pociły się w piwnicznym upale, a w świetle jarzeniówki wyglądały mizernie i blado. W odciętych końcach koryt widać było zablźnione kikuty po odciętych nogach. Tipps, ku swojemu niezadowoleniu, zauważył, że każdy kolejny tułów był w bardziej zaawansowanej ciąży od poprzedniego: brzuchy tych późniejszych były tak spuchnięte, jakby za chwilę miały pęknąć, ich blada skóra rozciągnięta była ciasno na dojrzewających w środku ludzkich pakunkach. Mięsiste pępki wypchnięte na wierzch. Piersi

ciężkie od matczyne go mleka.

Tuż przed nim leżał kadłubek ze zmatowiałymi, rudymi włosami. Zwiotczała twarz z zaklejonymi oczami krzywiła się, a głowa zwisała luźno.

- Gaaaa! - powiedziała. — Gaaaaa!

- A to moja wrześniowa laleczka - przedstawił ją Pan Kadłubek. Stał obok Tippsa. - Pieprzyłem ją codziennie od początku miesiąca, żeby ją porządnie zaciążyć.

- Gaaa! Gaaaaa! - powtórzyła.

- Prawdziwa gaduła, nie? Bełkocze tak, bo jej zrobiłem dziurę w czaszce, wiesz, namieszałem jej w mózgu, żeby nie przejmowała się i nie zastanawiała ani nic. To byłoby nie fair, gdyby w takim stanie mogły używać zmysłów. Dlatego zakleiliśmy im też oczy i przekłułem bębenki w uszach. Ale nie martw się, bo części potrzebne do dziecioróbstwa pracują świetnie.

Teraz Tipps zrozumiał to dziwne poczucie dryfowania. Wzrok mu się wyklarował i cztery drżące spojrzenia pozwoliły mu odkryć, że został pozbawiony wszystkich kończyn. Jego tułów wisiał nad korytem na uprzęży zawieszonych na haku. Jedenaście takich haków zawieszono na suficie nad każdym z kadłubków.

- Och, z twoimi oczami i uszami nic nie będę kombinował - obiecał Pan Kadłubek. - Nie dostaniesz też lobotomii. Widzisz, facet musi widzieć i słyszeć, żeby się podjarać, więc w mózgu też d nie będę mieszał, tak jak laleczkom. Nie możesz sobie postawić małego, jak masz pokreślony mózg, prawda?

Z piersi Tippsa wydostał się głęboki jęk. Policjant zaczął się lekko kołysać.

- To opatrność, synu. Jasne, odstrzeliłeś mi jaja, ale widzisz, jestem już stary i ciężko mi już było postawić fujarę, a czasem to nie mógłbym się spuścić nawet jakby od tego zależało moje życie.

- Co powiedziałaś o opatrności? - wyszeptał Tipps ochrypłym i przepelnionym smutkiem szeptem.

- To jest opatrność, synu. Ja, ty, laleczki i wszystko tutaj. To dzieło Boże, wiesz, i myślę, że dlatego cię tutaj przysłał, żebyś je kontynuował. Żebyś pomógł utrzymać ten cykl, jak chce opatrność. Rozumiesz?

Umysł Tippsa zaczął pracować na przyśpieszonych obrotach. Trzymająca go w powietrzu uprzęż nadal leciutko się kołysała. Zauważył, że jego kikuty są na tym samym poziomie, co otoczona bliznami wagina rudej.

- Nie ma sensu żyć, jeśli nie zrozumiemy, jaki mamy cel...

Tipps znowu jęknął, huśtając się. Słowo to, kiedyś tak dla niego istotne, teraz stało się jego przekleństwem. A jednak, mimo wszystkiego co mu zrobiono, a nawet wbrew temu, jak zapewne przyjdzie mu spędzić resztę życia, pomyślał - „Sam o niego prosiłeś, Tipps, a teraz go masz. Twój cel”.

- Nie przejmuj się nic. Po to tu jestem, synu, żeby d pomóc - powiedział Pan Kadłubek, otworzył najnowszy numer pisemka na rozkładówce i ostrożnie umieścił na brzuchu rudej.

Przetłumaczyła Agnieszka Brodzik

Rob Kayman (ur. 1972) - autor wychowany na prozie Edwarda Lee, Jamsa Herberta i Grahama Mastertona. Píše ostro, w swoich utworach łącząc elementy klasycznego horroru z komedią, a całość polewa sosem z groteski i absurdu. Autor pracuje obecnie nad debiutancką powieścią. Wszyscy nieświęci to jego najnowsze opowiadanie.

WSZYSCY NIEŚWIĘCI

Stefan siedział beczynnie i dumał. Nad sobą, nad swoim losem. Wszystko wydawało mu się do dupy, a najbardziej on sam. Był beznadziejny. Czego się nie chwycił, spierdolił. Siły, by zrobić ze sobą cokolwiek, zaczęły go opuszczać już jakiś czas temu, ale dziś to był jakiś dramat. Nie chciało mu się nawet podnieść. Musiał się napić, był głodny, ale nie zamierzał iść do kuchni. Raz, że na samą myśl o wędrówce w tak odległą część mieszkania dostawał drgawek, a dwa, że jego lodówka świeciła pustkami. Nie miał nawet ochoty iść do łazienki, choć potrzeba wysikania się była coraz większa. Jego pęcherz zdawał się migotać, dzwonić, wyć i wrzeszczeć na przemian. »Muszę» - powtarzał w duchu. Muszę się odlać. I przydałoby się wreszcie umyć. Wali mi z pyska jak z kibla, a moje gacie to z przodu sernik, z tyłu piernik.

Westchnął, całkiem zrezygnowany.

Widok za oknem był przygnębiający. Srebrna kopuła kościoła, pokryte papą dachy przedwojennych kamienic, czubki dwóch rosnących jedno przy drugim drzew. Stefan lubił na nie spoglądać, choć nie słyszał, jak szumią. Brzozy. Takie smukłe, piękne, wysokie. Często, patrząc na nie wsłuchiwał się w bicie dzwonów kościelnych i wyobrażał sobie, że to drzewa biją na alarm.

Ostatnie dwie brzozy w okolicy Czasami, gdy na nie patrzył, czuł w sobie spokój, który pozwalał mu skoncentrować się na pomyśle, na jaki wpadł parę miesięcy temu. Pomyśle na książkę, której nawet nie zaczął jeszcze pisać.

Docelowo miała to być powieść. O starcu, który podróżuje koleją. Nie miał jeszcze tytułu, ale nie przejmował się tym. Bardziej dręczyła go niemoc. I ta beczynność, w jaką popadł. Wszystko sprowadzało się do jednego. Do siedzenia przy biurku, przygnębiającego widoku za oknem i konieczności oddania moczu kilka razy dziennie. Cholerne potrzeby. Uniemożliwiały myślenie. Nie pamiętał, co i kiedy ostatnio jadł. Jakąś kanapkę z serem, ostatniego wieczoru. A może to już noc była?

Kartka papieru była czysta, choć we łbie myśli były się ze sobą jak na jakiejś cholernej wojnie. Krwawej, pełnej poświęceń, gdzie widok oderwanej ręki kolegi przelatującej przed twarzą nie robi żadnego wrażenia. Za dużo myślę, powtarzał sobie w duchu Stefan, po czym myślał dalej. Czasami mrugał gwałtownie oczami, potrząsał głową, zaciskał szczęki, przeczesywał dłonią włosy, pstrykał palcami, a wszystko to, aby odgonić niechciane myśli, które całkiem go rozpraszały.

Coś jest ze mną nie tak. Albo zaczynam wariować, albo zostałem opętany. Ale czy to możliwe? Czy to możliwe, aby tak objawiało się szaleństwo? A opętanie? De facto, Stefan nie mógł wiedzieć, co znaczy oszaleć. Nie miał też pojęcia, co dzieje się z ludźmi, których dotykają złe moce. Mimo to jednak czuł, że coś jest z nim nie tak. I miał rację.

•••

Janek zastanawiał się, dlaczego odeszła. Nic nie wskazywało na to, że coś się między nimi popsuje. W sumie, gdyby się głębiej zastanowić można by dojść do wniosku, że nic się nie popsuło, ale i tak wczoraj bez słowa spakowała się, powiedziała, że to koniec i odeszła. Ot, po prostu. Odeszła i tyle ją widział. Początkowo myślał, że to tylko jakieś chwilowe załamanie, może zdechł jej królik, a może... sam nie wiedział co. Ale nie, ona wybiegła i do teraz nie wróciła. On zaś ledwie, co trzymał się na nogach. Nie miał nawet siły zadzwonić do niej i zapytać, o co chodzi, dlaczego odeszła, poprosić, by wróciła, bo chciałby porozmawiać, usłyszeć jakieś wyjaśnienia.

Miał to gdzieś. Siedział zamknięty w swoim gabinecie i gapił się w monitor komputera. Dziwnie się czuł. Jak ktoś całkiem obcy w miejscu, które go nie chciało. Jemu zaś nie chciało się nawet ruszyć i wyjść na zewnątrz. O tej godzinie zwykle schodził na dół, do małej

cukierni i kupował ciastko francuskie, zamieniał kilka słów z cycatą sprzedawczynią, którą z dnia na dzień miał coraz większą ochotę przelecieć, po czym wracał do gabinetu. Do roboty, której nie znosił, a szefowi najchętniej wbiłby w dupę rzeźnicki hak. Niech zdycha w męczarniach, skurwysyn jebany, a mogiła niech mu chujami obrośnie.

Dlaczego od niego odeszła? Zadawał sobie to pytanie nieustannie. Co jakiś czas wyglądał przez okno, mając nadzieję, że ujrzy ją opartą o maskę samochodu, czekającą na niego. Ale nie było jej. Sznur samochodów poruszał się leniwie w stronę głównej ulicy, gdzieś w oddali dzwoniły tramwaje i wyły syreny karetek pogotowia. Czasami nie sposób było powiedzieć, czy doszło do jakiegoś wypadku na drodze, czy może niskie ciśnienie nie służyło najstarszym mieszkańcom miasta.

I co miał teraz zrobić? Jak będzie bez niej żył? Dopiero co się do niego wprowadziła i już poszła w długą. Co ją skłoniło do takiej decyzji? Nie chciała z nim nawet rozmawiać. Może zajrzała do jego komputera i zobaczyła, jakie miał hobby?

Potrząsnął głową. „Nie będę o tym myślał” — rzekł w duchu.

Wiedział doskonale, co robi, gdy wróci do domu. Będzie się onanizował. Znalazł ostatnio naprawdę mocarną stronę. Panienki dawały dzikim zwierzętom. Wypinały się rysiom, lampartom, a nawet tygrysom. To było coś! Przez pewien czas sądził, że to fotomontaż, ale potem doszedł do wniosku, że chyba jednak nie. Zdjęcia były autentyczne w jego mniemaniu, nawet jeśli nie było na to stuprocentowej pewności. A pomyśleć, że nie tak dawno żartował z kumplem pracującym w księgarni, że największym hitem zbliżającego się lata z pewnością byłaby książka pod tytułem Jak bezpiecznie uprawiać seks z wielkimi drapieżnymi zwierzętami. Kolega tylko żartował, ale on cały się napalił, aż mu fiut stanął i musiał pójść do kibla sobie ulżyć. A teraz... A teraz dane mu było podziwiać zdjęcia, o których wcześniej mógł tylko pomarzyć, a których istnienia nawet się nie spodziewał.

Na jednym z nich jakiś koleś pakował w tyłek hipopotamowi. To była dopiero jazda! Ale spuszczać się zwykł na fotografii z dziewczyną, na oko piętnastoletnią, która dosiadała goryla. Masakra. Czasami zastanawiał się, czy to dziecko rzeczywiście miało orgazm w trakcie stosunku z tą czarną bestią. Na podstawie zdjęć wnosił, że tak. Chętnie by ją bryknął. Mimo, iż była młodzietka, miała całkiem duże piersi i piękną pupę.

Jak ta sprzedawczyni z cukierni na dole. Gdy o niej myślał, kuśka aż mu podskakiwała z radości. Jakoś nadal nie miał ochoty na ciastko francuskie, ale mimo to wyłączył monitor i wstał. Teraz, gdy znowu był singlem, mógł sobie pofolgować.

Był ciekawy, czy ta mała słodka cukierczka lubi ostrą jazdę.

Teresa westchnęła. Nie mogła się doczekać powrotu do domu. Była zmęczona i sprasowana psychicznie. Każdego dnia borykała się z identycznymi myślami dotyczącymi swojej przyszłości. Przygnębiająca perspektywa spędzenia reszty życia za ladą była jak robal karmiący się mózgiem. Teresa miała wrażenie, że z jej mózgu wkrótce niewiele zostanie.

W cukierni było gorąco i duszno. Nie działała klimatyzacja, a maleńki wentylator, jaki otrzymała od szefa w ramach premii za niezły obrót w pierwszym kwartale roku, nadawał się na śmietnik. Nie dość, że nie dawał jakże pożądanego przez Teresę chłodu, to jeszcze hałasował jak kosiarka do trawy. I pewnie w takiej roli sprawdziłby się znacznie lepiej.

Klienci tego dnia byli wyjątkowo uciążliwi. Najpierw przyszła pani po pięćdziesiątce w wełnianej czapce na głowie i poskarżyła się, że zakupione przez nią ostatnio ptysie smakowały jak stare skarpety. Teresa zapytała klientkę, może nieco zgryźliwie, ale nie potrafiła się pohamować, czy tej często zdarza się spożywać stare skarpety. Doszło do kłótni, która zakończyła się tym, że kobieta zdjęła czapkę i rzuciła ją na ladę, a potem nakazała Teresie wypełnić ją świeżymi ptysiami. Na koszt firmy.

Wariatka.

Następnie zawitał do cukierni młody facet z przewieszonym przez ramię jaszczurem. Legwan to był albo waran, co za różnica. Był wielki na półtora metra i gapił się na Teresę

tępy wrokiem, jakby miał ochotę połknąć ją w całości. „Nie dałby rady” - pomyślała w pewnej chwili. Ale na trzy razy mógłby mnie wziąć bez problemu.

Facet kupił dwadzieścia cztery pączki z ajerkoniakiem i dwadzieścia dziewięć rozków, zapłacił pięćdziesiątówkami, a przy wyjściu kazał swojemu oślizgłemu pupilowi pożegnać się z Teresą.

Kolejny wariat.

Potem przyszła fryzjerka, która poinformowała Teresę, że rozdwiają jej się włosy, a później młoda dziewczyna, która co chwilę zapuszczała żurawia w jej dekolcie.

- Ma pani duże piersi - oznajmiła w końcu. — Chciałabym mieć takie. A sutki ma pani czerwone czy wiśniowe?

Dzień świrów.

Teresa myślała tylko o jednym - by wreszcie wyjść i zrobić coś, co by ją odprężyło. Facet by ją odprężył, ale aktualnie żadnego nie miała. Szkoda. Pokochałaby się bez opamiętania. Zrelaksowała. Mogłaby nawet zrobić głębokie gardło, czego w sumie nie lubiła, ale jeśli nie miałby dużego, a obiecałby jej dobrą minetę...

Ach, szkoda, że nie miała chłopaka.

I wtedy wszedł on.

Zaglądał do cukierni niemal codziennie, kupował ciastka francuskie, czasami pączki. Był miły i obserwował ją, jakby miał ochotę ją zjeść. I nie był waranem ani legwanem.

Był nawet przystojny. Nie za wysoki, nie za gruby, nie za chudy. Czasem zamieniali kilka słów. Pracował w biurze. Nie lubił swojej pracy, a jeszcze bardziej nie lubił swojego szefa. Nigdy się nie przedstawił, ale mógł mieć na imię Karol. Całkiem możliwe, że naprawdę tak ma na imię, pomyślała, gdy uśmiechnął się do niej na powitanie.

Karol. Spotykała się kiedyś z takim jednym Karolem. Lał ją bez opamiętania, a najbardziej podniecało go, kiedy aplikowała sobie do odbytu płonąca świeczkę. Odpalał sobie od niej papierosa.

Może to jednak Wacek. Albo Norbert. Albo Jan Sebastian.

- Ależ tu parno — oznajmił. - Jak znosisz te upały?

- Kiepsko — odparła z nadzieją na przyjemny wieczór. - A ty?

Wzruszył ramionami.

- Lubię upały.

- Naprawdę?

- Jasne. Chciałabys wyskoczyć po pracy na zimnego drinka?

Janek czuł się tak, jakby złapał Boga za jaja. Albo Maryję zawsze dziewicę za waginę.

Wrócił do biura w wyjątkowo dobrym humorze, podśpiewując pod nosem stary kawałek Deep Purple. Zasiadł przed komputerem, po czym włączył radio. Nadawali wiadomości. Ponoć kilka kilometrów za Bydgoszczą wykoleił się pociąg. Trzy osoby zginęły, trzydzieści osiem zostało rannych. Nie podano konkretnej informacji odnośnie tego, z jakiej przyczyny pociąg wyskoczył z szyn ani czy najpierw wykoleiła się lokomotywa, czy może któryś z wagonów. Janek słuchał monotonnego głosu spikera, ale po rozmowie ze sprzedawczynią w cukierni nie było możliwości, by przejął się jakimś tam wypadkiem. Słuchał dalej wiadomości, choć myślami był gdzie indziej.

Miała na imię Teresa. Jak jego matka, ale postanowił nie zwracać na to uwagi. Gdy będzie ją dmuchał, pomyśli o czymś znacznie przyjemniejszym.

Był ciekawy, czy miała jakieś zwierzę domowe. Gdyby tak okazało się, że ma psa albo kota, marzył. I gdyby... To by dopiero było!

Głos spikera nieco rozproszył jego myśli:

Około dwieście świń było w tirze, który w poniedziałek wpadł do rowu na drodze wojewódzkiej numer trzysta sześćdziesiąt cztery (Legnica-Złotoryja) w okolicach miejscowości Wilczyce. Część zwierząt zginęła na miejscu,, wiele jest rannych, a reszta

rozbiegła się po okolicy. Droga jest tam zablokowana. Jak powiedział rzecznik prasowy Komendy Miejskiej Policji w Legnicy, Radosław Gronostajowicz, obecnie nie wiadomo ile świń zginęło w wyniku wypadku. - Wiele zwierząt jest rannych, na miejscu są weterynarze, którzy zdecydują co zrobić z rannymi zwierzętami —powiedział policjant.

„Ależ jatka!” - pomyślał Janek. Ile by dałby znaleźć się na miejscu zdarzenia - może udałoby mu się doprowadzić, chociaż jedną świnię!

Wątpił, by Teresa preferowała taki hardcore, w jakim on się lubował, ale pewności nie mieli. A nuż, widelec babka lubi naprawdę ostrą jazdę. Wkrótce się przekonamy, mruknął pod nosem. Żałował, że nie zapytał ją, czy ma jakieś zwierzęta. Wystarczyłoby, aby pupil był w pokoju, choćby pod łóżkiem. Sama obecność futrzaka nieźle by go podjarała. A może dałoby się z kobietą ugrać coś więcej, nigdy nie wiadomo. Wyglądała na nieźle napaloną.

Potańczał wilgotne od potu dłonie, następnie wyłączył radio. Oparł się w fotelu i wyprostował nogi. Westchnął. Czekał go piękny wieczór.

Terasa zamknęła cukiernię, po czym wróciła na zaplecze, aby posprzątać. Tańczyła przy miotle jak rasowa sucz, a wszystko to z powodu doskonałego humoru.

Janek dosłownie spadł jej z nieba! Trafił w dziesiątkę ze swoją propozycją wypadu na drinka. „Zobaczmy - pomyślała Teresa - jeśli będzie w naprawdę dużej potrzebie, postaram się go zadowolić najlepiej, jak potrafię”.

Zachichotała pod nosem, zamiatając w iście ekspresowym tempie. Gdy skończyła, umyła szklankę po kawie i talerzyk po ciastku z truskawkami - jedynym posiłku, który tego dnia spożyła.

Ależ sobie pofolguję. Zaszaleję jak za dawnych czasów. Na samą myśl o tym, co będzie wyprawiać z Jankiem przeszył ją przyjemny dreszcz, a w majtkach zrobiło jej się mokro. Zastanawiała się przez chwilę, czy się nie podmyć. Rano, po kilkuminutowej masturbacji, wskoczyła pod prysznic, ale teraz znowu czuła się brudna. Spojrzała na zegarek. Za piętnaście minut miał zjawić się pod cukiernią. Zdążyłaby się podmyć. Zamiast tego jednak wyszczerzyła zęby przed wiszącym w kuchni lustrem, a następnie dokładnie obejrzała twarz, próbując doszukać się wroga numer jeden - białego syfa, gotowego trysnąć w każdej chwili. Na szczęście nie dojrzała żadnego. „To dobry znak” - pomyślała, uśmiechając się lekko do swego odbicia. Podobała się sobie, choć miała świadomość, że jedynym elementem jej wyglądu, który wyróżniał ją z tłumu, były duże, pięknie ukształtowane piersi. Były doskonałe i każdy jej ich zazdrościł. Natomiast zarówno figura, jak i twarz były przeciętne. Ani brzydkie, ani ładne. Zadowalało ją to. Kiedy chciała zwrócić na siebie uwagę, wystarczyło, żeby ubierając się zrezygnowała ze stanika.

Cmoknęła ustami, po raz ostatni wyszczerzyła zęby, chcąc upewnić się, że są absolutnie czyste, po czym sięgnęła po torebkę i ruszyła do wyjścia.

Stefan jęknął i podrapał się po głowie. Miał przetłuszczone

- Kurwa - stęknął, zrezygnowany. Nie dość, że chciało mu się lać, to jeszcze kret go przycisnął. Czy mogło być gorzej?

Wstał i poczłapał do kibla. Podniósł klapę, usiadł na desce. Wysrał się, a dopiero potem wysikał, co było samo w sobie dziwne. Zwykle najpierw leciało z fujary, a dopiero potem z czekoladowych ust. Czyżby zaczynała mu doskwierać prostata? Przez chwilę się nad tym zastanawiał. Doszedł do wniosku, że powinien pójść do urologa. Tylko kiedy? Najpierw musiałby się zarejestrować. „Może jutro” - pomyślał. Albo pojutrze. Nie, pojutrze nie, bo jest sobota. To w poniedziałek.

Będą mu grzebać w gaciach. Niech to. Żeby jeszcze jakaś przyzwoicie wyglądająca pani doktor. Najlepiej taka o małych, chłodnych, delikatnych dłoniach. Nie starsza niż lekko po trzydziestce. Byłe doktorkiem nie okazał się siedemdziesięcioletni facet z pomarszczonymi, zgrabiałymi łapami cuchnącymi jajami wcześniej badanych pacjentów. Stefan chyba dostałby szału. Mógłby narobić bałaganu. Jeszcze się zastanowi, czy pójdzie do

Zasiadł z powrotem przy biurku i zaczął gapić się na srebrną kopułę kościoła. Czasami zadawał sobie pytanie, czy ona rzeczywiście jest zrobiona ze srebra. Pewnie nie. Chociaż nigdy nie wiadomo. Co jak co, ale kościół to akurat kasę potrafi robić na byle czym, domniemywał, więc pewnie stać ich na srebrne kopuły kościołów. Mniejsza z tym. Nagle coś przykuło jego uwagę. Coś, co mignęło mu w oknie kamienicy stojącej przy kościele. Raczej ktoś. Bo to kobieta była. Z największymi cyckami, jakie Stefan w życiu widział. W pierwszej chwili nie był pewien, czy mu się przypadkiem nie przywidziało. Miewał już różne omamy wzrokowe, zwłaszcza wtedy, gdy za dużo wypił albo nawdychał się jakiegoś gówna pokroju butapremu.

Zobaczył ją ponownie. Jednak to była goła babka. Aż wstał i wychylił łeb za okno, by być bliżej tego cudownego widoku.

Okno w jej pokoju na ostatnim piętrze kamienicy było otwarte, a ona bez jakichkolwiek skrupułów, czy też obaw, że zostanie zauważona, krążyła z jednego końca pomieszczenia na drugi, jakby szukała cyckonosza. Jej piersi na przemian podskakiwały, kołysały się, uderzały o siebie, a Stefan wyobrażał sobie dźwięk, jaki muszą przy tym wydawać - cichutkie, megawspaniałe młaśnięcia.

Ależ by ją przeleciał!

Dupsko też miała niezłe, choć do najmniejszych nie należało. Stefan gustował w malutkich tyłeczkach, najlepiej niepełnoletnich. Z niepełnoletnimi babkami jednak był problem taki, że większość z nich miała małe cycki. Lajf is brutal, kurwa. Janek aż cały dygotał, gdy zaproponowała, aby poszli do niej i napili się chłodnego drinka. Dodała mu na ucho, że w szufladzie trzyma najlepszą w okolicy trawę, a na wieczór ma coś jeszcze lepszego. Pałka uniosła mu się w majtach i zeszywniała. Główka przy każdym stawianym kroku ocierała się o rozporek, aż wkrótce ból był na tyle uporczywy, że poprawił sobie fiuta, co nie uszło uwagi Teresy. Uśmiechnęła się. On zaś był nieco speszony, ale odwzajemnił uśmiech, starając się nie pokazywać wypukłości w spodniach. Zasłaniał ją na wszelkie możliwe

sposoby, nawet gdy Teresa nie patrzyła. A w zasadzie po co to robił? „Może powinna zobaczyć?” - zastanawiał się. Fiut do największych nie należał, ale nie był też mały. Za to stawał jak na zawołanie i był lekko wykrzywiony, a kobiety lubią wygięte chuje, no nie?

Zarechotał, zadowolony.

Przypomniawszy sobie, jak reagowała na niego jego była. Mówiła, że jest ok. Tylko tyle? Chyba tak. Twój ptak jest git, to jej słowa. Kurwa, nigdy się nad tym nie zastanawiał. Był tępo zauroczony tą pizdą, nic więcej się nie liczyło. Zostawiła go z tyloma wspomnieniami. I dwunastocentymetrowym kutasem, który stawał jak na zawołanie.

Ale teraz sobie poszaleje. Teresa miała dużo większe cycki niż jego była. Już się nie mógł doczekać, kiedy zacznie je lizać. Pewnie będę musiał się postarać, pomyślał, aby nie udławić się sutem.

Objął ją nieśmiało. Nie protestowała. Dotknął jej biodra i wyczuł paseczek od stringów. Boże... Uwielbiał stringi. Wyobraził sobie Teresę z wielkimi donicami, kołyszącymi się w takt spokojnej muzyki, i w malutkich, ledwie widocznych stringach.

O kurwa, matko moja...

Spuścił się w spodnie, a gorącego kefiru było tyle, że zaczął spływać mu po nogach.

- Mieszkam na ostatnim piętrze - powiedziała Teresa, gdy weszli na klatkę schodową. Była mocno napalona, choć starała się tego nie okazywać. To nie było łatwe, zwłaszcza, gdy ją objął. Usiłowała na razie nie myśleć o tym, co ich czeka.

- Ile pięter ma ta kamienica? - spytał.
- Cztery.
- Uhm.
- Co?

- Moi rodzice mieszkali na czwartym piętrze, w bardzo podobnej kamienicy.
- I co się stało, że już nie mieszkają?

Zawahał się. Spojrzała na niego. Była cała mokra, bynajmniej nie od potu.

- W sumie to nie do końca wiem, co się z nimi dzieje — odparł wymijająco, marszcząc brwi. - Wiem tylko, że są daleko stąd.

Miał wyraz twarzy zbitego psa. Współczuła mu.

- Przepraszam, jeśli...

Machnął ręką.

-Nie, nie, spoko. Jest OK.

- Naprawdę?

Zaczęli wchodzić na górę.

- Tak. Czasami mam wrażenie, że mieszkamy w jakimś cholernym zamknięciu. Ze ktoś nas izoluje od prawdziwego świata.

Roześmiała się.

- Poeta z ciebie. Dekadentyzm masz w jednym paluszku.

Skinął głową.

- A żebyś wiedziała. Dawno temu pisałem wiersze.

- No proszę. Musisz mi kiedyś jakiś przeczytać.

- Nie zachował się ani jeden, niestety.

- To pomówisz mi wierszem do ucha, gdy będziesz mnie walił pytą w pizdeczkę, dobrze? Jęknął, jakby się spuścił. Teresa była pewna, że tak się właśnie stało.

Janek jęknął, a potem spuścił się po raz drugi.

»Jeszcze raz i się odwodnię? — pomyślał.

Stefan wstrzymał oddech. Nie była sama. Mógł to przewidzieć. Facet był trochę od niej starszy i miał małego fiuta. Jej jednak najwyraźniej to nie przeszkadzało, bo padła przed nim na kolana i zaczęła go ssać z taką determinacją, jakby bez kutasa żyć nie mogła. Stefan zazdrościł temu facetowi, nawet jeśli sam miał trochę większy sprzęt w majtkach. Co by dał, aby poczuć to, co czuł tamten gość. Wolałby rzecz jasna dużo młodszą, ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.

Stefan nie miał nic. Nawet starej bezzębnej raszpli z obwisłymi cycami i nabitą tłuszczem dupą.

Co za pech.

Za to mógł sobie do woli patrzeć, jak to robią inni. Miał doskonały widok, nie potrzebował nawet lornetki. Początkowo tylko mieszał sobie łapskiem w majtkach obserwując baraszkuje parkę. Po chwili jednak kuśka mu stwardniała, a podniecenie osiągnęło punkt kulminacyjny i zaczął bić Niemca w hełm. Parka po drugiej stronie ulicy parzyła się teraz jak króliki. Na pieska. Stefan doskonale widział wielkie cycki laski, chyba słyszał też jak jęczy z rozkoszy, choć tego nie był pewien — ruch uliczny był spory, hałas zagłuszał nawet walenie kościelnego dzwonu - bił skurwysyn całemu ludowi na obiad. Dobrze, że nie słyszał wyraźnie, jak ta pipka jęczy. Podnieciłby się jeszcze bardziej i szybko spuścił, tymczasem zamierzał się odprężyć, dłużej posiedzieć przy oknie z chujem w ręku. Odkrył w sobie nową pasję. Lubił być na widoku. Ciekawe, czy ktoś mnie tu widzi, pomyślał, trzepiąc kapucyna przy otwartym oknie.

Najbardziej pragnął, by dostrzegła go ta parka. Może spodobałaby im się taka zabawa, może laska nawet zatańczyłaby dla niego w swoim oknie? Kurwa, to by dopiero było! Tak by się zbrechtał, że sperma pokonałaby szerokość ulicy i zalała jej ryj.

Zarechotał. Ależ dzień! Wróciła mu ochota do żyda, przestał być osowiały. Nagle nie wszystko już wydawało się takie beznadziejne i do dupy jak wcześniej;

Koleś ostro dawał czadu z tą panienką. Stefan zauważył, że w pewnym momencie przestał ją posuwać i o coś zapytał. Po chwili wycelował kutasa w jej odbyt. Musiała być

nieźle nagrzana i otwarta na propozycje, skoro pozwoliła sobie pakować w tyłek.

Przez kolejne dziesięć minut nie wydarzyło się nic niezwykłego. Parka naparzała się w tej samej pozycji, zaś Stefan bił banana, wzdychając co chwila, czując, że wielka ekstaza jest tuż tuż, czeka tylko, by go ogarnąć i całkiem zrelaksować.

Ale potem...

Potem stało się coś naprawdę niesamowitego.

Zmienił pozycję. Laska usiadła na gośdu, poujeżdżała go ostro przez minutę, może dwie, a potem nagle, ni stąd, ni zowąd, wyjechała spod kołdry dość spory tasak i...

Stefan zastygł z kutasem w dłoni.

Po drugiej stronie ulicy, w mieszkaniu na ostatnim piętrze, połała się krew. Trysnęła z szyi kolesia jak woda z fontanny. To był moment. Myśli w głowie Stefana zawirowały, po czym w jednej sekundzie wyparowały.

— Nie może być - wychrypiał, gapiąc się tępo na scenę po drugiej stronie ulicy. - Oddęła mu łeb.

Istotnie, dopiero teraz wyraźnie to zobaczył. Głowa mężczyzny nie przynależała już do reszty ciała. Kobieta z uśmiechem satysfakcji oblizała tasak i odrzuciła go na drugi koniec zakrwawionego łóżka. Następnie lekko uniosła się na bezgłowym ciecie i z powrotem na nie opadła. Stefan potrzebował dłuższej chwili, by zrozumieć, co się dzieje. Ta świruska uprawiała seks z martwym mężczyzną. Facet wciąż miał erekcję, a ona nadziewała się na nią raz za razem, coraz szybciej, aż w końcu rozwrzeszczała się z rozkoszy. Zdawała się czerpać o wiele więcej przyjemności z zabawy z nieboszczykiem bez głowy, co z jednej strony Stefana zszokowało, a z drugiej zaintrygowało.

Czytał kiedyś artykuł, że faceci umierający nagle w trakcie uprawiania seksu, na przykład doznając zawału, mają erekcję jeszcze przez kilkanaście do kilkudziesięciu sekund. Podobno penis staje się wtedy większy i dużo twardszy, jakby dusza uchodziła właśnie przez ten organ. Stefan nie bardzo w to wierzył, chociaż, widząc tę kobietę oraz sposób, w jaki ujeżdżała tego biedaka, oraz siłę orgazmu, jaki ją ogarnął, zaczął wierzyć, że naprawdę tak się dzieje.

Zadygotał.

Wpadła mu do głowy pewna myśl. Uśmiechnął się lekko, po czym zmarszczył brwi. Uzmysłował sobie, że cały czas trzyma w dłoni wacka. Parsknął śmiechem.

Był geniuszem.

Pośpiesznie wciągnął gacie, a potem spodnie. „To będzie dopiero jazda!” - pomyślał. Wybiegając z mieszkania zastanawiał się nad jednym — czy to działa też w drugą stronę? To znaczy, czy jak będzie posuwał trupa tej cycatej pizdeczki, również przeżyje orgazm stulecia?

Bóg pociągnął nosem, przejechał zgrabiałymi palcami po długiej szczeciniastej brodzie, po czym rozparł się w swym fotelu i spojrzał na Jezusa. Ten spokojnie zaciągnął się jointem, wstrzymał oddech, zamknął oczy. Trwał tak dobre pół minuty, następnie wypuścił dym i uśmiechnął się pod nosem. Otworzył oczy. Były mętne. Ledwie kontaktował, wypalił dziś zdecydowanie za dużo towaru. Kiedy zorientował się, że Bóg mu się przypatruje, wyprostował się, usilnie próbując wyrzeć dobre wrażenie.

- Dobra, wiem — wymamrotał, gdy niechcący osunął się z krzesła. - Za dużo wyjarałem, ale wierz mi, Ojczy, warto było. Doskonała trawa.

- Nie powinieneś przy mnie palić — usłyszał w odpowiedzi.

- Wiem, ale sam widzisz, że się ograniczam.

- Chcesz za to medal?

- Wystarczy butelka piwa.

- Nie jesteś zabawny.

- Przepraszam.

Bóg wyjął wargi, a potem rzekł:

- Zastanawiam się, czy dobrze zrobiłem.

Jezus zmrużył oczy i jednocześnie złożył usta jak do pocałunku. Zawsze tak robił, gdy się nad czymś głęboko zastanawiał.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Ojczy?

- Mówię o tych tam, na dole. O zwyrodnialcach, zbrodniarzach, o kryminalistach, o złych ludziach, o zepsuciu, które w nich drzemie, a które stworzyli sami na przestrzeni dziejów...

- Ojczy... - wszedł mu w słowo Jezus, spoglądając na dopalającego się jointa. - Mam wrażenie, że się obwiniasz za to, że tacy są... Ze są źli...

- Nie - uciął Bóg, ale zaraz potem dodał. - Może masz rację może jednak trochę się obwiniam. Wszyscy trąbią, że stworzyłem ludzi na swoje podobieństwo, tymczasem ci tam...

- Tak, wiem, nie są dobrą wizytówką.

- W sumie nie o to chodzi.

- A o co?

- Zamknęliśmy tych największych zwyrodnialców, najniebezpieczniejszych psychopatów pod jedną kopułą. Żyją obok siebie, nie przypuszczając nawet, jak to wszystko się dla nich skończy.

Jezus znów się zamyślił. Przez kilka minut nie odzywał się i Bóg musiał go lekko szturchnąć w ramię.

- Wybacz, Ojczy, zawiesiłem się.

- Słyszałeś, co mówiłem?

Jezus ostatni raz szturchnął się trawą i zgasił niedopałek w czerwonej porcelanowej popielnicy.

- Słyszałem. Sądzę, że niepotrzebnie się przejmujesz. To źli ludzie. Plan był taki, by wreszcie coś z nimi zrobić. Dlatego stworzyłeś wielką kopułę, a w niej z pozoru normalny świat. Niedługo pozabijają się nawzajem, a przecież o to nam chodziło, kiedy obmyślaliśmy nasz plan, krok po kroku każdy krok... - Jezus urwał na moment, mając wrażenie, że się nieco pogubił.

- To prawda - odparł spokojnie Bóg. - Może masz rację. Może rzeczywiście to był dobry pomysł. Na świecie zapanuje większy spokój, wielu ludzi przestanie we mnie wątpić, a niektórzy wręcz we mnie uwierzą.

- Oczywiście.

Bóg uśmiechnął się. Wyglądał na zadowolonego.

No dobrze. Przekonałeś mnie, Chryste. Chciałbym teraz spróbować twojego zioła.

Jezus wybałuszzył oczy, mocno zdziwiony.

- Spróbować? Boże, chyba rwą cię suty. Zapalili. I już nie przestali.

Carlton Mellicki (ur. 1977) - prekursor gatunku bizarro, powstałego w USA i cieszącego się coraz większą popularnością również w Polsce. Zasłynął książką *Satan Burgeri* którą wywołał swoistą modę na bizarro. Napisał łącznie kilka powieści i kilkadziesiąt nowel oraz opowiadań. *Uszatek* to pierwszy tekst Mellicka 111 na polskim rynku wydawniczym. Dla zagorzałych fanów absurdu i szeroko rozumianego dziwactwa.

Carlton Mellick III

USZATEK

Palce Irene są dzisiaj niespokojne. Zginają się i prostują, jakby próbowała pstryknąć wszystkimi naraz.

- Zostaw już te palce - mówi Martin przez videofon.

Irene krząta się po pokoju, poprawiając stojące na ławie ramki ze zdjęciami jej zmarłych rodziców, przebierając palcami i unikając zebranej w kącie sterty kotów.

- Proszę - mówi Martin. - Potrzebuję cię.

Irene zatrzymuje się przed videofonem, ale odwraca wzrok od widocznego na ekranie wnętrza domu Martina. Pokój, w którym znajduje się jej rozmówca może i jest słabo oświetlony, a wystrój ma utrzymany w odcieniach brązu, jednak dla niej stanowi zbyt niepokojący widok. Odwraca się do ekranu, ale patrzy na lampę z czerwonej gliny stojącą dokładnie nad videofonem.

- A co, jeśli zgubił się na poczcie? — zastanawia się Irene.

- Jestem pewien, że jeszcze się pojawi - odpowiada Martin. — Trochę cierpliwości.

Irene już od sześciu lat prenumeruje „Kotki Miesiąca” i nigdy żaden kociak nie miał aż tak dużego opóźnienia. Comiesięczne zwierzątko jako jedyne jest w stanie przynieść jej ukojenie, a poprzednie straciło ważność już kilka dni temu.

-Bez niego nie potrafię być cierpliwa - stwierdza Irene.

-Przez siebie się denerwuję - mówi Martin. - Uspokój się.

Irene zdaje sobie sprawę, że znowu przebiera niespokojnie palcami, więc zaciska je mocno w pięści, aż bieleją jej knykcie. Potem stwierdza, że czas poprzestawiać kolekcję antycznych lamp.

- Tylko nie lampy - narzeka Martin. - Przekładałaś je dzisiaj rano.

Kolekcja lamp Irene zajmuje każdy centymetr ścian jej salonu. Ekspozycje poustawiane są na półkach, które ciągną się od samej podłogi aż po znajdujący się pięć metrów wyżej sufit - na wszystkich ścianach, nie licząc tylko okien, drzwi wejściowych i kominka.

Każda lampa to unikalne dzieło sztuki. Jest jedna fioletowa, w kształcie grzyba, inna zrobiona jest z niebieskiej porcelany z namalowanymi po bokach strzałami, a jeszcze inna jest drewniana i udaje uschnięte drzewo. Oprócz tego są lampy w kształcie żaby, buta, kulistego akwarium i grubego, niemieckiego chłopca. Na półkach stało tyle niepasujących do siebie, chaotycznie poustawianych lamp, że od patrzenia na nie mogło zakręcić się w głowie. Nie pomagało również to, że Irene musiała mieć na okrągło włączone absolutnie wszystkie.

Martin uśmiecha się szyderczo, patrząc na jej kolekcję.

- Czemu w ogóle próbujesz je poustawiać? I tak wyglądają okropnie.

Irene ściąga lampy z półek i stawia na podłodze. Lampa o kształcie brzegu morza. Tęczowa lampa. Lampa przypominająca łapkę pluszowego misia. Zamienia je miejscami, nie odłączając ani jednej. Nie zniosłaby widoku wyłączonej lampy choćby przez minutę.

- Poprzednio poustawiane były według wartości, od najdroższych do najtańszych - tłumaczy Irene. - Teraz chcę mieć od największych do najmniejszych.

- Ale wszystkie są takie same - stwierdza Martin.

Irene przystawia lampę-zebrę do białej lampy o powabnym kształcie. - Ta jest dobre trzy centymetry wyższa od tej drugiej.

Martin wydaje z siebie jęk i wyłącza obraz w videofonie.

- Czemu to zrobiłeś? - pyta Irene, patrząc w czarny ekran, gdzie wcześniej widać było twarz Martina.

Z głośników obok monitora dobiega jego głos.

- Przepraszam, dłużej tego nie zniosę. Za dużo się u ciebie dzieje.

- Ale miałeś mi pomagać.

- A ty miałaś pomagać mi - odpowiada Martin. - Ale przez ciebie tylko się denerwuję. Irene przebiera palcami przed zgaszonym monitorem.

- Ale zostało nam już tylko dwadzieścia minut, a teraz doktor Ash każe nam zacząć jutro wszystko od nowa.

- Przykro mi — odpowiada. — Tak samo jak ty nie znoszę powtarzania sesji, ale ty mnie do tego zmusiłaś.

- Świetnie — mówi Irene i przez kilka minut kołysze się przed monitorem. Martin nadal milczy.

- No dobra. Równie dobrze możemy już sobie na dziś darować - stwierdza Irene. - Skoro i tak mamy powtórzyć rozmowę jutro to nie ma sensu jej teraz kontynuować.

- Brzmi super — stwierdza Martin.

Rozłącza się, nie dając Irene czasu na pożegnanie.

Irene szczypie kawałek skóry nad grzbietem nosa. W tej części twarzy gromadzi się mnóstwo napięcia, a szczypanie pozwala Irene uwolnić jego część. Nazywa ten fragment twarzy swoim łaskotkiem, ponieważ często czuje tam łaskotanie, gdy zbyt długo powstrzymuje się od szczypania.

Trzyma swój łaskotek między palcami i czuje, jak mięśnie twarzy powoli się rozluźniają. Irene podchodzi do kolekcji „Kotków Miesiąca”, które leżą w nieładzie na dywanie w brązową kratę.

Chociaż kotki kiedyś były żywe, teraz przypominają raczej wypchane zwierzęta. Genetycznie modyfikowane zwierzątka zawsze powracają do tego stanu, gdy upłynie data ich przydatności: wnętrzności same wylewają się przez różne otwory w organizmie, a środek można napełnić bawełną. Tak je stworzono.

Irene podnosi kota w czerwone i jasnobrażowe zawijasy, a potem przytula go do podbródka. To kociak ze stycznia: cynamonowy. W swoim czasie cynamonowy kotek był rozbrykanym, skorym do zabawy zwierzątkiem, które przez cały miesiąc odświeżało dom swoim cynamonowym zapachem.

Każdy kociak z prenumeraty jest stworzony dzięki bio- inżynierii, a jego twórcami są naukowcy zwani Kocimi Artystami. Ich praca polega na wymyślaniu nowych ras kotów. Irene dostała już kotka przypominającego pomarańczową piłkę do koszykówki, który odbijał się od podłogi; kotka-jednorozca, któremu z białego czoła wyrastał długi róg oraz pluszowego kotka, który wyglądał niemal jak ruchoma przytulanka. Oprócz tego: kotka-malinkę, kotka-awokado, kotka-kłowna i kotka-helikopterka.

Pomysły naukowców zdawały się nie kończyć. Irene do tej pory kochała wszystkie kociaki. Kiedy umierały, każdy stawał się świetnym eksponatem w jej kolekcji wypchanych zwierząt.

Zazwyczaj Irene trzyma swoje kotki na półkach w sypialni, ale kiedy czuje się samotna, znosi je na dół i układa w salonie. W ten sposób są zawsze pod ręką, gdy potrzebuje pocieszenia. Klub „Kotków Miesiąca” ma swoje motto:

Zapewniamy wysokiej jakości pociechę i towarzystwo.

Doktor Ash nie chce rozmawiać z Irene przez videofon w czasie ich sesji terapeutycznych. Zawsze nalega na spotkanie na żywo. Irene nigdy nie wpuszcza go do środka, więc rozmawiają przez szczelinę w drzwiach. Podczas sesji Irene stoi plecami do drzwi i trzyma w ramionach nieruchomego złotowłosego kotka. Nie chce dojrzeć choćby maleńkiego skrawka nędznego świata na zewnątrz, który przypomina raczej porzucony teren budowy niż osiedlową ulicę.

- Znowu unikałaś - powiedział doktor Ash z miniaturowym uśmiechem. — Im więcej unikasz, tym trudniej będzie o konfrontację.

Irene wkłada sobie palec do nosa. Nie znosi doktora Asha. Nie znosi go za to, że ma tylko dwadzieścia dwa lata i uważa się za wszytkowiedzącego tylko dlatego, że należy do 3,5%

populacji które nie cierpią na agorafobię.

- Chcę zmienić swojego partnera - mówi Irene.

Doktor Ash wygląda zmarszczki na swoim neonowo-niebieskim garniturze.

- Co jest nie tak z Martinem? — pyta terapeuta.

- Jest nieznośny.

- Mówiłaś tak o każdym ze swoich jedenastu partnerów.

- Mam dość patrzenia na niego w videofonie - odpowiada Irene. - Mam dość gadania o głupich rzeczach z głupimi ludźmi tylko dlatego, że pana zdaniem ma mi to pomóc.

- To naprawdę ci pomoże - stwierdza doktor Ash.

Ściąga brwi, żeby Irene mogła zobaczyć, jak szczerze jest zmartwiony.

- Co jeśli wcale nie chcę pomocy? - Irene głaszcze długie, złote loki zwisające z boków leżącego na jej kolanach kotka.

- Nie chcesz? - pyta terapeuta. — Nie chcesz znowu móc wychodzić na zewnątrz?

Doktor Ash przerzuca kilka kartek w swoim notatniku. - Nie chcesz iść na plażę? Wyjść na miasto z przyjaciółmi? Wyjechać do innego miasta albo kraju?

Irene z całych sił przyciska kociaka do piersi, a potem szczypie swojego łaskotka.

1 Nie - odpowiada. - Wcale tego nie potrzebuję. Jeśli muszę z kimś porozmawiać, mogę wysłać maila. Jeśli muszę pracować, loguję się do sieci. Jeśli muszę coś kupić, wchodzę na stronę sklepu online i zamawiam. Jeśli chcę zobaczyć coś ciekawego, mogę obejrzeć zdjęcia w Internecie. Są na nich miliony miejsc, których jedna osoba nigdy nie zdążyłaby odwiedzić.

- Czy to nie brzmi, jakbyś szukała wymówek? — pyta doktor Ash. - Mnóstwo moich pacjentów postępuje identycznie.

- Nieważne - mówi Irene, rozprostowując palce aż do bólu.

- Zostawiam ci Martina - odpowiada doktor Ash. — Chcę, żebyś przez co najmniej trzy miesiące została przy tym samym partnerze. Im dłużej będziesz z nim rozmawiać, tym lepiej będziesz się czuć w jego towarzystwie. Po prostu nie rezygnuj i przestań unikać. Z czasem będzie łatwiej.

- Nie chcę już z nim rozmawiać w tym tygodniu - mówi Irene. — A przynajmniej do czasu, aż dostanę kolejnego kotka.

- Chcę, żebyś rozmawiała z nim jutro po południu przez dwie godziny - stwierdza terapeuta. - Nawet bez kotka.

- Ale bez niego nie potrafię nawet jasno myśleć.

- Kotek nie ma znaczenia.

- Ale to pan powiedział, że powinnam mieć zwierzaka.

- Tak powiedziałem — zgadza się doktor Ash. - Ale jest ogromna różnica między posiadaniem zwierzaka, a zapisaniem się na prenumeratę „Kotka Miesiąca”.

- Jaka to różnica?

- Po prostu przestań martwić się o kota - mówi terapeuta. - Na pewno przyjdzie jeszcze dzisiaj.

- Lepiej, żeby tak było — stwierdza Irene, przebijając palcami.

•••

Irene loguje się na stronę Klubu „Kotka Miesiąca”, żeby sprawdzić, czy nie pojawiła się jakaś informacja o opóźnieniu dostawy. Na stronie głównej znajduje się migoczące brokatowymi literami logo „Kotka Miesiąca” z rysunkowymi kotkami, które skaczą i tańczą w rytm muzyki granej na akordeonie.

Strony nie aktualizowano już od ponad tygodnia. W zakładce z aktualnym kociakiem nadal było zdjęcie Kotka z Cheshire z zeszłego miesiąca, stworzonego na podobieństwo postaci z Alicji w Krainie Czarów, łącznie z pełnym zębów uśmiechem.

Irene wchodzi na wszystkie podstrony, nawet sprawdza forum dyskusyjne, ale ostatecznie poddaje się. Nigdzie nie ma nawet wzmianki o opóźnieniu. Ani też żadnej informacji o

wyglądzie nowego kotka. Irene zaczyna zastanawiać się, czy firma produkująca kotki nie zbankrutowała.

- A co, jeśli już nie będzie kotków? - mówi do swojej kolekcji lamp. - Co, jeśli żadnego już nie dostanę?

Stara się o tym nie myśleć i wchodzi na stronę zajmującą się sprzedażą instrumentów z mosiądzu. Irene jest kolekcjonerką rogów. Na ścianach jej piwnicy wiszą rogi francuskie, myśliwskie i podwójne, a także inne, które Irene lubi nazywać kręconymi rogami.

Chociaż Irene nie ma zielonego pojęcia o grze na rogu, lubi próbować. Dźwięki, które udaje jej się wydobyć, są głośne i wstrętne, ale relaksują ją delikatne wibracje, które w czasie gry czuje na ustach. Irene nie chodzi wcale o granie na instrumentach. Po prostu podoba jej się to, jak wyglądają powieszona na ścianie.

Irene uwielbia kolekcjonowanie. Jej kolekcja rogów, kolekcja lamp i kolekcja kotków są dla niej ważne. To jedyni przyjaciele, jakich potrzebuje.

Skoro nie dostała jeszcze swojego „Kotka Miesiąca”, postanawia zamówić nową waltornię. Dopłaca do przesyłki, by dostać paczkę już na drugi dzień. Przynajmniej będzie miała jakąś pociechę, jeśli nie przyjdzie „Kotek Miesiąca”.

Robot dostawczy zjawia się przed jej drzwiami z dymem wydostającym się z

pozbawionetwarzy głowy, trzęsąc się i szczękając metalowymi częściami. Irene spogląda przez okno na przypominający gaśnicę mechanizm, który sięga do swojego wnętrza, by pokrytymi gumą odnóżami wyciągnąć paczkę. Kiedy Irene ją spostrzega, jej dolna warga zaczyna drżeć. Rozklekotany robot zostawia pudełko przed wejściem Jest mokre, pofalowane i z jednej strony zgniecione.

— Ty kupo złomu! — wrzeszczy Irene przez drzwi.

Robot odwraca się i pyrkocząc rusza w stronę kolejnego domu na tej szarej, błotnistej ulicy.

Irene czeka chwilę, aż maszyna zniknie z pola widzenia i otwiera drzwi, skupiając wzrok na paczce. Tylko jedną nogę wystawia za próg, drugą pozostawiając bezpiecznie w domu. Wyciąga ręce ile tylko może, żeby chwycić pudełko. Szarpie do przodu, wciąga paczkę do środka i zamyka za sobą drzwi.

- Gówniane roboty dostawcze - mówi Irene, spoglądając na zmaltretowaną paczkę.

Naklejka z logo Klubu „Kotka Miesiąca” zdarta jest niemal całkowicie, jakby ktoś ciągnął pudełko po asfalcie przez dobre kilkadziesiąt metrów.

- Jeśli coś stało się z moim kotkiem...

Paczka rusza się. W środku jest coś żywego. Irene rozpaczliwie rozrywa taśmę przy pomocy klucza do drzwi wejściowych. Już tylko do tego się przydaje. Irene zastanawia się, jak będzie wyglądało zwierzątko. Czy będzie we wszystkich kolorach tęczy? Może będzie latać? A może będzie to kot-ninja, kryjący się po kątach i atakujący palce u stóp w najmniej oczekiwanym momencie?

Kiedy Irene otwiera pudełko, uśmiech znika z jej twarzy. W środku znajduje się coś obrzydliwego. Nie jest pewna, co to właściwie jest. Widzi tylko... uszy.

Kot wyskakuje z paczki i przeciąga się na dywanie, pozwalając Irene dobrze mu się przyjrzeć. Zwierzę nie ma sierści, a zamiast niej ma uszy. Ma na sobie mnóstwo ludzkich uszu o różnych kształtach i rozmiarach, zszytych ze sobą jakby przez samego Frankenstein.

Irene cofa się. Nie ma pojęcia, jakim cudem taki potwór dostał się do jej pudełka z „Kotkiem Miesiąca”. Firma musiała popełnić jakiś błąd. Koci Artyści najwyraźniej musieli przez przypadek wysłać jej zamiast prawdziwego kota jakiegoś nieudanego, eksperymentalnego. Irene sięga po pudełko. Każdy kot ma wizytówkę, gdzie opisane są jego unikalne cechy. Na tej z tego miesiąca na pewno będzie widniało inne zwierzę. Kiedy ręką przeszukuje zawartość pudełka, to coś odwraca głowę w jej stronę. Jego pysk wygląda jak małeńka twarz człowieka, z ludzkimi ustami, nosem i oczami.

- Miau - mówi kot.

To coś nie miauczy jak kot; tylko wymawia słowo miau, tak jak zrobiłby to prawdziwy człowiek.

Irene zastanawia się, czy zwierzę ma też ludzką inteligencję.

- Miau — powtarza kot, patrząc na nią swoimi maleńkimi, niebieskimi ludzkimi oczami.

Według wizytówki kot nazywa się Uszatek. To nie pomyłka. To zmutowane zwierzę prosto z rozsyłanej do wszystkich kolekcji Klubu „Kotka Miesiąca”.

- Co oni do cholery wymyślili? - mówi Irene do Uszatka, który liże ucho na swoim biodrze.

Zazwyczaj na wizytówce znajdowało się kilka zdań na temat niezwyklej osobowości i cech fizycznych kotka miesiąca, ale tym razem było tam tylko tyle:

Ma uszy.

Palce Irene znowu są niespokojne, ale tym razem poruszają się jeszcze szybciej i bardziej gwałtownie. Irene próbuje unikać kota, ale to coś ciągle chodzi za nią po domu. Irene idzie z kuchni do jadalni, z jadalni do przedpokoju, z przedpokoju do salonu i z powrotem do kuchni, a Uszatek śledzi jej każdy krok. Kiedy ona się zatrzymuje, kotek siada.

- Miau — mówi Uszatek, patrząc na Irene i nastawiając wszystkie uszy, jakby miał zamiar pilnie jej słuchać.

- Przestań za mną łązić - mówi Irene do kotka, przebiegając palcami.

- Miau — odpowiada Uszatek.

- Czego chcesz? — krzyczy Irene.

Zwierzę macha swoim łysym ogonem zakończonym maleńkim uszkiem niemowlaka. Irene szczypie swojego łaskotka, by ukoić nerwy.

• 9

Uszatek czuje się jak w domu. Zwija się w kłębek na samym szczycie sterty wypchanych kotów, przegamiając je pazurami, aż będzie mu mięciutko i wygodnie.

- Nie! — krzyczy Irene na Uszatka.

Kotek kuli się, rozmazując wosk z uszu na kolekcji kotów.

- Niszczysz je!

- Miau — szepcze Uszatek, przyciskając twarz do boku sztywnego kota-pirata.

Irene siada przy komputerze i wchodzi na stronę Klubu „Kotka Miesiąca”. Właśnie zamierza wysłać im najbardziej nieprzyjemnego maila, jakiego kiedykolwiek zdarzyło jej się napisać. Dopiero po kliknięciu na link do danych kontaktowych zdaje sobie sprawę, że nie ma tam adresu e-mail. Tylko numer telefonu.

- Tylko numer telefonu? — dziwi się Irene. — Nie zamierzam dzwonić do nikogo w sprawie reklamacji.

Spogląda na videofon. Co prawda od jakiegoś czasu ćwiczyła z Martinem, ale nie jest jeszcze gotowa na rozmowę z nieznajomym. Woli składać zażalenia pisemnie.

W nocy Irene zamyka sypialnię na klucz. Uszatek błąka się po domu. Czasami kaszle i prychnie. Kiedy kaszle, brzmi jakby kaszlał człowiek. Jakby Irene miała gościa.

Irene leży w łóżku i nie może spać. Za każdym razem, kiedy zamyka oczy i przysypia, śni jej się nieznajomy mężczyzna przystawiający ucho do drzwi jej sypialni, który próbuje podsłuchać, co dzieje się w środku, i mówi: - Miau.

•••

Na drugi dzień Irene dzwoni do Martina, który nie chce włączyć obrazu. Jego monitor jest zgaszony.

- Coś nowego - mówi Martin przygnębiony. — To ty pierwsza dzwonisz.

- Włącz obraz - odpowiada Irene.

- Chcesz, żebym włączył obraz? - pyta, próbując żartować mimo drżącego głosu. - Co

doktor Ash ci zrobił?

Irene postanawia nie spierać się.

- Znowu mam atak paniki.

- Co się stało tym razem? - pyta Martin. - Skończyła się kawa? Spaliła się żarówka w jednej z twoich lamp?

- Nie - odpowiada Irene. — Mam w domu coś dziwnego.

Uszatek rozmazuje wosk z uszu na czarnej, aksamitnej sofie.

- Co masz na myśli?

- To kot zrobiony z uszu.

- No jasne.

- To „Kotek Miesiąca”. Wreszcie go dostałam i w życiu nie widziałam nic bardziej obrzydliwego. Przypomina raczej zdeformowanego niemowlaka niż kotka.

Uszatek drapie się po swoim zmarszczonym czole.

- Ale dlaczego dzwonisz do mnie?

- Nie wiem, co robić. On mnie ciągle podsłuchuje.

- Zadzwoń do doktora Asha i jego zapytaj.

- Nie mogę się do niego dodzwonić.

- Posłuchaj, Irene - mówi Martin. - Muszę kończyć.

- Nie możesz się rozłączyć. Masz mi zapewniać towarzystwo.

- Ja... — zaczyna Martin. — Nie wiem, czy chcę być twoim towarzyszem.

- Ale doktor Ash powiedział..

- Nie obchodzi mnie, co powiedział doktor Ash. Odkąd zostałam moją partnerką, stałam się jeszcze bardziej nerwowy. Mam już tego dość.

- Ale nie możesz odejść.

Palce Irene stają się niespokojne.

- Mam to gdzieś. To koniec,; .

- Ale potrzebuję twojej pomocy.

- Kto by się przejmował głupim kocurem? - mówi Martin. - I tak umrze za miesiąc.

Musisz tylko wytrzymać, aż zdechnie.

- Nie mogę go znieść — odpowiada Irene. — Zakłóca mój spokój,

- Nie dzwoń do mnie więcej. Rozłączam się. Nie oddzwaniaj. Głośniki milkną. Irene jeszcze raz wybiera numer, ale Martin nie obiera.

Mimo specjalnej dopłaty, waltornia zostaje dostarczona później Robot dostawczy dymi dwa razy bardziej niż poprzednim razem, Z brzucha wydostają się iskry, a głowa jest przekrzywiona, jakby jakiś dzieciak próbował ją strącić kijem do baseballa.

Pudełko jest z wierzchu lekko poczerniałe, jakby piekło się trochę w środku maszyny.

Przynajmniej nie jest wgniezione, jak poprzednia paczka.

Irene wyciąga mosiężny instrument. Kiedy trzyma go już w ręce, zdaje sobie sprawę, że nic to dla niej nie znaczy. Nie czuje przyływu szczęścia, jak zawsze, gdy może dołączyć coś do którejś ze swoich kolekcji. Waltornia wydaje się po prostu kolejnym rogiem. Niczym szczególnym.

Irene zabierają do salonu. Uszatek siada na tylnych łapkach i mówi: - Miau. Irene się od niego odsuwa. Uszatek do niej podchodzi, patrząc spod zmarszczonego czoła małego człowieczka.

Irene odwraca się do kota plecami. Nie może teraz znieść jego widoku, ale kot tylko wskakuje na jedną z półek z lampami, więc Irene musi na niego spojrzeć.

- Miau - oznajmia Uszatek.

Irene spogląda na waltornię. Może sama przesyłka jej nie uszczęśliwiła, ale jeśli zagra na rogu, będzie mogła poczuć na ustach relaksujące wibracje. Kiedy wciąga głęboko powietrze, a potem wypuszcza je przez ustnik, róg wydaje jeden z najgłośniejszych, najokropniejszych

dźwięków, jakie Irene kiedykolwiek udało się zagrać.

Kiedy Uszatek go słyszy, na jego twarzy pojawia się grymas. Kot napina wszystkie uszy i wbija pazury w półkę. A potem udeka. Rusza pędem przez kolekcję antycznych lamp, strącając

je jedną po drugiej. Półka spada, uderzając w tę wiszącą niżej. Niczym domino, wszystkie półki pełne rzadkich i niezwykłych lamp spadają wokół Irene.

Irene otwiera oczy i widzi, jak jej cenna kolekcja rozbija się o podłogę. Pośrodku tego chaosu siedzi kotek i liże swoje poranione uszy. Irene rzuca swój nowy róg w bałagan, a potem siada wykończona w fotelu.

-To koniec - mówi do Uszatka. - Tyle lat zbierania poszło na marne. Wszystko zniszczone. Nie mam już po co kupować nowej lampy. Już nigdy.

Kotek wskakuje na stojącą przed fotelem ławę. Przechyla głowę i mówi: — Miau.

Irene wzdyga się na widok wyrastających z jednego ucha małych, czarnych włosków. Irene zastanawia się nad zabiciem kota. Nie dość, że zwierzę pobrudziło jej kolekcję kotów i zrujnowało kolekcję lamp, to jeszcze przez nie straciła zupełnie zainteresowanie kolekcją rogów. A bez nich Irene nie ma już żadnych przyjadół. Uszatek zasługuje na śmierć.

Irene spogląda na dziwnego kotka, a ten wpatruje się w nią smutnymi oczami i z nadąsaną miną. Irene zdaje sobie sprawę, że nie będzie miała serca zabić nawet tego najbrzydszego na świecie kota. Otwiera lekko drzwi, nie patrząc na zewnątrz. Pokazuje kotu, by wyszedł. Chociaż nie chce go zabić, nie ma wyrzutów sumienia, że chce się go pozbyć.

- No dalej - woła Irene, pstrykając palcami. - Wyłaż.

Uszatek podchodzi do drzwi i siada. Spogląda na swoją panią i mówi: — Miau.

- No chodź—odpowiada kotu Irene.

- Miau - odpowiada kot Irene.

A potem kociak rusza w stronę kuchni.

Irene szczypie się w łaskotka. Przed zamknięciem drzwi zerka na zewnątrz i zastanawia się nad wyjściem. To byłby dobry sposób, by pozbyć się towarzystwa ohydy, która mieszka w jej domu. Ale potem przypomina sobie, że kot nie będzie żył długo. Trzeba tylko poczekać.

Po miesiącu kot nadal żyje. To był bardzo długi miesiąc, pełen chowania się w sypialni, czyszczenia ubrań z wosku i kulenia się za każdym razem, gdy kot kaszlał albo chrząkał.

Żaden wcześniejszy kot nie przetrwał tak długo. Zazwyczaj wyczerpują się po trzech tygodniach. Czasami dwóch. Kilka razy zdarzyło się, że któryś przeżył miesiąc, ale nigdy żaden kot nie przetrwał tak długo, by poznać kota z następnego miesiąca.

Dymiący robot dostawczy wlecze się po błotnistej ulicy i z kilkudniowym opóźnieniem wypłyna paczkę z „Kotkiem Miesiąca na wypłowiej wycieracze.

Kiedy Irene otwiera pudełko, widok nowego kociaka przyprawia ją o dreszcze. Wyciąga wizytówkę.

Napisane jest na niej:

Kot-mięśniak - Ma mięśnie.

Zupełnie jak Uszatek, Mięśniak ma pysk przypominający ludzką twarz i jest bez sierści. Aczkolwiek, Mięśniak ma włosy na głowie; koloru blond i modnie przystryżone. Jego cztery nogi wyglądają jak małe ludzkie ręce, z dłońmi zamiast łapek. Ramiona te są niesamowicie umięśnione, jakby kotek był zawodowym kulturystą. Mięśniak ma też na sobie parę malutkich, fioletowych spodenek ze spandeksu.

- Miiiau - mówi kot do Irene, napinając mięśnie i strząsając blond grzywkę z oczu. Irene powoli się od niego odsuwa.

Uszatek i Mięśniak szybko się zaprzyjaźniają. Bawią się razem w salonie, gdy Irene chowa się w sypialni, podglądając ich przez szczelinę w drzwiach.

Mięśniak bierze kilka porzrzuconych na podłodze lamp i wyciska je na ławeczce jak

ciężarki. Uszatek buja się w fotelu, słuchając dobiegającego z zewnątrz śpiewu ptaków. Mięśniak stęka z wysiłku.

Uszatek kaszle i chrząka.

Irene próbuje sobie ulżyć w stresie, szczypiąc łaskotka, ale to już zdaje się nie działać.

Irene dzwoni do doktora Asha, który odbiera, nie włączając obrazu. Irene chce się z nim zobaczyć. Jej zdaniem, będzie spokojniejsza i poczuje się bezpieczniej. Po raz pierwszy pragnie obecności drugiej osoby.

- Irene? — dziwi się terapeuta.

Irene chce poprosić go o włączenie monitora, ale nie potrafi zmusić się do wyrażenia tej prośby. Ma nadzieję, że doktor Ash sam się na to zdecyduje. Irene czeka.

- Irene, jestem bardzo zajęty, czego chcesz? - pyta terapeuta.

- Potrzebuję pomocy—odpowiada Irene. - Nie mogę oddychać w tym domu. Duszę się. Muszę wyjść.

- Musisz wyjść? - dziwi się doktor Ash. - Myślałem, że to wyjście na zewnątrz przyprawia cię o atak duszności.

- Dostałeś moje maile?

- Pisałaś coś o modyfikowanym kocie, który cię niepokoi? - upewnia się doktor Ash. — Podobno nie umarł po miesiącu?

- Nie, nie umarł — odpowiada Irene. — Teraz mam dwa! Drugi czuje się tutaj jeszcze lepiej niż pierwszy!

- Czemu po prostu nie wyrzucisz ich z domu? - pyta terapeuta. - To tylko modyfikowane kotki.

- Za nic w świecie ich nie dotknę — wyjaśnia Irene. — Musi pan przyjść i je zabrać. Irene słyszy, jak terapeuta głośno wzdycha.

- Irene - mówi. - Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale nie mogę d więcej pomagać.

- Co ma pan na myśli?

- Coraz więcej ludzi cierpi na agorafobię - wyjaśnia. - Piętnaście miesięcy temu chorzy na ciężką odmianę agorafobii stanowili 94% populacji. Kilka miesięcy temu statystyki skoczyły o dwa punkty procentowe. A w zeszłym o kolejne dwa. Nasza cywilizacja nie może funkcjonować, gdy wszyscy zamykają się w domach. Musimy wyjść na zewnątrz i doprowadzić świat do porządku.

- Więc czemu nie chce mnie pan więcej leczyć? - pyta Irene. - Zwłaszcza teraz.

- Ponieważ powiedziano mi, bym porzucił beznadziejne przypadki i skupił się na tych, które jeszcze rokują na wyleczenie.

- Ale ja nie jestem beznadziejnym przypadkiem — mówi Irene.

- Przykro mi — odpowiada doktor Ash. — Niestety ja naprawdę nie mam czasu na dalsze wyjaśnienia. Muszę iść.

- Nie może mi pan tego zrobić.

- Powodzenia, Irene — mówi jej terapeuta.

Videofon rozłącza się.

Przestaje jej działać Internet. Irene nie wie, co się stało. Nie ma pojęcia, co robić. Wszystko podłączone jest do Internetu; telewizja, videofon, praca. Została zupełnie odseparowana od reszty świata. Została już tylko ona, jej dziwaczne kotopodobne stwory i niespokojne palce.

- Miiiau — mówi Mięśniak i napręża swoje mięśnie, podciągając się na karniszu.

Irene próbuje je ignorować, ale one nie chcą jej zostawić samej. Łażą za nią wszędzie i miauczą, jakby próbowały coś powiedzieć.

Irene siedzi przy komputerze, a jej nerwowe palce uderzają rytmicznie w przycisk myszki. Jeśli nie uda jej się wkrótce podłączyć do Internetu, straci pracę w rachunkowości. Tylu ludzi potrzebuje zdalnej pracy i tak niewiele jest wolnych posad, że szybko ją ktoś zastąpi. Jej pracodawcy nie czują do niej żadnego przywiązania. Nigdy nie spotkali się

osobiście i nie słyszeli jej głosu, więc pozbycie się jej nie wywoła u nich żadnych wyrzutów sumienia.

Mięśniak pozuje przed Irene, napinając dla niej swoje mięśnie. Irene próbuje unikać jego wzroku. Mięśniak zabiera jej klawiaturę i zginają na pół, a potem z dumą oddaje.

Irene patrzy wrogo na zmutowane zwierzę. Trzyma zgiętą klawiaturę trzema palcami, próbując nie umazać się woskiem.

- Miau — mówi Mięśniak, wypróbując kolejną pozę.

Irene spogląda na drzwi. Jeśli udałoby się jej dostać do domu sąsiada, mogłaby sprawdzić, czy ich połączenie z Internetem działa i być może zamówić u nich fachowca. Nigdy nie poznała ani nawet nie widziała żadnego ze swoich sąsiadów, ale zakłada, że w znajdujących się obok domach mieszkają jacyś ludzie.

Przechodzi przez pokój i kładzie dłoń na klamce, ale nie potrafi otworzyć drzwi. Wmawia sobie, że sąsiedzi na pewno też stracili połączenie, więc nie ma sensu ich nachodzić. Udaje jej się przekonać samą siebie, że wkrótce znowu będzie miała Internet.

Mija kolejny miesiąc, a połączenia nadal nie ma. Każdego dnia Irene patrzy na swoje drzwi wejściowe i zastanawia się nad wyjściem, ale zawsze udaje jej się znaleźć powód, by zostać w domu.

Żaden z kotów nie zdechł ani nie przejawia oznak zużywania się. Pod koniec swojego życia modyfikowane zwierzątka zazwyczaj chudną i stają się mniej ruchliwe, ale te dziwaczne kodska nie straciły nic ze swojej żywotności.

Któregoś ranka Irene zauważa, że robot dostawczy padł pod jej drzwiami. W jednej ze swoich gumowych rąk ma kolejną przesyłkę z Klubu „Kotka Miesiąca”. Irene nie ma ochoty jej otwierać. Wystarczy jej już kręcących się po domu kocich dziwadeł.

Zabiera pudełko do środka. Mięśniak i Uszatek siadają przed nim, ciekawe zawartości.

Pudełko rusza się.

- Może ten będzie inny - mówi Irene.

Kiedy je otwiera, ze środka wychodzi mały człowieczek. Ma tylko trochę ponad pół metra wysokości i ubrany jest w szary garnitur i czarną muszkę, a na głowie ma dobrany kolorystycznie melonik. Na czubek nosa włożył maleńkie okulary, a swoje czarne, kręcone wąsiska przeczesuje maleńkim grzebykiem.

Irene sięga po wizytówkę i odsuwa się od pudełka.

Na wizytówce napisano:

Kot-gentleman.

To wszystko. Nie ma nawet najkrótszego opisu.

- Ale on wygląda jak człowiek - mówi Irene do wizytówki. - W ogóle nie przypomina kota.

Kot-gentleman podchodzi do Irene i nisko się jej kłania. Wyciąga do niej małą dłoń. Irene ją chwytą.

- Miau — mówi gendeman wyszukany brytyjskim akcentem.

•••

Gendeman siedzi na kanapie, popija herbatę i je babeczki z pomarańczą i żurawiną. Po każdym kęsie strząsa ze swoich wąsów okruszki.

Irene trzyma się z dala od niego. Jest przekonana, że to nawet nie jest kot. To człowiek.

Bardzo, bardzo mały człowiek. Nie wie, czemu je. Modyfikowane koty nie muszą jeść.

Odżywiają się zgromadzonym w ich ciałach białkiem, które starcza im na miesiąc życia.

Martwi ją to, że gendeman zjada jej zapasy. Teraz, gdy nie może złożyć żadnego

zamówienia, musi przeżyć na resztkach do czasu, aż znowu zacznie działać Internet.

Połączenia nadal nie ma, a zapasy się kończą. Irene próbuje oszczędzać, ale pojęcie to jest obce dla gentlemiana. Kot lubi przygotowywać ekstrawaganckie czterodaniowe posiłki, którymi mogłaby się najeść siedmioosobowa rodzina.

Każdego ranka Irene dostaje śniadanie do łóżka. Gentleman stawia tacę na jej szafce nocnej i przedstawia swoje przepyszne danie niczym najnowsze dzieło sztuki.

Zapiekanego łososa, kiełbaski, jajka na miękko, suszone owoce, różne rodzaje tostów, soków i dżemów, a wszystko artystycznie ułożone na tacy.

Jeśli śniadanie jest już gotowe, a Irene nadal śpi, gentleman patrzy na nią z bliska i budzi ją delikatnie, wydmuchując powietrze ze swojego miniaturowego noska. Kiedy tylko Irene zaczyna jeść, gentleman kłania się i mówi: - Miau.

Chociaż w ten sposób zapasy szybko się skończą, Irene przyznaje sama przed sobą, że od lat nie jadła tak pysznych posiłków.

Któregoś dnia Irene wchodzi do salonu. Mięśniak robi pompki na podłodze. Gentleman gra na maleńkich skrzypcach, a Uszatek buja się w takt muzyki.

Półki są puste. Irene od tygodnia pije tylko wodę z kranu i chociaż najgorszy głód już jej przeszedł, zaczęła się robić słaba i kręci jej się w głowie. Nie wie, jak długo jeszcze będzie miała wodę. Chociaż człowiek może przeżyć bez jedzenia, bez wody długo nie pociągnie.

Irene zerka na drzwi wejściowe. Myśli, czy by je otworzyć, ale nie może. Zamiast tego opiera się o ścianę i zsuwa się na podłogę. Wie, że nie ma innej możliwości, ale strach przed wyjściem na zewnątrz jest tak ogromny, że Irene chyba wolałaby umrzeć.

— Czemu jestem taka słaba? — krzyczy Irene na Uszatka u jej stóp. I Chciałabym należeć do tych silniejszych ludzi.

Gentleman nadal gra na skrzypcach, a Mięśniak pozuje.

- Zdaję sobie sprawę z tego, jakie posady czekają na tych, co nie boją się wyjść na zewnątrz? Mogłabym zarabiać trzy razy więcej, wykonując połowę swojej pracy. Ale jestem słaba. Moja matka była słaba. Mój ojciec był słaby. Oboje cierpieli na agorafobię wtedy, gdy była to jeszcze rzadka przypadłość. Kiedy byłam dzieckiem, przyjaciele nie mogli mnie odwiedzać, bo mama im zabraniała. Nie potrafiłaby znieść obcych ludzi w domu, nawet dziad. Ja ich nie mogłam też odwiedzać, bo mama za bardzo bała się prowadzić samochód. Miałam szczęście, że szkoła była blisko, bo inaczej musiałabym się uczyć w domu i nie miałabym już żadnych przyjaciół.

Uszatek siedzi i słucha jej wszystkimi uszami.

- Oczywiście, w końcu i tak musiałam się uczyć w domu. W szóstej klasie, gdy wracałam ze szkoły, potrafił mnie samochód. Trafiłam na pogotowie ze złamanymi nogami i wstrząsem mózgu. Matka nigdy mnie nie odwiedziła. Za bardzo bała się wyjść z domu. Przyjechał ojciec, ale dopiero wtedy, gdy mogłam już wracać. A potem rodzice już nigdy nie pozwolili mi wyjść na zewnątrz. Bali się, że znowu coś mi się stanie, a oni nie będą mogli mi pomóc. Chcieli, żebym została w domu, gdzie jest bezpiecznie.

Uszatek przytula się do jej dłoni. Irene nawet nie zdaje sobie sprawy, że głaszcząc kotka brudzi sobie ręce woskiem.

•••

Irene wstaje i znowu patrzy na drzwi.

Musi przejść przez próg. Jeśli nie wyjdzie z domu, wkrótce umrze z głodu. Może i dostanie najgorszego ataku paniki w życiu, ale atak paniki nie zdoła jej zabić.

Gentleman przestaje grać na skrzypcach, kiedy palce Irene oplatają gałkę.

- Miau? - mówi Uszatek, patrząc na Irene przy drzwiach.

Drzwi otwierają się.

Budne i zniszczone osiedle przez ostatnie dziesięć lat było dla niej tylko przerażającym, dwuwymiarowym obrazkiem. Zdawało jej się, że już nigdy nie będzie musiała w nie wkroczyć. Robi jeden krok i zamyka oczy. A potem robi kolejny. Jej palce zaczynają się poruszać. Na początku przebiera nimi powoli. Z każdym następnym krokiem zaczyna to robić coraz bardziej rozpaczliwie.

Gentleman rusza do przodu i unieruchamia palce Irene. Trzyma jej dłoń swoimi

maleńkimi, ciepłymi rączkami. Irene patrzy na niego z góry, a on kłania się. Kolejny krok. Gendeman idzie razem z nią, trzymając najmocniej, jak potrafi.

Uszatek i Mięśniak wychodzą razem z nimi. Irene robi kolejny krok. A potem jeszcze jeden. Obrazek osiedla staje się trójwymiarowy. Irene znajduje się w środku. Kręci się jej w głowie od tyłu kolorów. Widok jest tak przytłaczający, że Irene traci czucie od szyi w dół, jakby sama jej głowa pływała w powietrzu.

•••

Irene nie zatrzymuje się nawet wtedy, gdy udaje jej się dotrzeć na skraj podjazdu. Rusza przez zrujnowane osiedle. Ulice wyglądają jakby nikt nie używał ich od dziesięcioleci. Chwasty poprzerastały asfalt i płyty chodnikowe, wspięły się na parkany.

Nie ma już żadnych sklepów spożywczych, więc Irene nie wie, gdzie kupić jedzenie. Wszystko dostarczane jest pocztą. Całe zapasy trzymane są w magazynach, których ona nigdy nie zdoła znaleźć. Ale nie będzie teraz o tym myśleć. Musi skupić się na każdym kolejnym kroku. Nie może pozwolić na to, by świat zewnętrzny z nią wygrał.

Widzi przed sobą don, który upadł na ulicę, i zatrzymuje się. Przepięknie z nogi na nogę. Nie wie, co dalej. Chce poruszać palcami, ale dłoń Gentlemana zbyt mocno ją ścisła.

Drzewo unosi się nad asfaltu. Widać pod nim Mięśniaka. Podnosi klon tak wysoko, jak tylko potrafi. Odrzuca go na bok, na błotniste podwórko.

Irene kiwa z wdzięczności głową.

Mięśniak mówi: — Miiiiau.

Irene idzie dalej. Stara się zbyt dużo nie myśleć. Skupia się tylko na kolejnym kroku. Prowadzi ich Uszatek, wykorzystując swój niezwykle dobry słuch. Jego ciało jest całe napięte. Słyszy coś w dali.

Kiedy zbliżają się do centrum, Irene zdaje sobie sprawę, jak niewiele zostało z ich miasta. Ulice wyglądają, jakby wieki temu przeszło przez nie tornado i nikt nie zajął się sprzątaniem. Budynki porośnięte są pnączami, ze szczelin w chochlikach wyrastają korzenie i chwasty, na poboczach stoją pordzewiałe wraki samochodów, wszędzie wala się gruz, jakby w okolicę uderzyły bomby.

- Miau — mówi Uszatek, pokazując głową miejsce w dali.

- Co to jest? - pyta Irene.

Przed nimi z okolicznych domów i bloków tysiące ludzi wylewa się na ulicę. Schodzą po klatkach przeciwpożarowych, wyskakują z okien i wychodzą z kanałów ściekowych. Wszyscy są zagubieni i przestraszeni. Wyglądają na niespokojnych, jakby bali się siebie nawzajem, ale mimo to coś ich do siebie ciągnie.

I przy każdym z tych nerwowych ludzi idą trzy koty: Gentleman Mięśniak i Uszatek.

- Miau? - pyta Uszatek, patrząc na Irene z szerokim, dziecięcym uśmiechem.

Irene kiwa głową.

Rusza w stronę tłumu, robiąc maleńki krok za maleńkim krokiem. W głowie jej się kręci, a palce robią się niespokojne, ale trzy kotki miesiąc towarzyszą jej przez cały czas.

Przetłumaczyła Agnieszka Brodzik

Stefan Darda (ur 1972) - pisarz grozy pochodzący z Roztocza na Lubelszczyźnie, obecnie mieszka w Przemyślu. W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku był muzykiem folkowej grupy „Orkiestra świętego Mikołaja”, a fascynacja polską kulturą ludową wciąż jest widoczna w jego twórczości. Utwory Stefana Dardy uzyskały pięć nominacji do nagrody literatury fantastycznej im. Janusza A. Zajdla. W kategorii Powieść nominowano: Dom na

wyrębach (2009), Czarny Wygon. Słoneczna Dolina (2011) oraz Czarny Wygon. Starzyzna (2011), natomiast w kategorii Opowiadanie: Ostatni telefon (zon), a także Spójrz na to z drugiej strony (2011). Ostatni z wymienionych utworów ukazał się w poprzedniej części antologii autorów polskich i zagranicznych 11 blizn, wydanej nakładem Wydawnictwa Replika. Opowiem ci mroczną historię stanowi zapowiedź zbioru opowiadań Stefana Dardy (premiera planowana jest na pierwszą połowę 2013 roku).

OPOWIEM CI MROCZNĄ HISTORIĘ

I.

Brzmienie głosu w słuchawce wskazywało na to, że moim rozmówcą jest mężczyzna w podeszłym wieku. Mówił chrapliwie i niewyraźnie, z trudem artykułując poszczególne wyrazy, które co chwila przeplatał przerwami na świszczące zaczerpięcie płytkiego oddechu.

Początkowo nie miałem pojęcia o co mu chodzi, ale gdy powtórzył po raz drugi, zapytałem niepewnie:

- Czy dobrze rozumiem, że chce pan, abym przyjechał do pana w związku z konkursem dla czytelników naszego pisma?

Potwierdził w sposób, jakby była to najbardziej oczywista rzecz pod słońcem. Gdyby nie mój szacunek dla starszej osoby, w tym momencie nasza rozmowa zapewne by się zakończyła.

— Niestety, przykro mi, ale reguły są inne - zacząłem tłumaczyć jak małemu dziecku. — Osoby biorące udział w zabawie przygotowują teksty i przysyłają je pocztą na adres naszej redakcji.

Przez dłuższy czas słyszałem tylko ciężki oddech.

„Tylko mi tam nie umrzyjcie, dziadku” – pomyślałem i uśmiechnąłem się pod nosem. Kiedy teraz wracam do tej naszej pierwszej rozmowy, wcale już nie wydaje mi się to zabawne.

Wreszcie odchrząknął i powiedział:

- Właśnie chodzi o to, że ja nie chcę brać udziału. Chcę tylko z panem porozmawiać, bo to zdaje się pan wymyślił temat. „Mroczne historie”, prawda? - W słuchawce zarzęził suchy kaszel. Gdy po kilkunastu sekundach ustał, odparłem:

-Owszem, ale biorąc pod uwagę profil miesięcznika „Twoje Medium”, nie widzę w tym temacie niczego dziwnego.

-Niech pan przyjedzie - upierał się. - Wtedy panu wszystko wytłumaczę.

- Obawiam się, że...

- Ja się nazywam Adolf Krawczyk - przerwał mi w pół słowa. - Proszę sobie zapisać adres... tak na wszelki wypadek. Może jednak zmieni pan zdanie.

Poszukałem jakiejś kartki, dla świętego spokoju, z przekonaniem, że za chwilę i tak wyląduje w koszu.

•••

Był to okres moich ostatnich przygotowań do generalnego remontu mieszkania. W planach było malowanie, wymiana większości mebli i spektakularna rewolucja w łazience. Zamierzałem też pozbyć się drewnianych, przeciekających już gdzieniegdzie podczas większego deszczu okien dachowych i tu właśnie był największy problem - stare lukarny były zwieńczone trójkątnie, więc nowe, plastikowe, trzeba było specjalnie zamówić u producenta.

Prawie wszystko było już dopięte na ostatni guzik. Ekipa fachowców, którą wcześniej zarezerwowałem, właśnie kończyła robotę i lada dzień miała zamienić obszar działania na

moje M-3 na poddaszu, a - jak na złość - zlecenie na produkcję nietypowych okien było realizowane przez co najmniej cztery tygodnie. Był jednak jeden wyjątek - niewielka firma położona w oddalonym o niecałe dwie godziny drogi samochodem Rykowie, która reklamowała się w prasie najkrótszym, trwającym nawet mniej niż dziesięć dni czasem oczekiwania.

Kiedy spojrzałem na nabazgrany niedbale na kartce adres, a później sprawdziłem lokalizację Domu Spokojnej Starości „Irys” w miejscowości Ryków Górny, plan działania miałem już gotowy. Jeszcze tego samego dnia zameldowałem Naczelnemu, że nazajutrz udaję się w teren, by zrobić wywiad, który rzuci na kolana pół zakochanej w historiach nie z tej ziemi Polski. Bardzo się ucieszył.

Ja chyba jeszcze bardziej, ponieważ przed remontowymi zmaganiem każdy zaoszczędzony dzień urlopu był dla mnie na wagę złota.

II.

Następnego dnia w południe siedziałem na niewielkim rynku, otoczonym rachitycznymi drzewami i burymi, sypiącymi się kamieniczkami, które świetność dawno miały już za sobą. Życie w centrum powiatowego Rykowa toczyło się z werwą charakterystyczną dla żwawego nieboszczyka.

W garści ścisnąłem puszkę coli. Pomimo że napój z każdą chwilą stawał się coraz cieplejszy i bardziej paskudny, nie potrafiłem radzić z nim sobie szybciej. Senne otoczenie, reprezentowane godnie przez sunących noga za nogą lub grupujących się na podobnych do mojej ławeczkach emerytów, działało na mnie hipnotycznie. Znalazłem się w miejscu, gdzie niczego nie wypada robić szybko.

Nie dopiłem coli nawet do połowy. Poszukałem wzrokiem kosza na śmieci i dostojnym krokiem pomaszzerowałem w jego stronę. Sądząc po papierach i butelkach malowniczo rozrzuconych na zaniedbanych skrawkach zieleni, sztuka celnego trafienia do metalowego pojemnika nie cieszyła się w Rykowie jakąś szaloną popularnością. Gdy dźwięk uderzającej o metal puszki poniósł się echem po okolicy, miasteczko na chwilę zamarło, a wszyscy obecni na rynku, włącznie z umundurowanym strażnikiem miejskim, który na skraju chodnika właśnie wypisywał mandat za nieprzepisowe parkowanie, odwrócili głowy w moją stronę. Zastanawiałem się, czy to przypadkiem nie ja będę następnym ukaranym, ale miejscowy stróż prawa i sprawiedliwości stracił mną zainteresowanie. Po chwili jednak zaabsorbowałem jego uwagę ponownie. Tym razem pytaniem o położony gdzieś w okolicy Dom Spokojnej Starości o nazwie „Irys”. Zanim dotarło do funkcjonariusza o co mi chodzi, wyglądał na nieźle przestraszonego.

Sprawy związane z zamówieniem okien udało mi się załatwić już wcześniej i to w niepasującym do tego miejsca, ekspresowym tempie. Właściciel firmy o nazwie „ONZ” okazał się nie w ciemną bitym jegomościem około sześćdziesiątki, który nie zamierzał wypuścić z rąk okazji w postaci niespodziewanego zamówienia. Udało mi się uzyskać obietnicę, że zlecenie zostanie zrealizowane w terminie ośmiu dni, a dodatkowo otrzymałem pięćprocentowy rabat. Jedyne, co nie zostało jeszcze ostatecznie uzgodnione sposób dostawy moich nowych Okien Na Zamówienie. Gdy jednak w ponurych okolicznościach zapytałem ryneczku oczekiwałem na odpowiedź funkcjonariusza, w mgnieniu oka powziąłem decyzję, że zlecę nieco droższy, ale niewiążący się z koniecznością ponownej wizyty w Rykowie, transport zorganizowany przez producenta.

- Irys, irys... - zadumał się, po czym zdjął czapkę z daszkiem, schował bloczek mandatowy pod pachę przepoczonej koszuli i uwolnioną w ten sposób ręką podrapał się w lśniąca wilgocią, purpurową od czerwcowego upału łysinę. - A nie chodzi panu czasem o zakład pogrzebowy? Mamy tu taki..

- Nie, nie chodzi mi o zakład pogrzebowy - przerwałem, nie dbając o konwenanse.

Zależało mi na jak najszybszym opuszczeniu tego miejsca, a ociążały, nie tylko fizycznie, strażnik nie był osobą, z którą miałbym ochotę wdawać się dłuższą konwersację. - Chodzi mi o dom starców w Rykowie Górnym, panie władzo.

Jego mętne dotąd oczy pojaśniały.

- A, to trzeba było tak od razu, że w Górnym! - ucieszył się i poinformował mnie w kilku zdaniach, w którym kierunku powinienem się udać.

•••

Wyjeżdżając z kwadratowego ryneczku, miałem poważne wątpliwości, czy aby na pewno droga będzie tak prosta, jak zapewniał funkcjonariusz. Obawy znacząco się zmniejszyły, gdy po przebyciu kilkuset metrów od wyjazdu z miasta, dostrzegłem zieloną tablicę z napisem Ryków Górny. Wciąż też miałem w pamięci ostatni, pomalowany na ostry fiolet, parterowy budynek w większej miejscowości, który dowodził, że miejscowy szeryf nie pomylił się również w innej kwestii.

Od dłuższego czasu włókłem się za konduktem żałobnym złożonym z karawanu i byle jak ułożonej na nim trumny. Czarne auto, wyjeżdżające z bramy przy fioletowym zakładzie pogrzebowym „Irys”, praktycznie zajechało mi drogę, więc, pamiętając o wpajanych mi w dzieciństwie zabobonach, nie zdecydowałem się na wyprzedzenie ponurej limuzyny.

O tym, że patrzenie przez szybę samochodu na żałobny kondukt także może spowodzić nieszczęście, zapomniałem na amen. Być może dlatego, że zastanawiałem się wtedy, jak często pensjonariusze Domu Spokojnej Starości „Irys” odwiedzają sąsiednią miścinę i jakie refleksje przychodzą im do głowy, gdy spoglądają w stronę zakładu pogrzebowego o dobrze im znanej nazwie.

Karawan zatrzymał się wreszcie przy niewysokim cmentarnym murku zabezpieczonym niedbale od góry zbutwiałym gontem. Z auta wysiadło kilku łapiduchów w biało-czarnych uniformach, którzy z łatwością zdjęli trumnę i bez zbędnych ceregieli zniknęli z nią za zardzewiałą, metalową bramą. Takiego pogrzebu nie zdarzyło mi się jeszcze oglądać - żadnych kwiatów, żadnej bardziej lub mniej pogrążonej w smutku rodziny żegnającej dało zmarłego (lub zmarłej), nie dostrzegłem też nigdzie księdza. Mimo dość intrygujących okoliczności, dających nadzieję na nietuzinkowy felieton, zdusiłem w sobie niezdrawą ciekawość i pokusę dalszego uczestnictwa w ponurej uroczystości, by możliwie najszybciej mieć za sobą spotkanie z Krawczykiem. Byłem podenerwowany jak przed wizytą u dentysty, a mało przyjemne sprawy, od kiedy pamiętam, zwykłem załatwiać szybko i bez niepotrzebnej zwłoki.

Ponieważ strażnik wspomniał, że dom starców położony jest niemal naprzeciw cmentarza, zdawałem sobie sprawę, że jestem już właściwie u celu. I faktycznie - po lewej stronie drogi dostrzegłem coś w rodzaju rozległego parku, otoczonego identycznym murkiem jak ten widziany przed chwilą. Zardzewiała brama również była bliźniaczo podobna, a ponieważ nie widniały przy niej zakazy dotyczące wjazdu na teren ośrodka, po chwili zmierzałem szeroką aleją starych drzew w kierunku mającego w oddali piętrowego budynku, który wyglądał na niewielki pałacyk.

Im byłem bliżej, tym więcej osób mijalem. Siedzący na leżakach, ławkach lub wsparci o rozklekotane balkoniki pensjonariusze, przypominający bardziej zjawy, niż ludzi z krwi i kości, przypatrywali się mojej ciemnoniebieskiej toyocie z nieufnością, kto wie? - może nawet obawą. Najwidoczniej obcy samochód był tutaj rzadkością, a krewni podopiecznych ośrodka rzadko fatygowali się, by odwiedzić swoich leciwych i nikomu już niepotrzebnych bliskich.

Być może otaczający to miejsce mur sprawił, że mimowolnie przyszło mi na myśl określenie „cmentarny przedsionek?” i stwierdziłem, że jednak wolałbym w tym czasie

uczestniczyć w tamtym pogrzebie niż przemieszczać się pomiędzy ciałami zakwalifikowanymi przez nieubłaganego selektonera do rychłej wycieczki na drugą stronę drogi; byłem jednak już zbyt blisko celu, by teraz nagle się wycofać.

Zaparkowałem niedaleko ukrytego za dwiema parami kolumn wejścia do budynku, zauważając jednocześnie bez większego zdziwienia, że lata świetności, podobnie jak kamieniczki otaczające rynek pobliskiego miasteczka, ma ono już dawno za sobą.

Drewniane drzwi pałacyku otwarte były na oścież i już z odległości kilku metrów wyczułem ostry, zionący z korytarza zaduch. Natychmiast po przekroczeniu progu, gdy oczy z trudem przyzwyczajały się do panującego wewnątrz półmroku, zawładnęła mną trudna do przewyciężenia pokusa, by uciec z tego miejsca jak najszybciej. Smród odleżyn, przywodzący na myśl rozkładające się dało, przemieszany z odorem zaschniętego moczu, sprawiał, że zabrakło mi tchu, a śniadanie w jednej sekundzie wykupiło bilet na ekspres w drogę powrotną. Wiedziałem jednak, że jeśli wyjdę, nigdy więcej nie zdecyduję się na ponownie próby, dlatego, wstrzymując oddech, ruszyłem naprzód.

Po pokonaniu kilku schodków znalazłem się na skąpo rozjaśnionym świetlówkami, szerokim korytarzu. Niektóre z drzwi prowadzących do położonych po obu jego stronach pomieszczeń były otwarte, dzięki czemu zaduch wydawał się nie być już tak dławiący, jak w wąskim gardle prowadzącym na zewnątrz.

Z jednego z pokojów wyszła młoda, ubrana na biało kobieta z basenem sanitarnym w ręku i skierowała się w moją stronę. Gdybym jej nie zaczepił, minęłaby mnie bez słowa.

- Przepraszam bardzo, gdzie znajdę pana Adolfa Krawczyka?

Przystanęła, jej brwi powędrowały do góry, a wyraz twarzy dopełnił tylko obrazu bezgranicznego zdziwienia.

- Na pewno chodzi panu o pana Adolfa? Nikt nigdy do niego nie...

- Tak, na pewno.

Zastanowiła się przez moment i po sprawdzeniu godziny na ściennym zegarze wymieniła numer drzwi, wskazując jednocześnie kierunek.

- A może wyszedł na dwór? - Wiele bym dał, żeby tak właśnie było.

- Nie, pan Adolf raczej nie wychodzi - natychmiast rozwiała moje nadzieje i po chwili już jej nie było.

Musiałem udać się w stronę, z której przyszła, jednak postanowiłem odczekać kilkadziesiąt sekund, aż woń odchodów nieco zelżeje. W międzyczasie naszła mnie refleksja, że najprawdopodobniej starszy pan zamarzył o czyichś odwiedzinach i w prosty sposób znalazł frajera.

Gdy uznałem, że droga nieco się przewietrzyła, ruszyłem przed siebie, modląc się, aby dziewiętnastka nie była numerem pomieszczenia, z którego wracała pielęgniarka.

I faktycznie, przedostatni po lewej stronie korytarza pokój był o wiele dalej. Dotarłem do niego, starając się nie rozglądać na boki, by nie zobaczyć czegoś, o czym mógłbym później śnić po nocach lub rozmyślać, gdy nawiedzą mnie ponure myśli o zbliżającej się nieuchronnie starości.

Pomalowane jasnozieloną olejną farbą drzwi oznaczone dziewiętnastką, jako jedne z nielicznych pozostawały zamknięte, co nie wróżyło najlepiej, niemniej jednak, skoro już tyle przeszedłem, nie pozostało mi nic innego niż kontynuować tę wątpliwą, jakości przygodę.

„Nadchodzę, cwany staruszk” - pomyślałem, a potem zaczerpnąłem głęboko powietrza i mocno zastukałem.

3*

Słuch Krawczyka najwyraźniej sprawował się jeszcze całkiem przyzwoicie.

- Czego tak głośno?! — dobiegło zza zamkniętych drzwi. - Otwarte jest przecież!

Te dwa krótkie zdania nie miały ze sobą nic wspólnego, niemniej jednak uznałem, że drugie z nich jest swoistym zaproszeniem, więc nacisnąłem klamkę i wszedłem do środka.

Przez dłuższą chwilę po raz kolejny przyzwyczajając wzrok do półcienia, aż wreszcie zobaczyłem siwego, przygarbionego mężczyznę, siedzącego na skraju stojącego pod prawą ścianą łóżka. Drugie, stojące po przeciwległej stronie sali, było puste.

Zamknąłem za sobą drzwi, czując, że Krawczyk śledzi każdy mój ruch.

- Dzień dobry, panie Adolfie. Dzwonił pan, więc przyjechałem. Nazywam się...

- Skoro tak, to teraz już wiem, kim pan jest. Proszę, niech I pan wejdzie dalej. - Tego dnia jego głos brzmiał o wiele lepiej I niż przez telefon. - Nie sądziłem, że pojawi się pan tak szybko. I Prawdę mówiąc, podejrzewałem, że nawet nie zapisał pan sobie I adresu...

- Tak naprawdę, to miałem sprawę tu, w okolicy i dobrze się I złożyło, bo dzięki temu mogłem wpaść. - Podeszedłem i wyciągnąłem dłoń, którą Krawczyk natychmiast uściśnął. - Miło mi pana poznać. A teraz, chciałbym się dowiedzieć...

— Chwileczkę — przerwał mi. - Proszę, niech pan siada. - Ręką wskazał na przeciwległe łóżko. - Tam chyba będzie najwygodniej, bo taborety mamy tutaj... to znaczy są tutaj bardzo twarde.

- Nie mam zbyt wiele czasu, no, ale może na chwilę usiądę. Tylko, czy nie miałby pan nic przeciw temu, bym trochę uchylił żaluzje?

- Oczywiście, proszę bardzo.

Światło wpadało do pokoju tylko przez uchylone na kilkanaście centymetrów okno. Gdy, manipulując przy żaluzjach, niby niechcący uchyliłem okienne skrzydło szerzej, Krawczyk nie zareagował.

Musiałem to zrobić, ponieważ w pokoju śmierdziało rozkładającym się dałem.

Nie był to zapach zbyt intensywny, ale dało się go odczuć na tyle wyraźnie, że jeśli nie otworzyłbym szerzej okna, ciężko byłoby tam wytrzymać dłużej niż kilka minut.

Wreszcie, gdy zrobiło się widno, usiadłem obok mojej nieodłącznej torby na ramię na łóżku naprzeciw Krawczyka. Był to stary człowiek o zniszczonej, poszarzałej i pooranej zmarszczkami twarzy. Trudno mi było określić dokładniej jego wiek, ale miał już na pewno grubo po osiemdziesiątce,

- Pan też to czuje? — zapytał.

Odpowiedziałem pytającym spojrzeniem, ale wiedziałem dokładnie, co ma na myśli.

- Do wczoraj łóżko, na którym pan siedzi nie było puste. Spał w nim Władek... Kiedyś mistrz Polski w boksie, olimpijczyk - uśmiechnął się smutno, Przyjeżdżali tu nawet czasem robić z nim wywiady, a ostatnio — szmela był z niego, jak każdy inny. A może nawet gorszy, bo nie wstawał, odleżyny mu się robiły i gnił, jak każdy jeden w jego stanie. - Zamyślił się. - Też Krawczyk miał na nazwisko... :

Rozumiałem już zdziwienie pielęgniarki, że pytam o innego Krawczyka.

- Powiedział pan: „miał na nazwisko”... Czy to znaczy, że...?

- Zmarł wczoraj w nocy na tym łóżku i to chyba jeszcze dosyć wcześnie. Noc była gorąca, a ja dopiero rano się zorientowałem, że coś z nim nie tak... Ale niech się pan nie boi... — zauważył, że zaczynam się niespokojnie wiercić. - Całą pościel i materac wymienili od razu. Tylko rama została. No i zapach, ale ten to się wywietrzy szybko. Wiem, bo nie pierwszy raz takie coś przechodzę... Pan jeszcze młody, nieprzyzwyczajony... - Znów ten smutny uśmiech. - Jeszcze na to czas... - Krawczyk spuścił wzrok na swoje powykęcane reumatyzmem dłonie.

Aby zająć myśli, czym innym, rozejrzałem się po pokoju. Dwie szafy, dwa taborety, dwa takie same stoliki przy łóżkach

i tylko jeden z położonymi na nim gazetami (zauważyłem między innymi kilka numerów „Twojego Medium”), obok których stał głośno tykający, staromodny budzik.

- Odmierza mój czas. - Usłyszałem głos Krawczyka, który, jak się okazało, znów mi się przyglądał. - I chodzi coraz szybciej. Pan też ma taki zegar?

- W dzisiejszych czasach każdy ma zegar - odparłem wymijająco, a zaraz potem

dodałem: — Wie pan, dobrze, że przypomniał mi pan o czasie, bo akurat, jak wspominałem, nie mam go dziś zbyt wiele. Może więc przejdziemy do rzeczy?

Pokiwał głową, powiedział „dobrze”, a potem przez długą chwilę milczał, patrząc w okno. Wreszcie wbił we mnie swoje intensywnie zielone oczy i powiedział:

- Chcę, żeby pan odwołał ten konkurs.

- Ściągnął mnie pan tylko po to, żeby mnie o to poprosić? - zapytałem i sięgnąłem ręką po torbę. - Trzeba było powiedzieć przez telefon, a nie zajmowałibyśmy sobie wzajemnie czasu. To jest moja praca i nie pozwolę, by ktokolwiek w nią ingerował, nawet jeśli jest to osoba w pańskim wieku.

Wstałem.

- Chwileczkę, panie Łukaszu, tak ma pan na imię, prawda? Mogę panu mówić po imieniu? Proszę chwilę poczekać... - Próbował się podnieść, ale nie dał rady. — Bardzo proszę jeszcze na chwilę usiąść.

Spełniłem jego prośbę, ale tym razem nie rozsiadałem się, tylko przycupnąłem na brzeżku materaca.

- Dziękuję - westchnął z, jak mi się zdawało, ogromną ulgą. - To jak, mogę po imieniu? Skinąłem głową.

— A więc, Łukaszu, wiem, że to twoja dziennikarska praca i wiem też, że ci za nią płacą. Z drugiej jednak strony, zawód dziennikarza to także powołanie, misja... Chyba mi przyznasz rację?

- Ale co to ma wspólnego z konkursem?

- Zaraz to wyjaśnię. Wiem, że może ci się wydać to dziwaczne, ale zrozum, chciałbym jeszcze przed śmiercią zrobić coś dobrego.

- Wciąż nie rozumiem. — Zaczynałem się niecierpliwić.

Zamyślił się na chwilę, a potem rzekł:

- Chcę ci zaproponować pewien układ. Wyglądasz mi na uczciwego człowieka i sądzę, że jeśli go zawrzemy, to dotrzymasz słowa. Konkurs ma temat „Mroczne historie”, prawda?

- Owszem.

- Opowiem ci mroczną historię. Opowiem ją, a jeśli okaże się, że nigdy wcześniej nie słyszałeś lub nie czytałeś czegoś przynajmniej równie mrocznego, to zrezygnujesz z konkursu. Jesteś w stanie podjąć takie ryzyko?

Teraz zabrzmiało to dość intrygująco. Mój dziennikarski nos podpowiadał, że skoro facet aż tak nalega, to może faktycznie ma coś interesującego do powiedzenia?

- Ale dlaczego panu na tym aż tak bardzo zależy? - zapytałem.

- Do tego dojdziemy. Teraz najważniejsza jest twoja odpowiedź. Tak czy nie, Łukaszu? Wpatrywałem się w jego jeszcze przed chwilą papierowobiałą twarz, na której teraz nagle wykwitły bladoróżowe rumieńce.

- W sumie moglibyśmy spróbować - zacząłem niepewnie. - Ale jeszcze jedna kwestia - czy jeśli pana będzie na wierzchu i odwołam konkurs, to czy pańską opowieść będę mógł w jakikolwiek sposób wykorzystać?

Tym razem on się zastanawiał. Prowadziliśmy rozgrywkę jak para wytrawnych szachistów.

- Dobrze, ale tylko w pełnej wersji, czyli zacytujesz dokładnie to, co powiem. Bez skrótów i bez upiększeń. — Zachrypiął i przez chwilę wstrząsał nim gwałtowny kaszel, miałem więc czas na zastanowienie. Kiedy kaszel ustał, powiedziałem:

- Niech będzie, panie Krawczyk. W takim razie słucham.

- Jak to „słucham”? Przecież nie jesteś w stanie wszystkiego zapamiętać słowo w słowo...

- Dobrze, ma pan rację. Chwileczkę...

Sięgnąłem do torby po dyktafon, sprawdziłem stan baterii, a później spytałem:

- Jest pan gotowy? Czekam na sygnał i zaczynamy.)

Powstrzymał mnie ruchem ręki, odchrząknął kilka razy jak uczeń przed recytacją wiersza na

szkolnej akademii, a potem skinął głową.

Wcisnąłem klawisz startujący nagrywanie, położyłem dyktafon na stoliku i rozsiadłem się wygodniej na łóżku, jeszcze niedawno należącym do Władysława Krawczyka. Nazywam się Adolf Krawczyk i mam osiemdziesiąt dwa lata. Ostatnie sześć z nich spędziłem w Domu Spokojnej Starości w Rykowie Górnym, gdzie wciąż trzymają mnie tylko dlatego, że oddaję im część swojej marnej renty. Mężczyzn (bo mimo wszystko wciąż jesteśmy mężczyznami) takich jak ja są tutaj dziesiątki. Jesteśmy powietrzem, z którego można wycisnąć trochę forsy, a okna, którymi mogłoby nas wywiać, nie są zbyt szeroko otwierane tylko ze względu na fakt, że dajemy utrzymanie dyrekcji ośrodka.

Być może trudno w to uwierzyć, ale każdy z nas, każdy z tych pokurczonych, niedołężnych organizmów zdanych na łaskę i niełaskę obojętnego personelu placówki, ma swoją historię. Pomarszczone, przeważnie bezzębne już usta bez wahania mogłyby odpowiedzieć na pytanie o najwspanialszą chwilę w życiu, czy o najbardziej tragiczne zdarzenie. Młode, śliczne dziewczyny, które zaglądają do nas tylko po to, aby ze skrzykniętym obrzydzeniem zmienić pieluchy, kaczki czy baseny, nawet sobie nie wyobrażają, jak wiele mogłyby się nauczyć od każdego z nas. My naprawdę mamy świetną pamięć. Może niektórzy z nas nie pamiętają, co było wczoraj albo pięć minut temu, z pewnością jednak doskonale przypominamy sobie chwile, kiedy byliśmy młodzi i na tyle przystojni, że młode dziewczyny - bardzo podobne do naszych pielęgniarek - kokietowały nas na potęgę. Z takim właśnie okresem mojego życia wiąże się historia, do której chciałbym nawiązać w tej krótkiej opowieści.

Moja matka zmarła na gruźlicę, gdy zaczynałem chodzić do szkoły, więc prawie jej nie pamiętam. Postrzępione obrazki, które pozostały w dziecięcej świadomości, pozwoliły mi zapamiętać ją jako smutną, wiecznie przestraszoną kobietę, która bała się swojego męża (a mojego ojca) bardziej niż samej śmierci. Gdy zmarła, jej strach przed silnymi razami przeszedł na mnie oraz dwójkę mojego starszego rodzeństwa. Byliśmy regularnie bici, szczególnie gdy ojciec wracał do domu pijany. Ot, historia jakich wiele.

Oprócz bicia najbliższych osób i alkoholu, mój ojciec miał jeszcze jedną pasję - jeśli tak to można nazwać. Był człowiekiem niezwykle religijnym. Tak więc, chcąc nie chcąc, do dwudziestego roku życia musiałem uczestniczyć w mszach świętych jako ministrant. Rzecz jasna, byłem wdzięcznym obiektem docinków swoich rówieśników, jednak pomimo to, w każdą niedzielę karnie służyłem w kościele; pasa ojca obawiałem się o wiele bardziej niż kąśliwych uwag kolegów ze wsi.

Zbyszek mieszkał w domu naprzeciw, po drugiej stronie drogi i był moim najlepszym przyjacielem. Od najmłodszych lat każdą wolną od prac polowych chwilę spędzaliśmy wspólnie. Jak to zwykle bywa - kochaliśmy się w tych samych dziewczynach, razem paliliśmy nasze pierwsze papierosy skręcane z jakiegoś obrzydliwie śmierdzącego zielska i próbowaliśmy po raz pierwszy alkoholu.

Gdy miałem dziewiętnaście lat, w jedno z upalnych czerwcowych popołudni, kiedy przygotowywałem się właśnie do wieczornego nabożeństwa, ojciec przyszedł do domu, popatrzył na mnie i powiedział:

- Zbyszek Matlaków wpadł pod kosiarkę. Trup na miejscu.

Poczułem się tak, jakby ktoś zdzielił mnie obuchem w sam środek głowy. Obraz, który miałem przed sobą, przykryły ciemne plamy, a do oczu gwałtownie zaczęły napływać łzy. Śmierć przyjaciela zabolala tak samo mocno, jak obojętny ton wypowiedzianych przez ojca słów.

- Pójdę już do kościoła, tato - powiedziałem lekko drżącym głosem.

- Już? Przecież dopiero piąta.

- Muszę przygotować nabożeństwo. No i chciałbym się jeszcze pomodlić za Zbyszka.

- Jemu żadna modlitwa nie pomoże. Do kościoła w niedziele nie chodził, to i w piekle

już się pewnie smaży.

Ze spuszczonego wzrokiem minąłem ojca w drzwiach. Bałem się wtedy na niego popatrzeć; nie chciałem, żeby wyczytał w moich oczach, jak bardzo go nienawidzę. Na pogrzeb zjechali się ludzie ze wszystkich pobliskich wsi. Śmierć młodego chłopaka, w dodatku jedynaka, jak magnes ściągnęła ciekawskich, którzy chcieli zobaczyć, jakie cyrki będzie odstawiać przy grobie stara Matlakowa. Nikt tego nie powiedział głośno, ale na pewno wielu było zawiedzionych tym, że matka Zbyszka w ogóle na pogrzeb nie przyszła. Krążyły na ten temat różne plotki, ja jednak wiem od ojca mojego przyjaciela, że sama zrezygnowała, mówiąc, że po prostu nie będzie potrafiła tego znieść.

We wrześniu tego samego roku, po mszy, organista poprosił mnie, żebym poczekał przed kościelną bramą. Gdy pozamykał kościół, podszedł do mnie, zapalił papierosa i powiedział:

- Jest sprawa, Krawczyk.

Milczałem, czekając na ciąg dalszy. Nie miałem pojęcia, jaką to sprawę może mieć do mnie organista.

- Potrzebny jest silny chłop. Ty jesteś silny, to nam pomożesz.

- Ale w czym?

- Trzeba wykopać trumnę i włożyć ją do murowanego grobowca.

- Panie Stasiak, ja nie... Musicie znaleźć kogoś innego...

- Znałeś młodego Matlaka?

- Tak - odpowiedziałem, spuszczać głowę.

- To był twój dobry kolega?

- Był.

- Dla niego to zrobisz.

Na tym dyskusja się skończyła. Organista odwrócił się do mnie plecami i poszedł w kierunku swojego domu.

Trzy dni później, bladym świtem stawiałem się ze szpadlem przy grobie Zbyszka. Chwilę później dołączył do mnie miejscowy grabarz, organista i Matlakowie. Całą operację należało przeprowadzić jak najszybciej i bardzo dyskretnie. Ksiądz dał wprawdzie nieoficjalną zgodę, ale żadne służby epidemiologiczne nie zostały powiadomione, ponieważ najpewniej nie zgodziłyby się na przeniesienie trumny. Po prostu od pogrzebu minęło zbyt mało czasu.

Pracowaliśmy bardzo intensywnie. Po kilkunastu minutach pierwszy szpadel głucho uderzył o wieko trumny, a dziesięć minut później udało nam się wydobyć ją z dołu.

Zabraliśmy się od razu za jej przenoszenie, gdy Matlakowa zaczęła nas błagać, aby mogła jeszcze raz, choć przez chwilę spojrzeć na syna. Łkając mówiła, że jeśli tego nie zrobi, nigdy nie daruje sobie, że nie była na pogrzebie. Organista początkowo stanowczo oponował, jednak gdy zawođenje kobiety zaczęło być niebezpiecznie głośne, powiedział:

- Pół minuty, pani Matlakowa. Nie dłużej, bo mogą być problemy. Krawczyk - zwrócił się do mnie - podważ szpadlem wieko.

Zrobiło mi się słabo, jednak bez szemrania spełniłem polecenie. Wieko odskoczyło z zadziwiającą łatwością, a zaraz potem zobaczyliśmy leżącego w trumnie Zbyszka.

Żałowałem, że nie odwróciłem wtedy głowy. W leżącej na białym materiale postaci z trudem rozpoznawałem swojego przyjaciela. Jego twarz porastała gęsta, biało-zielona pleśń. Najwięcej było jej w oczodołach i w ustach, z których obrzydliwa substancja zdawała się wręcz wylewać. Moim ciałem wstrząsnęły gwałtowne mdłości, ponieważ jednak, ze względu na Matlaków, nie wypadało reagować zbyt gwałtownie, skierowałem wzrok w jakimś innym kierunku, starając się nie myśleć o tym, co zobaczyłem. Wtedy to właśnie nastąpiło coś, czego nie zapomnę do końca życia.

Matka Zbyszka, cicho szlochając, uklękła obok trumny i przytuliła rozkładające się zwłoki do swojej piersi.

- Syneczku - szepnęła. - Mój kochany syneczku...

W powietrzu wyczułem bijący z trumny smród.

- Pani Matlakowa - odezwał się cicho organista. - Musimy już zamknąć wieko. Pani Matlakowa! - powiedział głośniej.

Spojrzała na niego nieobecny wzrokiem.

- Tak, tak, wiem... - szepnęła ledwie słyszalnie, jak nad kołyską śpiącego dziecka. - Jeszcze tylko chwilka... Jedna chwileczka...

Z kieszeni podomki wyjęła bawełnianą chustkę i czuymi, opiekuńczymi ruchami zaczęła ścierać pleśń z twarzy Zbyszka. Po chwili mój przyjaciel wyglądał niemal tak samo, jak w dniu pogrzebu.

Matlakowa uśmiechnęła się czule, spoglądając na to, co pozostało z jej syna.

- Śpij spokojnie, skarbie - powiedziała jeszcze, lekko się uśmiechając, po czym spojrzała na organistę. - Teraz już możecie zamknąć. Dziękuję, panie Stasiak. Dziękuję wam wszystkim. Do widzenia. - To były jej ostatnie słowa, które słyszałem.

Matka Zbyszka wyszła z cmentarza, a my skończyliśmy robotę.

Dwa tygodnie później znów wszyscy się spotkalismy w tym samym miejscu. Tym razem na pogrzebie Matlakowej.

Gdy tego samego dnia wieczorem odszyfrowywałem nagraną opowieść, z przytoczonym wyżej, początkowym fragmentem nie miałem większych problemów ze zrozumieniem.

Krawczyk mówił dość głośno i całkiem wyraźnie, czasem tylko mimowolnie się powtarzając, ale to było łatwe do poprawienia - wystarczyło po prostu ominąć niektóre niepotrzebnie wtrącone zdania.

Gdy w opowieści dotarł do pogrzebu matki Zbyszka Matlaka zamilkł na kilka minut. Siedział w bezruchu, a jego porysowana głębokimi zmarszczkami twarz wykrzywiła się w wyrazie smutku. Nie ponaglałem, uznając, że być może zbiera myśli przed kolejną częścią swojej historii, ale nie dane mu było jej od razu kontynuować. Z korytarza dobiegły odgłosy szcękających naczyń, które zdawały się świadczyć o tym, że zbliża się pora obiadu.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich tęga kobieta, a zaraz potem na stoliku Krawczyka pojawiła się przyniesiona przez nią plastikowa taca z dwoma talerzami.

- Nie będę przeszkadzał - powiedziałem. — Wrócę za jakieś dwadzieścia minut, a pan sobie spokojnie zje.

Nie zaprotestował. Drżącą ręką sięgnął po łyżkę, a ja wyłączyłem dyktafon i, nie zabierając swoich rzeczy, opuściłem salę.

Kiedy znalazłem się przed budynkiem okazało się, że większość podopiecznych ośrodka udała się na posiłek, więc mogłem swobodnie pospacerować po parku bez narażania się na ostrzał ciekawskich spojrzeń.

Z przyjemnością wdychałem świeże powietrze, jakże inne od tego, które wypełniało duszne pomieszczenia. W głowie ciągle kołatał się dość intrygujący początek opowieści Krawczyka i musiałem przyznać przed samym sobą, że jestem bardzo ciekaw dalszego ciągu. Jedno wydawało się pewne - nawet jeśli nie miałbym do załatwienia sprawy związanej z oknami, i tak warto było tutaj przyjechać.

Dotarłem aleją do bramy i przekroczyłem asfaltową drogę, by zaraz potem skierować się w stronę cmentarza. Coś mi mówiło, że domyślałem się, w którym pogrzebie mimowolnie wziąłem wcześniej udział. Nieforemny kopczyk na końcu nowopowstającego rzędu grobów i przyczepiona drutem do drewnianego krzyża tabliczka utwierdziły mnie w tym przekonaniu.

- Dlaczego nikogo nie było na pogrzebie pańskiego współlokatora? - zapytałem po powrocie, zajmując swoje miejsce. - Był nie lubiany? To przecież bardzo niedaleko.

Krawczyk pokręcił głową.

- Nie, mamy tutaj takie nasze zabobony starych ludzi - uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Wiesz, parę razy w przeszłości zdarzyło się, że niektórzy poszli na pogrzeb, a później, po ledwie kilku dniach, po raz drugi wybierali się na cmentarz, tyle że tym razem już na stałe.

Chcemy żyć, mój chłopcze. Nawet jeśli życie starca jest nieznośne i byle jakie, to i tak nikomu z nas nie jest śpieszno na drugą stronę ulicy...

- Rozumiem. Czy możemy już kontynuować?

- Chwileczkę, jeszcze jedna Wiadomości w takim miejscu jak to roznoszą się lotem błyskawicy... Masz niebieskie auto, prawda?

Przytaknąłem.

- Muszę ci jeszcze powiedzieć, że wzbudziłeś swoim przyjazdem strach wśród niektórych. Wiem, że to nie twoja wina, bo i skąd mogłeś wiedzieć...

- Strach? Dlaczego?

- To kolejny miejscowy zabobon. Większość podopiecznych ośrodka żyje w przekonaniu, że samochody w tym kolorze przywożą śmierć. Mówimy o nich „niebiescy posłańcy” - głupie, prawda? - Wpatrywał się we mnie wyczekująco.

-Trudno powiedzieć. W każdym razie, przepraszam nie wiedziałem... - Teraz nie miałem problemu ze zrozumieniem złkniętych spojrzeń, które przywitały mnie, gdy wjechałem na teren ośrodka.

— Nie musisz przepraszać. To jak? Kontynuujemy? Mam jeszcze sporo do opowiedzenia, a popołudniami czuję się znacznie gorzej, niż rano.

Zanim włączyłem dyktafon, uświadomiłem sobie, że nieprzyjemny zapach rozkładającego się ciała w pokoju jakby się nasilił.

6.

Dokładnie tydzień po pogrzebie swojej matki przyśnił mi się Zbyszek.

Wyglądał obrzydliwie, chyba jeszcze bardziej okropnie niż wtedy, gdy w dość zaawansowanym stanie rozkładu leżał w trumnie. Teraz pleśń zaczęła już płatami odpadać z jego twarzy, odsłaniając gnijące, brunatne mięso i bielejące między nim kawałki czaszki. Widziałem też kości wyłazące spod popękanej skóry na jego dłoniach.

Wszystko rozgrywało się w jednym z naszych ulubionych miejsc - pod starym dębem rosnącym na pagórku za wsią, niedaleko brukowanej drogi, która prowadziła do sąsiedniej wioski. Spotykaliśmy się tam od wczesnego dzieciństwa, czasem sami, czasem w większym gronie. Paliliśmy ogniska, piliśmy samogon, gdy udało się go jakimś cudem zorganizować. Po raz ostatni - na dzień przed feralnym wypadkiem z kosiarką...

Trudno było zapomnieć ten sen. Siedzieliśmy naprzeciw siebie na trawie. Smród rozkładającego się ciała mojego przyjaciela był wręcz nie do zniesienia, a wygląd Zbyszka przyprawiał mnie o mdłości, ale... cieszyłem się, że jest ze mną. Od śmierci matki (a może nawet jeszcze przed nią) był przecież najbliższą mi osobą, nie licząc Hanki - dziewczyny, z którą wtedy się spotykałem w tajemnicy przed ojcem.

Rozmawialiśmy przez dłuższą chwilę, wspominaliśmy dobre czasy, on mówił, że teraz normalnie tak nie wygląda, tylko wtedy, gdy chce się spotkać z kimś żywym. Niewiele z tego rozumiałem i nie dbałem o to. Przypuszczałem, że to wszystko nie dzieje się naprawdę, ale mimo to czułem się dobrze i... I gdy się obudziłem, było mi szkoda. Wolałbym porozmawiać z nim jeszcze trochę.

Najdziwniejsze było zakończenie tego snu. Zbyszek wstał z trudem i powiedział;

- Chciałbym ci pomóc, Dolo. Wiem, że masz problem i wiem też, że im dłużej to będzie trwało, tym dla ciebie gorzej.

Kiedy zapytałem, co ma na myśli, odparł:

- Chodzi o twojego ojca. Pamiętaj, jeśli nie pozwolisz sobie pomóc, twoje życie zamieni się w piekło na ziemi.

- A skąd ty to możesz wiedzieć?

- Mogę ci pomóc, bo znam cię i wiem, że sam nie dasz sobie rady.

- Ale jak?! Co chcesz zrobić...?

- To, co będzie trzeba - odparł zdecydowanie, a w jego słabym głosie zabrzmiała nuta

nienawiści. - To ci się śni Dolo, ale jeśli chcesz, żebym ci pomógł, przyjdź jutro w to samo miejsce po zmroku. Spotkamy się wtedy i to już nie będzie sen.

Zaraz potem się obudziłem.

Przez cały dzień zastanawiałem się nad tym wszystkim. Im więcej godzin mijало, tym bardziej absurdalnym jawił mi się nocny majak; słoneczne światło skutecznie zacierało wrażenie realizm, towarzyszące mi o poranku.

„Nie bądź głupi, takie rzeczy się przecież nie zdarzają” - kołatało mi się pod czaszką.

Wreszcie, późnym popołudniem, nie potrafiłem pojąć, jak ja - dorosły już przecież mężczyzna, mogłem rozważać na serio nocne wyjście z nadzieją na spotkanie Zbyszka, i tak bym to zostawił, gdyby nie wydarzenia, które miały miejsce po wieczornej mszy...

Gdy po jej zakończeniu wróciłem do domu, ojciec siedział przy kuchennym stole i tępym wzrokiem gapił się w przeciwległą ścianę. Naprzeciw niego stała do połowy już opróżniona butelka wódki.

- i co, jebany hitlerowcu? - zapytał, wstając. - Specjalnie to robisz? Specjalnie chcesz mnie ośmieszyć przed całą wioską, debilu? Po to cię posyłałem do szkoły, żebyś nie potrafił do mszy dobrze służyć?

Stał przede mną, sapiąc z wściekłości.

- O co ci chodzi, tato? - zapytałem, ale wiedziałem dokładnie. W czasie mszy byłem trochę rozkojarzony; wróciły wspomnienia związane ze Zbyszkiem i z niezwykłym snem. Raz nawet ksiądz dał mi dyskretnie znać, żebym się skoncentrował na swoich zadaniach. Jestem pewien, że jedyną osobą, która to zauważyła, był mój ojciec.

- Chodzi o to, że nie będziesz mi wstydu przynosił.

- Dobrze tato, to się już więcej nie...

Uderzył mnie pięścią z całej siły wprost w półotwarte usta. Zatoczyłem się i upadłem na bok. Na języku poczułem cierpki smak krwi, miałem też wrażenie, że straciłem kilka zębów, ale nie dane mi było sprawdzić to od razu, bo zaraz potem potężny kopniak wylądował na mojej twarzy, a chwilę później kolejny i jeszcze jeden. Ojciec bił mnie fachowo i metodycznie. Była to jedna

z niewielu rzeczy, w których był naprawdę dobry. Gdy odruchowo zasłoniłem głowę, kopał mnie w żebra i brzuch, do utraty sił... Nagle przestał. Chciałem się podnieść, ale nie dałem rady; w tym czasie pociągnął solidnie z gwinta, a potem wrócił i znów zaczął mnie kopać, tym razem w plecy, w okolice nerek. Zanim straciłem przytomność, uświadomiłem sobie, że chce mnie zakatować na śmierć.

Ocknąłem się w tej samej, skulonej pozycji, wciąż osłaniając głowę rękoma. Każdy ruch powodował ogromny ból, ale udało mi się jakoś podnieść.

Na dworze było już prawie ciemno, ale nie na tyle, bym w kuchni nie zobaczył ojca, który spał, opierając głowę o położone na stole dłonie. Stojąca przed nim butelka była pusta.

Chciałem go zabić, przysięgam, ale nie byłem do tego zdolny. Wciąż oszołomiony, wyszedłem na dwór i lekko się zataczając ruszyłem w stronę dębu, przy którym miał czekać na mnie Zbyszek. W stanie, w którym się znajdowałem, wierzyłem, że sen może okazać się proroczy, a mój przyjaciel wróci z innego świata i pomoże mi rozprawić się ze znenawidzonym ojcem. Cóż, niewiele wcześniej porządnie oberwałem po głowie...

Oczywiście pod dębem nie zastałem nikogo.

Mimo to, cieszyłem się, że tam poszedłem. Wtedy wolałem być gdziekolwiek indziej, byle nie w domu, w towarzystwie oprawcy, który nie dokończył wprawdzie swojego zadania, ale w każdej chwili mógł się do niego zabrać ponownie.

Chłód nocy podzielał trochę trzeźwiąco. Siedziałem w ciemności, wsłuchując się w otaczające mnie odgłosy i rejestrowałem bolesne sygnały, płynące od poobijanego ciała. Straciłem dwa zęby, miałem też prawdopodobnie połamane żebra, ale skoro wciąż żytem, to była szansa, że jakoś się wyliżę.

W pewnej chwili usłyszałem za plecami kroki. Zdążyłem już przekonać sam siebie, że Zbyszek nie przyjdzie i chyba właśnie kontrast pomiędzy tą trzeźwą oceną sytuacji a dobrze zapamiętanym wizerunkiem na wpół rozkładającego się przyjaciela spowodował nagłe przyspieszenie tętna.

„A jeśli to prawda? Jeśli za chwilę stanie przede mną w stanie, w jakim go widziałem we śnie?”

Podniosłem się i oparłem plecami o pień drzewa.

Noc była bardzo ciemna i nawet jeśli ktoś stałby naprzeciw mnie, to zapewne bym go nie zobaczył, mimo to wpatrywałem się z całych sił w mrok z nadzieją, że uda mi się ją przeniknąć. Do moich nozdrzy dotarł odór rozkładu, a trawa znów cicho zaszeleściła.

- Zbyszek? - Usłyszałem swój drżący głos. - Zbyszek, czy to ty...?

Cisza.

Gdy od strony najbliższego gospodarstwa dobiegło przeciągłe wycie psa, zacząłem dosłownie trząść się ze strachu i nie miało to nic wspólnego z radością ze spotkania przyjaciela, którą pamiętałem ze snu.

Trawa kilka kroków ode mnie znów zaszeleściła, mdły smród stał się wręcz nieznośny, ale trwało to wszystko dosłownie kilka sekund. Niedługo potem znów oddychałem świeżym powietrzem, a wyjący nieopodal pies zamilkł.

Do czasu, gdy wschodni horyzont zaczął jaśnieć, nie wydarzyło się już nic, a przynajmniej ja niczego nie zauważyłem, przysypiałem kilka razy, więc noc minęła dość szybko.

Wiodącą przez wieś drogę spowijała wilgotna i gęsta poranna mgła, która ograniczała widoczność do najwyżej dziesięciu metrów. Brnąłem przez nią, zastanawiając się, czy dobrym pomysłem jest powrót do domu. Ojciec na kacu bywał jeszcze bardziej niebezpieczny niż po trzeźwemu, a kolejnej charakterystycznej dla niego nauczki mógłbym naprawdę nie przeżyć, dlatego postanowiłem zakraść się do stodoły, należącej do rodziców mojej dziewczyny i tam przeczekać mniej więcej do południa.

'Obmyślając plan na najbliższe kilka godzin szedłem ze spuszczoną głową, przez co stojącą przed mną postać zobaczyłem dopiero wtedy, gdy znalazłem się o kilka kroków przed nią.

Przystanąłem gwałtownie. Mgła ścieliła się między nami gęstym kobiercem, ale poranna szarówka z każdą chwilą coraz bardziej ustępowała miejsca nadchodzącemu świtowi, dlatego znajomą sylwetkę rozpoznałem bez najmniejszego trudu.

Naprzeciw mnie stał Zbyszek Matlak. Jego twarz była rozmytą, gnijącą plamą, ale garnitur i krawat, w których został pochowany, rozpoznałbym na końcu świata. Nie było mowy o halucynacji, widziałem go tak dokładnie, jak teraz widzę ciebie, chłopcze.

Miałem wrażenie, że w jednej sekundzie krew przestała krążyć w tętnicach, zaczęło mi się kręcić w głowie, a nogi odmówiły nagle posłuszeństwa i nie słuchały, gdy kazałem im jak najszybciej uciekać. Kiedy Zbyszek ruszył w moją stronę, myślałem, że padnę trupem z przerażenia, ale tak się nie stało. Chyba tylko dlatego, że usłyszałem jego dobrze znajomy, choć trochę niższy, niż kiedyś, głos:

- Byłem przy dębim wieczorem, ale widziałem, jak bardzo się boisz, dlatego pomyślałem, że lepiej będzie porozmawiać z tobą za dnia. - Zatrzymał się w pewnej odległości, lecz na tyle blisko, że czułem bijący od niego odór rozkładu. - Teraz nie wiem, czy to był dobry pomysł... Trzymasz się jakoś?

Przytaknąłem niepewnie.

- Nie bój się, wiem jak wyglądam, ale to przecież tylko doczesne truchło. Jak ktoś jest w potrzebie, to czasem trzeba je podnieść z ziemi. W potrzebie, tak jak ty, Dolo. Dlatego tu jestem...

Nie potrafiłem nic powiedzieć, jednak oddychałem już dużo spokojniej.

- Ale twoja obecność pod dębem nie wystarczy - ciągnął. - Musisz mi powiedzieć, że tego

chcesz, bo inaczej nie będę mógł tego zrobić.

- Że chcę... czego? Czego nie będziesz mógł zrobić?

- Twój ojciec zrujnuje ci życie. Jeśli tego w porę nie przzerwiesz... nie przerwiemy... to będzie już za późno. Znam cię i wiem, że nie zdołasz sam tego zrobić. Dlatego tu jestem - zakończył znów tym samym zdaniem.

- Co zamierzasz? Czy ty chcesz go...

- Tak. Dobrze się domyślasz.

Od gospodarstwa położonego obok dobiegło przeciągłe wycie, odpowiedziało mu kolejne, od strony zagrody położonej nieco dalej.

- Nie wiem, Zbyszek... To mój ojciec jednak jest.

- Mało cię wczoraj nie zatłukł jak śmiecia, jak najgorszego kundla...

- Wiem, ale... Nie jestem pewien. Muszę zdecydować już teraz, w tej chwili?

Przez chwilę stał nieruchomo.

- Dam ci jeszcze jeden dzień do namysłu, ale już ostatni. Jeśli nie będzie cię jutro w tym samym miejscu, sam będziesz sobie winien.

- Dobrze - odparłem. Wcześniej starałem się nie patrzeć na jego twarz, teraz to zrobiłem. Nie wyglądał już tak okropnie albo przynajmniej tak mi się zdawało.

Podszedł do mnie i wyciągnął rękę.

- W takim razie, mam nadzieję, do jutra.

Wahałem się przez jakiś czas, ale w końcu przemogłem obrzydzenie i ścisnąłem jego dłoń. Była zimna, miękka i oślizgła. Poczułem też drobne kości, wystające spod skóry i rozkładających się tkanek.

Niedługo później stałem na drodze sam, wsłuchując się w oszalałe wycie psów z całej wioski. Zanim ruszyłem dalej, odruchowo przybliżyłem prawą rękę, do twarzy.

Nie wyczułem niczego, poza zapachem mojego potu i krwi, którą wieczorem ocierałem z ust, a która już dawno zdążyła zaschnąć...

7-

Cierpliwie czekałem, aż napad suchego kaszlu minie Krawczykowi, jednak wyglądało na to, że tym razem problem jest poważniejszy. W czasie opowiadania swojej historii mój rozmówca kilkakrotnie przerywał, by poradzić sobie z podobnym atakiem, tym razem prawie się dusił, a z jego oczu płynęły łzy. Zresztą, już od kilku minut wypowiedzenie poszczególnych zdań przychodziło starszemu z coraz większym trudem i miałem wątpliwości, czy zdoła on dokończyć swoją historię.

Gestem wskazał mi stojącą obok stolika plastikową butelkę z wodą mineralną. Nalałem pół szklanki, a on wyciągnął rękę, upił kilka łyków, po czym położył się na łóżku i przymknął oczy, ciężko oddychając.

Kiedy wydawało mi się, że zasnął, usłyszałem:

-Nie dam już rady. Wybacz, chłopcze, teraz muszę trochę odpocząć - jego głos był na tyle słaby, że z trudem rozróżniałem i poszczególnie słowa.

- Ile czasu pan potrzebuje? - zapytałem.

-Chyba całą wieczność. Dziś już nic z tego nie będzie. Przepraszam.

-Może chociaż powie pan, czy następnego dnia pan tam poszedł?

Pokręcił tylko głową i odwrócił się do mnie plecami. Po chwili usłyszałem jego ciężki, ale miarowy oddech, więc najciszej jak to możliwe wymknąłem się z sali.

Siedząc w samochodzie, zastanawiałem się, czy jest sens czekać i próbować jeszcze raz tego dnia zawracać głowę Krawczykowi. Ostatecznie uznałem, że skoro jednoznacznie stwierdził, że tego dnia nie chce już rozmawiać, to taka próba byłaby z mojej strony sporym nietaktem.

Ostatecznie kierowany przeze mnie „niebieski posłaniec” opuścił teren domu starców w Rykowie Górnym, by nigdy już się na nim nie pojawić.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem wprowadziłem do komputera wszystko to, o czym opowiadał Krawczyk. Historia wyglądała całkiem interesująco, choć do miana najbardziej mrocznej, jaką usłyszałem w życiu było jej jeszcze daleko. Z jej ostateczną oceną musiałem się jednak wstrzymać. Moje myśli uparcie zaprzętało wrażenie, że pomimo gorącego prysznica wziętego zaraz po powrocie i wyprania wszystkich ubrań, które miałem na sobie w domu starców, wciąż czuję wokół siebie mdławy, trupi zapach. Okna były otwarte na oścież, a mimo to mógłbym przysiąc, że wciąż mi towarzyszy. Z pewnością wracały koszmary z dzieciństwa, gdy w wieku niecałych dziesięciu lat odwiedzałem w szpitalu umierającą, najukochańszą na świecie babcię. Mimo zabiegów mojej matki, to wtedy po raz pierwszy poznałem zgnięty zapach odleżyn — ten sam, z którym miałem do czynienia kilka godzin wcześniej.

Zebrałem ze sznura mokre pranie, raz jeszcze załadowałem je do pralki, wlewając do pojemnika podwójną dawkę zapachowego płynu zmiękczającego, a następnie po raz kolejny wskoczyłem pod gorący prysznic. Dopiero wtedy przykre wrażenie ustało.

Siedząc przy biurku mogłem się wreszcie zająć spokojnym myśleniem, na ile przekazane mi fakty oparte są na autentycznych wydarzeniach, a na ile są jedynie wymysłem starego, schorowanego człowieka, który u kresu swojego życia chciałby zaistnieć na łamach popularnego pisma i w ten sposób zapisać swoją kartę w historii. Tak czy inaczej, nie uznałem dnia za stracony. Tym bardziej, gdy wspominałem swoje okna, których produkcja w firmie „ONZ” z pewnością wkroczyła już w pierwszą fazę.

Nazajutrz, jeszcze przed wyjściem do pracy, popijając swoją rytualną kawę, przejrzałem na chłodno cały wydrukowany tekst i uznałem już ze stuprocentową pewnością, że warto byłoby wysłuchać Krawczyka do końca. Niezależnie od wszystkiego, byłaby to naprawdę ciekawa podstawa solidnego artykułu, a jeśli nie musiałbym zgodnie z daną obietnicą odwoływać konkursu (szanse na taki bieg spraw oceniałem na naprawdę nikłe), to w ten sposób udałoby mi się upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Mimo wyraźnego wewnętrznego oporu postanowiłem pojechać raz jeszcze do Rykowa Górnego, jednak ponieważ był piątek i akurat trwały ostatnie prace redakcyjne przy najnowszym numerze „Twojego Medium”, wyjazd musiał zostać odłożony przynajmniej do poniedziałku.

Około piętnastej okazało się, że nie ma szans, bym mógł ruszyć się z biura również zaraz po weekendzie. Naczelnny wyjeżdżał na wesele gdzieś w Bieszczady i zamierzał wrócić dopiero we wtorek wieczorem, a że miałem za zadanie zastępować go podczas nieobecności, mój ewentualny wyjazd był możliwy najwcześniej w środę. Najwcześniej, ponieważ takie wyjazdy Naczelnego bardzo często „nieoczekiwanie” się przedłużały. „Tylko mi tam nie umrzyjcie, dziadku”.

To zdanie wypowiedziane przeze mnie podczas telefonicznej rozmowy z Krawczykiem wciąż kołatało mi pod czaszką, gdy nie mogąc zasnąć przewracałem się w łóżku w nocy z piątka na sobotę.

W sobotę zastałem go w bardzo kiepskim stanie.

Leżał pod kołdrą z półprzymkniętymi powiekami, ciężko oddychając. W jego prawe przedramię wbity był wenflon, przez który do schorowanego organizmu z plastikowego pojemnika umocowanego na stojaku obok łóżka sączył się przezroczysty płyn kroplówki. Pielęgniarka najpierw w ogóle nie chciała mnie wpuścić, w końcu zgodziła się na maksymalnie pół godziny. Obawiałem się, że to może nie wystarczyć.

Na początku miałem wątpliwości, czy Krawczyk w ogóle mnie rozpoznaje, ale po chwili uśmiechnął się słabo i wyszeptał:

-Myślałem, że już nie zdążysz, chłopcze.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc po prostu usiadłem na „swoim” miejscu.

Jedno mnie zastanawiało — sobota była dość chłodna, od rana nawet trochę padało,

dzięki czemu w budynku było o wiele przyjemniej niż poprzednio. Nawet przykre zapachy z przedsiönka i korytarza - wcześniej wręcz nie do wytrzymania - teraz zdawały się istnieć zdecydowanie mniej intensywnie.

Ale nie w sali Krawczyka.

Okno było otwarte szerzej niż je zostawiłem, ale odór rozkładu gryzł w oczy i powodował problemy z oddychaniem. Jak to możliwe, skoro od śmierci drugiego lokatora tego pomieszczenia minęło już tyle czasu? Wreszcie uznałem, że być może to kwestia odleżyn u mojego znajomego, o których nie wiedziałem wcześniej. Tak czy inaczej, nie sądziłem, że uda mi się wytrzymać nawet chociażby te umówione z pielęgniarką pół godziny.

- Masz ze sobą dyktafon?

- Tak — odparłem i wyjąłem urządzenie z torby.

- Włącz go i wróć za godzinę.

- Jeśli źle się pan czuje, to...

- Zrób to! - warknął i przez chwilę walczył z kaszlem. - Innej okazji nie będzie.

- Niech pan tak nie mówi. Lekarstwa i kroplówka... - Przerwałem, bo spojrzał na mnie tak, że dalsze przekonywanie przestało mieć sens. — Da pan radę mówić wystarczająco głośno?

- Postaram się.

Uruchomiłem dyktafon i razem ze stolikiem przysunąłem go jak najbliżej głowy Krawczyka.

Wychodząc, przypomniałem sobie pytanie, które nurtowało mnie od dwóch dni. Miałem nadzieję, że je usłyszał, ale już o to nie dopytywałem.

Po prostu zamknąłem za sobą drzwi, wyszedłem na zewnątrz i ruszyłem do samochodu, który tym razem został zaparkowany dobre kilkaset metrów przed bramą wjazdową na teren ośrodka.

8.

Dlaczego nazywał mnie „hitlerowcem”? Wszystko przez imię, które sam mi nadał. W okresie międzywojennym było ono dość popularne i nie raziło tak, jak teraz. Co ciekawe, gdy do wsi zaczęły po trzydziestym trzecim od czasu do czasu dochodzić wieści o tym, co dzieje się w Niemczech, był wręcz dumny, że jego syn ma na imię tak samo, jak wielki wódz zachodniego mocarstwa... Nietrudno się domyślić, że wszystko to zmieniło się w czasie wojny, a prawdziwe piekło zaczęło się dla mnie po jej zakończeniu.

Mój ojciec nie miał na tyle odwagi, by dołączyć do partyzantki, ale za to, gdy już zrobiło się bezpiecznie, wypowiedział swoją prywatną wojnę innemu Adolfowi. Szydził ze mnie, nazywając „hitlerowcem”, „gestapowcem”, „szwabską świnią”, i to nie tylko w cztery oczy, ale też w towarzystwie swoich znajomych, a nawet pośród moich kolegów...

Ale nie o tym miałem mówić.

Po tym, co usłyszałeś wcześniej, pewnie nie masz zamiaru odwołać konkursu, prawda? Historie z żywymi trupami to na pewno dla ciebie normalka, chłopcze. Ale tak naprawdę, to wcale nie chciałem, żebyś przyjechał tu posłuchać o moim spotkaniu ze Zbyszkiem po jego śmierci. Chodziło mi o zupełnie coś innego i właśnie nadeszła odpowiednia chwila, by wyjawić moje pobudki. Jeśli zechcesz, wykorzystasz to, co powiem i podasz dalej. Jeśli nie, po prostu wszystko wykasujesz. Twoja wola jestem stary i teraz umieram, ale wiele przeżyłem. I wiesz co? Nie było chyba dnia, w którym bym nie myślał o Zbyszku i jego matce, gdy widziałem ich tam, na cmentarzu. I, może nie uwierzysz, ale to wcale nie były niechciane myśli. Coś, co mógłbym pamiętać jako najokropniejszą rzecz, pozostało w mojej pamięci jako wzruszająca scena obrazująca matczyną miłość. Pewnie to głupie, ale - Bóg mi świadkiem - często wracając do tamtych zdarzeń, najzwyczajniej w świecie zazdrościłem Zbyszkowi, że był w jego życiu ktoś, kto kochał go aż tak bardzo. Nie potrafię wyrazić, jak strasznie mi tego przez całe życie brakowało.

Jeśli tylko potrafiłbym znów wrócić do owego wieczoru, gdy o świcie spotkałem Zbyszka...

Gdy miałem dwadzieścia dwa lata, ojciec zażądał, abym zerwał z Hanką, której nigdy nie lubił i ożenił się z bogatą, starszą ode mnie nieco kobietą, do której nic nie czułem. Byłem zbyt słaby, nie potrafiłem się mu przeciwstawić. Mężczyliśmy się ze sobą w tym papierowym związku kilkanaście lat, aż wreszcie odeszła, zabierając dzieci, które kochałem nad życie. Tyle, że one mnie nienawidziły i nienawidzą z całego serca. Dla nich nie istnieje ktoś taki jak ojciec. Nie chciały się ze mną widywać, przyjmowały tylko przesyłane przeze mnie od czasu do czasu pieniądze. W końcu całkowicie przestaliśmy się ze sobą kontaktować. Do dziś nie wiem, dlaczego tak było. Wciąż łudzę się, że nie ma w tym mojej winy, że to moja była żona nastawiła dzieci przeciwko mnie. Ale coraz częściej dopadają mnie myśli, że jednak mogłem być lepszym ojcem.

Kiedy zostałem sam, przy życiu trzymała mnie beznadziejna, nudna i uwsteczniająca praca, której nienawidziłem z całego serca, ale dzięki której przynajmniej zmuszałem się, żeby każdego dnia wyjść z domu. W końcu jednak zachorowałem i musiałem spędzać całe dnie w czterech ścianach, wpatrując się w idiotyzmy, które pokazywała telewizja. Mój brat nie żyje od piętnastu lat, siostra wyjechała do Stanów pod koniec lat sześćdziesiątych i słuch po niej zaginął. Nie mogłem liczyć na jakąkolwiek pomoc więc wreszcie musiałem podjąć decyzję o przeprowadzce do domu starców, ponieważ moja renta nie wystarczyłaby na opłacenie opiekunki.

I tu dochodzimy do sedna sprawy, do przyczyny, dla której chcę, abyś odwołał ten przeklęty konkurs. Chciałbym przekazać młodym, początkującym autorom: nie wymyślajcie niestworzonych opowieści o duchach, zjawach czy upiorach. Gdy idziecie ulicą, spójrzcie w twarz starca niedołącznie zmierzającego w przeciwnym kierunku. Spójrzcie w jego oczy, a w wielu wypadkach wyczytacie w nich tak mroczne historie, że trudno wam będzie zasnąć wieczorem. A gdy już wam się uda, to śnić będziecie koszmary o czasach, w których - za jakieś kilkadziesiąt lat - będziecie sunąć pod murami kamienic, ustępując z drogi młodszemu.

Pamiętajcie - Bóg jest doskonały. Wiedźcie, że skoro wymyślił istnienie takich ludzi jak ja, o których w godzinę po pogrzebie nikt nie będzie już pamiętał, to wy nie jesteście w stanie wymyślić nic lepszego. Zamiast ślęczeć z piórem nad kartką papieru czy przy monitorze komputera, idźcie w świat, aby rozjaśnić waszą historię najmniejszym choćby promykiem...
9-

Bardzo ciężko było mi rozszyfrować ostatnich kilkanaście zdań, narracja była wielokrotnie przerywana kaszlem, Krawczyk mówił coraz bardziej niewyraźnie, przerwy pomiędzy poszczególnymi zdaniami (później nawet pomiędzy pojedynczymi słowami) były coraz dłuższe, coraz ciężiej oddychał, ale po wielokrotnym przesłuchaniu uznałem, że nie straciłem ani słowa. Po skończeniu swojej historii zasnął ciężkim snem i do momentu, gdy wróciłem nie powiedział nic więcej. Potem okazało się, że nagranie od momentu jego zaśnięcia zawiera tylko ciężki, chrapliwy oddech i natarczywe tykanie wiekowego budzika.

Ponieważ Krawczyk spał, nie chciałem go budzić. Po prostu zabrałem ze stolika wciąż pracujący dyktafon i wyszedłem bez pożegnania.

Miałem całe sobotnie popołudnie, niedzielę i poniedziałkowy poranek na podjęcie decyzji. Wielokrotnie czytałem słowa Krawczyka i wreszcie, zaraz po przyjściu do pracy, oznajmiłem sekretarzowi redakcji, że unieważniamy konkurs oraz poleciłem zamieszczenie stosownego ogłoszenia w najnowszym numerze. To był ostatni dzwonek na taką decyzję.

Swoją drogą, dobrze, że to ja byłem wtedy głównym decydującym w firmie, bo z Naczelnym miałbym na pewno spore kłopoty. Zresztą, wiedziałem, że i tak będę je miał, ale zupełnie o to nie dbałem.

Tak jak się można było spodziewać, powrót mojego szefa opóźnił się o jeden dzień, dopiero w czwartek mogłem wziąć sobie wolne.

Skorzystałem z urlopu na żądanie, wrzuciłem na siedzenie pasażera najnowszy numer „Twojego Medium” i ponownie ruszyłem na spotkanie z Krawczykiem. Po pierwsze po to, by pokazać mu pismo i poinformować o tym, że ten specyficzny zakład został przez niego wygrany. Drugim powodem wyjazdu było to, że nie dokończył mi jeszcze opowieści o tym, co stało się następnego dnia po spotkaniu swojego przyjaciela. Właściwie nie miało to teraz większego znaczenia dla całej sprawy, ale ciekawość może przecież dopaść każdego, prawda?

Było dokładnie południe, gdy stanąłem nad dwiema, położonymi obok siebie, niemal bliźniaczymi, świeżymi mogiłami. Niedbale wypisane litery na obu tabliczkach układały się w to samo nazwisko.

Nie pamiętam, kiedy poprzednio płakałem nad czyimś grobem - całkiem prawdopodobne, że było to na pogrzebie babci... Tym razem znów mi się to przytrafiło.

Pojechałem do Rykowa, gdzie kupiłem dwa wielkie wieńce. Do tego mnóstwo różnego rodzaju zniczy — chciałem, żeby wyglądały tak, jakby na groby przyniosło je wiele osób.

Gdy je zapalałem, w głowie dzwoniły mi dwa zdania. Pierwsze z nich - dobrze znane, wywoływało uczucie złości na samego siebie. Mieląc je w myślach, postanowiłem starać się nigdy więcej nie powtarzać tego cynicznego sformułowania, które przeszło mi przez myśl podczas telefonicznej rozmowy z Krawczykiem.

Drugim zdaniem było: „Teraz już zawsze będziecie leżeć obok siebie”. Pamiętam, że kołatało mi w głowie jeszcze w momencie, gdy zaparkowałem auto przed swoim domem.

Wtedy też pomyślałem, że pewnie moje okna są już gotowe i mogłem wstąpić do „ONZ”, by się o tym upewnić.

A potem byłem z siebie dumny, o ile to dobre słowo, że w Rykowie w ogóle nie przyszło mi to do głowy.

Bo przecież miałem tam o wiele ważniejsze sprawy.

10.

Piątkowa afera o anulowanie przeze mnie konkursu „Mroczne historie” była o wiele mniej burzliwa niż się tego spodziewałem. Naczelnny trochę się zżymał, ale udobruchałem go zapowiedzią większego artykułu, który związany będzie z moimi ostatnimi wyjazdami. Poza tym, miałem wrażenie, że po weselu znów wpadł w lekki martwy ciąg z flaszką w tle i głównym jego zmartwieniem jest to, by dzień jak najszybciej się skończył. Na pewno cieszyła go perspektywa spokojnego ukojenia w objęciach czterdziestoprocentowej kochanki.

Ja z kolei myślałem już o remoncie domu. Okna miały dojechać wieczorem, a akcja „odnowa mieszkania” i związany z nią dwutygodniowy urlop rozpocząć się miały następnego dnia.

Wszystko odbyło się nadspodziewanie bezboleśnie, a wspomniany czas, choć okupiony solidnym zmęczeniem (a może właśnie dlatego), minął o wiele szybciej niż się tego spodziewałem.

W niedzielę wieczorem w wyremontowanym i wysprzątanym na błysk mieszkaniu przygotowywałem się do powrotu do pracy. Zderzenie z szarą rzeczywistością nadchodziło nieubłaganie. Ostatnim przedmiotem, jaki pozostał mi do spakowania był dyktafon, który ostatnio użyty został w sali Krawczyka. Zanim skasowałem nagranie, postanowiłem jeszcze raz posłuchać całej historii, a potem uznałem, że warto zgrać ją na dysk.

Wtedy właśnie odkryłem, że wcześniej nie odsłuchiwałem wszystkiego.

Po dłuższej przerwie na sen, Adolf Krawczyk odezwał się do mnie raz jeszcze. Tym razem czułem się tak, jak gdyby mówił do mnie zza grobu. Każde kolejne zdanie przyprawiało mnie

Odreszcz, a włoski na karku podnosiły się, gdy wsłuchiwałem się w to, co ma mi do powiedzenia.

Miałem wrażenie, że stoi tuż obok i słabym głosem szepce mi do ucha...

II.

Pewnie chcesz wiedzieć, jak skończyła się historia ze Zbyszkiem czy wtedy tam poszedłem?

Na pewno domyśliłeś się, że nie, skoro w wieku moich dwudziestu dwóch lat ojciec wciąż żył i nakłonił mnie do ślubu. Masz rację, ale towarzyszyła temu jeszcze jedna okoliczność...

Kiedy obudziłem się w stodole, po raz kolejny poczułem Intensywny smród. Najpierw pomyślałem, że to Zbyszek, że jednak wbrew zapowiedziom nie odszedł i jest gdzieś obok. Rozejrzałem się wokół, ale byłem w stodole sam. Zacząłem szukać źródła nieprzyjemnego zapachu i wreszcie zrozumiałem, że to moja prawa dłoń - dłoń, którą przywitałem się o świcie z moim przyjacielem.

Była zakrwawiona z zaschniętymi strupami, poza tym wyglądała normalnie, tylko śmierdziała tak, jakby była dłonią zmarłego już jakiś czas temu Zbyszka.

Nie mogłem tak pójść do domu. Gdy gospodarze i Hanka poszli pracować w polu, starałem się umyć ją przy studni. Było tam mydło, ale moje zabiegi na nic się zdały... Mało tego - zdawało mi się, że jest coraz gorzej. Nie mogłem tak wrócić do domu, bo ojciec by mnie zabił, gdyby wyczuł, że tak śmierdzę. Zostałem więc cały dzień i całą noc w stodole.

Pod dąb, oczywiście, nie poszedłem. Bałem się. Nie wiem, czy ponownego spotkania ze Zbyszkiem, czy tego, że faktycznie mógłby on unicestwić mojego ojca.

Następnego dnia, jeśli chodzi o moją rękę, wszystko wróciło do normy, a Hanka, którą ukradkiem poprosiłem o coś do zjedzenia, powiedziała mi, że przez cały poprzedni dzień pijany w sztok ojciec szukał mnie z siekierą w ręku. Zabił mojego ulubionego psa, roztrzaskał ganek w naszym domu i klął się na wszystkie świętości, że jeśli mnie spotka, to nie ujdę zżyciem.

Wróciłem po trzech dniach i jak gdyby nigdy nic, zabrałem się za naprawianie uszkodzonego domu. Burza minęła.

I to w zasadzie byłoby tyle, gdyby nie pewne zdarzenia, które spotkały mnie po latach.

Już po tym, gdy opuściła mnie żona z dziećmi, a ja mordowałem się ze swoją znienawidzoną pracą, przyszedł dzień, którego nie zapomnę do końca życia... Czyli już pewnie niedługo będę go pamiętał... Zabawne, prawda?

Goliłem się rano przed lustrem, gdy znów poczułem ten okropny odór rozkładającego się ciała. Próbowalem go zmyć ze swojej prawej dłoni, ale bezskutecznie. W końcu zrezygnowałem, bo nie mogłem sobie pozwolić na spóźnienie, ale i tak wyszedłem z domu o kilkanaście minut później, niż zwykle.

Słup przystankowy, spod którego zawsze odjeżdżałem, otoczony był wianuszkami gapiów. Chwilę wcześniej przeszła burza, ale ciągle lało, więc dziwiłem się, że na otwartej przestrzeni, nie zważając na deszcz, znajduje się tyle osób. Po chwili nadjechała karetka na sygnale, a ja podszedłem bliżej i zobaczyłem mojego sąsiada, z którym zwykle przed przyjazdem autobusu ucinaliśmy sobie małą pogawędkę.

Zginął od uderzenia pioruna.

Gdybym był tam o czasie, już bym nie żył.

Innym razem podobna historia spotkała mnie przed wyjazdem na zakładową wycieczkę do Krakowa. Znów ręka, znów spóźnienie i... znów wypadek. Tym razem w katastrofie autobusu, którym miałem jechać, zginęło sześć osób, w tym mój kolega z pokoju, przy którym zamierzałem usiąść.

Później jeszcze dwa razy budziłem się, czując, że z moją ręką znów dzieje się to samo, ale nigdy w takiej sytuacji nie wyszedłem z domu.

Nie wiem, czy to przekleństwo, czy opieka ze strony sił, o których nie mam pojęcia. Biorąc pod uwagę moje sparane życie, być może jest to jakiś rodzaj kary za mój brak odwagi w młodości? No ale cóż, nawet nieznanne siły mogą mieć nadzieję, że będę potrafił wreszcie coś zmienić.

Tak sobie myślę, że...

12.

Nigdy nie dowiedziałem się, jaka była jedna z ostatnich myśli Adolfa Krawczyka. Wolne miejsce na nagrania skończyło się właśnie w tym momencie.

Dowiedziałem się natomiast czegoś innego.

Tej nocy zasnąłem niemal natychmiast, ale nie dane było mi spać zbyt długo.

Około pierwszej trzydzieści obudziło mnie wrażenie duszności. Poderwałem się na łóżku, stanąłem obok niego. Dopiero wtedy do mnie dotarło, że nowo wyremontowane, jeszcze wieczorem pachnące świeżą farbą mieszkanie, tonie w trupim odo-

Moja dłoń wtedy jeszcze nie cuchnęła zbyt mocno, ale ten stan z każdą minutą zmieniał się na gorsze.

Wpadłem w jakiś rodzaj otępienia i szorowałem ją do samego rana, ale z każdą godziną było z nią coraz gorzej.

Wreszcie musiałem się poddać.

Owinąłem ją w dwa foliowe worki, a później starannie okręciłem grubym ręcznikiem i w takim stanie doczekałem do rana. Zastanawiałem się, kiedy to się stało? Raz tylko uścisnąłem rękę Krawczyka - wtedy, gdy widziałem go po raz pierwszy.

Z drugiej jednak strony, pamiętałem to, co wyczułem zaraz po przebudzeniu, ale wtedy z ręką jeszcze nie było tak źle... Czyżby on...

Nie, to przecież niemożliwe.

Niemożliwe, prawda?

•••

Nigdy nie dowiedziałem się, co wtedy zaszło, jednak pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem rano, było sięgnięcie po telefon.

- Dzień dobry, szefie - powiedziałem. - Zdaje się, że mam jeszcze jeden dzień urlopu na żądanie do wykorzystania.

Graham Masterton (ur. 1946) - popularny pisarz angielski, autor ponad stu książek: horrorów, thrillerów, powieści historyczno-obyczajowych, poradników seksuologicznych oraz zbiorów opowiadań. Swój pierwszy horror Manitou wydał na początku lat siedemdziesiątych. Książka już kilka dni po premierze stała się bestsellerem. Na jej podstawie powstał film w reżyserii Williama Girdlera z Tonym Curtisem i Susan Strasberg w rolach głównych. Wiele jego pozycji, jak choćby Kostnica, Dziecko ciemności czy Demony Normandii otrzymało wyróżnienia literackie w USA i Europie. Nakładem Wydawnictwa Replika ukazały się do tej pory takie książki autora jak Kandydat z piekła, Dom kości, Krzywa Sweetmana, Trauma, Niewinna krew oraz Geniusz. Graham Masterton bardzo ceni Polskę i często odwiedza. Opowiadanie Mechanik to premierowy na polskim rynku tekst Brytyjczyka.

Graham Masterton

MECHANIK

Dzisiejszego poranka mężczyzna spacerujący z psem znalazł na polu w pobliżu Devizes rozczłonkowane ciała dwóch kobiet. Nieopodal znaleziono również rozczłonkowane ciało owcy. Policja odmawia komentarzy, co do uderzającego podobieństwa do Rośnych, rytualnych morderstw, które miały miejsce w Devizes w 1968 roku i które do tej pory pozostały nierozwiązane.

- „Swindon Evening Post”

Wyszła przez otwarte drzwi warsztatu i stanęła w promieniach słońca, wycierając powoli i metodycznie dłonie w zabrudzoną olejem szmatę, która kiedyś była męską koszulą w paski. Obserwowała go bez mrugnięcia okiem, kiedy przechodził przez podwórze. Nie odezwała się słowem.

- Potrzebuję kluczy - wyjaśnił Ralph. - Do uszczelki układu wydechowego.

Nieznacznie uniosła brodę i zerknęła ponad jego ramieniem na bulwiastego, srebrnego Healey Sportsmobile’a z 1948, zaparkowanego obok przestarzałych pomp paliwa.

- Rzadki okaz - powiedziała. - Nie widziałam takiego od lat.

- Tak, rzadki. Nieco temperamentny, co stanowi nie lada problem.

Nie przestawała wycierać rąk. Ralph nie bardzo wiedział, co ma jeszcze powiedzieć. W takim wiejskim warsztacie jak ten spodziewał się znaleźć siwego, starego faceta, w poplamionych smarem spodniach roboczych, albowiem miejscowego młodzika zdolnego spartaczyć wystawienie certyfikatu MoT Morrisowi Minors.

Na pewno nie spodziewał się wysokiej, biuściastej, dumnej, piegowatej dziewczyny z kaskadą kręconych blond włosów, przykrytych czerwoną bandaną. Wprawdzie nosiła poplamione smarem spodnie robocze, ale jak zauważył, nie miała na sobie wiele więcej. Jej ogromne piersi ledwo mieściły się w znoszonym, drelichowym topie bez pleców, a ze sposobu, w jakim kołysały się w tę i wó w tę za każdym razem, gdy się poruszyła, jasno wynikało, że nie nosi stanika.

Wytarła swój zaokrąglony nos skrajem dłoni.

-Chcesz, żebym na to spojrzała? - zapytała go.

-Nie macie tu kierownika? - odpowiedział pytaniem Ralph.

Spojrzała na niego bez cienia uśmiechu. Jej oczy były zielone niczym zbita butelka po ginie.

- Ja jestem kierownikiem - odrzekła. Miała najbardziej miękkie z możliwych akcentów, taki, który przywodzi na myśl gorące, wiosenne dni i wylegiwanie się na trawie. Nie z West Country, ale może irlandzki. - Jestem też mechanikiem.

- Ale ktoś musi być twoim przełożonym, prawda? Nie masz szefa?

Skinęła głową.

- Tak, mam szefa. Ale jeszcze nie przyszedł.

Ralph spojrzał na zegarek. Dochodziła pora lunchu.

- Twój szef śpi do późna, co?

Nie odpowiedziała. Ruszyła przez podwórko w stronę samochodu Ralpha. Poszedł za nią. Wcale nie był pewien, czy podobał mu się pomysł, aby niedoświadczona dziewczyna ze wsi majstrowała przy rzadkim, czterdziestoletnim silniku Riley o pojemności 2.4 litra. Sam też nie bardzo lubił przy nim grzebać. Nie wyobrażał sobie, co by się stało, gdyby zbyt ciasno dokręcił śrubę albo uszkodził gniazdo zaworu.

- Słuchaj - powiedział. Nie chciałbym zabrzmieć szowinistycznie, czy coś, ale czy nie będzie lepiej, jeśli zaczekamy na twojego szefa? To znaczy, jestem pewien, że jesteś bardzo kompetentna, ale ten samochód... Szczerze mówiąc, jest wart bardzo dużo pieniędzy.

Dziewczyna dotarła do Sportsmobile’a i przycisnęła biodra do osłony chłodnicy, a jej odbicie pojawiło się do góry nogami na hojnie nawoskowanej masce. Odbicie było nie tylko odwrócone, ale też osobliwie zniekształcone, jakby złośliwie się na niego patrzyło.

- Pracowałam już nad silnikami Riley, wiesz? - rzuciła, nie odwróciwszy się do niego. - Przebudowałam kiedyś Elliota, od podwozia w górę, sama.

Ralph potarł dłonią kark.

- To samo... - zaczął.

Odwróciła się, spojrzała na niego i zapytała:

-Czemu po prostu nie dasz mi rzucić okiem? Nie dotknę go, jeśli nie będziesz tego chciał.

Ralph niechętnie podniósł maskę i włączył silnik. Wyjęła z tylnej kieszeni dwa klucze i pochyliła się nad silnikiem. Kiedy pracowała, dostrzegł jej lewą pierś, która uwolniła się z topu, a jej blady sutek ocierał się o wypolerowane nadwozie Hayleya.

Szeroki, bladoróżowy sutek, pomazany olejem silnikowymi, Podniecił się nie na żarty.

Rozejrzał się po warsztacie, chcąc się czymś zająć. Postanowił się tu zatrzymać nie tylko dlatego, że układ wydechowy jego wozu brzmiał jak w traktorze i wydawało się, że to jedyny warsztat w promieniu mil, ale też dlatego, że to miejsce wyglądało dokładnie tak, jak powinien wyglądać wiejski warsztat, wspomnienie czasów, kiedy motoryzacja była motoryzacją. Pod pękniętym znakiem, informującym, że to J.R. Atkinson Motors, i stało małe, ceglane biuro, z omszałym, taflowym dachem i przepastnym, drewnianym warsztatem, w którym do połowy rozebrany Wolseley błyszczał w zakurzonym mroku. Na zewnątrz piętrzył się stos łysiejących opon, na którym spał kot w kolorze marmolady, a porośnięty ostem kąt zapchany był zardzewiałymi błotnikami. Na środku popękanego, betonowego podwórka stały trzy, nieprzyciągające uwagi pompy paliwowe firmy National Benzole.

Prawdziwy, prowincjonalny warsztat, otoczony wiejskim krajobrazem Wiltshire i gorące, szkliste, letnie popołudnie.

- Od jak dawna tak dmucha? - spytała nagle dziewczyna.

Wstała, jej czoło lśniło od czystego potu. Nawet nie próbowała schować piersi z powrotem do topu. Wytarła czoło wierzchem dłoni.

- Od dwudziestu minut - odpowiedział Ralph. - Najechałem na paskudną dziurę tuż za Devizes. Myślę, że wtedy się zaczęło.

- Mogę to naprawić tymczasowo - oznajmiła dziewczyna. - Wystarczy na tyle, byś dojechał do domu.

- Może powinienem wezwać rac? — zasugerował Ralph. Trudno było mu nie patrzeć na hipnotycznie kołyszącą się pierś.

- rac zrobi to, co i ja mogę zrobić. I zapewne zrobią to gorzej. No i będziesz musiał czekać godzinę, zanim się pojawią, może nawet dłużej. Jest lato, sam wiesz...

- No dobrze... w porządku — niechętnie się zgodził. - Podejrzewam, że lepsze to, niż nic.

Nie mówiąc nic więcej, dziewczyna wspięła się do środka Healeya, zapaliła silnik, zakręciła samochodem z nadal uniesioną maską i zaprowadziła go, jadąc tyłem, do drewnianego warsztatu, stawiając obok rozebranego Wolseleya.

Ralph podążył za nią, trzymając ręce w kieszeniach swoich spodni z diagonalnej tkaniny, zirytowany na samego siebie, że pozwolił jej przejąć kontrolę nad sytuacją i nad jego samochodem.

Wyszła z wozu i zaczęła hałaśliwie przeszukiwać duże, czerwone pudło na narzędzia.

- Kochasz samochody, prawda? - zapytała.

Wzruszył ramionami.

- Mam to we krwi, skoro o tym mowa. Mój ojciec miał salon Forda w Pinner. Zostawił mi Healeya i trzy inne samochody. Ale ten jest moim ulubionym.

Dziewczyna pochyliła się nad otwartą maską i zaczęła pracę przy silniku. Ralph pochylił się nad stołem warsztatowym i obserwował ją. Najwyraźniej wiedziała, co robi. Do tego była silna i szybka, nie miała problemu ze zdemontowaniem kolektora wydechowego. Sposób, w jaki jej piersi skakały pod topem wydawał mu się niepokojąco nierealny, ale pomyślał sobie, że jeśli jej to nie przeszkadza, to czemu ma przeszkadzać jemu? Życzył sobie tylko, by nie odwinął mu się w tych szytych na miarę spodniach w tak oczywisty sposób.

— Więc samochody masz we krwi, tak? - spytała go dziewczyna, sięgając po kolejny klucz. - Ty i samochód, człowiek i maszyna, nierozłączni?

Ralph uśmiechnął się i pokiwał głową. Dziewczyna odwróciła się i wlepiła w niego spojrzenie, a te oczy wyglądające jak potłuczone szkło wyrażały triumf, jakby odkryła w nim

coś, o czym nawet sam nie wiedział.

Prawie pół godziny zajęło jej przygotowanie zastępczej uszczelki wydechu. Popołudnie robiło się coraz gorętsze. Fale gorąca unosiły się nad betonowym podwórkiem, motyle wlatywały i wylatywały z warsztatu. Nawet Ralph się pociał. Poluźnił swój jedwabny krawat od Dungilla i zakasał rękawy swojej wzorzystej koszuli.

- Często tędy przejeżdżasz? — zapytała, chociaż nie brzmiała, jakby naprawdę ją to interesowało.

- Nie. Moja przyrodnia siostra mieszka w Bradford on Avon. Przyjeżdżam do niej w odwiedziny dwa, trzy razy do roku. Nie znoszę jej bachorów, jeśli mam być szczerzy.

Przez moment panowała cisza, nie licząc gruchania gołębi i przerywanego brzęku kluczy. Po minucie czy dwóch dziewczyna powiedziała:

- Boże, ale gorąco - i rozpięła swój top, całkowicie obnażając piersi.

Ralph gapił się na nią z fascynacją. Z każdym jej ruchem olej i pot mieniły się w szczelinie pomiędzy jej piersiami, a one same ciężko się kołysały. Obdarzyła go pojedynczym spojrzeniem. Przyłapała go na gapieniu się, ale nie mógł odwrócić wzroku, a ona jakby wcale tego od niego nie oczekiwała.

Przeszła przez warsztat w kierunku zabałaganionego, stalowego stołu i uwolniła prowizoryczną uszczelkę z imadła. Na

ścianie przed nią znajdował się podklejony, poźółkły plakat z Sophie Dawn i poster Bendeya z Silent Sports Car. Odwrócona do niego plecami powiedziała:

- To części zamienne sprawiają mi najwięcej problemów, wiesz? Zawsze trudno je znaleźć. Przynajmniej te dobrej jakości.

- Ja zazwyczaj muszę improwizować - odparł z suchym gardłem Ralph, chociaż przelotnie pomyślał sobie, o czym oni do cholery gadają. Części zamienne?

Robocze spodnie dziewczyny ześlizgnęły się nisko na biodra.

- O cholera - powiedziała i rozpięła rozpiorek. Zanim Ralph zdążył cokolwiek powiedzieć, opuściła spodnie do kolan i całkowicie z nich wyskoczyła.

Pod spodem była kompletnie naga, nie licząc zabrudzonych, koronkowych, belgijskich majteczek - tak ciasnych, że już zawinęły się w wypukłej szczelinie jej sromu. Wygoliła się, była więc bezwłosa, oprócz małego, ochronnego pióropusza blond włosów, które rosły tuż nad grubą gumką majtek.

Jej uda były mocno zakrzywione, a brzuch tak płaski, że jej piersi wyglądały na jeszcze większe, niż były w rzeczywistości. Jej sutki stanęły w słabym ciepłe, wpływającym przez otwarte drzwi warsztatu.

- Naprawdę... - powiedział Ralph, przecyszczaając gardło. - Jeśli wolisz, bym zostawił cię samą...

Patrzyła w taki sposób, że wywołała u niego dreszcze.

- Nie masz pojęcia, jakie grzechy ma na sumieniu świat, prawda? — zapytała go.

- Słucham?

- Nie wiesz, czym jest grzech? - domagała się odpowiedzi.

- Jasne, że wiem. Ale nie rozumiem, co masz na myśli.

Sięgnęła dłonią za plecy i uwolniła swoje pofałdowane, koronkowe majteczki z głębokiej szczeliny tyłka. Pozwoliła im opaść na kostki, po czym odrzuciła je kopnięciem.

- Nie wiesz, czym jest grzech? To jest grzech.

Sięgnęła i rozwarła swój srom palcami. W warsztacie było tak cicho, że Ralph mógł usłyszeć, jak rozdzielają się jej różowe, wilgotne wargi, niczym najdelikatniejszy pocałunek. Potem uniosła się na stalowy stół warsztatowy i oddała się masywnej, bulwiastej ręczce imadła.

Zamknęła oczy i odchyliła nieco głowę do tyłu. Jej blond loki wystawały luźno spod bandany. Ralph, totalnie spięty, patrzył jak wielka, czarna, żeliwna rączka wślizguje się i

wyślizguje z jej mokrego, różowego ciała.

- Ja... - zaczął, ale nie wiedział, co ma powiedzieć. Otworzyła swoje zielone oczy i uśmiechnęła się do niego. Potem powoli podsuwała się do przodu, aż cała rączka zniknęła.

- To jest mój grzech, najdroższy, ponieważ to mogłeś być ty.

Lubieżnie zakręciła biodrami, tylko jeden raz, a potem uniosła się znad imadła i zeszła na podłogę.

Podeszła do niego i bez zaproszenia zaczęła rozpinać mu koszulę i spodnie. Jej naprężone sutki tańczyły i kołysały się, oparte o jego nagą pierś. Kiedy uwolniła go z szortów, był już twardy, sztywny i gotowy na nią. Z ogromną łatwością uklękła na podłodze warsztatu tuż przed nim i wzięła do ust nabrzmiałą główkę jego penisa, possała trochę, opierając ją o podniebienie, a jej blond loki łaskotały go przy każdym skinieniu jej głowy.

Przebiegł palcami po jej lokach i zamknął oczy, a przez ciepły powiew wiatru, odgłos gołębi i nieprzerwane ssanie, które oferowała ta niezwykła dziewczyna, pomyślał, że musi być bardzo blisko nieba.

Po paru chwilach wstała i poprowadziła go do stołu warsztatowego.

- Jesteś dokładnie takim mężczyzną, jakiego szukałam - wyszeptała. - Mężczyzną, który wie wszystko o samochodach. Lubię facetów, którzy rozumieją maszyny... Nie tylko głową, ale i sercem.

Sięgnęła do otwartej puszkę z ciężkim smarem koloru bursztynu i nabrała go pełną dłoń. Drocząc się, obdarzyła go szybkim pocałunkiem.

- Szef warsztatu — wyszeptała — i mechanik.

Powoli, zmysłowo, szerokimi ruchami, wymazała jego nagie ciało grubym smarem. Jej długie palce rozprzewadzały go po jego plecach, między pośladkami i po jego napiętych jądrach. Potem wmasowała smar w trzon jego penisa, w górę i w dół, dręcząc go.

Rozmazała smar również na sobie, jej wielkie piersi nabrzmiały i stały się śliskie, jej brzuch błyszczał. Pozwoliła mu wysmarować swój tyłek, a jego palce wnikały głęboko pomiędzy poduszkowate pośladki, dotykając i masując ten najciaśniejszy z drżących kwiatów.

- Połóż się na plecach namawiała go, a on położył się nago na podłodze warsztatu, trzymając w dłoni swoją erekcję. Uniósł głowę z niewielkim pomrukiem wysiłku i zobaczył, jak wnika w nią, ciemną i ubrudzoną smarem, dokładnie pomiędzy tymi perfekcyjnymi, bezwłosymi wargami.

Ujeżdżała go w górę i w dół z najdziwniejszym, falistym rytmem, jakiego kiedykolwiek doświadczył. Wcisnął palce między jej wysmarowane piersi, stwardniałe sutki ślizgały się pomiędzy jego palcem i kciukiem. Przez cały czas wydawała z siebie odgłosy podobne do płaczu ptaka.

Pod koniec zeszła i klękła obok niego na podłodze, a jej ciało nadal pokryte było smarem i brudem. Pocierała go mocno dopóki nie był gotów głośno zawyć.

A potem - niespodziewanie - przestała.

Otworzył oczy i zmarszczył brwi.

- Co się stało? Coś nie tak?

Był tak bliski szczytowania, że prawie panikował.

Najwolniejszym z ruchów jej palce ścisnęły i masowały jego purpurową żołądz.

- Najpierw coś mi obiecaj - wyszeptała.

-Co?

- Obiecaj mi coś. Przysięgnij.

Nieznacznie się zaśmiał. To wydawało się niedorzeczne..

- W porządku, cokolwiek zechcesz.

- Przysięgnij, że oddasz mi swoje serce.

Prawie roześmiał się na głos.

- W porządku. Przysięgam.
- Dobrowolnie, z własnej woli, na zawsze. Przysięgnij.

Ralph podniósł trzy palce.

- Słowo skauta. Nie sądzisz, że powinniśmy kontynuować? Twój szef niedługo się pewnie obudzi.

Uśmiechnęła się, obnażając zęby.

- O to chodzi - powiedziała i trzy razy mocno go potarła. Wystrzelił na jej piersi trzema silnymi strugami, a ona wmasowywała zmieszany smar i spermę wokół swoich sutków, podczas gdy Ralph położył się na podłodze warsztatu, dysząc i pocąc się, czując, jakby zwałiło się na niego niebo.

Nagle dziewczyna przestała się masować i niespodziewanie wstała, jakby miała coś pilnego do zrobienia.

Co się stało? - zapytał ją, nadal leżąc na podłodze. - Nie masz ochoty na powtórkę?

Nic nie powiedziała, podeszła za to do swojego stanowiska pracy i otworzyła pudełko na narzędzia. Ralph wetknął dłonie pod głowę i podziwiał jej nagie, umazane smarem plecy.

Kiedy znów się odwróciła, jej twarz wyglądała jakoś inaczej. Była bardziej jak maska aniżeli twarz. Ralph zmarszczył brwi i wykrztusił:

- Co...?

Nawet nie zobaczył noża firmy Stanley, który trzymała w lewej dłoni. Kiedy uklękła obok niego i bez wahania rozcięła jego brzuch od mostka do włosów łonowych, najpierw pomyślał, że go po prostu podrapała. Ale potem spojrzał w dół i zobaczył ranę, która otworzyła się niczym przepakowana torba na zakupy i wszystkie jego purpurowe i żółte wnętrzości, które przesuwały się wewnątrz.

- Mój Boże - powiedział głosem drżącym niczym suchy lód. - Co ty mi zrobiłaś?

Pocałowała go. Jej prawa ręka grzebała już w krwawym wnętrzu rany w jego ciele.

- Nie zabiłam cię. Obiecałeś mi serce. Przysiękłeś.

Bardziej czuł gwałtowny dyskomfort, aniżeli ból.

- Nie myślałem tak dosłownie... - wymówił, chciał dodać coś jeszcze, ale nerwy w jego ciele zderzyły się z agonią i wszystko stało się ciemne,

Dziewczyna pracowała szybko, nie przejawiając śladu emocji. Posiekała mostek Ralpha szczypcami przegubowymi i wycięła jego serce. Kołysząc je przy piersiach, zaniósła je do warsztatu, gdzie tłoczyły się atramentowe i ostre cienie. Jego krew spływała po nagim brzuchu wprost między jej nogi. Za nią ciało Ralpha nadal drżało na podłodze, niczym kurczak.

Dziewczyna sięgnęła i pociągnęła stęchłą, konopną zasłonę. Miętko opadła na podłogę, wzniecając prysznic kurzu, który pachniał śmiercią i mieszanką ziół.

Za opadłą zasłoną, w półmroku, stał wielki, czarny, mahoniowy ołtarz. Leżała na nim zwalista, nie dająca znaków życia postać. Dziewczyna podeszła do ołtarza, stanęła nad nią, a twarz zeszywniała jej od pochlebstwa i strachu. Krew z serca Ralpha kapała cicho i nieustannie na szaty postaci.

- Mistrzu — wyszeptała dziewczyna. — Nie musisz już dalej spać.

Rozwarła jego szaty Wnętrze jego piersi stało otworem, skóra opinała jego poryte żebra. Ostrożnie opuściła we wnękę zakrwawione strzępy serca Ralpha.

Godzinami stała obok ołtarza w milczącym, niemym czuwaniu. Wtem, kiedy zapadła ciemność, usłyszała szurający odgłos. Palce postaci otwierały się i zamykały, a jej dłoń przesuwała się po czarnym mahoni.

- Mistrzu... — wydyszała dziewczyna.

Oczy świeciły żółcią w ciemności, oczy szaleńca, oczy drapieżnego zwierzęcia. Postać podniosła się do pozycji siedzącej, a powietrze w warsztacie przepelnił dudniący, groźny pośpiech.

Znowu żyję - zatryumfowała. W końcu. ..

Postać wstała i spojrzała na dziewczynę, niczym wieża ciemności.

Znów zacznę polować oznajmiła.

Znów poczuję KREW NIEWINNYCH.

Znaleźli Ralpa przez przypadek. Jeździli po Devizes, pytając w wiejskich sklepach, przeszukując żywopłoty, chodzili po suchych, zaoranych polach. Późnym popołudniem zabrakło im paliwa, zatrzymali się, więc przy małym, wiejskim warsztacie i zatrąbili.

Czekali minutę albo dwie. Biddy, przyrodnia siostra Ralpa i jej drugi mąż Maurice, siedzący obok siebie w jej czerwonym Metro, zapięci pasami jak należy.

- Myślę, że nigdy go nie znajdziemy - powiedziała Biddy. - Ralph taki już jest, znika i nikomu nic nie mówi. Nigdy nie myśli o innych. Tylko on i jego samochody.

Zatrąbiła jeszcze dwa czy trzy razy, pomimo protestów Maurice'a. W końcu drzwi warsztatu otworzyły się i pojawił się mężczyzna w umazanym smarem kombinezonie i z kluczami w tylnej kieszeni. Podeszedł do samochodu i pochylił się nad nim.

Biddy już miała powiedzieć: „Mam nadzieję, że ma pan bezołowiową, dobry człowieku”, ale wydała z siebie tylko pełen szoku i rozdrażnienia dech.

- Ralph!

- Cześć Biddy. - Uśmiechnął się. - Cześć Maurice.

- Ralph, co ty tu robisz, do cholery? W dodatku tak ubrany? Co to ma znaczyć?

Szukaliśmy cię przez sześć dni! Policja szukała cię przez sześć dni! Wszystkie te rytualne morderstwa, które tu mieli... Wszyscy myśleliśmy, że ciebie też zamordowano!

Ralph wzruszył ramionami i pociągnął nosem.

- Prowadzę warsztat.

- Mogłeś nam powiedzieć, staruszkule - posępnie powiedział Maurice.

- Och, zamknij się Maurice - warknęła Biddy. - myślę, że zasługujemy na wyjaśnienie, czyż nie?

W tym momencie z warsztatu wyszła dziewczyna. Nosila czapkę baseballową, brudną, purpurową kamizelkę, która ledwo opinała jej ogromne piersi i bardzo ciasne, obszarpane, drelichowe szorty.

- Ralph?! - zawołała. - Pośpiesz się, Ralph! Potrzebuję pomocy z blokadą silnika!

Biddy parsknęła. Maurice uniósł brwi i zagwizdał.

- Dobra - rzuciła Biddy. - Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, co sobie ubzdurałeś.

- Prowadzę ten garaż - powtórzył Ralph osobliwie bezbarwnym głosem.

- Od jak dawna? - Biddy domagała się odpowiedzi. - To znaczy, jesteś bankierem, a nie mechanikiem! Nawet nie złożyłeś wypowiedzenia!

- Nie mogę odejść - powiedział jej. - Nie teraz. Nigdy.

~ Z jej powodu, jak mniemam? - chciała wiedzieć Biddy.

Ralph potrząsnął głową. Brzmiał pusto, odlegle, jakby niechętnie oddał wszystko, co człowiek może mieć, a nawet jeszcze więcej.

- Nie - rzekł. — Ona i ja pracujemy razem, to wszystko. Zajmujemy się szefem.

- Czemu więc nie możesz odejść?

Ralph milczał przez długą chwilę, a następnie odparł:

Już nigdy nie odejdę, Biddy. Prawda jest taka, że po prostu nie mam serca.

Tłumaczył: Piotr Pocztarek

Aleksandra Zielińska (ur. 1989) - pisarka młodego pokolenia, swego czasu uczennica Szkoły

Malarstwa i Rysunku w Krakowie, studentka Uniwersytetu Jagiellońskiego, publikowała w antologiach: Kochali się, ze strach, Nawiedziny, Trupojad, Pokój do wynajęcia, City z, Bizarro dla początkujących oraz w pismach m.in.: „Fahrenheit”, »Magazyn Fantastyczny”. Wykonała okładkę i ilustracje do tomiku wierszy Izy Smolarek stany zmysłowe. Laureatka konkursu Mistrzowie i Adeptci, organizowanego przez Fabrykę Słów. Miłośniczka kotów, w wolnych chwilach rysuje i grywa na gitarze.

Aleksandra Zielińska

LIPIEC W COYOACAN

Panie doktorze nie mogę już dłużej z tym zwlekać wie pan przecież jak bardzo lubię niespodzianki i oczy zwrócone prosto na mnie. Wtorki trzynastego pachną śmiercią stępił się sierp i młotu odleciał trzonek - pod język siostrzyczko.

Frida umarła przez palce u stóp aż po sufit.

Dawid Jarosz, Lipiec w Coyoacan

Lekarz powiedział, że to tylko fasolka. Pierdolenie, a nie porada medyczna.

Znów wróciło, zresztą nigdy tak naprawdę nie odeszło, za mało czasu upłynęło. By oprócz macicy zagoiły się rany w głowie.

Dobrze, że chociaż tu mam spokój, na balkonie z widokiem na elektrownię. Księżyc nad kominem jest jak kropka nad i. Pomimo wątpliwego uroku takiego zakładu pod płotem, mieszkania na osiedlu schodziły jak świeże bułeczki. Cóż, bardziej chyba chodziło o prestiż niż o wygodę - choć nie, w naszym przypadku lepiej trafić nie mogliśmy. Przynajmniej jeszcze w to wierzyłam.

Osiedle Sołtysowskie zamieszkiwała miejska elita, gdzie nie spojrzeć artyści, adwokaci, dzieci bogatych rodziców, żony bogatych mężów. Boże, mogłam nawet iść do pieprzonego dentysty bez przekraczania bramy. No właśnie, brama i ogrodzenie, które sprawiało wrażenie podłączonego pod prąd, miały uchronić mieszkańców przed kradzieżą, uniemożliwić wejście niepożądanych. Ba, nawet wyjście, jeśli coś się nie spodobało ochroniarzowi. Raz na jakiś czas w obrębie osiedla stawiano nowy blok i zaczynała się walka o miejsce. My na szczęście mieliśmy znajomości.

A miało być tak pięknie, nie kochanie? Odwracam lekko twarz, by dyskretnie podpatrzeć męża nie-męża w salonie. Krzysiek był totalnym przeciwieństwem swoich braci. Trzech rosnących chłopów, jak ułał pasowało do rozpierduchy, jaka panowała w mieszkaniu. Nie dość, że samo jego kupno kosztowało tyle wysiłku, to dopiero wykańczanie przybijało ostatnie gwoździe do trumny. W powietrzu wciąż wirował pył z zacierania szpachlowanych ścian, podłogę obsypały wióry z przycinanych paneli.

I pośród całego tego rozgardiaszu stał mały stół, zastawiony chińszczyzną. Po całym dniu pracy jakiegokolwiek jedzenie było pożądane, nawet schabowy z sierścią, jakiego serwowali skośnoocy. Krzysiek z uśmiechem grzebał pałeczkami w pudełku. Rzeczywiście, wyglądał na najmłodszego w rodzinie. Niewiele wyższy ode mnie, co Uczy się akurat na plus, bo przy innym Kondratowiczu wyglądałabym jak mrówka przy słońcu. Karki szerokie jak opony w beemkach sugerowały firmę Nowa Huta Gangsta z logiem w koronie, a nie solidną kancelarię adwokacką. Siedziba Kondratowicz & Kondratowicz &c Kondratowicz mieściła się rzecz jasna na Sołtysowskim. Ale się wżeniłam, studentka wieśniaczka, biedna jak mysz kościelna, pasowała do rodziny jak wygolone czaszki do prawników. Więc coś w tym jest.

Przez uchylone drzwi balkonu docierały strzępy rozmowy. Rzecz oczywiście dotyczyła dalszego wykańczania. Nas albo mieszkania. Płytki w łazienkach czekały na położenie,

zagruntowane ściany trzeba było malować. I tu szły docinki, po co ci Krzysiu, braciszku kochany, rodzina do pomocy? Dyplom uprawnia ciebie i tylko ciebie do babrania się w farbie.

Śmiał się razem z resztą. Miło się tego słuchało, niemal mogłam wyczuć ulgę w jego głosie, praca fizyczna jest lepsza od pocieszania lekko stukniętej żony. Bo fasolka uschła.

Zacisnęłam dłonie na balustradzie, kurz zmieszał się z potem w brudne smugi na przedramionach. No i po co o tym myślisz? Po co? Przecież cię kocha, idiotko, tak samo wtedy, gdy fasolka się siała i wtedy, gdy wioził cię nocą na łyżeczkowanie - a może nawet bardziej.

Osiedle cichnie, tramwaje zjeżdżają do zajezdni, by ustąpić miejsca nocnym, tylko ulice za bramą całkowicie się nie wyludnią - przecież Kraków nigdy nie zasypia. Jestem sama na balkonie, nikogo dookoła, piętro niżej ktoś też bierze się za urządzenie, ale na razie to by było na tyle. W pustym bloku można umartwiać się na gołym betonie.

I wtedy zaczynam coś słyszeć, albo i nie - słyszałam wcześniej, ale dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że oprócz gwaru głosów za plecami i szumu elektrowni jest co jeszcze. Dreszcz biegnie w dół kręgosłupa, palce zaciskają się na balustradzie, nadnercza wyrzucają hormony na obieg. Przecież tak reaguje każda matka. I nie-matka to już tym bardziej. Dziecko płacze, a raczej kwili. Nie widać wózka, nikogo, zamieszkałe mieszkania są za daleko. Więc skąd? Przecież nie tylko w mojej głowie.

Tak zapłakałby moja fasolka, gdybym zdołała utrzymać się dłużej niż dwa miesiące.

— Co się stało, Ewa? - Krzysiek zaniepokojony niemal wstaje I od stołu, zresztą wszyscy siedzieli jak na szpilkach, jakbym co najmniej miała się z tego balkonu rzucić. Cóż, adwokaci mogą nie wiedzieć, że skok z drugiego piętra nie zabije, raczej utrudni życie. Zjesz z nami?

Opanuj się, kretyńko, pewnie wypadłaś z drzwi jak oparzona, I przestań dawać preteksty do podejrzeń o schizofrenię. Udowodniona depresja d wystarczy.

— Nie, dziękuję — czule muskam dłonią jego kark, idąc do drzwi. - Wyjdę na chwilę, śmieci wyniosę.

Dopiero na korytarzu uświadamiam sobie wielkość głupoty, jaką palnęłam. Przecież w bloku nie otwarli jeszcze zsypu, bo po co tylko dla nas dwojga.

A w zaciśniętych pięściach nie mam nawet worka ze śmieciami.

Wiosna jak zwykle oszukała wszystkich. W dzień słońce tak przygrzewało przez okna, że klej do tapet zasychał w trymiga, najczęściej na rękach. Nie dało się nadażyć z dostarczaniem pty' nów, bo wszystko razem z potem wsiąkało w ubrania.

A teraz? Teraz wciskałam ręce w kieszenie Krzyśkowej bluzy, mało by brakło, żeby z ust zamiast oddechu szła para. Temperatura zjechała z liczby dwucyfrowej na jednocyfrową.

Osiedle było puste. W związku z tym, że ludzie dopiero zaczęli się wprowadzać, nie ma co się dziwić. Przed klatką stałam tylko ja sama, nie licząc oczywiście ławeczek, koszy na śmieci, drzewek. I latarenek rzecz jasna, bo jedynie przy świetle może być bezpiecznie.

Dreptałam w miejscu, próbując wychwycić źródło płaczu. Bo przecież mój zmęczony mózg nie mógł być jedynym.

Pamiętam pierwszą wizytę na Sołtysowskim. Choć nie, może nie pierwszą, bo bywaliśmy już u szanownych braci, tu leczyłam zęby, w aptece odbywałam praktyki, odwiedzałam przyjaciół Krzyśka, innych artystów, terapeutów i lekarzy. Pośród tych wszystkich wisierek na torcie krakowskiej śmietanki towarzyskiej czułam się jak ta robaczywa. Najpierw moja siostra śmiała się, że złapałam nadzianego artychę na dziecko, potem, że Bóg nie wszystkim pozwala na dar posiadania potomka. A takiego poczętego w wyniku cudzołóstwa to już w ogóle. Cóż, tego, że sama płodziła dzieci murarzowi na wsi komentować nie chciałam.

Oprowadzała nas prześliczna pani konsultantka. Z jaką ostrożnością stawiała te swoje szpileczki od Martensa na betonie i deskach. Blok lada dzień miał być oddany do dyspozycji

mieszkańców, mówiły wyszminekowane usteczka bardziej do Krzyśka, niż przerażonego dziewczęcia w płaszczu sprzed trzech sezonów. W sumie to oglądaliśmy wiele mieszkań, ale od początku było pewne, że wylądujemy na Sołtysowskim. Prestiż za cenę elektrowni przed nosem. I dużego metrażu, z pokojem dzieciennym w bonusie. Jeszcze wtedy wyjąłowiona nie byłam.

Coś nagle trzasnęło za plecami, podskoczyłam, jakby co najmniej kościotrup podrapał mnie po plecach. To tylko winda zasunęła drzwi. Och, Boże, winda, pieprzona klatka dla klaustrofobów. Pamiętam, jak wsiedliśmy do niej z panią konsultantką. Oparłam plecy o ścianę naprzeciw drzwi, bo mdłości zaczynały wykręcać żołądek nie tylko z rana. Jakież było moje zdumienie, gdy na właściwym piętrze to ściana za mną się rozsunęła. Mało co nie wywinęłam orla na korytarzu. Nienawidzę tej windy: wsiadasz jednymi drzwiami, wysiadasz innymi, jak tu ustrzec się schizofrenii?

Przez otwarty balkon dolatywały strzępy rozmów, a płacz zaczął się nasilać. Dołączyły do tego ciężkie kroki. Oczyma wyobraźni zobaczyłam wielkie glany, dzwoniące o kostkę brukową,

I tak było w istocie.

Wyszedł pomiędzy sąsiadujących bloków, dwie klatki ode mnie. Wszyscy tak zachwycali się oświetleniem osiedla, ale w tej sytuacji na nic zdały się latarnie. Nie widziałam jego twarzy, tylko plecy, gdy szedł w stronę bramy. Od razu przypomniał mi się Alex DeLarge - ta sama koszulka polo wpuszczona w spodnie i żołnierskie buty. Kopniaka czymś takim mogłabym nie przeżyć. Kark, krótki, jakby głowa bezpośrednio łączyła się z przerośniętymi barami. Łysa skóra miała dziwny-różowy odcień Jak Prosiaczek z kreskówki.

Nióśł coś w dłoniach, coś, co rzuciło odblask na okna mijanych mieszkań. Przed oczami miałam aż za dobrze znaną miskę z nierdzewnej stali.

Stamtąd dobiegał płacz, teraz już na tyle głośny, bym mogła wychwycić jakąś prawidłowość, melodię.

Nogi same przyspieszyły kroku, ale obcy nie zbliżył się ani trochę. Gdzie był pan Leszek? Przecież ochroniarze są po to, by Sołtysowskie uwolniło się od społecznych mętów, pokroju tych z Mechanicznej pomarańczy. Tylko czekać, aż zgwałcą mnie pod latarnią w rytm Deszczowej piosenki.

Płacz rezonował w błonach bębenkowych. Przyspieszyłam. Ba, prawie biegłam.

- Niech pan poczeka!

O dziwo, usłuchał. Nie dość, że przystanął, to jeszcze raczył odwrócić twarzą w twarz. I po co ci to było, kretynko? Mało miałaś powodów do obłędu?

- Odpierdol się - warknął różowy ryj. Zamarłam z przerażenia, dłoń unosząc do ust, żeby nie wrzasnąć. Trzeba było lepiej zasłonić oczy, bo ten widok będzie prześladował bez końca. Różowa mordą przyklei się do wewnętrznej strony powiek.

- Głucha jest? — warknął Prosiaczek DeLarge, odwracając się plecami. - Nie słyszała, co ma zrobić?

Stuk glanów odbijał się echem w drodze do bramy. Dlaczego zamiast się odpierdolić, pobiegłam w ślad za nim? Dlaczego dystans wcale się nie zmniejszył, ha! ja wypruwałam sobie płuca, mijając kolejne klatki, a on tylko spacerował tak szybko, jak matka z dzieckiem?

Był jeden powód. Miska, płacząca w łapach Prosiaczka, była tą samą, do której tamtej nocy mnie wyskrobali.

- Stój!

Na nic był wysiłek, obcy zbliżył się do bramy, powolnym ruchem otworzył furtkę, jakby się ze mną drażnił. A ja biegłam jak maratończyk, ale co z tego, skoro wyglądało na to, że biegnę, kurwa, w miejscu.

Uśmiechnął się już zza ogrodzenia, pokazując kły jak u dzika. I zniknął, choć ulicę także rozświetlały latarnie.

Dopiero wtedy dopadłam bramy, uwieszona zielonych prętów rozbeczałam się na pełnych obrotach. Łzy ciekły po policzkach korytami brudu i potu, gdy zsuwałam się na ziemię. Zimny bruk wcale nie zamortyzował upadku. Przez materiał dzinsów czułam niemal każdy kamień.

I jeszcze coś. Wsunęłam dłoń między uda. Spodnie były mokre od krwi tak jak wtedy, gdy ronilałam.

2.

Alleluja, Krzysiek miał znajomości wszędzie. Gdy tamtej nocy zabrał mnie z akademika do szpitala, lekarz już czekał. Cipolog, jak mawiało się na studiach, bo farmacja wiecznie toczyła wojny ze studentami medycyny. Od razu usadowiono mnie na wózku, potem kosmiczny fotel bez stada stażystów, zagląających między nogi. Oszczędzono upokorzenia, z jakim rozbierasz się na korytarzu, bo nie ma wolnej sali. Nikogo nie obchodzi, że ręce śliskie od krwi nie mogą sobie poradzić ze zdejmowaniem majtek.

Teraz obyło się bez horroru. Pan cipolog, ten sam co od fasolki, orzekł, że sytuacja jest normalna. Pierwszy okres po poronieniu może być aż tak obfity, a nawet bardziej. Przemilczałam sprawę płaczącej nierdzewnej miski. Wystarczy, że Krzysiek z panem Leszkiem znaleźli mnie zasmarkaną przy bramie. W kałuży łez i krwi.

Na końcu dostałam parę recept i zalecenia odpoczynku. Czasu miałam aż nadto, bo na resztę ciąży i tak wzięłam dziekankę. Poza tym, lekarz pytał o samopoczucie (och, wyborne, panie władzo) i postępy terapii.

Jezu, terapia, miałam ochotę na śmiech. Tak się składa, że mój psychiatra to nasz wspólny znajomy. Cipolog był z nim na roku i dlatego nie wierzył w spektakularny sukces.

Ba, jakikolwiek sukces. I w sumie nie dziwne.

Tomasz również mieszkał na Sołtysowskim, ale w dwupoziomowej hacjendzie, która przy okazji pełniła funkcję gabinetu. Mieściło się to wszystko w jednym ze starszych bloków, co tylko miało podnosić prestiż.

Ledwie przekroczył czterdziestkę, a już spadło na niego nieszczęście na miarę hiobowego. W styczniu pozowałam Krzyżskowi do aktu, była to ostatnia sesja, która zaczęła się przy sztalugach, a skończyła w łóżku. Mniej więcej w czasie, gdy we mnie zagnieżdżało się życie, żona Tomasza skoczyła z okna, osierocając męża, córkę i psa.

Dlatego Krzysiek tak nalegał na tę terapię, bo miała pomóc nam obojgu. Wyszło jak zawsze, wszak piekło jest wybrukowane dobrymi chęciami.

4-

Zwykle ignorował pukanie, bo przecież oprócz mnie pod drzwiami mógł stać prawdziwy pacjent, a tych Tomasz nie przyjmował już od pogrzebu Beaty. Toteż liczyłam na szczęście. I na to, że jest na tyle trzeźwy, by pamiętać o umówionym spotkaniu.

- Cześć, mała — otworzył na bosaka, w dzinsach i niedbale zapiętej koszuli. Zналиśmy się dużo wcześniej i zawsze lubilałam ten jego cyniczny wyraz twarzy. Tyle, że jeszcze wtedy się śmiał. Patrząc na kilkudniowy zarost na policzkach miało się wrażenie, że było to lata świetlne temu. - Miło cię widzieć, jak zawsze.

- I wzajem, mój ulubiony psychiatro - wkroczyłam do przepastnego salonu z aneksem kuchennym. Panował tu wieczny bałagan, jeszcze kiedyś miałam ambicję pomóc mu w sprzątaniu, ale szybko mi przeszło. Po tym, jak niemal wylizałam kuchnię do połysku, a przy kolejnej wizycie wyglądała tak samo jak wcześniej, a nawet gorzej.

- Czego się napijesz? - spytał, pomagając mi zdjąć kurtkę, I Na perski dywan właśnie załatwiał się pies, jeden z najbrzydszych I pudli, jakiego kiedykolwiek widziałam. Pedantka Beata średnio I raz w miesiącu prowadziła go na czesanie (tak, Sołtysowskie ma własnego fizjera dla zwierząt), teraz sierść przyżółkła i urosła, I całkowicie burząc formy przycięte, jak w żywopłocie. Po inwencji córki zostało tylko obrzydliwe imię.

Pudel Pasztetka, klękajcie narody.

- To, co zawsze.

Ciekawe po co pytał, skoro już podawał mi gin z tonikiem, I tak jak zawsze. Teraz już mogę pić, nie ma pępownicy, która wykorzystywałaby mą krew do wyższych celów.

Kiedyś byłam dobrym dzieckiem, żadnego alkoholu ani używek. Przecież szanującej się studentce uczelni medycznej to nie przystoi. A teraz wylądowałam na balkonie z drinkiem w ręku i papierosem w ustach. Obok Tomasz mieszał dla Pasztetki wodę z wódką.

I gadaliśmy do oporu.

- Wiesz, ja chyba nie lubię dzieci - powiedziałam, podciągając kolana pod brodę, bo na balkonie było zimno. Jeszcze za wcześnie, żeby alkohol rozgrzał bebechy.

- Dlaczego tak sądzisz? - Tomasz potarł policzki, dało się słyszeć nieprzyjemny trzask zarostu o suchą skórę.

- Mówiłam ci o mojej siostrze.

- Mówiłaś o całej nie rodzinie, nie zazdroścę.

- Ona bez przerwy jest w dąży, już nie nadążam za kolejnymi dziećmiakami.

- Mówiłaś, że dwoje.

- Trzecie w drodze, a troje to już dok.

- Och, tak.

Pasztetka wychleptała taniego drinka i znów nasikała. Szczyny z balkonu spłynęły piętro niżej.

- Śmieję się ze mnie, że nie potrafiłam donosić nawet jednego.

- Masz dwadzieścia dwa lata, jak Krzysiek się postara, wychowasz sobie jeszcze drużynę piłkarską. A twoja siostra tylko rozstępy.

- A gdy wpadłam, o mało nie spaliła mnie na stosie za cudzołóstwo.

- Przeszarżała metoda.

Wyrzuciłam peta przez balkon. Tomasz bez słowa poczęstował paczką i podstawił zapalniczkę. Płuca odetchnęły z ulgą.

- Przyznam ci się do czegoś.

-Wal.

- Czasem opiekuję się tymi dziećmiakami. I wiesz, co sprawia mi największą przyjemność? Gdy nikt nie widzi, uwielbiam je drażnić. Zabieram zabawki, podtykam pod nos słodycze, po czym sama je zjadam. Uwielbiam, kiedy się złością albo płaczą. Czy to normalne?

Spojrzałam wyczekująco na Tomasza. Ten tylko znów potarł ogorzały policzek.

- Wiesz, tak bywa. Żałuję, że w tym kraju aborcja jest zakazana. Cały czas mam ochotę przeprowadzić ją na mojej córce.

- O, a ile ma?

- Piętnaście lat.

Na chodniku leżał kot. Z daleka wyglądał na martwego, ale wystarczyło przykłęknąć, by zmienić zdanie. Otyły kastrat rozlał się na kostce brukowej i grzał czarny brzuch w słońcu. Jakim cudem sierść była w stanie ogarnąć tłusty grzbiet, nie wiem. Ale kotu chyba nie przeszkadzał ten mięsień piwny, wlokący się po ziemi, bo mruczenie niosło się na pół osiedla.

W naszym bloku jeszcze nikt oprócz nas nie mieszkał. Sami ledwie parę dni temu pożegnaliśmy remontową spółkę Kondratowiczów i powoli zaczynaliśmy mościć się w nowym gniazdku. Z pokoju dziecinnego Krzysiek bez słowa zrobił pracownię. Więc czyj to kot? Nie widziałam go wcześniej w okolicy.

Tłuścioch wcale nie wyglądał na zabiedzonego bezdomnego. Dopiero, gdy trzy dni później tkwił w tym samym miejscu postanowiłam go zabrać.

Prosiaczek nie pojawił się, aż do tego momentu.

Całe szczęście, że winda zawiozła kota na nasze piętro - sama w życiu nie wydzwigałabym go po schodach. Pozostała jeszcze sprawa kupna kuwety i kociego żarcia. Tomasz pewnie

zanieś się pijackim śmiechem na wieść o tym, że utracone dziecko zastępujemy kastratem z nadwagą.

W tej chwili pieprzyć Tomasza. Behemot od razu zadomowi się w salonie, a ściślej mówiąc nie można było oderwać go od kominka. Gdy w końcu się udało, zajrzeliśmy do pracowni.

Krzysiek pracował nad nowym płótnem, a mi serce podjechało do gardła. Co to za uczucie? Jak krew zamarza w żyłach od tętnic do wątroby? Poznaliśmy się w czasie dziwnym dla nas obojga. Ja wyjeżdżałam z rodzinnej wsi, zostawiając mamę i siostrę brzemienną z pierwszym dzieckiem. Och, jak wszyscy się martwili, czy ta biedna szara mysz da sobie radę w wielkim mieście. Gdy przerażona zaczynałam w październiku zajęcia, Krzyśkowi mijał drugi miesiąc od ślubu. Jego żona już wtedy nie mogła ukryć zaawansowanej ciąży. Suka Weronika — ta, której imienia nie wolno wymawiać.

Farmacja zabiła moje życie towarzyskie jeszcze w zarodku, ale od czasu do czasu można było wyrwać się na miasto z koleżankami. Los chciał, że pewnej soboty trafiłam na wernisaż.

Prezentowane w Cafe Młynek abstrakcje za nic nie chciały trafić do farmacyjnych gustów. Spodobały się nam jedynie akty, a jeden z nich szczególnie—wyłaniające się z mroku dało klęczącej kobiecie. Kadr nie uwzględniał twarzy, skupiał się po prostu na korpusie. Przedmiotowo.

- I jak się pani podoba? - spytał wesoło Krzysiek, popijając szampana tuż za moimi plecami.

Ale wtedy narobiłam rabanu, o Jezusie Nazareńskim. Tak mnie przestraszył, że aż podskoczyłam. But na obcasie przegrał z mokrą posadzką i w efekcie moje czoło przebiło wyżej wymieniony akt na wysokości lewej piersi. Co się stało z rękami inogami - lepiej nie wspominać. Ale kto zawiózł mnie na pogotowie z urazem głowy i podejrzeniem wstrząsu mózgu?

Krzysztof, którego obrazy jeszcze wtedy schodziły za mniej niż tysiąc, o ile schodziły w ogóle.

Dziś cena jego płótna nie spada poniżej liczby czterocyfrowej.

-Co to jest?

- A wiesz, okładka, musiałem ci wspominać.

Z obrazu patrzył Prosiaczek. A raczej nie, nie patrzył - on spozierał, tak jak Szatan nie chodzi, tylko stąpa. Palce odruchowo zacisnęły się na futrze głaskanego kota, aż ten prychnął z bólu i pobiegł do kominka.

Wyglądał tak samo, jak wtedy, z tym, że nierdzewną miskę zastąpił karabin. Zakończona racicami łapy zaciskały się na spuście i lufie. Materiał koszulki z trudem opinał mięśnie, wyhodowane chyba na sterydach. Albo paszy dla tuczników. Ale i tak najgorsza była twarz. Ryj. W wielkim nosie tkwił kolczyk, tak jak i w uszach. Kły dzika szczyrzyły się jak do ataku. Nie zapomnę skóry, różowa guma ze sztywnymi, wtopionymi w nią włosami.

- To kapitan Prosiaczek - Krzysiek usiadł na stołku, odłożył rigger, którym domalowywał szczegóły. Na dłoniach farba zasychała mu w kolorowe plamy.

- Kto?

- Główny bohater, musiałem ci mówić. To okładka do jakiejś planszówki, tandetne post-apo, w którym świnie mutanty przejęły władzę nad światem. Boże, podpiszę to pseudonimem, bo wstyd...

- Na czym on stoi?

- .. tylko tytuł jest ładny. „Lipiec w Coyoacan”. Myślisz, że chwyci za bebechy fanów Kubusia Puchatka?

- Na czym on stoi, Krzysiek?

Westchnął, biorąc z powrotem pędzel do ręki. Zawsze miętosił coś w dłoniach, gdy brały go

nerwy.

- Wiem, nie powinnaś tego oglądać, przepraszam. Następnym razem zasłonię.

Prosiaczek stał na górze, usypanej z dziecięcych główek.

Była piękną kobietą, sama chyba nawet z pomocą tłumy stylistów nie zbliżyłabym się do ideału. To trzeba mieć we krwi.

I widać to na zdjęciu, o tak. Pogładziłam dłonią twarz utrwaloną na papierze. W warstwie kurzu pojawiły się ślady palców. Zakład, że Tomasz modli się do tej ramki od dnia pogrzebu?

- Twoja żona to piękna kobieta - powiedziałam, odkładając zdjęcie na miejsce na kominku. Tomasz był pewnie wdzięczny za pominięcie czasu przeszłego. .

- Nie musisz tego mówić, mała - wokół nóg plątała mu się Pasztetka, coraz chudsza i coraz bardziej zarośnięta, kopniakiem odepchnął psa od sofy. - Zamiast tego opowiedz o śnie. Z ramki uśmiechała się kobieta o krótko ściętych włosach. Zawsze była pogodna, ciekawe, co pociągnęło ją w dół na bruk. Może skusił za śliski parapet.

- Ano tak.

- Dawaj, dawaj.

Najpierw sen, potem Prosiaczek. Żebyś przypadkiem nie wyprzedził mnie w skoku z okna. W sumie to pamiętam tylko obrazy.

Jest tak mały, że mieści się w złożonych dłoniach, jak fasolka, podsuwam ten koszyczek z palców mojej siostrze, Dorotce. Krzywi się. Nie dziwne, ono w ogóle się nie porusza, pierwszy krzyk nie świdruje w uszach, ono śmierdzi zgniłymi jajkami.

Może dlatego, że akurat tak wyobrażam sobie zapach wód płodowych.

Ma bezwłosą skórę, zaróżowioną jak u świni. Ale to twarz każe się Dorotce skrzywić. Albo coś do twarzy zbliżone. Oczy, usta i nos straciły ostrość, rozplynęły się jak woskowa rzeźba w ogniu. Powieki opadły na policzki, sięgając kącików ust, dziurki w nosie zahaczyły o zajęczą wargę.

Jak to się mówi? Sparszywiałe?

Stawiam ono na kruchych nóżkach, w ogóle ma się wrażenie, że to ciało jest puste w środku i pięknie jak porcelana. Odrywam dłonie, korpusik chwieje się na lewo i prawo. Tak strasznie się boję.

Rzeczywiście, trzeszczy jak tłuczone talerze.

Główka rozprysła się w kontakcie z podłogą niczym skorupka jajka. Dopiero teraz maleńkie rączki i nóżki zaczynają kreślić orzełka we krwi i wodach płodowych.

Dorotka grzebie paluchami w tym, co wypłynęło z rozlupanej czaszki. I oblizuje je, od nasady do paznokcia, z głośnym mlaskaniem wpycha do ust niemal całą dłoń.

Na skórze opalizują gluty.

Żółtko i białko jajka.

- Co myślisz?

- Spodziewałem się tego, moje dziecko. I dobrze, że w końcu te emocje zaczynają z ciebie wyłazić. Stłumienie źle by się skończyło.

- Znaczą będzie już lepiej?

- Oprzyj się na Krzyśku to tak.

- Była żona urodziła mu już dziecko. Boję się, że to może coś między nami zepsuć. Suka Weronika.

- Pierdolenie.

- Wiesz, co mi powiedziała po tym wszystkim?

- Poza tym, że ukradłaś jej męża, a dzieciakowi ojca? No co?

- Ze nigdy nie dam mu syna i mnie zostawi. Prędzej czy później. A teraz uważaj: że nasz związek to poroniony pomysł.

- A wiesz, co powiedział mi teść po śmierci Beaty?

- Co?
- Organizacja pogrzebu to sprawa nie cierpiąca zwłoki.

Z Behemotem coś było nie tak.

Najpierw zaczął drapać wszystko, co znalazło się w zasięgu pazurów. Niemal siłą zdzierałam go z drzwi do Krzyśkowej pracowni, bo zdążył się już wspiąć do samej klamki. Co, kiciu? Obraz, zakryty prześcieradłem, przyciągał? Pokopałbyś sobie w czaszkach, rozrzuconych po zabawie z panem świnką?

Krzyśka nie ma, więc się boję. Krzysiek pracuje, w końcu ktoś musi spłacać kredyt za mieszkanie. Sprzedaż obrazów by wystarczyła, ale nie do końca. Krzysiek założył z przyjaciółmi szkołę rysunku. Przygotowują dzieci bogatych rodziców do egzaminów. Czasem boję się tych maturzystek, które wypinają poodślaniane Hała do sztalug. Sen z powiek spędzają modelki - przecież nauczyciel musi je powyginać w odpowiednią pozę do aktu. Trudno, takie jest życie.

Behemot wykopał sobie legowisko na samym środku pokoju i w ten oto sposób bluza z System of a Down poszła na przerób. Spróbowałam go pogłaskać po tłustym brzuchu.

Coś było nie tak. Pod palcami skóra zafalowała, spod sierści dobiegało dziwne bulgotanie. I ból. Behemot oddychał ciężko przez na wpół otwarty pysk. Różowy język zwisał między zębami.

Nagle bluza nasiąkła wilgocią, a powietrze przeszył smród. Przypomniał mi się gnój z dzieciństwa - gdy byłam mafy Dorotka wepchnęła mnie w to gówno.

I w ten oto sposób Behemot kastrat przeobraził się w ciężarną Małgorzatę. A ja byłam ostatnią osobą zdolną do odebrania porodu.

Kot nagle zapał się łapami o fałdy bluzy, wstrzymał oddech, aż oczy lekko uwypukliły się ponad oczodoły. Wzdłuż brzucha przebiegła fala skurczów. Wyglądały, jakby robaki toczyły wewnątrz ciała tuż po sierści.

Plaśnięcie, jakie towarzyszy galaretce, spadającej na podłogę. Albo odgłos z jakim wysysasz ostrągę z muszli.

Nie chciałam rozgrzebywać bluzy, by zobaczyć co też wypłynęło spod ogona Behemota. Ale tak, kurwa, lekko to w życiu niema.

Kocię było martwe, przynajmniej miałam taką nadzieję. Żadnego kwilenia, ba — żadnego oddechu, może dlatego, że łóżysko oblepiało nieruchome ciało. Zresztą, trudno było znaleźć granicę między tkankami matki i dziecka. Wszystko zgniło równo.

Zwymiotowałam na parkiet. Nie wiem, czy przez smród, czy kłatkę żeber, pokrytą strzępami rozkładającego się dała.

Zadzwoił telefon, Behemot zapał się jeszcze mocniej, tym razem coś zakwiliło. Ale głosem tak zmienionym, że nie odważyłam się zajrzeć. Jak miauczenie, odtwarzane ze zużytej taśmy.

Ubrudziłam wymiodnami słuchawkę.

- Przyjdź, Ewa. Szybko.
 - Tomasz?
 - Chodź, natychmiast. Zanim dam się skusić śliskim parapetom.
- Wyglądaliśmy jak obraz nędzy i rozpaczy. Na ubraniu powoli zasychały wymiociny, to samo dzido się z dłońmi, nawet nie zdążyłam ich opłukać. Spodnie zatrzymały się na Tomaszowych biodrach, odsłaniając bokserki. Od śmierci Beaty schudł, jak po chemioterapii. Ale to i tak nic w porównaniu z trupem.

Pasztetka leżała pod ławą, blat ze szkła powiększał wszystkie szczegóły, jakich można by nam oszczędzić. Każde z wybałuszonych oczu kierowało wielkie źrenice w inną stronę. Z pyska zwisał różowy język. Pudel miał tak kretyńską minę, że w normalnej sytuacji pewnie wybuchnęłabym śmiechem. A nie płaczem.

- Chyba zapomniałem ją nakarmić.

Sierść zasłaniała zapadnięte boki, ale nie mogłam sobie przypomnieć, by miska była wypełniona czymś innym niż rozcieńczonym alkoholem.

- Zapomniałem o niej.
- Przykro mi, Tomasz.
- Ten pieprzony kundel był ostatnią rzeczą jaka została mi po Beacie. Teraz nie ma już nic.
- Masz córkę.
- Nie ma już nic.

Nie dane było mi zaznać tego dnia spokoju.

Wracałam chodnikiem w świetle latami, niepewna tego, co zastanę na środku pokoju. Cóż, niepotrzebnie się martwiłam - Behemot wyszedł mi na spotkanie. Ściślej - wypadł.

Pamiętam, że wrzeszczałam tak głośno, że ludzie w zamieszkałych blokach powyłazili na balkony. Z kostki brukowej sprzątnął mnie ochroniarz, już przyzwyczajony do spektakularnych scen obłędu.

Na chodniku przed klatką leżały koty. Kocięta w zgniłych łożyskach, jeszcze połączone pępownią z matką. Martwe. Nie da się przeżyć spotkania z podbitą żelazem podeszwą glanów.

Prosiaczek po prostu wdeptał je w ziemię.

Łykałam valium i kilka innych kolorowych tabletek, których nazw nie potrafiłam wymówić. Miało być lepiej, wyszło jak zwykle. Dobrze, że Krzysiek jakoś to znosił. Bez niego pewnie skoczyłabym z balkonu.

„Lipiec w Coyoacan” zniknął z naszego mieszkania zaraz po tym, jak pod blokiem wrzeszczałam, że wielka Świnia zabiła koty. Na premierze planszówki nie byłam, a sklepów z gramami da się unikać.

Bałam się tego dnia. Od teraz każdy dwudziesty siódmy października będzie traumą, podszywaną pozorami normalności. No właśnie, ustaliliśmy, że ten czwartek będzie taki, jak każdy inny planowany termin porodu.

Umówiłam się na wizytę u dentysty, oczywiście na Sołtysowskim, żeby daleko nie szukać. W ciąży zęby psują się niezależnie od tego, jak wypasionej szczoteczki używasz. Po poronieniu lepiej nie jest - siła sugestii?

Pani doktor urzędowała na drugim piętrze w bloku obok Tomasza. Przespacerowałam się chodnikiem, z głową wciśniętą w ramiona. Wiatr przeginał gałęzie drzew i przyganiał chmury, zanosilo się na burzę.

Co mnie podkuśiło do użycia windy, nie wiem. Pewnie to samo co kazało przygarnąć Behemota. Żeby było ciekawiej.

Ostatnio nabawiłam się klaustrofobii. Gdy tylko drzwi stalowej klatki zaszumiały za plecami, włoski postawiła gęsia skórka. Aż trzeba było przytrzymać się poręczy, żeby nie zemdleć. W lustrze odbijała się twarz tak blada, że niemal równa białkom oczu.

I wtedy mechanizm windy zatrzeszczał, aż zatrzęsło całą kabiną. Choć numer piętra lśnił się czerwoną dwójką, coś szło nie tak.

Po prostu drzwi otwarły się nie z tej strony, co trzeba.

Przez chwilę nie bardzo wiedziałam, co się dzieje. Przecież wsiadłam z jednej strony, wysiadam z innej. Przecież to mnie tak zdenerwowało przy pierwszej wizycie na tym pieprzonym osiedlu.

Korytarz także wyglądał inaczej. Pal licho kolor ścian, chodziło o sufit. Wisiał niżej niż zwykle, dużo niżej - wystarczyło tylko unieść rękę, by dotknąć pożółkłego tynku.

Wyszłam z windy na brudnozielone linoleum, choć tu powinna znajdować się pusta przestrzeń między schodami.

Niestety, nie mogłam się nad tym dłużej zastanawiać. Uderzenie w tył głowy skutecznie pozbawiło mnie przytomności.

Najpierw ból, dopiero potem błędnie próbuje umiejscowić organizm w przestrzeni. Zaczyna się od uczucia ucisku, coś oplata łydki, przyciska je do twardej powierzchni. Próba poruszenia się skutkuje wbiciem drzazg w skórę. Wygięte stawy informują, że ręce są gdzieś z tyłu, za plecami, oplecione w nadgarstkach taśmą, która przy okazji przytwierdza je do oparcia. Pieprzone krzesło łaski.

Oczy otwieram na końcu tylko po to, by dostać otwartą dłońią prosto w policzek. Długie paznokcie orzą skórę pod dolną powieką.

- Zbudź się, królewno.

Suka Weronika rozciera bolące wnętrze dłoni. Wygląda tak samo, jak przy ostatnim spotkaniu, gdy szydziła z pustego łona. Ładna kobieta, jednym słowem: dużo wyższa ode mnie, nie tylko dzięki szpilkom, w gustownym kostiumiku. Rozpięła marynarkę dla swobody przy większym zamachu.

- Ale o co...

W polu widzenia znalazła się pani doktor. Biały kitel gdzieś tam pokrywały plamy zakrzepłej krwi, że o wypalonych dziurach nie wspomnę.

- Nie wnikaj, mała - mruknęła, opukując strzykawkę, by pozbyć się pęcherzyków powietrza. — Nerwy źle wpływają na zdrowie.

Zamrugałam kilkakrotnie, próbując rozejrzeć się po pomieszczeniu. Łatwo nie było — przyklejono mnie taśmą do krzesła. Ledwo co dało się ruszyć obolałym karkiem.

Fotel, o Jezusie człowieku, zabierz mnie stąd! Fotel ginekologiczny zajmował połowę pokoju. Rdza przeżarła już metalowe elementy, te nakrapiane czerwonym nalotem rury pękłyby pod ciężarem kobiety. Z porwanego siedzenia wystawały sprężyny.

Przecież to nie musi być rdza, krew na dentystycznym kitlu wygląda niemal identycznie. Wrzasnęłam.

Na długo ciszy zmącić się nie dało - lufą pistoletu z powodzeniem wypełniła usta. Pistoletu? Raczej karabinu, tego samego, który znałam z „Lipca w Coyoacan”.

— Cisza — wycharczał Prosiaczek, potrząsając bronią. Ciałem targnęły wymioty i ból od obcieranej śluzówki po wewnętrznej stronie policzków. Zęby przejechały się po metalu. Jeden chyba pękł.

- Będęcihotylkotozabierz...

Co? - karabin tym razem na pewno wybił jedynekę. Głos Prosiaczka był dziwny, miał w sobie coś z ryków dzika, a nie dziecięcej kreskówki.

- Dobra, stary, bo zdechnie ze strachu - dentystka zaczęła polerować narzędzia. Szkoda, że używała ścierki zabrudzonej czymś na kształt wymiotów. — A do zabiegu musi być przytomna.

Wyszarpał broń, nie siląc się na delikatność. Coś spłynęło po brodzie, splunęłam. Na brudnym linoleum wylądowała krew i kawałek jedyнки.

- Czego wy...

Otoczyli mnie kołem: dentystka, Suka Weronika i Prosiaczek. I ja, przywiązana do krzesła, obolała. O co, kurwa, chodzi?

- Pytanie, czego ty chcesz.

- A na to akurat znamy już odpowiedź.

-Tak.

- Chcesz mieć fasolkę z powrotem.

- Jesteśmy tu, aby ci pomóc. W najgorszym razie zaszkodzić.

- Biedna, mała, pusta Ewa - zaśmiała się Suka Weronika, opierając ręce na biodrach. - Puściuteńka. Jałowa.

- O tak, bardziej jałowa niż narzędzia, które tu mamy - pani doktor podeszła do regału, gdzieś za moimi plecami. Usłyszałam brzęk metalu o drewno. I, o Boże Świąty, znowu. Kwilenie, jak u tego sparszywiąłego kocięcia. Płacz, puszczonej od tyłu, do tego na starej,

wymiętej taśmie.

- Zasadzimy fasolkę z powrotem - lekarka podeszła do fotela, ściskając coś w dłoniach.

Szarpnęłam się, aż zaskrzypiało stare drewno, aż taśma poluzowała się na łydkach. Prosiaczek unieruchomił mnie, kładąc rękę na ramieniu. Racica, podbarwiona gnojem, zadrapała skórę przez materiał bluzki.

Na stoliku z narzędziami dentystka postawiła miskę z nierdzewnej stali.

- Nie, zabierzcie to, przecież nic nie zrobiłam...

- Nic? - Suka Weronika pochyliła się nade mną tak nisko, że mogłam dostrzec zbrylony puder na obrzeżach policzków - Nie? To ja w ciąży nie zrobiłam nic. Leżałam w łóżku, żeby dzieciakowi było dobrze, ani kropli alkoholu do ust nie wzięłam - syczała, przyskajac śliną, przezroczyste kropelki zatrzymywały się na szkle okularów. I nagle Weronika usiadła okrakiem na moich kolanach. Krzesło zajęczało pod ciężarem, gdy zaciskała nogi wokół oparcia. - A ty zrobiłaś bardzo dużo. Chodziłaś na zajęcia, co gorsza chodziłaś na laboratoria. Wiesz, co robi ultrawirówka z zarodkiem? Czym skutkuje inhalowanie się eterem albo formaliną? Cóż, możesz sama zobaczyć, o tam, w miseczce.

Twarz przy twarzy, szczęk przekładanych narzędzi i Weronika, wypełniająca całe pole widzenia.

I wtedy rozległy się kroki na klatce. Wszyscy umilkli, odwracając głowy w stronę drzwi. Na korytarzu obcasy butów stukwały o zielone linoleum, najpierw szybko, gorączkowo, po chwili spokojnie, od mieszkania do mieszkania, jakby czegoś szukając.

Głos stłumiony, ale ten który znam.

- Ewa?

- Kurwaaaa... - warknęła dentystka, znów grzebiąc w instrumentach, aż znalazła pokaźny i ostry skalpel. Krew zakrzepła na metalu.

- Książę na białym koniu. — Prosiaczek odbezpieczył broń.

- Ewa? - Krzysiek krążył po klatce. - Ewa, jesteś tu? Proszę cię, obudź się, odezwij się, proszę...

Chciałam wrzasnąć, ale Suka Weronika zakryła mi usta obiema rękami. I jeszcze mocniej naparła biodrami i klatką piersiową w jakimś makabrycznym uścisku.

- Nie będziemy się pierdolić z jakąś kawalerią - kapitan skinął na lekarkę i oboje zaczęli skradać się do drzwi. W momencie, gdy obuta w glan racica wywaliła je na klatkę, Weronika wyszeptala prosto w ucho. - Zabiłaś jego dziecko z premedytacją.

Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Nie wiem, czy pierwszy uderzył Prosiaczek, czyja. W każdym razie klatkę schodową przeszła seria z karabinu, w powietrzu rozszedł się smród prochu i spalenizny. Ktoś krzyczał, ale nie potrafiłam dopasować głosu do konkretnej osoby. Zajęła mnie Weronika.

- On wie i prędzej -czy później opuści cię przez to...

Wzięłam zamach na tyle szeroki, na ile pozwalała taśma i uderzyłam czołem w twarz Suki. Zazgrzytały trące o siebie kości, poczułam jak nos wbija mi się w skroń i pod siłą uderzenia wybucha krwią. Weronika wrzasnęła albo z bólu, albo ze zdziwienia. Palce zakończone ostrymi paznokciami zamiast tamować krew jedynie bardziej rozdrapywały ranę.

Poprawiłam, celując w oko. Krzesło rozchybotało się z trzaskiem i obie upadłyśmy. Miałam szczęście, Weronika już nie - uderzyła potylicą o kant regału. Mięśnie zatrzepotały ciałem w powiększającej się kałuży krwi. Rozrzucone bezwładnie ręce, które próbowały amortyzować upadek, ściągnęły na ziemię tackę z narzędziami.

Spróchniałe krzesło w kontakcie z podłogą rozpadło się na kawałki, raniąc skórę do mięsa. Ale uwolniłam lewą rękę i dzięki

Bogu, jeden ze skalpeli znalazł się w moim zasięgu. Taśma ustąpiła pod naporem ostrza.

Z trudem pozbierałam się do kupy, oparłam plecami o drzwi balkonowe, drżąc ze strachu. Nie mogłam utrzymać szczęk w spokoju — zgrzytałam zębami.

Na klatce rozległa się kolejna seria, ciężkie kroki w biegu na schodach i krzyk, urwany przez wystrzał.

Nie było ucieczki.

Chciałaś w dół, na bruk, proszę bardzo. Tyle, że tym razem módl się, by przeżyć upadek z drugiego piętra.

Nie było czasu na rozmasowywanie obolałych mięśni. Poderwałam się na równe nogi, ale lewe kolano natychmiast zareagowało bólem. Kolejny upadek w trawę, na szczęście miękka po deszczu ziemia uchroniła kości przed połamaniem.

Wstałam po raz drugi, spokojniej i powoli. Cholera, osiedle ciemne, bo latarnie jakimś cudem wysiadły, a pana Leszka ani widu, ani słychu. Zresztą, pewnie wpakowałby mnie w twarzowy kaftanik.

Zaczęłam kuleć w stronę Tomaszowego bloku. Krzysiek, obyś dał sobie z nimi radę, Jezusie człowieku, Krzysiek, uciekaj, bo ja po ciebie nie przyjdę.

W ostatniej chwili ukryłam się za załomem muru, bo na balkon wylazł Prosiaczek. Proszę cię, Boże, to na jego ryju to nie może być krew.

- Wpuścić panią?

Wepchnęłam pięść w usta, by nie wrzasnąć. Jeszcze tego brakowało.

- W porządku? — kobieta, jak się tu znalazła? znikąd, nie wiadomo - ścisnęła w jednej ręce torebkę, w drugiej klucze do klatki. Idź, idiotko, przecież palcem sobie zamków w obcym bloku, nie otworzysz.

- O tak, dziękuję - spróbowałam się uśmiechnąć, o dziwo widok złamanej jedyńki nie zrobił na kobiecie żadnego wrażenia. Tak jak i całe pokrzwawione ubranie, że o odartej skórze nie wspomnę.

Wpuściła mnie przodem, wezwwała windę, wprawdzie wolałam iść schodami, no ale jak odmówić wybawczyni. Przecież tu jest bezpiecznie.

Wybrałam trzecie piętro.

- O, pani też tam? — kobieta uśmiechnęła się pogodnie, odgarniając z twarzy kosmyk blond włosów. Skądś znałam te oczy, niebieskie z odblaskiem światła w źrenicach, jak w mandze.

O, Jezusie.

Beata powinna w tej chwili dawać się toczyć robakom i żegnać ze skórą odłazącą od kości, a nie patrzeć ze zdziwieniem na moją minę. Widocznie tej nocy nie tylko były, ale i martwe żony wracają do gry.

- Wybieram się do Tomka - powiedziałam powoli, karząc się za brak wyobraźni, z windy nie uciekniesz, niezależnie od tego, z której strony otworzą się drzwi.

Beatka wyszczerzyła zęby, za drobne i za ostre jak na człowieka.

Dzwonek oznajmił, że dotarliśmy na miejsce.

Wysiadła pierwsza, delikatnie pociągnęła mnie za rękę i wypchnęła do przodu - prosto do Tomkowych drzwi na końcu korytarza. Powłóczyłam lewą nogą, próbując opanować łyż. Więc tak to się skończy, w ciemnym korytarzu jakiegoś bloku, pod eskortą nie-kobiety. Beata otwiera kluczami drzwi do mieszkania.

- Goście przodem.

Na sofie siedzi Tomasz, ma tylko przybrudzone spodnie od dresu, a w dłoniach szklankę z jakimś alkoholem. Nazwanie jego zarostu zadbanym to gruby nietakt.

Patrzy na mnie bez wyrazu, na długowłosym dywanie Pasztetka wymiotuje żółcią i próbuje zjeść to z powrotem.

- Cześć, Ewa.

- Cześć, Tomek

Beata wpycha mnie do salonu. Kamienieję, teraz rzeczywiście jest już za późno. Koniec, smutny koniec, mała. Nie tak to sobie wyobrażałaś w chwili, gdy test pokazał dwie kreski.

Przy kominku stoi dentystka, też popija coś, co wygląda na gin z tonikiem. Wskazuje na drzwi łazienki. Przez próg przerzucone są nogi, reszty nie widać, ale bez trudu rozpoznaje znoszone dżinsy.

Prosiaczek przestępuje ciało mojego nie-męża, wyciera dopiero co umyte racice. Na ręczniku zostają ślady krwi.

Chodź, Ewa. Spomiędzy ud spływa mi struga krwi.

Idę, modląc się, żeby chociaż nie bolało.

Anna Klejzerowicz - pisarka, publicystka, fotograf, redaktor. Gdańszczanka. Autorka dwóch zbiorów opowiadań grozy z cyklu: Złodziej dusz. Opowieści niesamowite, powieści kryminalnych: Sąd Ostateczny, Ostatnią kartą jest Śmierć\ Cień gejszy, powieści obyczajowej Czarownica, opowiadań w antologiach zbiorowych (m.in.: Narracje. 6 opowiadań o Gdańsku, opowiadanie Pejzaż z wozem konnym, nowelka Zatruta krew w antologii kryminału Zatrute pióra), a także tekstów prasowych - beletrystycznych i publicystycznych. Przez wiele lat współpracowała z teatrem Atelier im. Agnieszki Osieckiej w Sopocie jako fotograf i redaktor publikacji teatralnych.

Anna Klejzerowicz

KULKA

We mnie jest początek i koniec, przyczyna i skutek, wszystko, czego pragniesz i czego się boisz - jest we mnie. Mamie cię swoim blaskiem i refleksami kolorów, wdzięczę się do ciebie, mrugam i uwodzę. Daję się objąć dłonią, chłodzę i pieszczę. Możesz się we mnie przejrzeć i zobaczyć całą prawdę. Jestem wiecznością, jestem całością, jestem doskonałością. Bo wszechświat jest kulą, wiedziałeś o tym?...

Masz mnie - masz wszystko. Ja dam d wszystko.

Ja piękna...

Lipiec.

- No i jak, kochani, super tu jest, co? - Maria uśmiechnęła się z nadzieją do syna, popatrując jednocześnie na męża, jakby oczekiwała od niego wsparcia. I słusznie, łatwo było, bowiem przewidzieć odpowiedź nadąsanego czternastolatka.

- Wiocha - Irek wzruszył ramionami. - Już mówiłem sto razy, więc, po co pytasz? On jeden nie cieszył się z przeprowadzki za miasto. Przez ośli upór rodziców musiał zostawić za sobą wszystko, co znał najlepiej: szkołę, kolegów, podwórko, miejskie ulice, na których się wychował. W nosie miał ogródek i przyrodę. Dla niego nie była to w żadnym wypadku gra warta świeczki. Udobruchał się jednak trochę, kiedy zobaczył swój pokój: położony z dala od sypialni rodziców, na poddaszu, obszerny, umeblowany tak, jak to sobie wymarzył.

- Nie narzekaj, chłopie, docień, co masz — Michał klepnął chłopaka w ramię i dodał: - Możesz wieszać tu te swoje plakaty, miejsca masz dość, nie to co w bloku!

Kupili ten niewielki dom w czerwcu, okazji nie, w zasadzie w cenie dotychczasowego mieszkania w mieście, które sprzedali bez żalu. Domek był wprawdzie stary, ale po remoncie, więc poza kosmetycznymi zmianami nie musieli niczego w nim zmieniać, przez co uniknęli dodatkowych kosztów. Opłaciło się. Maria cieszyła się szczególnie z przydomowego ogrodu - już planowała, co będą sadzić i gdzie ustawią stół, ławę i parasol ogrodowy, a gdzie leżaki do opalania. Michał z kolei liczył na święty spokój. Pracował, jako tłumacz literatury anglojęzycznej i potrzebował go jak tlenu. Tutaj jednego i drugiego nie powinno mu

zabraknąć.

Do miasta mieli stąd zaledwie kilka kilometrów, rzut beretem. Nie wynieśli się w końcu na jakieś zadupie, tylko do malowniczej podmiejskiej osady. Uwolnili odwiecznego smrodu hałasu i betonu. Nawet do Irka w końcu to dotrze. W nowej szkole szybko się zdomowi, a jeśli tylko będzie chciał spotkać się z dawnymi kolegami, to wsiądzie sobie w autobus, dziesięć minut i już jest w centrum. Poza tym, będzie mógł przecież zapraszać ich tutaj: grill, ognisko, sama frajda...

- Kolacja, chłopaki! — Maria wyjrzała z kuchni, gdzie zarumieniona z emocji szalała pomiędzy nowiutkimi zielonymi szafkami i rustykalnym blatem. - Pierwszy posiłek w naszym pierwszym prawdziwym domu!

Michał usłyszał łomot na schodach, świadczący dobitnie o tym, że Irek jest głodny. Sam również poczuł ssanie w żołądku, nie jadł przecież od śniadania, kursując pomiędzy mieszkaniami, by ostatecznie zakończyć przeciągającą się przeprowadzkę. Zamknął okno w swoim nowym gabinecie - jak żartobliwie nazwał ten maleńki pokój do pracy - drewniane okno z zieloną okiennicą, przez które zaglądał pnący się bujnie winobluszcz, i ruszył do drzwi, gdy nagle o coś się potknął...

Prosto pod jego nogi potoczyła się kulka. Szklana, wielkości mniej więcej piłeczki tenisowej. Gdy padł na nią refleks zachodzącego słońca, przefiltrowany przez liście, rozjarzyła się różnokolorowym blaskiem. Michał schylił się, podniósł kulkę i wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia, skąd się tutaj wzięła. Była jednak ładna, bardzo ładna. Piękny gadżet. Zważył ją w dłoni: dość ciężka. Uśmiechnął się i odłożył kulkę na biurko. Równie dobrze mogła służyć jako przycisk do papierów.

W kuchni żona i syn czekali już przy stole. Na kolację była jajecznica.

- Wsiowa jajeczniczka - z krzywym uśmiechem zauważył Irek

Michał poczuł zniecierpliwienie.

- Och, zamknij się już, bo zrzędzisz jak stara baba - warknął. Maria spojrzała na nich z dezaprobatą:

- Dość tego. Jajeczniczka palce lizać. I cieszymy się, że mieszkamy na wsi, bo mieszkanie na wsi jest teraz cool, jak wy to mówicie, co nie? - mrugnęła do syna, który prychnął pogardliwie.

- Aha... - zagaił Michał po kolacji. - Ktoś z was zgubił może szklaną kulkę?

- Co proszę? - Maria uniosła brwi.

- Młody, nie ty?

- Ja? Szklaną kulkę? W życiu!

- A co? - zainteresowała się Maria, zbierając Irek, do zmywarki!... To co z tą kulką?

- A nic. Znalazłem w gabinecie. Widocznie została po poprzednich właścicielach.

- I po co ci jakaś kulka? — parsknął Irek.

- Na szczęście - odparł Michał przekornie. - Poza tym, nada się idealnie jako przycisk do papierów.

- O ile się nie stoczy...

- Nie twoje zmartwienie, synek!

Osiem dni później.

Michał postawił ostatnią kropkę, po czym zapisał i zamknął plik. Czas na odpoczynek.

Łyknął trochę zimnej kawy, zerknął za okno, na zieleń, która koila zmęczone oczy. Przez moment mignęła mu sylwetka żony: odziana w stary niebieski dres, uwijała się w ogrodzie, sadząc, siejąc i wrywając zielsko. Była w swoim żywiole, marzyła o tym odkąd pamiętał. Jak dobrze!...

Mieszkali tu już od przeszło tygodnia i wyglądało na to, że wszystko powoli zaczyna się układać. Poczuli przyływ nowej energii. Nawet Irek pogodził się wreszcie — chyba? - z

mieszkańcem „na wiosze”. Docenił szybkie posiłki z grilla, zamiast tradycyjnych obiadów, spożywane na świeżym powietrzu, spodobał mu się też codzienny jogging w lesie, który mieli dosłownie za płotem. Na szczęście wciąż trwały wakacje, więc najtrudniejszy etap będzie miał już za sobą, kiedy pójdzie do nowej szkoły. Wszystko się świetnie układa. Jest dobrze, jest super...

Michał przeciągnął się leniwie. Jego wzrok padł na szklaną loilkę, leżącą obok laptopa. „Naprawdę przyniosłaś nam szczęście” - pomyślał wesoło, i przetoczył kulkę po blacie. Złapał ją w ostatniej chwili, gdy zbliżyła się do krawędzi, potrzymał w dłoni, napawając się przyjemnym w dotyku chłodem oraz gładkością szklanej powierzchni. Przyciągała wzrok tęczowymi refleksami, jakby świeciła własnym wewnętrznym światłem. Naraz ujrzał w niej jakiś ruch. W środku. Coś niebieskiego poruszyło się tam i znikło. Zdziwiony obejrzał się i szybko doszedł do wniosku, że to na pewno Maria, w swoim niebieskim dresie, musiała przejść obok okna i to jej postać odbiła się w szklanej powierzchni. Zaśmiał się, rozbawiony własnym roztargnieniem.

Jest cudownie, rewelacyjnie. Wszystko się wreszcie układa...

Tydzień później.

- Komu jeszcze zupy? - zapytała Maria. Tego dnia jedli obiad w pokoju dziennym, pełniącym rolę zarazem jadalni i salonu. Na dworze padało, a w kuchni z założenia spożywali tylko śniadania i kolacje.

- Ja chcę! - zgłosił się Irek.

- Nie chcę, tylko poproszę - poprawiła go matka, dolewając mu pomidorówki.

- Niech ci będzie, poproszę. - Chłopiec wzruszył ramionami, z zapalem dobierając się do talerza. Maria zerknęła na męża, który siedział zamyślony nad swoją porcją, prawie nietkniętą:

- Michał? A ty?

- Co ja? - ocknął się.

- Nie smakuje?

- Jest okej - z widocznym oporem zanurzył łyżkę w zupie, po czym ponownie zagapił się w okno.

- O co chodzi? - zniecierpliwiała się Maria. - Nie po to stoję przy garach, żeby...

- Czego tu dodałaś? - wszedł jej w słowo.

- Jak to? Sól, pieprz, pomidory... A co, niedobra? Może za ostra? Irek?

Chłopak ponownie wzruszył ramionami:

- Dla mnie w porzo.

- Tylko sól i pieprz?... - indagował dalej Michał.

- Słuchaj, o co ci chodzi?! A co niby miałabym tam jeszcze dodać, cyjanek?!

Wyszczerył się groteskowo:

- Kto wie, kto wie... Ty to powiedziałaś!

Parsknęła śmiechem.

- Przestań, stary ośle! Ale masz dowcip... - popukała się w czoło, znacząco spoglądając w stronę syna, który przyglądał się im kpiąco. Michał wreszcie także zdobył się na uśmiech, choć zupę od siebie odsunął.

- Jakoś nie mam dziś apetytu - stwierdził. - Trochę boli mnie głowa, pewnie przez ten cholerny niż.

- Nie przekl... - zaczęła Maria, lecz nagle urwała. Wszyscy aż podskoczyli na dźwięk przeciągłego, wibrującego stukotu, dochodzącego z dołu, z podłogi. Od strony gabinetu Michała toczyła się w ich kierunku szklana kulka...

Przez chwilę wpatrywali się w nią jak zauroczeni, aż w końcu Irek zerwał się z krzesła, by chwycić lśniący przedmiot, zanim potoczy się gdzieś pod szafę.

- Rany, ojciec, to jest ta twoja zaczarowana kula?! — zdążył tylko zawołać. - Ale jak ona

tutaj...

Nie rusz jej! - Michał odepchnął go brutalnie, schylając się po kulkę i błyskawicznie chowając ją do kieszeni.

Zarówno żona, jak i syn, wpatrywali się w niego nic nie rozumiejącym spojrzeniem. Na twarzy chłopca odbijał się szok, na twarzy kobiety niedowierzanie, zamieniające się stopniowo w złość.

- Oszalałeś - wycedziła.

Michał wyglądał teraz na zmieszanego.

- Przepraszam - bąknął. - Coś mi odbiło. Ale, kurczę, wiecie, jak nie lubię, kiedy ktoś rusza moje rzeczy... To z przyzwyczajenia. No i pewnie z powodu tego bólu głowy. Sorry, stary... Pójdę się na trochę położyć.

Kilka dni później.

Zegar wybił dwunastą, gdy Maria skończyła pracę. Cały wieczór ślęczała nad szkicami ilustracji do jakiegoś podręcznika, nie zauważyła nawet, że zrobiło się tak późno. Irek spał już u siebie na górze, z gabinetu Michała - ani z ich sypialni - także nie dochodziły żadne dźwięki. Pewnie on też już zasnął, pomyślała. Czas się zbierać, jutro trzeba wstać wcześniej i skosić trawnik. O ile rano nie będzie padać, bo na popołudnie znowu zapowiadali deszcz. Całkiem zarósł, aż wstyd. Co prawda, kosiarka ostatnio szwankowała. Michał powinien się tym zająć, ale... jakoś nie wykazuje do tego ochoty. Więc może sąsiada poprosić, pana Witka, z niego taka złota rączka, no i do tego życzliwy, sympatyczny...

Maria schowała swoje rysunki do szuflady, wyłączyła komputer, zgasła światło i poszła do łazienki. Gdy po kilku minutach weszła do sypialni, zobaczyła, że Michał owszem, śpi, nawet pochrapuje, ale na nie zaścielonym łóżku, w ubraniu. Cóż, pewnie zasnął z tego bólu głowy i tak już został. Maria delikatnie potrząsnęła go za ramię.

- Michał, wstawaj, trzeba pościelić...

- Mmmm...

- Obudź się...

Nagle znieruchomiała. Jej mąż ścisnął w dłoni szklaną kulkę. Jak dziecko. Zupełnie zwariował na jej punkcie, pomyślała trochę rozbawiona, trochę zaniepokojona. Spróbowała wyjąć mu kulkę z ręki, ale trzymał mocno. Gdy spróbowała jeszcze raz - odepchnął ją przez sen.

W końcu udało jej się go dobudzić.

- Już tak późno? — zdziwił się, odkładając pieczołowicie kulkę na półkę z książkami i sięgając po piżamę.

- Myślałam, że służy ci jako przycisk do papierów?

-Co?

- Kulka.

- No bo służy. Machinalnie ją zabrałem...

Kiedy leżeli już obok siebie w ciemnościach, Maria pogładziła męża po plecach. Odsunął się od niej jak oparzony.

- Michał... Co jest?...

- Zostaw mnie, chcę spać.

- Okej, okej! - zrobiło jej się głupio. I przykro. Poczwała łyzy pod powiekami. - Wyjaśnij mi tylko, dlaczego reagujesz tak, jakbyś się mną, do jasnej cholery, brzydził?!

Milczał.

- Udajesz, że śpisz?

- Daj mi spokój. Idź do swojego gacha!

- Że co?!!!

- To, co słyszysz - usiadł gwałtownie i zaczął syczeć na ni\$ jak wąż. - Myślisz, że nie wiem?! Uwielbiasz go przecież, cwaniaczka, wiejskiego amanta... mięśniaka zasranego...

Autorytet sobie znalazłaś... Kochaś wszystko wie, kochaś wszystko zrobi... Latasz do niego jak ta suka w rui!

- Do kogo?... - była tak zaskoczona, że nawet zapomniała o złości.
- Nie kłam, nie udawaj! Kogo chcesz wyprowadzić w pole?! Mnie?! Dziwka!
- Matko, ty naprawdę oszalałaś... O kogo ci, kurde, chodzi?...
- Może nie biegasz, jak pierwsza lepsza, do tego całego... Jak mu tam... Witka, Wicia, Witusia?! - wykrzywił się do niej, co dostrzegła nawet po ciemku. Odwróciła głowę, gdyż z wściekłości strzykała śliną. Poczula też odrzucający, wręcz namacalny smród potu i furii. I nie tylko. Poczula obrzydzenie.
- Ledwie go znam. Skąd ci coś takiego przyszło w ogóle do głowy? - zapytała zimno, niechętnie. Wcale nie miała ochoty dyskutować, ale zbyć tych farmazonów milczeniem także w końcu nie mogła.

- Widziałem!

Zerwała się z łóżka i zapaliła światło.

- Tak?! Ciekawostka!... Chyba w tej swojej... czarodziejskiej kuli, co?! Bo tylko w nią się ostatnio całymi dniami wpatrujesz!!!

- A być może — uśmiechnął się do niej złośliwie. - Być może...

Zabrała wtedy swoją poduszkę, koc, i poszła spać do pokoju dziennego. Rano przeproszał ją nieomal na klęczkach, przyniósł jej nawet bukietek stokrotek, zebranych w ogródku. Dobrze, że nie zdążyła skosić... Kajał się, tłumaczył, że tak ją kocha, że jest zazdrosny, że coś go opętało. Z tym ostatnim akurat Maria zgadzała się bez zastrzeżeń. Rzeczywiście, coś go opętało. I nawet domyślała się, co. Choćby to nie wiem jak idiotycznie brany Nawet jeśli to przypadek, to i tak...

Nie, to nie przypadek.

Wówczas po raz pierwszy schowała kulkę. Gdy Michał z Irlidem pobiegli do lasu, weszła do jego gabinetu i ją po prostu zabrała. Wrzuciła głęboko do schowka z narzędziami ogrodniczymi, który znajdował się pod schodami. Mąż nigdy tam nie zaglądał, bo i po co. Ogrodu się przecież nie tykał. Zadowolona zamknęła szafkę. Jakby pytał, to powie, że nic nie wie. Kulka mogła się przecież sama gdzieś potoczyć.

A niech jej sobie szuka!...

Lecz już po południu, tego samego dnia, kulka jak gdyby nigdy nic, leżała na swoim stałym miejscu, czyli na biurku Michała. A sam Michał nawet się na ten temat nie zająknął. Maria zachodziła w głowę, jak on ją zdołał odnaleźć. I kiedy. Szperał za jej plecami? Bez słowa? I to tak, że niczego nie zauważyła?...

Maria nie poddawała się jednak. Następnym razem wyrzuciła kulkę do śmietnika. A jeszcze następnym zakopała ją w ogrodzie.

Lecz ta zawsze, w jakiś sposób, wracała na swoje miejsce.

Sierpień.

Jest dobrze. Bardzo dobrze.

Coraz lepiej...

Maria z hukiem otworzyła drzwi do sypialni. No tak. Micha! znowu spał w biały dzień na tapczanie, z kulką w dłoni.

- Michał! Michał!

Odpieprzysz się wreszcie ode mnie? Czego znowu chcesz? - wymamrotał, nie otwierając nawet oczu.

- Masz tyle czasu, że możesz się całymi dniami wylegiwać? A twoje tłumaczenie?

- Zdążę.

- Nie zdążysz — oświadczyła dobitnie. - Już nie zdążyłeś! Termin minął tydzień temu. Okłamywałeś mnie. Od miesiąca nic nie robisz. Kompletnie nic!

- Skąd wiesz? — otworzył wreszcie jedno oko.

- Właśnie dzwonił z wydawnictwa.

Wyszczerył się ironicznie.

- Aha. No to już wiesz. Lepiej ci? To teraz się wreszcie odczep i zajmij swoimi sadzonkami. Sąsiad ci pomoże.

- Posłuchaj, debilu — wycedziła, czując, jak powoli narasta w niej nienawiść. — Z moich rysunków nie utrzymam domu, siebie, ciebie i dzieciaka. Kończą się oszczędności. Mamy długi. Niedługo zabraknie nam na prąd, a potem na jedzenie. Żyjemy na kredyt. Więc rusz tyłek i zabierz się łaskawie do jakiejś roboty, zanim to wszystko runie! Dotarło?! - wrzasnęła i wyszła, trzaskając drzwiami.

Wszystko się ułoży. Już niedługo. Jesteś przecież stworzony do wyższych celów. Spójrz, tylko spójrz: Oto mównica. Błysk fleszy. ... Tłumy wielbicieli... Oklaski.

Jest dobrze. Będzie jeszcze lepiej...

Nasłuchiwała przez chwilę. Dalej tkwił w sypialni. Po dchu wślizgnęła się do gabinetu.

Chciała zajrzeć do jego komputera, sprawdzić jak zaawansowane jest dumaczenie, którego nie oddał na czas. Wydawca zagroził zerwaniem współpracy. To byłby dramat. Może, jeśli nie zostało już dużo, uda jej się go jakoś namówić do ukończenia tekstu, lub... lub poprosi kogoś, by to skończył za niego... Może...

Nie zdążyła podejść do biurka, bo...

- Au!!! Jezu!

... z półki na książki coś na nią spadło i boleśnie uderzyło w ramię, po czym hałaśliwie potoczyło się po podłodze. Dopiero, gdy wirując, znieruchomiało wreszcie pod oknem, rozpoznała ów przedmiot. Naturalnie: cholerna szklana kulka Michała. Roz- świadona smuga dziennego światła, wpadającego zza żaluzji, lśniła i mieniła się wszystkimi kolorami tęczy. Marii zdawało się też, że słyszy z jej wnętrza jakiś dźwięk. Coś jakby cichy szmer albo monotony szum, trochę jak z muszli. Kulka grała...

Halucynacje - szybko doszła do wniosku. Lecz poczuła lęk Opanowała go z trudem, podniosła kulkę i zważyła ją w dłoni. Ciężka. Gdyby tak, zamiast w ramię, uderzyła ją w głowę...

Zaraz... ale w ogóle to skąd ona tutaj? Przecież dopiero co miał ją ze sobą w sypialni. Zdążyłby odnieść?...

A może tych kulek jest więcej? Zabawne, pomyślała, siląc się na autoironię: wygląda na to, że prześladuje mnie głupia szklana kulka!... Czy ja już przypadkiem sama nie oszalałam?...

Cha, cha, cha, zabawne... Prawda, jakie zabawne?...

Po cichu zamknęła drzwi do gabinetu (to chyba właśnie wtedy po raz kolejny zabrała kulkę i wyrzuciła ją do kubła na śmieci). Nie miała już odwagi zaglądać do komputera. Zresztą po co? Olać to. Poradzi sobie sama.

Poradzi sobie.

Na pewno.

Wrzesień.

Irek odrabiał lekcje u siebie na górze. To znaczy, miał odrabiać, ale zamiast tego włączył ulubioną grę komputerową. Co tam. Lekcje nie uciekną. Nic trudnego nie zadali. Nowa szkoła całkiem mu się spodobała: nie wymagali zbyt wiele, przynajmniej jak do tej pory. Belfry nie gorsze niż wszędzie. Kolesie też ujdą. W siatkę grają, to najważniejsze, a on jest w tym dobry, nawet bardzo dobry, więc od razu u nich zapunktował. No i laski nienajgorsze. ..

Pośpiesznie wyłączył komputer i otworzył podręcznik na pierwszej z brzegu stronie, gdy tylko usłyszał ciężkie kroki na schodach. Kroki?... Mało powiedziane. Ktoś wbiegał po schodach. Na pewno ojciec, bo matka tak nie tupie! Udał, że skupia się na książce, gdy drzwi otworzyły się z hukiem. Nawet nie zdążył zarejestrować, co się dzieje, gdy ktoś wyrwał mu gwałtownie podręcznik i cisnął nim o ścianę. Następne, co poczuł, to silny cios pięścią w

twarz. Odruchowo złapał się za nos, a gdy na swojej dłoni ujrzał krew, zrobiło mu się słabo. Krzyknął.

Gdy Maria, zaalarmowana krzykiem, wpadła pędem na górę, już od progu zobaczyła dramatyczną scenę. Przez kilka mrożących krew w żyłach sekund stała w drzwiach, jak żona Lota, nie wierząc w to, co widzi. Nie mogła, nie chciała uwierzyć, że to się dzieje naprawdę: jej syn, jej mały chłopiec, leżał skulony na podłodze, zasłaniając twarz rękoma, gdy tymczasem jego ojciec - jej mąż, jej kulturalny, wykształcony, spokojny z natury mąż - kopał go po całym ciele, wykrzykując coś bełkotliwie...

Oprzytomniała błyskawicznie i rzuciła się pomiędzy nich, szarpiąc i odpychając Michała. Ten pchnął ją i kopnął, lecz nie ustąpiła, gotowa rzucić się na niego z pięściami, gryźć i drapać. Chyba to do niego dotarło, bo w końcu opamiętał się, ciężko dysząc. Maria pomogła wstać synowi. Na jego twarzy łzy mieszały się z krwią, zakrwawione miał również dłonie. Cały się trząsał.

- Co tu się stało?! - krzyknęła ochryplym głosem, odwracając się do męża.

Milczał, nadal dysząc; w jego oczach czaiło się szaleństwo.

- Co zrobiłeś? - zwróciła się do Irka, ale ten kręcił tylko bezradnie głową. Pewnie jest w szoku, przemknęło jej przez głowę.

- O co poszło, do jasnej cholery?! ponownie zaatakowała Michała, dopadając doń i tłukąc zaciśniętymi pięściami w jego klatkę piersiową.

Pomyślała, że mogłaby go... zabić.

- Nie będzie mnie gnój okradał!!! - wrzasnął Michał.

Maria zdębiała. Nie była w stanie wydobyć głosu. Pytając spoglądała raz na męża, raz na syna. Chłopiec wciąż kręcił tylko głową, jego twarz nie wyrażała niczego, po policzkach nadal spływały łzy, czerwone od krwi.

-No co się tak gapisz?! Nie pozwolę się okradać! Nikomu, kurwa! Gówniarz podpierdolił mi pieniądze z portfela! Widziałem go! Nakryłem gnojka!!! Zobacz... — Michał wyszarpnął z kieszeni portfel i jednym szarpnięciem otworzył go, demonstrując, że jest pusty, po czym rzucił nim z furią o ścianę.

-Nigdy d niczego nie ukradłem! - Irek wreszcie wydobył z siebie głos, drżący i zniekształcony od płaczu, ale pełen emocji. Brzmiał szczerze.

-Ty nie miałeś żadnych pieniędzy w portfelu — wycedziła Maria. - Skąd miałbyś je mieć? Nie pracujesz, to nie masz.

- Widziałem, jak grzebał mi w portfelu, na własne oczy widziałem!

- Kiedy widziałeś?

- Dopiero co! Z pół godziny temu!

- Bzdura - głos Marii zabrzmiał twardo i obco, nawet w jej własnych uszach. - Od co najmniej dwóch godzin Irek siedział w swoim pokoju i odrabiał lekcje. Ani razu stamtąd nie wychodził. Wiem, bo przez cały czas byłam w kuchni i dobrze widziałam schody. Tylko ty po nich wbiegłeś. Więc jeszcze raz: gdzie i kiedy widziałeś, jak kradł ci pieniądze, które nie istniały? Znowu w szklanej kuli?

Michał otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz zrezygnował. Odwrócił się na pięcie i wypadł z pokoju. Nie zamknął za sobą drzwi — kopnął w nie.

- Ja nie kradnę, przecież wiesz... — chlipnął Irek, wtulając się w matkę.

- Wiem, synku - przytuliła go i pogłaskała po mokrym policzku. - Tata... też wie, tylko coś się ostatnio dzieje z jego nerwami.

- To od czasu tej kulki, mamó. Jemu odbiło.

- Nie mów tak. Każdy ma swoje... swoją kulkę. Tade to minie i wszystko wróci do normy. Będzie dobrze, zobaczysz.

Będzie dobrze. Będzie dobrze...

- Akurat...

- Tymczasem pokaż mi tę buzię - powiedziała ze sztucznym ożywieniem. — Podbite oko, rozwalona warga, ząb ukraszony... Nos cały, na szczęście... Powinniśmy w zasadzie jechać z tym na pogotowie.

Spłoszony wyrwał się z jej objęć.

- W życiu! Mama! Przecież oni od razu zawiadomią gliny! Co ty, prawa nie znasz?...

Wszyscy mają się zaraz dowiedzieć, że ojciec zwariował? Taki obciach, w życiu! Napiszesz mi kilka dni zwolnienia, a ja powiem chłopakom, że miałem wypadek na rowerze górskim, jakby co...

Michał nadal nie pracował, niczego już nawet nie czytał, zarzucił też codzienny jogging z synem. Głównie spał, przespiał całe dnie, czasem tylko włóczył się gdzieś samotnie bez celu po okolicznych lasach albo łąkach. Irek szydził za jego plecami, że pewnie wyprowadza na spacer swoją kulkę. Fakt, że pod jego nieobecność kulki w domu nie było widać, więc albo ją gdzieś chował, albo... zabierał ze sobą. Niewiele jadł, przestał się myć, golić, czesać, nawet nie zmieniał już ubrania. Maria przeniosła się na stałe do pokoju dziennego, ponieważ nie mogła znieść bijącego od niego smrodu. Pewnego razu przyłapała go na rzucaniu kamieniami w ptaki, które dokarmiała w ogrodzie. Kiedy zwróciła mu uwagę, udawał, że nie słyszy. Nie było z nim kontaktu, prawie się nie odzywał, ani do niej, ani do Irka. Chłopiec zresztą unikał go teraz starannie.

Maria wciąż jeszcze, może nawet z coraz większym zapałem, uprawiała swój ogródek. Praca w ogrodzie dodawała jej sił i energii. Kochała to. Dopóki... dopóki Michał nie zniszczył jej grządek. Wszystko zepsuł: połamał kwiaty, krzewy, stratował trawnik. Być może miała to być kara za to, że zakopała raz w ogrodzie jego zasraną kulkę.

Wtedy machnęła na wszystko ręką, a zadbane dotychczas, gustowne obejście zaczęło pomału popadać w ruinę...

- Pani Marysiu! Dzień dobry!

Zauważył ją, choć przecież usiłowała tylko przemknąć się " chyłkiem, niepostrzeżenie, z opuszczoną głową — do kubła na śmieci. Niechętnie pokazywała się teraz ludziom na oczy. Jeszcze trudniej przychodziło jej z nimi rozmawiać. Jednak sąsiad zza płotu, Witek, był naprawdę miłym i życzliwym człowiekiem, zawsze mogła na niego liczyć. Nie wypadało go tak, po prostu, zignorować.

- A witam, panie Witku...

- Coś rzadko widać panią ostatnio w ogrodzie - zauważył, znacząco obrzucając wzrokiem ruinę jej pięknych niegdyś rabatek - Wszystko u was w porządku? Co się stało pani kwiatom? Z wysiłkiem usiłowała się uśmiechnąć, co jednak nie bardzo jej wyszło, odwróciła, więc twarz, by ukryć kłopotliwy grymas.

- No właśnie, chyba jakieś dzikie zwierzęta musiały mi stratować wszystkie grządki - odparła niepewnie.

- Dziwne — stropił się. - Nigdy nic takiego się tutaj nie zdarzało... O, chyba mąż wraca ze spacerku?

Rzeczywiście, Michał właśnie pchnął furtkę i wszedł na teren posesji. Zarośnięty i ubrany w brudne, ubłocone łachy, wyglądał jak stary kloszard. Nie zaszczycił ich nawet jednym spojrzeniem, przechodząc obok.

- Witam, witam sąsiada! - wyrwało się Witkowi, choć Maria modliła się w duchu, by milczał.

- Sritam - odburknął Michał.

Maria stała jak zamurowana. Czuła, że ze wstydu zaraz spłonie. Sąsiad rzucił jej pytające spojrzenie.

- To... nic takiego - bąknęła, czując, jak zalewa ją kolejna fala gorąca. — Przepraszam pana, muszę... Do widzenia.

Dwa dni później.

Coś obudziło Marię. Dziwne, lecz wyraźne uczucie, że ktoś na nią patrzy. Chciała otworzyć oczy, ale bała się. Zamiast tego usłyszała czyjś oddech i... poczuła znajomy charakterystyczny zapach, a raczej odór dawno niemytego ciała i niepranej bielizny. Michał, doszła do wniosku. Stoi nad nią i... i co?...

Nawet przez zaciśnięte powieki widziała, że w pokoju panuje ciemność. Nie zapalił światła. Wołała udawać, że dalej śpi, choć całe jej ciało sprężyło się, gotowe do obrony. Nie wiedziała, czego boi się bardziej: tego, że mężowi zebrało się na pieszczoty, czy tego, że... że chce jej coś zrobić. Coś złego.

Trwało to już zbyt długo: słyszała głośne bicie własnego serca, przekonana, że i on musi je słyszeć. Wszystko zaczęło ją swędzieć. Jak zwykle, gdy nie mogła się podrapać... Lecz kiedy myślała już, że dłużej nie wytrzyma, podłoga zaskrzypiała. Dobiegł ją odgłos ostrożnie stawianych kroków, a po chwili ciche stuknięcie zamykanych drzwi.

Otworzyła oczy, lecz nie odważyła się włączyć lampki nocnej. Nadal leżała w ciemności, bojąc się ruszyć. Sięgnęła tylko po komórkę, pozostawioną na stoliku obok kanapy, by sprawdzić godzinę na wyświetlaczu. Była druga trzydzieści... Przeleżała tak bezsennie aż do szóstej. Gdy zaczęło się rozswadniać, wstała, narzuciła szlafrok na piżamę i poszła do łazienki, a następnie do kuchni, by napić się kawy. Dom spał. Nalała sobie kubek kawy rozpuszczalnej, bo nie chciało jej się włączać ekspresu. Wypiła ją małymi łydkami, wyglądając przez okno na porośnięty chwastami ogród. Potem podeszła pod drzwi sypialni i przez chwilę nasłuchiwała. Cisza. Nie słychać nawet chrapania. Ostrożnie nacisnęła klamkę, zajrzała, lecz pokój był pusty. Pościel wprawdzie rozmemłana, lecz tak samo wyglądała mniej więcej od miesiąca. Michała nie było w domu. Musiał wyjść zaraz po tym, jak stał w nocy nad jej łóżkiem. Dziwne, bo nic nie usłyszała. Ale widocznie postarał się, by nie słyszała.

Poczuła ulgę. Zaraz trzeba iść na górę, obudzić Irka do szkoły. Wołała, kiedy był w szkole niż tutaj. Miała wrażenie, że tam jest bezpieczniejszy. Siniaków prawie nie było już widać, a koledzy i nauczyciele uwierzyli w wersję wypadku rowerowego. Zajrzała do lodówki, by przygotować synowi śniadanie, ale przypomniała sobie, że w domu nie ma nic do jedzenia. Lodówka świeciła pustkami, podobnie jak pojemnik na pieczywo. Nó nic, trudno, pomyślała, po prostu dam mu jakieś drobne na bułkę i kefir - coś się tam chyba jeszcze wyściubi - niech kupi sobie gdzieś po drodze...

Jakoś to będzie.

Będzie dobrze...

Po wyjściu Irka położyła się, by odespać zarwaną noc. Rysować będzie i tak dopiero wieczorem. Najpierw trzeba jeszcze polecieć do sklepu, kupić trochę warzyw, choćby na jakąś zupę. Mały musi przecież zjeść coś ciepłego, przynajmniej raz dziennie. Ugotuje coś, coś wymyśli... Ale teraz musi się zdrzemnąć, po prostu musi. Michał nie wrócił jeszcze do domu, lecz za dnia się go nie bała. On też unikał konfrontacji; zwykle zamykał się w swoim pokoju i godzinami tam przesiadywał, nic nie robiąc.

Zasnęła błyskawicznie i spała długo, lecz niespokojnie. Co jakiś czas coś ją budziło: a to wycie psa, a to odgłosy kosiarki lub piły elektrycznej. Zwykle ich nie słyszała, przywykła, jednak tego dnia nerwy nie dawały jej spokoju. A gdy wreszcie zapadła w głęboki sen, wyrwało ją z niego nawoływanie syna:

- Mama! Obudź się, no co ty, nic nie wiesz?!...

Ocknęła się błyskawicznie, spoglądając na zegarek To już tak późno? Po szkole? Trzecia, rany boskie!

- Co się dzieje?

- Nic nie słyszałaś? Ale jaja! Sąsiad spadł z drabiny, zabił się na śmierć!

- Co?... Jaki sąsiad? Pan Witek?...

- No, pan Witek. Całkiem się zabił, wyrzyj, na dworze jest pełno policji i w ogóle. O, zabierają go, spójrz!

Podskoczyła do okna. Rzeczywiście, na ulicy przed domem sąsiada stał wóz policyjny i jeszcze inne samochody, kręciło się mnóstwo ludzi, a z terenu posesji wynoszono właśnie na noszach jakiś wydłużony kształt w worku, który skojarzył się, dość upiornie, ze śpiworem górskim. Dobrze wiedziała, co w nim jest. Zebrani gapie rozstąpili się, jakaś babcia nawet się przeżegnała. Wszyscy mieli ponure, żałobne twarze. Nawet pogoda jakby dostosowała się do sytuacji: było pochmurno, wietrznie, siąpiła mżawka, choć z samego rana jeszcze świeciło słońce.

- Lepiej wyjdźmy na zewnątrz, może się czegoś więcej dowiemy. - zaproponował Irek. — Tata już tam jest. A ci policjanci wypytyują ludzi, czy coś słyszeli. Nas też na pewno zapytają. Chodźmy!

Na ulicy panowało zamieszanie, sąsiedzi plotkowali, ktoś płakał. Jedna z sąsiadek powiedziała Marii, że wypadek musiał wydarzyć się rano, bo pies przy budzie wył i wył, ale nikomu nie przyszło do głowy, że taka tragedia... Dopiero listonosz go znalazł, bo kiedy stuknął do drzwi i nikt nie otwierał, to pomyślał, że gospodarz jest pewnie na podwórku, więc zajrzał. Witek malował dach, no i drabina widocznie się pod nim obsunęła. Wysoko było - zginął na miejscu.

Do Marii dopiero teraz zaczęło docierać, że to nie żadna fikcja, nie film, że jej jedyny sojusznik tutaj, można nawet powiedzieć: przyjaciel, naprawdę nie żyje. Zrobiło jej się ciężko na sercu, w dodatku poczuła nagły lęk: takie ciarki, jakby zimno, skradające się gdzieś z głębi czaszki. Poczuła się całkiem samotna, opuszczona. Kątem oka dojrzała Michała, stał na uboczu i patrzył na nią. Uśmiechał się! Pierwszy raz od bodajże miesiąca - uśmiechał się. Był to jednak złośliwy, złowieszczy uśmiech. Pełen okrucieństwa. Maria ponownie poczuła dreszcz.

- Mamuś — Irek szarpnął ją za rękaw. - Gliniarz do ciebie idzie!

Zanim zdążyła się obejrzeć, barczysty mężczyzna w czarnej ortalionowej kurtce machnął jej przed nosem legitymacją:

- Pani mieszka podobno na sąsiedniej posesji, czy tak?

- Tak, my... - oszołomiona skinęła głową, kurczowo przytulając syna.

- Pani mieszka sama czy z rodziną?

- Z rodziną, z synem i... iz mężem.

- A gdzie mąż?

Maria obejrzała się nerwowo, lecz Michał stał już obok niej.

- Tutaj. To ja. - Odparł spokojnie, najzupełniej normalnym tonem. Takim jak dawniej, kiedy jeszcze był sobą.

- Państwo byli w domu w ciągu dnia? - indagował dalej policjant.

- Tak - zawahała się. - Byłam, ale... ale spałam.

Mężczyzna spojrzał na nią pytająco.

- Przez cały czas paru spała?

- Tak. Pracowałam w noty, jestem grafikiem. Nocą mam spokój, więc... Położyłam się rano, spałam do tej pory, dopiero syn mnie obudził i powiedział, co się stało.

- A syn?

- Syn był w szkole.

- Aha. A pan? - spojrzał na Michała.

- Byłem w domu.

Maria wbiła wzrok w ziemię.

-1 nic państwo nie zauważyli? Nie słyszeli?

- Nic, tylko... pies wył. Niczego więcej nie zauważyłam - powiedziała Maria, nie ośmielając się spojrzeć na policjant,

- No tak - ten westchnął. - Niestety, wygląda na to, że pies był jedynym świadkiem tego nieszczęśliwego wypadku, Pan też niczego nie słyszał?

- Byłem w swoim gabinecie. - Michał, w przeciwieństwie do Marii, przez cały czas patrzył mu prosto w oczy. - Jestem tłumaczem literatury. Kiedy pracuję, skupiam się na tym, co robię. Nic nie zwróciło mojej uwagi.

Mężczyzna zmierzył go zdziwionym spojrzeniem. Widocznie widok oberwańca niezbyt pasował mu do wyszukanej przemowy, jaką przed chwilą usłyszał, nie wspominając już o zawodzie tłumacza. Z racji zawodu był jednak przyzwyczajony do najróżniejszych ekscentryków.

- No cóż, dziękuję państwu...

Maria zauważyła, że ktoś właśnie wyprowadza, na smyczy

1 w kagańcu, psa pana Witka. Średniej wielkości piaskowy kundelek trząsał się, skomlał i warczał na przemian. Gdy przechodził obok nich, znów zaczął wyć.

- Co się stanie z psem? — zapytała.

- Zajmie się nim rodzina.

- Wracajmy do domu. - Nie mogła już znieść tej atmosfery podniecenia wokół, tych ciekawskich spojrzeń, konspiracyjnych szeptów. Tak jakby sensacja była ważniejsza od faktu, że człowiek nie żyje. Dobry człowiek.

- Nie było cię w domu — rzuciła oskarżycielsko do Michała, gdy tylko znaleźli się za progiem, a Irek poszedł do siebie na górę.

Michał zamierzał najwyraźniej skryć się od razu w swoim pokoju, lecz znieruchomiał z ręką na klamce, po czym odwrócił się powoli. Wbił w nią pusty wzrok, z którego nie mogła nic wyczytać, a jednak, kolejny raz tego dnia, poczuła dreszcz.

- I co? Zamierzasz donieść na mnie glinom? - wycedził.

- Nie o to chodzi. Ale dlaczego skłamałeś?

- Żeby nie musieć się tłumaczyć. Kapujesz?

- Gdzie byłeś?! |

- Nie twój zasrany interes.

Nacisnął klamkę, lecz powstrzymało go jej ostatnie pytanie, ciche, lecz zadane ze spokojną pewnością siebie:

- Ty to zrobiłeś, prawda? Zabiłeś go?...

Znów się odwrócił.

- A co? Już ci brakuje kochasia? - zaśmiał się szyderczo, w sceniczny sposób szczerząc do niej zęby. Z jego ust buchnął taki smród, że aż zrobiło się jej niedobrze. — Nie będzie komu wypłakiwać się na ramieniu i skarżyć na niedobrego męża? Och jej, jak przykro...

- Ty bydlaku.

Przestał się uśmiechać. Jego oczy w ułamku sekundy zmieniły się w stal. Pomyślała sobie, że mógłby nią zabijać.

Zatrzasnął jej drzwi przed nosem.

Październik.

Była teraz praktycznie sama w domu. Michała prawie nie widywała, a Irek pojechał na kilkudniową wycieczkę szkolną do Zakopanego. Kosztowała sporo, lecz Maria zapożyczyła się i wysłała go tam z ulgą. Wolą, kiedy był poza domem. Bo w domu...

W domu zewsząd czaiło się niebezpieczeństwo. Tak to odczuwała. Coś złego, co wisiało w powietrzu, w każdej chwili gotowe zaatakować. Wolą nie nazywać „tego” po imieniu.

Dopóki czemuś nie nada się nazwy, dopóty można udawać, że tego nie ma. Nocami zamykała się w swoim pokoju na klucz, by nie wpuścić „tego” do środka. To samo nakazała Irkowi, kiedy przebywał w domu. Stare drzwi na szczęście posiadały zamki. Poza tym...

tłumaczyła sobie, że chłopak po prostu działa Michałowi na nerwy. Może dlatego, że sam ostatnio wrogo odnosił się do ojca, nie potrafił wybaczyć mu tamtego pobicia, a jeszcze bar-

dziej - niesprawiedliwych oskarżeń. Napięcie pomiędzy nimi aż iskrzyło. Wolą, żeby zesłi sobie z oczu, choć na tych parę krótkich dni. Z dala od domu mały będzie bezpieczniejszy. Otak. Będzie bezpieczny. Będzie.

Na pewno...

Dwa dni później.

Upuściła komórkę na podłogę. Telefon sam wypadł jej z ręki, nawet tego nie zauważyła. Nic nie czuła. Kompletnie nic. Jakby ktoś zaaplikował jej środek znieczulający, który poraził system nerwowy. Tylko w głowie szumiało, ale nawet ten szum był dobry, odgradzał ją od rzeczywistości. Świadomość balansowała gdzieś na granicy jawy i ciemności. Wiedza nie równała się rozumieniu. To było dobre.

Dobre...

Wiedziała, co musi teraz zrobić. Musi mu o tym powiedzieć« Była jak nakręcona. Niczym automat poszła prosto do gabinetu, gdzie przebywał od rana. Otworzyła drzwi: siedział za biurkiem, tocząc kulkę po blacie. Spojrzał na nią i zrozumiała, że wie. Nie niemożliwe - świadomość zaczęła powracać - przecież nie mógł wiedzieć. Nie mógł. Ale zaraz się dowie. To wszystko przez niego, to jego wina. Gdyby nie on, wszystko byłoby normalnie. Nienawidziła go. Lecz jeszcze mógłby to zmienić, gdyby... gdyby tylko ujrzała coś ludzkiego w jego oczach.

- Autokar, którym wracali, rozbił się na zakopiance - powiedziała. - Zderzył się z tirem. Są ranni. Mają listę rannych, ale... Irka nie ma na tej liście. To znaczy... to znaczy, że... ktoś z nas musi jechać, zidentyfikować ciało. Bo nikt więcej nie przeżył.

Głos jej się załamał, świadomość wróciła. Razem z nią nadszedł ból. Przejmujący, nie do ogarnięcia. On patrzył na nią obojętnie, w oczach miał pustkę.

- Słyszysz?

Nadal toczył kulkę po blacie biurka.

- Słyszysz?!!!

Odwróciła się na pięcie i wybiegła. Dopiero w korytarzu straciła przytomność. Runęła jak długa na podłogę...

Nie ruszył się z krzesła, choć słyszał, jak upadła. Ale to nic, przynajmniej teraz jest spokój. Święty spokój. Wziął kulkę w dłoń, a ona zamrużyła promiennie. Uśmiecha się do mnie, zauważył, i też się uśmiechnął.

Jak dobrze.

Dobrze...

Kilka dni później.

Wróciła do domu, choć najchętniej pojechałaby gdzieś daleko, na sam koniec świata, gdzieś, gdzie mogłaby zapomnieć, kim jest i kim była. Parę dni spędziła u swoich krewnych, lecz oni nie potrafili jej pomóc. Nikt nie może pomóc. Wróciła po rzeczy swojego dziecka. Jemu one już się nie przydadzą, ale dla niej były bardziej żywe, bardziej... będące Irkiem... niż te krwawe strzępy ciała, które kazali jej oglądać. Chciała jeszcze raz poczuć jego zapach, energię, która zawsze dodawała jej sił, by przetrwać.

Potem niech się dzieje, co chce.

Zaparkowała przed bramą i weszła na teren posesji. Wokół wisiała cisza. Ani żywego ducha. Mimo pięknej jesiennej pogody nikt nie przebywał na powietrzu. Ludzie byli jeszcze zapewne w pracy, obok, na opuszczonej działce sąsiada perz zarastał grządki, tak samo, jak w jej ogrodzie.

Dom stał otwarty i pusty. Sprawiał wrażenie opuszczonego od stu lat. I słusznie, bo tak właśnie było: odkąd tu zamieszkali, szczęśliwi i pełni nadziei, upłynęły wieki. Bo czas dla każdego płynie inaczej. Poszła na górę, do pokoju synka, lecz nie była w stanie nacisnąć klamki. Dopóki tam nie wejdzie — wmawiała sobie rozpaczliwie - on wciąż tam jest. Odrabia lekcje albo gra na komputerze. Przymknęła oczy, nasłuchując znajomych odgłosów,

szelestów, stukania klawiszy komputera, dziwacznej muzyki, którą czasami nastawił zbyt głośno, co tak ich kiedyś denerwowało. Chciała je usłyszeć - więc usłyszała. Może później tam wejść, obiecała sobie, schodząc ponownie na dół.

Zarówno gabinet, jak sypialnia, były puste. Michała tu nie było. Gdzie się podziewał, nie interesowało jej. Usiadła w kuchni, nadal w płaszczu, i siedziała tak przez jakiś czas, bez ruchu. Pomyślała sobie, że mogłaby napić się kawy lub herbaty, ale nie chciało jej się pić. W zasadzie to nic jej się nie chciało. Tylko spać.

Następnego dnia obudziła się późno, dopiero koło południa, i stwierdziła, że wciąż jest sama w domu. Może odszedł, skonstatowała obojętnie. Wszystko jedno. Bez mycia i bez śniadania wyszła do ogrodu, wymiotła z podwórka suche liście, a potem zabrała się za wrywanie chwastów. Wprawdzie nie widziała już żadnego celu ani sensu tej roboty, ale mogła przynajmniej czymś się zająć, zagłuszyć myśli. Pogoda nadal była piękna: jak na tę porę roku panował wręcz upał. Drażniło ją to, jakby ktoś z niej szydził. Cholerne słońce, nie powinno już nigdy zaświecić.

Cha, cha, jesteś tylko pionkiem w grze, nie ty tu piszesz scenariusz, cha, cha, cha!

Pokłusa sobie ręce ostem, poszła więc do szopy na narzędzia, po rękawice ogrodowe i specjalny przyrząd do wykopywania chwastów. Kiedy zbliżyła się do szopy, poczuła mdlący odór. Fu, co jest?...

Z wahaniem otworzyła skrzypiące drzwi.

Wisiał tam — zwrócony do niej opuchniętą, siną, wykrzywioną twarzą, w wywalonym czarnym językiem i szyderstwem w wybałuszonych oczach. Pod nim przewrócony taboret. Smród, który na nią buchnął, był nie do zniesienia. Musiał to zrobić zaraz po jej wyjeździe, skoro zaczął już tak cuchnąć. Choć cuchnął także i za życia...

Coś zastukało. Ze zgrozą zobaczyła, że po podłodze toczy się prosto pod jej nogi przekłeta szklana kulka. Musiała mu wypaść z bezwładnej dłoni.

Zwymiotowała.

Listopad.

Spakowała już ubrania syna i swoje. Zapakowała też do kartonów trochę książek, dokumentów oraz zdjęć z gabinetu. Na resztę rzeczy machnęła ręką. A niech je szlag trafi, nie potrzebuje ich. Niech tu zgniją, przepadną, razem z tą parszywą chałupą, niech się dzieje, co chce. Może w ogóle najlepiej byłoby to wszystko spalić?...

Wyniosła pierwszy karton do samochodu i wróciła po następny. Spieszyła się. Chciała zamknąć za sobą raz na zawsze te drzwi, ten rozdział, tamto życie. Bez sensu, wszystko bez sensu. Uciekać... Naraz zauważyła na parapecie okna kulkę Michała. Nie pamiętała, by ją tu przynosiła po tym wszystkim, no ale ktoś widocznie musiał. Ogarnęła ją nagle furia. Jakby wszystkie tłumione do tej pory złe emocje skierowały się na ten niepozorny przedmiot. Niepozorny, lecz piękny, tak piękny, że trzeba go było unicestwić jak najszybciej...

Ze schowka pod schodami przyniosła młotek. Zamachnęła się i trafiła w kulkę, przy okazji uszkadzając parapet, lecz ta stoczyła się i spadła na podłogę. Maria zaczęła gonić ją i tłuc młotkiem, jak oszalała. Raz trafiła we własną stopę, lecz przejmujący ból sprawił jej tylko jakąś dziką satysfakcję. W końcu rozwaliła kulkę w drobny mak. Resztki, które po niej zostały, podeptała, jakby jeszcze było jej mało. Po czym, ciężko dysząc, zostawiło wszystko i wybiegła z domu...

Młody człowiek pokręcił pokrętło radia i dodał gazu. Idealna droga, by wypróbować nowe auto, o tej porze prawie nikt tutaj nie jeździł. Jeszcze trochę przyspieszył, ostro wziął zakręt, i... wtedy to się stało. Ta kobieta wypadła na ulicę jak wariatka! - tłumaczył się później. - Kulała, ale biegła pędem, tak jakby ją coś goniło, w życiu nie zdążyłbym zahamować, nawet gdybym jechał wolniej...

Usłyszała jeszcze tylko pisk opon, a następnie poczuła, że coś unosi ją w górę, w powietrze. I puszcza. W tym ostatnim momencie nie czuła bólu, tylko ulgę. Na moment ogarnęła ją

ciemność, a następnie ujrzała świetlistą jasność...

... i znalazła się we wnętrzu kuli.

Jest dobrze. Widzisz? Już wszystko wiesz...

Rok później, w jakimś mieście, w pewnym parku.

- Mamo, mamó! - mała dziewczynka ruszyła biegiem w kierunku ławki, na której jej matka czytała książkę, popatrując co i rusz na bawiące się dzieci. - Zobacz, co znalazłam!

Jaka piękna kulka! ,

- Pokaż - uśmiechnęła się kobieta.

Dziecko zademonstrowało jej dumnie niewielką szklaną kulkę, która lśniła i migotała w słońcu tęczowymi refleksami.

- Rzeczywiście, piękna. Gdzie ją znalazłaś?

- Sama się przytuliła, o tam, z krzaków! Mamusiu, możemy ją sobie wziąć?

Kulka była naprawdę piękna, przepiękna. Kobiecie też, tak samo jak dziewczynce, aż zaświeciły się do niej oczy.

- Myślę, że tak - rozejrzała się dyskretnie dookoła. - Nikt jej chyba nie szuka. Daj mi ją, kochanie, mamusia schowa do torebki...

Rick Hautala (ur. 1949) - amerykański pisarz, koncentrujący się na powieściach i opowiadaniach z gatunku honoru, których napisał łącznie blisko dziewięćdziesiąt. Jego teksty były wielokrotnie nagradzane i wyróżniane. Oprócz książek, Hautala jest także twórcą scenariuszy filmowych, między innymi do opowiadań Eda Gormana, czy powieści Tengu Grahama Mastertona.

Rick Hautala

KWIATY NA METRZE

Tego dnia — a był to początek września - Miko Barnes i jej mąż właśnie spóźniali się na lotnisko. I to nie z powodu korków, jakich zwykle można się spodziewać w Bostonie, bo tym razem droga była niemal pusta. Po prostu ostatniej nocy Miko znów miała jeden z tych swoich niepokojących snów. Nie pierwszy i nie ostatni raz, jak łatwo zgadnąć. Jak zwykle koszmar tak wytrącił ją z równowagi, że kilka godzin leżała bezsennie, aż nadszedł czas, żeby zebrać się w drogę na lotnisko.

Miko wybierała się do Los Angeles w odwiedziny do matki, Kyoko. Jak wynikało z telefonu od zaniepokojonej ciotki, staruszka nie czuła się zbyt dobrze. Prawdę powiedziawszy słabła bardzo szybko. Miko wiedziała, że trzeba wziąć pod uwagę najgorszy scenariusz — ale na zmartwienia przyjdzie jeszcze czas. Tego dnia jednak gryzło ją jeszcze coś innego. I tym razem na pewno nie chodziło tylko o złe przeczucia związane z lotem do L.

Nawet podczas podróży samochodem Miko nie mogła wyzbyć się wrażenia, że coś, czego nie była w stanie zobaczyć ani usłyszeć zbliżało się, śledziło krok w krok, rzucając złowrogi cień na cały dzień. A przecież niebo było tak jasne i czyste, słońce świeciło mocno, aż oczy Miko zaczęły lekko łzawić. Wmawiała sobie, że przecież wcale nie płacze. Jak dobrze, że Dave zaoferował podwiezienie na samo lotnisko.

- Więc... znów o nim śniłaś - Dave bardziej stwierdził fakt, niż zapytał. Zresztą, ściszał

kierownicę obiema rękami i nawet nie spojrzął na żonę, skupiając się na jeździe.

Miko przez chwilę zastanawiała się, CZY ta pozorna troska miała oznaczać zainteresowanie, czy tylko zwykłą, uprzejmość, którą niemal wymuszało te wspólne ponad czterdzieści lat małżeństwa. Niezależnie od faktu, jak bardzo martwiła się powracającymi koszmarami, Dave bez wątpienia był znudzony całą sytuacją. Po tylu latach życia razem powinna bez problemu odczytywać jego nastroje. Ale niestety, nie wychodziło. Przynajmniej nie tego ranka.

Zbyt dużo niepokoju i strachu. Obraz innego, dużo młodszego mężczyzny wypełniał myśli. Gdy tylko Miko próbowała opisać go jakoś swojemu mężowi — natychmiast powracało to samo przerażenie, które towarzyszyło jej niemal każdej nocy.

- On... - z trudem przełknęła ślinę. — Stał przy łóżku. Ale to wcale nie był sen.

Obudziłam się i zobaczyłam go naprawdę.

- Skąd możesz wiedzieć, że akurat nie śniłaś?

Miko westchnęła ciężko.

- To nie tylko ostatnia noc. Wiesz, ja widzę go czasem także w ciągu dnia. To nie tylko ostatnia noc, to nie tylko noc zresztą.

- Ciągłe nosi tę samą chustę na głowie?

- Tak. I strój pilota również - spojrziała w dół, gdzieś w swoje zaciśnięte pięści: kłykcie zbieleły, fioletowe żyły wystąpiły na niemal przezroczystej skórze. Aż ciałem targnął dreszcz na samo wspomnienie snu.

Auto stanęło na czerwonym świetle. Dave milczał, po czym lekko pogładził dłonie żony.

Kwiaty na wietrze

- Rozmawiałaś o tym z matką?

Kiwnęła głową, ale nie zdołała nawet na niego spojrzeć.

- Wspominałam kiedyś, ale zapytam dokładniej, gdy już dotrę na miejsce. Mam dziwne przeczucie, że wie więcej, niż chce powiedzieć. Ale wiesz, jaka ona jest. Zawsze uważała, że zadawanie zbyt wielu pytań świadczy o braku wychowania.

- Skończyłaś już sześćdziesiątkę, Miko, a wciąż traktuje cię jak dziecko! - zaśmiał się Dave, ale zanim zdążyła odpowiedzieć, znów pogładził jej dłoń i zaraz chwycił kierownicę, bo nagle światło zrobiło się zielone. — Te chusty, które nosili... wiesz, pilot kamikadze... mieli wzór wschodzącego słońca namalowany krwią?

- W niektórych przypadkach tak - kiwnęła potakująco, znów unikając wzroku męża. - Moja matka mieszkała blisko szkoły dla dziewcząt, uczennice stamtąd rzeczywiście malowały, używając własnej krwi.

- Dzieci? Mówisz o dzieciach? — westchnął i potrząsnął głową. - Nie mogę w to uwierzyć. Boże, co za fanatyzm.

Miko już chciała go poprawiać, tak jak wiele razy wcześniej, ale wiadomym było, że to nic nie da. Nawet pomimo tych całych czterdziestu lat małżeństwa, David wciąż nie uznawał jej dziedzictwa. To wcale nie fanatyzm, a lojalność i patriotyzm. Honor. Pilot kamikadze przelewali krew w obronie żyda oraz godność cesarza i obywateli. Nic dziwnego, że każdy chciał pomóc, nawet dziad.

Gdy Miko w końcu spojrziała na męża, coś dziwnego mignęło jej w lusterku kierowcy. Twarz młodego japońskiego pilota, ta sama, która prześladowała ją w snach. Znów poczuła w oczach łzy.

- Och, to tylko tydzień - Dave oczywiście nie zrozumiał w ogóle jej reakcji. - Nie smuć się, będziesz w domu w przyszły piątek.

Oczy pilota, czarne jak dwie studnie, przebijały się przez odbicie męża. Świat zatrzymał się w strachu — Miko widziała, jak sine wargi poruszyły się, składając w nieme słowa. Bez trudu można było odczytać wiadomość. Pewnie dlatego, że powtarzała się szeptem nie tylko ostatniej nocy, ale i każdej poprzedniej. Po japońsku, ale tłumaczenie niezwykle proste: „Nie

ma w tym honoru. To hańba”.

Poczucie winy znów wypełniło Miko. O co chodziło? Co to znaczy? Hańba, honor. Czy zrobiłam coś złego? Kiedyś, teraz, w przyszłości? Przecież to całkowicie bez związku z wizytą u osiemdziesięcioletniej matki, którą choroba zamknęła w szpitalu. Zostałam dobrze wychowana, jestem odpowiedzialną córką, nie mam sobie nic do zarzucenia.

No ale... dlaczego? W czym nie ma honoru? Skoro nie mam pojęcia, o co chodzi, to jak mogę cokolwiek zrobić?

Gdy zrozumiała, że rozłąka z Davidem potrwa całe dziesięć dni i dziewięć nocy, w sercu odezwał się ból. To ze smutku. Czy te sny będą podążać jej śladem aż do samego Los Angeles? Czy nawet trzy tysiące mil od domu, wciąż będzie widzieć pilota kamikadze w zakrwawionej chuście, który mówił te straszne rzeczy, mrużąc trupie oczy?

„Nie ma w tym honoru”.

W końcu dotarli na lotnisko, a Miko nie mogła już znieść zdenerwowania. Była na granicy wytrzymałości, gdy Dave skręcił w bramę, prowadzącą do jej samolotu. Jednak zacisnęła wargi i przelknęła łzy. Nie będzie płakać, o nie, nie okaże słabości w obliczu obowiązków, które ją pękały.

To dopiero byłaby hańba!

Dłonie staruszki drżały, z oczy ciekły łzy, a wszystko przez ten stary list. Po tylu latach ryżowy papier pożółkł, niemal kruszył od samego dotyku. Kyoko czytała te kartki tak wiele razy, że знаła treść na pamięć. Każde słowo, każdy wers, nawet każde pociągnięcie pióra miała po wewnętrznej stronie powiek, gdy tylko zamykała oczy. Wciąż znajdowała ukojenie w samym patrzeniu na to, co Ichiro napisał tak dawno. Straciła rachubę w liczeniu, nie wiedziała już ile razy zdarzyło się jej śledzić subtelne linie pisma, wyobrażając sobie, jak ta dłoń równie delikatnie pieściła jej ciało. Kruchy papier był poplamiony i prawie że zniszczony na brzegach — czy to od przechowywania, czy od nieustannego obracania w palcach.

Nigdy nie rozmawiamy o naszych lękach, gdyż lęk tak naprawdę nie istnieje. Jesteśmy gotowi spełnić swój obowiązek wobec honoru Cesarza i Nippon. Ale Tobie i Kyoko mogę powiedzieć prawdę. Każdej nocy mam ten sam sen. Widzę miasto, budynki jak kopcące ruiny. Obawiam się, że to Japonia — Tokio, Kyoto albo Jokohama. I nie rozpoznaję tego miejsca, wokół widzę tylko ogień, zniszczenie i śmierć. I czuję — nie wiem, jak to opisać — ale jakkolwiek nieprawdopodobnie to brzmi, nasze nienarodzone dziecko spoczywa w tych ruinach. Nie potrafię przewidywać przyszłości, wiem, jednak ten sen — który nawiedza mnie nocą, w koszarach, gdy wszyscy już śpią - jest tak rzeczywisty, jak każde wspomnienie, które mam. Kiedy wylecę na misję — być może już jutro rano — zabiorę ze sobą pamięć o Tobie i naszym nienarodzonym dziecku.

Dłonie Kyoko były sztywne od artretyzmu, więc włożenie listu z powrotem do emaliowanego pudełka sprawiało trudność. Gorsze jednak były towarzyszące jej emocje, bo to nie ich dziecko — które narodziło się ponad sześćdziesiąt lat temu - leżało w tych płonących ruinach. To Ichiro. Wprawdzie niczego nie można być pewnym, ale Kyoko wierzyła przez całe swe życie nawet tego pięknego wrześnieowego dnia w 1944, że jej kochanek, Ichiro, wleciał prosto w jeden z amerykańskich statków, niszcząc go doszczętnie. Prosto w ramiona śmierci zabrał ze sobą wielu wrogów. Co za poświęcenie dla swojego narodu!

Serce Miko waliło jak młot, gdy przechyliła się przez siedzenie samochodu, by dać mężowi pożegnalnego całusa w policzek. Po tylu latach małżeństwa, okazywanie sobie uczuć stało się powierzchowne, niedbałe, ale to wszystko, co działo się teraz wokół Miko, napełniło ją desperacją. Tak bardzo chciała złączyć się z tym ukochanym mężczyzną, by poczuł jak wiele dla niej znaczy.

- Och, daj spokój - powiedział Dave z uśmiechem, oczy Miko znów zrosiły łzy. -

Wszystko się ułoży, zobaczysz, za tydzień będziesz już w domu.

Miko wstrzymała oddech i zwilżyła wargi.

- Tak czy inaczej - dodał - wiesz, że będziesz niespokojna, dopóki nie upewnisz się, że z twoją matką jest wszystko w porządku.

- Wiem - zgodziła się Miko, kiwając głową. Miała tak wiele do powiedzenia, ale niestety nagle zabrakło słów. Chciała wierzyć, że to jej obawy związane z lotem przywołały wizje pilota kamikadze. Nie było przecież żadnego ducha, który pragnąłby nawiązać kontakt. To głupota, pozwolić żeby strach zawładnął twoim życiem.

W końcu dotarli do celu. David wysiadł, żeby zająć się bagażem: małą torebką do zawieszenia na ramieniu i większą walizką, którą trzeba było zgłosić do odprawy. Szybki uścisk i pocałunek na pożegnanie. Teraz wystarczy tylko przejść bagaż, odwrócić się na pięcie i ruszyć przed siebie, prosto do terminalu. Z tak odważną miną, na jaką cię w chwili obecnej stać, Miko.

Rzuciła ostatnie spojrzenie za siebie: w kolorowej szybie mignął Dave, wsiadający z powrotem do samochodu. Szczęk zapalnego silnika. Odjechał. Komu w drogę, temu czas - ale nie, nie mogło być tak prosto i pięknie. Z trudem wypuściła powietrze.

Pilot kamikadze stał naprzeciwko, nie dalej niż kilka metrów. Wyglądał, jak całkowicie oderwany od zgiełku, jaki trwał wokół. Staroświecki mundur i krótkie czarne włosy mogły wprawdzie wyglądać śmiesznie, ale Miko zmroził strach. Te oczy - matowe, pozbawione blasku, żadnego mrugnięcia powieką. Dwie nieruchome góry lodowe. Błede wargi, cienka kreska, złożyły się w zdania, ale Miko nie słyszała niczego - w korytarzu lotniska było zbyt głośno. Ale to i tak nieważne, przecież doskonale wiedziała, co ma do przekazania. Bez słów.

- Przepraszam, czy może się pani w końcu ruszyć? - warknął gdzieś obok obcy głos, to facet w kurtce Jankesów próbował przepchnąć się do przodu. Napał łokciem tak mocno, że niemal straciła równowagę. Wyrwana z zadumy, odwróciła się jakby w zwolnionym tempie, ale gościa już nie było. Nawet żadnego „przepraszam”, nic.

Za to pilot kamikadze zniknął, rozwiął się jak dym, ale wciąż... Dało się wyczuć jego obecność gdzieś bardzo blisko.

Pod Miko zmiękły nogi. Na dodatek do odprawy ustawiła się już długa kolejka i co z tego, że szła szybko. Dłonie i nadgarstki odezwały się bólem, to od ciągłego ściskania uchwytu walizki. Oddech stał się krótki i płytki, jak w gorączce. Nie minęło jeszcze południe, więc na lotnisku nikt nawet nie myślał o włączeniu klimatyzacji, ale Miko miała wrażenie, że każdy wydech zamienia się w parę.

Dreszcz zimna przebiegł wzdłuż kręgosłupa, gdy uświadomił sobie, że te dziwne objawy mogą oznaczać udar. Tylko tego brakowało. Spróbowała wszystko zrzucić na karb lotniczych stresów ale przecież nawet takie uszkodzenie mózgu nie mogło wywołać wizji pilota. Wiem, że nie żyje. Oczywiście, że wiem. Prawda?

Nie da się walczyć z myślami, lepiej zająć miejsce w kolejce i czekać, przesuwając się powoli do przodu. Miko bardzo chciała się uspokoić, ale napięcie było nie do zniesienia. Za dużo stresów. Tuż obok stała matka z córką. Jedenasto, może dwunastolatka cały czas oglądała się na Miko, podglądając z mieszaniną ciekawości i wstydu. Normalnie odpowiedziałaby uśmiechem, kiwnęła głową w niemym pozdrowieniu, ale tego dnia spojrzenie dziewczynki napełniało niepewnością, kazało ugiąć kark. Nie mogła nawet utrzymać kontaktu wzrokowego, łatwiej przecież patrzeć gdzieś w podłogę. Można w ten sposób uniknąć nie tylko zwykłych ludzi wokół, ale i martwego mężczyzny, który na pewno kręcił się w pobliżu. Była tego pewna.

Gdy dała radę w końcu przesunąć się do okienka, ogarnęła ją słabość. Z obojętnością podda bilet kobiecie za ladą. Ta mówiła coś, ale trzeba było powtórzyć kilka razy, zanim do Miko dotarło, że jej bagaż został już sprawdzony i niedługo będzie można wejść na pokład. Poprosiła, żeby napisać jej numer bramki na kawałek papieru. Pracownica lotniska cierpliwie

wskazała kartę pokładową: przecież wszystko tu pani ma.

Miko opuściła kolejkę i ruszyła we wskazane miejsce na drugim piętrze. Wahala się przez chwilę u stóp schodów ruchomych. Żadnej niespodzianki, przecież tego się spodziewała - wystarczyło unieść wzrok, by zobaczyć pilota kamikadze.

Stał na szczycie schodów z rękami opartymi o biodra, jakby bronił przejścia. O nie, moja droga, nie tędy, nie tym razem.

Czerwone słońce na chuście lśniło prawdziwą krwią, opleciony wokół szyi szal powiewał, jak gdyby szalał silny wiatr - a przecież w terminalu powietrze było nieruchome,

— Przepraszam - gdzieś z tyłu mruknęła ta kobieta z kolejki, próbując dostać się na schody. Jej córka znów nie odrywała wzroku od Miko. Ta już chciała jej pomachać, aż nagle stało się coś przedziwnego. Obie - matka i dziewczynka—przeszły przez pilota, jak gdyby nigdy nie istniał, jak gdyby nigdy go nie było. Ich sylwetki zamigotały przez chwilę, ale duch powrócił - i to wyraźniejszy niż przedtem.

-Ma pani zamiar stać tu cały dzień?—Miko aż podskoczyła ze strachu, słysząc za sobą warknięcie. Ten sam facet, który wpadł na nią wcześniej, ironia losu. - Boże, tam jest winda dla takich jak pani.

Już chciała przeproszać, ale głos uwiązł w gardle. Bez słowa usunęła się z drogi, patrząc jak mężczyzna wdrapuje się na schody i sunie w górę, prosto na pilota. Przez cały ten czas nawet się nie poruszył. Czekał. Miko była pewna, że wystarczyłby jeden krok w stronę schodów, by doszło do czegoś strasznego. Nieruchomy jak posąg i tylko ten szal wciąż tańczył w powietrzu, choć nikt z obecnych nie mógł poczuć nawet lekkiej bryzy. Tym razem nie musiał poruszać wargami - głos szeptał jej bezpośrednio do ucha. To samo, to samo. „Nie ma w tym honoru”. Czymkolwiek owo „to” mogło być.

-Ale przecież i tak muszę się tam dostać - powiedziała do siebie Miko. — Mój samolot odlataje właśnie z tego miejsca.

Gdyby spóźniła się na lot, zaczęłyby się prawdziwy koszmar, związany z przebukowaniem biletu. Zresztą, machina ruszyła — w Los Angeles miała ją już odebrać siostrzenica. Wprawdzie jest jeszcze mnóstwo czasu, można podzwonić gdzie trzeba i zmienić plany, ale przestań zachowywać się jak dziecko, Miko. Nie powinnaś nigdy dopuścić, by kilka niepokojących snów czy nieprzespana noc wpłynęło na ciebie tak mocno.

Za każdym razem, gdy Miko unosiła wzrok, pilot kał na swoim miejscu, u szczytu schodów, patrząc z wyrazem... No właśnie, czego? Oczekiwania? Smutku? Gniewu?

Ze strachu nie mogła się skupić. Była pewna jednego - na pewno nie ma w sobie tyle odwagi, by ruszyć w dalszą drogę.

No, ale przecież musi. Musi.

Głęboki oddech, poprawienie torby na ramieniu i pierwszy krok na schody. Oparła dłoń o ruchomą barierkę i poczuła, jak cała unosi się ku górze. Wydawało się, że trwa to wieczność. Miko nie mogła oderwać wzroku od mężczyzny, który w dalszym ciągu czekał na szczycie. Te czarne, martwe oczy hipnotyzowały, ściśnięte gardło groziło uduszeniem.

Gdy w końcu dojechała na miejsce i miała już zamiar biec prosto do samolotu stało się coś niespodziewanego - obcas zaczepił się o krawędź schodka. Nie miała szans — wywróciła się z hukiem na podłogę. Torba poleciała gdzieś w bok, sama Miko pewnie stoczyłaby się z powrotem w dół, gdyby nie pomocna dłoń jakiegoś obcego mężczyzny. Zapanował nad bagażem, postawił Miko na nogi. Bez słowa. Zauważyła tylko, że miał ciemne, puste spojrzenie i te oczy. Dziwnie brązowe.

Westchnęła cicho i już chciała podziękować, ale z ust popłynęło coś całkiem innego.

- Bez honoru.

Boże, czemu to powiedziałam? Młody chłopak poprawił tylko koszulkę i stał w miejscu, kompletnie nie rozumiejąc. Po czym odszedł. Całe pole widzenia Miko ograniczyło się do ciemnego tunelu i tylko tego biednego nieznanego u jego końca.

Kwiaty na wietrze

Miko wzięła kilka głębszych wdechów, żeby pokonać drzenie i dojść do siebie, ale wystarczyło popatrzeć w dół, by wiedzieć, że tak naprawdę niewiele brakło, a doszłoby do tragedii. Nieważne, trudno, będzie musiała zmienić plany, nawet zaniedbać swoje obowiązki jako córka. To zdenerwowanie sięgało szczytu, tak dłużej nie można. Miko wiedziała, że już nigdy więcej nie wsiądzie na żaden pokład samolotu.

Tuż obok, na końcu korytarza znajdowała się łazienka, powoli ruszyła w tamtą stronę. Obcy głos wciąż dźwięczał w uszach.

Ledwo rozpoznała się w lustrze. Twarz zbladła, źrenice rozszerzyły się ze strachu, jak u przerażonego zwierzęcia, wargi zmieniły się w ciekłą kreskę i przez chwilę zamiast siebie samej widziała pilota kamikadze. Te same oczy, usta, nawet nos. Drżąc dopadła kolejnego lustra i wpatrywała w swoje odbicie, gdy wargi składały się w bezdźwięczne słowa. Szkło było tak blisko, że oddech osiadał na nim mgłą - ale nawet pomimo tego, nie mogła zaprzeczyć, że dostrzega podobieństwo. O Boże.

I wtedy zrozumiała. Bez słów.

Na szczęście w łazience nie było nikogo innego. Jej ciało trzęsło się jak liść na wietrze, gdy odkręcała kran, by ustawić letnią wodę. Złożyła dłonie w kołyskę pod strumieniem i ochlapała twarz. Wystarczyło zamknąć oczy, by poczucie bycia obserwowaną wróciło tak mocno, że nie mogła powstrzymać jęku. Głos rozszedł się po toalecie.

— Nie... — wyszeptwała, wycierając oczy. Nikogo wokół nie było. - Nie mogę. Po prostu nie mogę sobie z tym poradzić.

Strata tylu pieniędzy, te wszystkie kłopoty i konsekwencje, jakie pociągnie za sobą zmiana lotu - aż zabolowało na samą myśl.

Ale z drugiej strony, przecież to jasne - pilot za nic nie chciał pozwolić jej dostać się na pokład. Zapewne nie bez powodu.

Kurczowo ściskając torbę, weszła do jednej z kabin. Zamknęła drzwi i usiadła ciężko na desce sedesowej. Powieki opadły same, głowa oparła się o metalową ścianę. Pod wpływem takich emocji łatwo stracić poczucie czasu, czyż nie?

To wstyd być takim tchórzem, nie potrafić stawić czoła przeciwnościom losu. Przecież jej matka potrzebowała pomocy. Miko nie zniosłaby faktu, że zawiodła swojego jedyne żyjącego rodzica. A ojciec? Nawet go nie знаła. Kyoko nigdy nie opowiedziała, w jaki sposób zginął, próbowała wychować córkę najlepiej jak potrafiła. Teraz czas spłacić dług.

Drżącymi dłońmi Miko usiłowała wydobyć z torebki komórkę. Rzut oka na zegarek - dochodziła już prawie dziewiąta. Zatem samolot już odleciał - dlaczego nie było słyhać żadnych ogłoszeń przez interkom? Może dlatego, że Miko przez godzinę chowała się w toalecie jak histeryczka.

Jak mogła stracić tak wiele czasu?

Zaspała, zemdląca?

W Kalifornii dochodziła szósta, matka najprawdopodobniej jeszcze spała, ale Miko i tak wybrała jej numer. Odebrała przy szóstym dzwonku.

- Witaj - w słuchawce odezwał się drżący głos.

- Cześć, mamó, tu Miko.

Na drugim końcu linii dłuższą chwilę ciszy przerwał głęboki oddech.

- Jesteś już w drodze?

Miko wyczuła smutek i samotność matki. Wina i wstyd wypełniły ją z góry na dół, ale duch i jego mgliste ostrzeżenie zadziały nawet silniej.

— Nie, jeszcze nie, przynajmniej nie dziś - powiedziała w końcu, z trudem próbując zachować spokój. - Pojawiły się pewne komplikacje i spóźniłam się na samolot

- Przykro mi to słyszeć - Kyoko nie dała po sobie poznać rozczarowania, ale Miko wiedziała, jak musiała się czuć. Co najmniej zawiedziona.

- Muszę załatwić wszystko od nowa. Będę tak szybko, jak to tylko możliwe.

Przerwała w połowie zdania, bo w podłodze odbił się mglisty cień. Nie słyszała, żeby ktoś otwierał drzwi i wpuszczał do środka zgiełk terminala. Przecież na pewno była sama, ale nagle wzdłuż kręgosłupa przebiegł dreszcz.

Ktoś podszedł prosto do stalowych drzwi. Miko zobaczyła czubki męskich butów: zużytych, starych i zdartych. Opierał się na nich kant ciężkich, płóciennych spodni.

Ściskając w dłoniach telefon, wstrzymała oddech i wpatrywała się w szparę między drzwiami a framugą. Widok pilota kamikadze przy rzędzie zlewów ściał krew w żyłach. Patrzył wprost na Miko. Z trudem przełknęła ślinę, galop pulsu dźwięczał w uszach. Duch przewiercił ją wzrokiem na wylot, jakby wcale nie oddzielały ich metalowe drzwi.

- Chciałabym cię o coś zapytać, mammo - była zaskoczona, że w ogóle może mówić, nieważne, że głos drżał. — Chodzi o mojego ojca.

- Och... twój ojciec - Kyoko brzmiała, jakby była tuż obok, a nie tysiące mil stąd.

- Kim był? — aż zawstydziła się własnej ciekawości, nie miała nawet pojęcia, dlaczego akurat ta sprawa tak cisnęła się na usta. Chociaż nie, jasna sprawa, to wszystko przez sny i inne wizje, które nawiedzały ją od dawna.

Mówiłam ci przecież tyle razy, twój ojciec zmarł wiele lat temu - głos matki przepęniał szacunek. - Zanim się urodziłaś

- Ale jak... Jak to się stało?

- Był żołnierzem, zginął... — przez nagłą ciszę w słuchawce Miko myślała, że coś przerwało połączenie, ale po chwili Kyoko dokończyła. - Zginął z honorem, walcząc za nasz kraj.

Przez cały ten czas Miko śledziła wzrokiem ducha, który stał na swoim miejscu, nieruchomo. Wiedziała, kim był. Duch zmarłego ojca.

- Był pilotem kamikadze?

Te słowa z trudem przedarły się przez ściśnięte gardło, na czoło wystąpił pot. Telefon w dłoni ciążył, brakowało nawet powietrza.

Po długiej przerwie, matka westchnęła i powtórzyła.

- Zginął z honorem.

Miko niemal nie usłyszała tego w pierwszej chwili, bo duch szepnął jej do ucha. Delikatny powiew zimnego powietrza obmył skórę, przez ciało przebiegł dreszcz, przed oczami migwały małe, białe plamy. Patrząc w oczy zmarłego ojca, miała wrażenie, że czas się zatrzymał. Wystarczyło jednak zamrużyć, by wizja zniknęła. Miko myślała, że może po prostu odszedł poza zasięg wzroku, ale mimo wszystko czuła jego bliskość. Obserwował, nie będąc widzianym.

Miko nagle zorientowała się, że wciąż ścisnęła telefon w dłoni. Przełknęła ślinę, potrząsnęła głową, by oczyścić myśli. W słuchawce rozlegała się tylko pusta cisza.

- Mammo? Halo?

Niestety, połączenie zostało przerwane.

Ręka Miko drżała, gdy próbowała schować komórkę do torebki. Zadzzwoni do matki później, jak już wpadnie na pomysł)

co zrobić, żeby rozwiązać tę sytuację. Wciąż przecież był wczesny poranek na Zachodnim Wybrzeżu, Kyoko na pewno znów zasnęła.

Miko patrzyła obojętnie, jak jej dłoń unosi się w stronę zamka stalowych drzwi. Kliknięcie otwieranego mechanizmu odbiło się echem przez cienkie ściany. Atmosfera w łazience znów stała się normalna, a gdy Miko spojrzała na rząd zlewów, gdzie stał jej ojciec, nie widziała niczego poza słabym zniekształceniem przestrzeni. Jak gdyby ktoś wyrwał dziurę w rzeczywistości i wypełnił ją najszybciej jak się dało.

Wstała i podeszła do kranu na miękkich nogach. Odkręciła kurek, żeby obmyć twarz.

Woda mieszała się z jej łzami. Próbowwała znaleźć ręczniki, gdy nagle jakaś kobieta wkroczyła do toalety. Była blada jak trup, z oczami rozszerzonymi ze strachu. Zakryła usta dłońmi i stała tak, trzęsąc się i kręcąc głową.

- Nie mogę w to uwierzyć! - wykrztusiła w końcu przytłumionym głosem. - O mój Boże! Co się teraz stanie?

Miko poczuła falę współczucia i zrobiła pierwszy krok w stronę przybyszki, żeby pomóc na miarę swoich sił. Zastanawiała się, czy ona również widziała ducha jej ojca, ale zanim Miko powiedziała cokolwiek, kobieta oparła się o drzwi. Jej dłoń trzepotała w nadgarstku, jak zraniony ptak.

-Nie mogę.. .To niewiarygodne... Oni po prostu - zanosła się głębokim szlochem, wpadła do najbliższej kabiny i na kolanach zwymiotowała.

Miko zmroziło krew w żyłach, nie miała pojęcia co zrobić, gdy do łazienki wpadła kolejna kobieta. Starsza, siwa, z lekką nadwagą, ale równie przerażona. Spojrzała pusto na Miko i wymamrotała:

- Czy może sobie pani wyobrazić, co się właśnie stało?

O co chodzi? - zapytała, trzęsąc głową, jak gdyby chciała obudzić się z tego koszmaru. Wzruszyła ramionami bezradnie. Gdzieś obok roznosiły się odgłosy wymiotów.

- Proszę samej zobaczyć, jest telewizor w holu. Oni... Ktoś właśnie wleciał samolotem prosto w World Trade Center.

Nie miało to dla Miko większego sensu. Minęła kobietę

i ruszyła w stronę drzwi. Mimo wszystko czuła się winna, że nie zrobiła nic więcej, by pomóc tej drugiej, w łazience, ale gdy tylko znalazła się w holu, zobaczyła, że twarze wszystkich wyrażały ten sam szok i niedowierzanie. Na ekranach rozpoznała Nowy Jork. Ogromna, czarna kolumna dymu unosiła się nad jedną z wież WTC, prosto w czyste, błękitne niebo. Ludzie tłoczyli się coraz bliżej telewizora, wokół głosy podnosiły się w kakofonii paniki i gniewu.

- Nie mogę w to uwierzyć!

- Wlecieli prosto w wieżę!

- To musiał być wypadek!

- Jakim cudem nie zauważyli czegoś tak wielkiego?

- I co robili tak nisko?

- Ktoś zrobił to celowo!

- Cisza! Nie słyhać tych pieprzonych wiadomości!

Wszystkie głosy zlały się w nonsensowny szum, gdy morze obcych twarzy otoczyło Miko. Nie mogła oderwać się od ekranu telewizora, razem ze wszystkimi widziała, jak drugi samolot rozbił się o drugą wieżę. Ludzie zaczęli lamentować i krzyczeć. Jakaś kobieta obok zemdląła. Teraz już każdy wiedział, że nie może być mowy o wypadku. Ktoś - niemal natychmiast Miko usłyszała słowo „terrorysty” - z premedytacją wprowadził dwie maszyny prosto w dwa największe budynki w Nowym Jorku.

Wokół rozchodziły się pierwsze raporty o samolotach;

podejrzewano, że co najmniej jeden, być może i dwa, wystartowały tego ranka z Logan.

Kilka minut później Miko dowiedziała się, że ten, który jako pierwszy uderzył w wieżę został zidentyfikowany jako Lot Jedenasty z Bostonu. Wstrząsnął ją dreszcz, gdy zorientowała się, że trzyma w dłoni kopertę z nazwą Lotu Jedenastego.

Gdy spojrzała z powrotem na ekran, wcale nie była zaskoczona widokiem swego martwego ojca w telewizji. Wszystko kręciło się wokół niej: podniecenie, poruszenie, ale miała jasne wrażenie, że jest jak skała w strumieniu, lśniąca i nieruchoma pomimo wody szalejącej z każdej strony.

To mogłam być ja. Powinnam była wsiąść do tego samolotu. Takie myśli miała w głowie, widząc, jak wieże zapadają się jedna po drugiej. Dzieliła strach ze wszystkimi w holu, ale

była pewna, że jako jedyna widziała twarz ojca, nałożoną na obrazy horroru i zniszczenia w telewizji. Wiedziała również, że nikt inny nie mógł słyszeć głosu, szepczącego jej do ucha: „Nie ma w tym honoru”.

Gdy grube kolumny czarnego dymu unosiły się nad gruzami, Miko wiedziała także, że tylko ona zobaczyła... nie dym, ale wir płatków kwiatków... piękne kwiaty, chryzantemy... wznoszące się w jasne wrześnie niebo, .. jeden kwiat na wietrze prosto z piekła za każdą niewinną duszę, która tego dnia została uwolniona.

Przetłumaczyła Aleksandra Zielińska

Łukasz Radecki (ur. 1979) - pisarz związany z literaturą grozy i science -fiction, poeta, muzyk, redaktor. Autor zbioru poezji *Ad Noctum* (1998), opowiadań - *Kraina bez powrotu: Opowieści niesamowite* (2009). Wraz z Kazimierzem Kyrzczem Jr wydał zbiór *Lek na lęk* (2011). Publikował także w rozmaitych pismach, portalach i antologiach. Na podstawie jego twórczości powstał film *RigorMortis* (2007) w reżyserii Patryka Jurka. Zrealizował także muzykę do kilku horrorów, gier i serialu *Oblicza Mroku*. Tworzy w zespołach metalowych *Acrybia* i *Damage Case*. Współpracował z serwisami *Kinooko*, *Zombiezone*, *Carpe Noctem*, magazynem „*Czachopismo*”, stale pisze dla „*Horror Online*” i „*Grabarza Polskiego*”. W przygotowaniu są kolejne dwa zbiory opowiadań *Bóg, Horror, Ojczyzna* i *Horror: Klasa B*, oraz powieść *Wolfenweld*. Wraz z żoną i dziećmi mieszka w rodzinnym Malborku, mieście, które pokochał bez pamięci i wzajemności.

IMPERIUM ROBAU

Larwy wiły się w obłąkańczym tańcu, ocierały się o siebie, wpełzały pomiędzy towarzyszy, by chwilę później wypłynąć na wierzch. Dziesiątki i setki maleńkich ciałek pulsowały rytmicznie, przeplatając się i gniołąc. Fala białych istotek przelewała się na wszystkie strony w brzuchu Agaty.

Tomek otworzył oczy i poderwał się gwałtownie na łóżku. Rozejrzał się nerwowo po pokoju. Szarawa, przepocona pościel leżała skotłowana na kanapie. Szklany stolik był zastawiony butelkami po piwie i gazetami dla kulturystów. Na skórzanych fotelach leżały jego dresy, podkoszulka i bielizna, których pozbył się nocą, kładąc się spać. Płaski telewizor wyświetlał bez fonii jakiś kanał muzyczny. Rolety były zasłonięte, światło zapalone. Zegar w kształcie felgi BMW na ścianie wskazywał godzinę za kwadrans trzecią. Tomek nie miał pojęcia czy jest popołudnie, czy środek nocy. Stracił poczucie czasu, nie był nawet pewien, jaki dziś dzień. Usiadł na rogu kanapy i złapał się za głowę. Był nagi, piekły go stopy, najlepszy dowód na to, że położył się spać bez kąpieli czy choćby prysznic. Dlaczego więc rozebrał się do naga? Robił coś z Agatą? Nie pamiętał. W głowie huczało mu straszliwie, kapeć w ustach potwierdzał ostrą imprezę. Spojrzał na strupy na kłykciach dłoni. Były świeże, musiał wczoraj dać komuś ostry wycisk. Znowu. Może nawet tak jak kiedyś, kiedy zatłukli gościa, każąc mu wcześniej gryźć krawężnik. Nie pamiętał. W zasadzie w ogóle nie pamiętał wczorajszego wieczoru. Lub nocy. Nie wiedział jak i o której dotarł do domu, co się wcześniej działo. W obolałej głowie trzepotały jeszcze resztki koszmarne snu, który go obudził. Nie mógł sobie przypomnieć w tej chwili, co mu się właściwie śniło, próbował złapać strzępy, które rozpadały mu się w dłoniach. Miał tylko świadomość, że coś bardzo złego przydarzyło się Agacie i dziecku. Coś złego, z czym on miał coś wspólnego. Nie wyobrażał sobie, by mógł ją skrzywdzić bardziej niż tego wymagała zwykła tresura. Ale fakt, że obudził się w łóżku sam, bardzo go zaniepokoił. Agata mogła przecież wstać do łazienki,

ale nie słyszał żadnych dźwięków dochodzących z tamtego pomieszczenia. Jeśli wstała i poszła do sklepu, to wcześniej uprzątnęłaby butelki. I na pewno wyłączyłaby telewizor. Coś tu nie grało.

Tomek wstał i ruszył do łazienki. Szedł powoli, trzymając się jedną ręką ściany, drugą za głowę, której zawroty ścisnęły mu żołądek. Nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Łazienka była pusta. I ciemna. Przepaliła się żarówka, a brak okna utrudniał widoczność, ale facet nie miał wątpliwości. Nikogo tu nie było. Śmierdziało moczem. Podeszedł by opuścić klapę i spuścić wodę, ale nadwrażliwość na zapachy będąca skutkiem silnego kaca ścisnęła go za żołądek. Chlusnął jego zawartością na spluczkę i kafelki, osunął się na podłogę. Torsje targnęły jego ciałem, ale poza pierwszą falą płynu nie udało mu się już wycisnąć z żołądka nic więcej. Podniósł się z trudem z kolan, oparł o umywalkę i spojrzął w lustro. Zobaczył opuchniętą, młodą twarz, ciemne sińce pod przekrwionymi oczami, błękitne ślady po zaroście. Odkręcił kurek, by opłukać twarz. W rurach rozległ się gulgot, bateria zatrzęsała się, ale z kranu nie popłynęła woda. Tomek zaklął i sprawdził drugi kurek. To samo. Coraz bardziej poirytowany sięgnął do kabiny prysznicowej. Tam również nie znalazł ani kropli. Teraz już wściekł się naprawdę. Z furią szarpnął za słuchawkę i cisnął nią w plastikową obudowę kabiny. Nie był szczególnym pasjonatem i zwolennikiem higieny osobistej, jednak nie wyobrażał sobie poranka bez umycia zębów i opłukania twarzy. Ignorując ból głowy i syndrom dnia poprzedniego, ruszył do kuchni, licząc, że może odrobina wody została w czajniku.

Tam jednak zobaczył kolejne butelki po piwie i innych alkoholach piętrzące się na stole i szafkach. Kilka z nich wałało się po podłodze. Obie komory zlewu były zapełnione brudnymi naczyniami. Leżał tam też aluminiowy czajnik, który przekreślił ostatecznie nadzieję na choćby kroplę wody. Tym razem jednak mężczyzna nie zwrócił już na to uwagi urzeczony niezwykle jasnym światłem rozpościerającym się za oknem i zalewającym pomieszczenie czerwono-rudą poświatą. Tomek podeszedł do okna i spojrzął na panoramę blokowiska. Największe wrażenie robiło rdzawo-czerwone niebo z krwistą plamą słońca. Rzuciło ono ponure światło na cały krajobraz, upodabniając bloki do stolcowych bryłek z białymi larwami okien. Niczym muchy unosiły się nad nimi rozwrzeszczane wrony. Poza tym panowała cisza. I to było właśnie najbardziej przerażające. Nie było słychać żadnych samochodów, żadnego ruchu, żadnych głosów żyjącego osiedla. Słyszał tylko wrony. Wrony i skrzypienie metalu...

Przeniósł wzrok na plac zabaw, pomysłowo ulokowany w pobliżu śmietników. Typowa peerelowska konstrukcja: piaskownica, dwie huśtawki, zjeżdżalnia. I karuzela. To właśnie ona obracała się, nucąc pieśń zardzewiałej stali, skrzypiąc żałośnie historie minionych dekad. Uwagę Tomka przykuły postacie siedzące na okrągłej podstawie i wprawiające urządzenie w ruch.

Pierwsza była potężnie zbudowana. Niewielka głowa wystawała pomiędzy szerokich barków, które przechodziły w monstrualnie grube bicepsy, porwane bruzdami, ociekające lepłą, zieloną mazią. Wielki tors kończył się jednak maleńkimi, zdeformowanymi nóżkami. Stwór metodycznie, powoli i przerażająco skutecznie opuszczał wielką niczym bochen chleba pięść i uderzał nią w ziemię, by po chwili odepchnąć się i wprawić karuzelę w kolejny obrót. Wówczas drugie stworzenie przebiegało po podłożu pajęczymi odnóżami, cienkimi jak igły, niczym dźwignie czcionkowe maszyny do pisania uderzające w papier. Reszta ciała wystawała z czarnej sukienki, która wyglądała jakby była zrobiona z błota. Górne odnóża wiły się i drgały nerwowo, przypominając wzniesioną do góry broń. Trzeci stwór opuścił odwłok poza karuzelę i ciągnął go za każdym obrotem, niczym monstrualną, obrzydliwą gąsienicę. Istota ta przypominała węża, pełna jednak była ropni, pękniętych wrzodów i gnijącego mięsa. W bezpalczastych rękach stwór tulił lalkę. Zniszczoną, okaleczoną, brudną lalkę Agatkę.

Wtedy Tomek wrzasnął. Dostrzegł to, czego dostrzec nie potrafił, nie chciał, nie miał prawa. Każdy ze stworów miał podobną twarz. Szarą, wodnistą, w której tkwiły martwe,

niewidzące oczy. Martwe oczy w niemowlęcych twarzach.

Tomkiem rzuciło do tyłu. Uderzył w stół, z którego spadły naczynia i rozprysnęły się po podłodze. Przytrzymał się krawędzi i nie upadł, choć jego świat sypał się w pył, leciał na złamanie karku, przestawał istnieć, nie istniał. Wpatrywał się tępo w siniejące palce, czerwone kłykcie ściskające nerwowo blat stołu. Gapił się na brudne talerze, puste butelki, sztuczne pokryte resztkami jedzenia. Na szkło rozsypane na podłodze.

To było rzeczywiste. To był jego dom, jego spokój. Wtedy podniósł głowę i znów ujrzał fekalne bloki, martwe niemowlęta na karuzeli, czerwien nieba i czern chmur. Głos uwiązał mu w gardle, gdy próbował przekląć. Łzy napłynęły mu do oczu, gdy wykraczający poza zdolność pojmowania strach ścisnął go w żołądku, w piersiach, zagrał wzdłuż kręgosłupa.

Musiał coś zrobić. Musiał się napić. Zajrzał do lodówki. Pal lichy myde zębów, ważne by zgasić to pragnienie narastające w trzewiach, palące przełyk, niszczące gardło. To na pewno kac, to wszystko jest skutkiem kaca, jakieś chore filmy po mocnych prochach... Napije się czegoś i położy spać, a to wszystko to tylko zeschizowany sen, to musi być sen, jakaś jazda popierdolona.

Z lodówki wyleciały muchy. Smród uderzył falą z taką siłą, że Tomasz znów zgiał się w pól, z ust wyrwał mu się jęk udręki, obita, spuchnięta ręka powędrowała do wyschniętych, popękanych warg. Niewątpliwie zwymiotowałyby, gdyby miał czym. .

Wnętrze lodówki było ciemne, jednak w tej ciemności widział płaty gnijącego mięsa, wijące się w nim białe larwy, czarne robale i tłuste, czerwone robaki gnilne.

Zatrzasnął lodówkę, próbując złapać oddech. „Co tu się, kurwa, dzieje?!” — pomyślał przerażony. Musiał zacząć coś robić, wyjść naprzeciw temu szaleństwu, przerwać ten chory sen. Przeskoczył nad rozbitymi naczyniami i popędził do pokoju. Dalej męczyły go nudności, głowa odpowiadała bólem tak silnym, że znosiło go na ściany i zaburzało zdolność widzenia.

Włożył dres na nagie dądo, na bosc stopy wcisnął adidasy. Sprawdził, czy ma przy sobie jakieś drobne, dokumenty – jak zawsze, gdy wychodził z domu. Tak jakby dziś nie wydarzyło się nic niezwykłego, jakby to był kolejny, normalny dzień, jakby po wyjściu z mieszkania rzeczywiście wszystko miało być tak, jak wczoraj. Jakkolwiek wczoraj było, bo tego akurat dalej sobie nie mógł przypomnieć. Nie pojawiły się żadne przebłyski, żadne wspomnienia, ani jeden pojedynczy slajd. W zasadzie im bardziej się koncentrował, tym bardziej nie mógł sobie w ogóle przypomnieć wczorajszego dnia. Nie tylko wieczoru i nocy. Nie pamiętał południa, nie kojarzył poranka. Im dalej sięgał pamięcią, tym słabsze stawały się wspomnienia, jakby każde z nich było zbudowane z delikatnej mgły i rozwiewało się, gdy tylko się do niego zbliżył. Czuł kluchę paniki rosnącą w gardle, czuł pustkę rozrastającą się gwałtownie w jego wspomnieniach. Przerażony rzucił się do wyjścia. Musiał coś zmienić, musiał przerwać to szaleństwo. Ze wszystkich sił odrzucał myśli, które zaczynały kłębić się pod czaszką, niczym robactwo w szambie. Dzisiejszy świat był nierzeczywisty, on nie mógł sobie przypomnieć własnej przeszłości, wspomnienia znikwały niczym informacje pisane na przybrzeżnym piasku zalanym przez fale. Popadał w szaleństwo? Zniszczył psychę prochami, tak jak ktoś (nie był już pewien kto) go kiedyś ostrzegął? A może po prostu nie istniał? Przecież było to równie prawdopodobne, jak istnienie tych martwych niemowlaków na karuzeli, jak krwiste słońce, jak gówniane bloki. Jeśli to było rzeczywiste, on mógł być zmyślony... Absurd tego pomysłu chwycił go za gardło, ścisnął serce, które łomotało przerażone w poszerzanej kreatyną klatce piersiowej. Nie miał najmniejszego punktu zaczepienia, nie wiedział, co zrobić, czego się schwyścić, by odzyskać równowagę, by ustabilizować emocje. Czuł, fizycznie odczuwał, jak jego rozsądek stacza się w otchłań szaleństwa, z hukiem objając się o cembrowinę koszmaru za oknem.

Postanowił zrobić coś, co potrafił najlepiej. Musiał zmierzyć się z tym, co na zewnątrz. Siłą.

Ruszył do wyjścia. Na wszelki wypadek złapał za stojący w stojaku na parasole kij bejsbolowy. Udało mu się niegdyś kupić oryginalny, drewniany, amerykański. Nie tania

podróbkę, jakich tony wciska się frajerom i jakie łamią się po kilku silniejszych uderzeniach w gościa. Kij Tomka oćwiczył już wielu, a poznać to można było tylko dzięki kilku wgnieceniom i zadrdom w drewnie, o jego używalność świadczyły też ciemniejsze plamy w miejscach, gdzie krew wsiąkła w jasną fakturę drewna. Tomek przesunął dłonią po materiale, powoli, niemal czule i delikatnie. Westchnął ciężko, nabrał powietrza w płuca, tak jakby ten oddech miał zniwelować skutki jego złego samopoczucia. Jakby miał oddać wszystkie siły, których mu brakowało. Otworzył drzwi i wyszedł na klatkę schodową, która również tonęła w krwistej poświacie. Przez chwilę się zawahał, ale zamknął za sobą drzwi na klucz. Zegar w kształcie felgi BMW wskazywał za kwadrans trzecią.

Schodził po schodach długo i wolno. Żołądek podchodził mu do gardła, w głowie wirowało, ale nie był już w stanie zawrócić. Nie dałby rady wejść z powrotem na górę. Włókł się, więc na dół, noga za nogą, barkiem sunąc po ścianie, drewniany kij stukał głucho o betonowe stopnie. Farba odpadała od tynku płatami, niczym martwa skóra, jak zgniłe mięso odchodzące od data trędowatego.

Zszedł na parter i pchnął drzwi wyjściowe. Uderzyła w niego fala bardzo ciepłego powietrza. Wyszedł na zewnątrz. Widok z tej perspektywy nie zmienił nic w obrzydliwym obrazie tego osiedla, stał się jednak bardziej przygnębiający. Stolcowe bloki, krwiste niebo, chmary wron, martwe dzieci na karuzeli i rdzewiejące skorupy aut. Oraz krwawa breja pulsująca na schodkach pod blokiem. Tomek dostrzegł ją dopiero teraz, bowiem z okna jego kuchni miejsce to nie było widoczne. Teraz przyjrzał się jej, walcząc z podrygiwaniem żołądka, okręcającego się wokół kręgosłupa, podskakującego pod serce i walącego w płuca.

I właśnie serce i płuca, które ujrzał w tej pulsującej papce sprawiły, że wrzasnął przerażony i odskoczył do tyłu. W jednej, straszliwie odrażającej i przerażającej chwili zaczął rozpoznawać kolejne elementy tej upiornej brei. Oko. Jedno, drugie, oba wpatrzone w niego. Strzępki skóry, drzazgi kości, puzzle ciała wciąż żywego, choć zdekomponowanego. Pulsującego i pełzającego w jego stronę po stopniach. Cofnął się do drzwi, naparł plecami na klamkę, niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Mimo że wydawało mu się, iż stopień szaleństwa i kuriozalność dzisiejszego dnia osiągnął apogeum, musiał zweryfikować ten pogląd, gdy usłyszał wypowiedziane swoje imię. Stał przerażony, wpatrując się w pełznącą ku niemu papkę krwistych ochłapów, niezdolny do poruszenia się, w zasadzie niezdolny oddychać, ale nasłuchiwał, starając się odnaleźć w otaczającym go koszmarnym element normalności. Jego własne imię wypowiedziane znanym mu ludzkim głosem.

- Tomek... - znów dobiegł go szept. Tak! Nie mylił się! Wzywano jego imię, a to mogło oznaczać tylko jedno. Spał! Śnił ten koszmarny, popierdolony sen, sen tak rzeczywisty i przerażający, że pewnie jeszcze długo go nie zapomni, jednak to tylko sen! Sen, z którego ktoś właśnie stara się go wybudzić.

- Tomek... - szept stawał się coraz wyraźniejszy, dzięki czemu mógł już nie tylko stwierdzić, że zna ten głos, ale również przypisać go do konkretnej osoby. To był bez wątpienia Seba, jeden z jego najlepszych kumpli, z którym od podstawówki chodził na fajki i wino, niejedną laskę obrócił i niejedną michę sklepał. Trudno zresztą było znaleźć rzeczy, których razem nie robili. Wychowani na jednym podwórku, w jednej klasie, potem na jednej siłowni. Byli jak bracia, gotowi dla siebie nawzajem rozpiardolić cały świat. Najczęściej z Michem, trzecim ziomkiem, którego tylek swego czasu odcisnął się znacząco na ławeczce pod ich blokiem. Tomek nie mógł sobie za wiele przypomnieć, jeśli chodziło o jego przeszłość, ale pamiętał, czuł wręcz, jak wielką rolę odgrywali w niej Seba i Michu. I teraz właśnie Seba go wzywał. I to było niepokojące.

Nie zdarzało mu się spać przy kumplach, chyba że się ostro nawalił albo miał solidny zjazd. Powinna go teraz budzić Agata, jego dziewczyna, lub mała Nika, dupa z dyskoteki, którą obracał w wolnych chwilach. Jeśli jednak słyszał teraz Sebę, oznaczało to, że dzieje się

coś niedobrego. Na pewno nie śpi u żadnej z dziewczyn, zresztą, u Niki nigdy nie zostawał dłużej niż musiał. Miał zasady. Tak mu się przynajmniej wydawało. Seba dalej go nawoływał, a to znaczyło, że jest ostro uwalony. On, nie Seba.

I wreszcie go olśniło! Tak, to było to! Teraz wreszcie wszystkie fakty wskoczyły na swoje miejsce. Znowu któryś przyniósł towar chrzczony chemicznie! Pamiętał, jak kilka lat temu po raz pierwszy spróbował skuna. Przyniósł Seba właśnie, który inauguracyjne próby popalania trawy miał już za sobą. Testował zresztą razem z Michem. Tomek najdłużej się opierał, obawiając się, że dragi wjadą mu na psychę, która czasami i tak klękała po koksach jakie zażywał. Niemniej, dał się w końcu namówić, wypalili dwie lufki towaru. Miało być fajnie, a na początku jedynie poczuł kask uciskający potylicę i potem wszystko się urwało. Poniekąd. Było zupełnie inaczej niż w przypadku alkoholu. Po alku zdarzało mu się nie pamiętać całych godzin, tracił nawet strzępy wspomnień, film zrywał mu się nieraz całkowicie. Reset absolutny, zombie na chodzie. Umysł śpi, budzą się demony Tomek łąził, rozrabiwał, niszczył. Rano nie pamiętał nic. Budził się w obcych mieszkaniach, na stołach w knajpie, raz nawet na chodniku. Nie miał pojęcia, jak docierał w dane miejsca, jedynie od ziomali dowiadywał się co robił, pod warunkiem, że oni coś pamiętali. A bywało i tak, że niszczyli się wzajemnie, czas nagle znikał, następował ranek i budzili się skacowani w stanie totalnej niepamięci.

Po skunie było zupełnie inaczej. Pamiętał i słyszał wszystko, do jego uszu docierały wszelkie rozmowy z mieszkania, w którym się właśnie bawili, pamiętał każdy element imprezy, z każdego pomieszczenia. Każdą pieprzoną minutę, która wlokła się niemiłosiernie wolno. On sam tymczasem siedział na krześle z zamkniętymi oczami, nie mogąc się ruszyć. Nie był w stanie nawet podnieść powiek, które zdawały się być niewyobrażalnie ciężkie. Ba, wysiłek ten mógł się skończyć niebezpiecznym urazem. Jakim? Tego Tomek nie wiedział. Ale bał się. Bał się jak cholera i chciał, żeby to, co się z nim dzieje wreszcie ustąpiło. Pamiętał, że ziomale go zaczepiali. Ze zagadywały go jakieś laski, że próbowano go obudzić. Było to bezcelowe, bo nie potrafił się nawet odezwać, nie był w stanie ruszyć głową, ręką, choćby palcem. Kilka godzin z żyda kamienia. Tak się właśnie czuł, jak bezwolna istota, bez ciała, bez żadnej mocy sprawczej, uwięziona w kamiennej bryle, nad którą nie ma żadnej kontroli.

Pamiętał jeszcze troskliwe zaczepki Seby i Micha. Po kilku godzinach, gdy zioło puściło, po prostu wstał i jakby nigdy nic, poszedł napić się piwa. Obiecał sobie przy tym solennie, że już nigdy nie zapali żadnego gówna. Dużo czasu musiało minąć, mm chłopaki go przekonali, że to był trefny, chrzczony towar, a prawdziwa marycha daje naprawdę fajnego kopa. Potem już nie stronił od niczego, eksperymentowali z czym się tylko dało. Mieli w dupie poszerzanie horyzontów. Chcieli po prostu jak najlepiej, jak najdłużej dobrze się bawić. Im lepsza jazda, im większe skoki adrenaliny, tym lepiej.

Teraz musiało się dziać właśnie coś takiego. Musieli wczoraj poczochrąć łby czymś naprawdę niezłym, bo, musiał to przyznać, tak popierdolonych jazd jeszcze nigdy nie miał. Nie potrafił też nad nimi zapanować, coraz bardziej się w nich zatracił, ale teraz na szczęście usłyszał głos Seby. Cichy, delikatny. Jak wtedy, po skunie. Musieli się ostro uwalić. Pewnie teraz siedzą u któregoś z nich, może nawet na jego kwadracie, próbują dojść do siebie. Pewnie są na jego kanapie, ramię w ramię i nawołują się wzajemnie, starając się zmusić otępieła przez narkotyk usta do sformułowania słów.

- Seba... — Tomek wychrypiał na próbę, zaskoczony tym, jak słabo i jak strachliwie brzmiał jego głos.

- Tomek... — usłyszał znowu. I wtedy zobaczył. Krwista breja zbliżała się coraz bardziej do jego stóp. Kilka kropel forpoczty dotarło już do adidasów. Pośród strzępów ciała, kości i flaków dostrzegł dwa płatki mięsa. W pierwszej chwili nie rozpoznał ich, potem wziął je za waginę i niemal osunął się na ziemię, powstrzymał go tylko fakt, że bał się osunąć w krwawą

papkę pod nogami. Dopiero wtedy zrozumiał, że wargi, w które się wpatruje nie są sromowe. To były usta. Postrzępione, okaleczone i bez dwóch zdań odcięte od ciała usta Seby.

— Tomek... — powiedziała krwista breja. Wrzasnął tak głośno, że ptaki gwałtownie odleciały za stolcowe bloki, a karuzela z martwymi niemowlętami zatrzymała się. Tomasz opadł na ziemię, rozbryzgując wokół szczątki swojego przyjadela...

Potwory na karuzeli ryknęły ostrzegawczo i zerwały się do ataku. Tak przynajmniej wydawało się Tomkowi, nie widział bowiem nic przyjaznego w sposobie, w jaki poruszały się stwory, gnając w jego stronę. Monstrum o kolosalnych barkach skakało odpychając się potężnymi ramionami, stwór o pajęczych nogach przebierał nimi błyskawicznie, węzowaty mutant wił się na spękany, rdzawym chodniku. Wszystkie trzy poruszały się bardzo szybko, z prędkością, której przeczył ich wygląd.

Tomek poderwał się na równe nogi. Zawahał się przez moment, nie wiedząc, czy uciekać do góry, czy spod klatki. Nerwowo szarpnął za klamkę domofonu. Drzwi miały już swoje lata, był to jeden z pierwszych domofonów, jakie założono na początku ostatniej dekady poprzedniego wieku, zazwyczaj wystarczyło mocniej szarpnąć, by się otworzyły, rzadko zdarzało się, by zamek trzymał. Tak jak teraz. Na złość. Tomek pociągnął raz, drugi, trzeci. Obejrzał się nerwowo przez ramię. Potwory zbliżały się, wrzeszcząc przeraźliwie. Jeszcze czterdzieści metrów, trzydzieści pięć, trzydzieści! Zamek nie chciał puścić, ręce utaplane w krwistej brei ześlizgiwały się z klamki. Dopiero po chwili mężczyzna przypomniał sobie, że zabrał z domu klucze. Sięgnął po nie do kieszeni i, oczywiście, jak można się tego spodziewać upuścił je wprost w posokę. Zrozpaczony spojrzał najpierw pod nogi, potem na nadbiegające stwory. Błyskawicznie ocenił szanse. Zaklął siarczyście i rzucił się ze schodków pod blokiem wprost na atakujących. Skręcił gwałtownie i pobiegł najszybciej jak potrafił w stronę najbliższych budynków. Nie miał żadnego planu, żadnego pomysłu. Nie miał nawet nadziei na to, że uda mu się zgubić monstra pomiędzy blokami. W obecnej chwili liczył się tylko instynkt przetrwania, ucieczka przed niewyobrażalnym sobie o kiju bejsbolowym, który wziął ze sobą z domu, a który upuścił, upadając, pod drzwiami. Myśl, że mógłby go użyć przeciwko potworom, że odważyłby się stanąć z nimi do walki, wydała mu się kuriozalna, nie mieściła się w głowie, w której w obecnej chwili panowała tylko panika. Już nie lęk, nie niepokój tylko skrajna panika, która obejmowała kolejne partie ciała. Tomek biegł, bo bał się, że jeśli zwolni, jeśli obejrzy się za siebie, jeśli zrobi cokolwiek, co wybije go z rytmu, strach sparaliżuje go całkowicie, zatrzyma mięśnie, zablokuje ciało, a potwory go dopadną. Nie próbował nawet wyobrazić sobie co z nim wówczas zrobią. Po prostu biegł.

Przebiegł przez bramę w bloku, który ze względu na rozmiary był nazywany w osiedlowej gwarze Behemotem. Przeskoczył przez zardzewiałe płotki, minął uschnięte drzewka, które miały być niegdyś załączkiem osiedlowego parku, biegł dalej pomiędzy wrakami pojazdów. Dostrzegł coraz więcej potworów wyłaniających się spomiędzy śmietników, z okien obmierzłych budynków, zza trzepaka czy z metalowych grobowców aut. Wiedział już, że w żaden sposób nie uda mu się uciec, że jeśli tylko inne potwory dołączą do pościgu, złapią go w kleszcze, otoczą, osaczą, dopadną i... I cokolwiek z nim zrobią, nie będzie to nic przyjemnego.

-Tomek! Tutaj! - usłyszał znajomy głos. Spojrzał w tamtą stronę. W klatce jednego z bloków stał Michu. W czerwono - czarnym dresie, z nieogoloną głową i zachłapaną jakąś ciemną mazią... maczetą. Tomek nie miał czasu zastanowić się, skąd jego kumpel ma maczetę ani co w ogóle robi w tamtym miejscu. Zakręcił szerokim łukiem, by nie przewrócić się i nie wytracić prędkości, i wbiegł do klatki, mijając przyjaciela. Wbiegał szybko, nie zatrzymał się dopóki nie znalazł się na półpiętrze, a Michu nie zatrzasnął drzwi od domofonu, ale zdążył dostrzec, że to co wziął za kolory dresu, to w istocie brud i krew, tak samo jak rzekome włosy dotąd zawsze ogolonego na zero kumpla.

Teraz spojrział na niego uważnie. Szedł do góry po schodach powoli, z wysiłkiem. Ręka, w której trzymał zakrwawioną maczetę (tak, to była krew) zwisała bezwładnie. Nie była to jego jedyna rana, ale Tomek nie potrafił rozeznaczyć się w plątaninie krwi, smaru i błota (miał nadzieję, że to błoto, choć równie dobrze mogły to być odchody lub... jelita). Do tego twarz, oczywiście, umorusana, poplamiona. Twarz golema, kamienna, bez żadnego wyrazu. Nawet oczy. Właśnie. Tomek próbował złapać oddech zmęczony biegiem, ale w tym momencie stracił go całkiem.

Nie było oczu. Nie były wyłupione, nie ściekały po policzkach. Krwawe oczodoły nie ziały przerażającą pustką. Oczu po prostu nie było. Nie było tam nic. Tylko skóra, umorusana i poplamiona, w miejscu, gdzie powinny znajdować się oczy.

- O Boże... - jęknął Tomek i osunął się na ziemię.

- Jego tu nie ma — odparł ponuro Michu i wyminął siedzącego na posadzce towarzysza. - A przynajmniej nie w tej chwili. Opuścił to miejsce - dodał, pokonując kolejne stopnie. Maczeta w jego bezwładnej dłoni uderzała miarowo o betonowe schodki. Echo niesło uderzenia po klatce. Brzdęk, brzdęk, brzdęk... ~ I nie sądzę, żeby wrócił tutaj zbyt szybko — zakończył zatrzymując się przed drzwiami jakiegoś mieszkania. Pchnął je i wszedł do środka. - Zapraszam — dobiegł z wnętrza jego ponury głos. 5 Pizza stygnie.

Tomek był pewien, że się przesłyszał, ale żołądek skręcił mu się w spiralę na myśl o jedzeniu. Rozsądek dodał swoje trzy grosze. Nie miał nic do stracenia. Mógł przecież zaryzykować i sprawdzić, co go tam czeka. „W najgorszym wypadku nie będzie pizzy” - pomyślał jego wycieńczony umysł. Mężczyzna uśmiechnął się nerwowo do swoich myśli, podniósł się i ruszył do mieszkania, za drzwiami którego zniknął Michu. Zapach ciepłego ciasta nęcił jego nozdrza. Nieświadom tego rozplakał się. I szedł dalej. Była czternasta czterdzieści pięć.

Kumple siedzieli w kuchni nad okręgiem pizzy. Tomek jadł, aż mu się uszy trzęsły, Michu siedział naprzeciw niego w całkowitej duszy. W innych okolicznościach można by powiedzieć, że wpatrywał się w kompana, jednak okoliczność wykraczała poza wszelkie normy.

Michu był młodym mężczyzną, wysokim, o nad wyraz szerokich barach i przedramionach jak bochny chleba. Budził respekt i grozę w każdym miejscu, w którym się pojawił, dlatego Seba i Tomek lubili przebywać w jego towarzystwie, choć ich samych też trudno było nazwać chudzielcami czy ułomkami. Zawsze pedantycznie przestrzegał czystości, udowadniając, że można chodzić w białych adidasach i jasnych dresach, nie brudząc ich na każdym kroku. Dziś siedział w stroju, w którym warstwy brudu walczyły o miejsce z plamami krwi. I walka była bardzo wyrównana. Jego dłonie spoczywały na stole, strasząc ropiejącymi ranami, czarnymi wrzodami i pokładami ziemi pod paznokciami i między palcami. Najgorzej jednak prezentowała się twarz. Bez oczu, bez wyrazu, umorusana i zbryzgana posoką, ze spękanyimi ustami mamroczącymi coś bezustannie. Tomek nie chciał na nią patrzeć.

Nie potrafił też rozejrzeć się po kuchni. Błękitne niegdyś ściany były teraz w oczy szarognilnymi plamami betonu, po nozdrzach zaś grzybem i stęchlizną. Miał wrażenie, że z pęknięć ciekła jakaś żółtawobiała ciecz, ale wolał się jej nie przyglądać. Nie analizować nic, co go otaczało. Kuchnia była ponura, ogołocona ze wszystkich mebli, poza stołem i dwoma krzesłami. Jak więc Michu podgrzał pizzę? Skąd ją wytrzasnął? To też nie interesowało Tomka, ważne było tylko to, że teraz przed nosem miał jedzenie. Jedyny punkt zaczepienia z normalnością. Nie miało znaczenia, że widelec i nóż były brudne. Jadł ostrożnie, starając się nie dotykać ustami sztućców. Nie interesował go brudny talerz, który wyglądał spod zjedzonych kawałków. Nieważne było, że jest to pizza z oliwkami, za którymi nie przepadał. W tej chwili jadł i płakał. A Michu siedział i trwał w bezruchu naprzeciw niego.

- To twoja wina. - Michu odezwał się nagle, gdy tylko Tomek odłożył widelec i nóż.

Nie zjadł jeszcze wszystkiego, ale nie był w stanie zmieścić ani kęsa więcej. Zagłodzony, ściśnięty żołądek postawił silny opór, a mężczyzna nie chciał ryzykować kolejnych ekscesów, jakie organizm zafundował mu rano. Teraz odetchnął z ulgą, czując, że kac ustępuje, ból głowy staje się łatwiejszy do zniesienia. Nie potrafił jednak oderwać wzroku od ostatniego kawałka ciasta, na którym leżały resztki oliwek i kaparów, wymieszanych z keczupem, sosem czosnkowym i prawdopodobnie kurczakiem. Prawdopodobnie, bowiem mięso było tak silnie obtoczone w curry, że trudno było określić jego gatunek.

Widok tego kawałka był jego kotwicą, ostoją zdrowego rozsądku i w pierwszej chwili ignorował fakt, że Michu w ogóle się do niego odezwał. Przecież nie mógł się odezwać, bo to wszystko nie istniało. Nie mogło istnieć, nic tak chorego nie może być realne. Dlatego też jego gospodarz powtórzył.

- To wszystko twoja wina.

Tomek drgnął i podniósł wzrok. Tylko przez moment zdołał patrzeć na oblicze kompana i po chwili znów skoncentrował się na kawałku pizzy.

, - To przez ciebie tu jesteśmy - ciągnął niezrażony Michu. - Przez ciebie tak wyglądamy. Ja, Seba, świat... - wyliczał wypranym z emocji głosem.

- O czym ty mówisz? — spytał Tomek piskliwym głosem, skupiając się ze wszystkich sił, by przypadkiem nie podnieść głowy i nie spojrzeć w tę bezoczną twarz. - To mi się śni, prawda? To jakiś popierdolony sen!

- Nie wiem — odparł spokojnie Michu. - Ze snu możesz się obudzić. A czy teraz zdołasz? - spytał.

Tomek uszczypnął się raz i drugi, ale potem przypomniał sobie siniaki, które nabił sobie, upadając pod blokiem, wymioty, notoryczny ból głowy...

- Nie. Nie mogę - odparł ze smutkiem graniczącym z rozpaczą.

- No widzisz... - skomentował Michu. - Wniosek jest prosty. Nie śpisz. To wszystko dzieje się naprawdę. W twojej głowie.

Zapadła cisza. Tomek podniósł głowę i spojrzał w niewzruszone oblicze przyjaciela. Jego wypowiedź w pierwszej chwili go zmartwiła, w kolejnej dostrzegł w niej promyk nadziei, której uchwycił się z całej siły. Uśmiechnął się, pierwszy raz odkąd się dziś przebudził.

— Jeśli to się dzieje w mojej głowie, to nie jest naprawdę... — zauważył z nadzieją. - Co myśmy wzięli, Michu? - spytał pojednawczo, siląc się na żartobliwy ton. - Muszę d przyznać, że takiej jazdy to nigdy nie miałem. Nie wiem, jak ty widzisz świat, ale ja cię widzę teraz paskudnie. Cholernie paskudnie wyglądasz...

- Ja cię nie widzę - odparł Michu. - Przecież to twój świat. Kto powiedział, że jeśli świat istnieje w twojej głowie, to nie jest prawdziwy? Co więcej, czyż ten świat nie jest najprawdziwszym z prawdziwych? Właśnie przez to, że istnieje w twojej głowie, że widzisz go swoimi, nie jakimiś obcymi oczami? Czy może być bardziej wiarygodny obraz świata, niż twój własny? - pytał ani na moment nie zmieniając tonu głosu. — Spójrz na to, co stworzyłeś - rzekł, wskazując wielką dłońią za okno, zza którego wyglądały fekalne wzniesienia wieżowców na de krwistego nieba. - To twój świat. Takim go widzisz. Takim jest dla ciebie. Tak go postrzegasz i odczuwasz. Czy jest prawdziwy? Dla ciebie tak Dla ciebie nie ma prawdziwszego. Dla ciebie wszystko wokół jest do dupy. Jest gówniane. Posrane. Zjebane. Idealny jesteś tylko ty. Ja mam ślepo cię słuchać. Seba? On nigdy nie miał kręgosłupa, który by go utrzymał bez ciebie. Tak.. I Tak właśnie wygląda twój świat...

- Niemożliwe... - jęknął Tomek — To nieprawda...

- Jesteś spaczony - odparł spokojnie Michu. - Tak jak ja... Zepsutym, napakowanym bezlitosną agresją potworem z osiedla. Osiedla, które sam kreujesz...

- Co ty pierdolisz?! O czym ty, kurwa, mówisz?!

-To twoje piekło... Przypomnij sobie wczorajszy wieczór. Przypomnij sobie - rzekł, pochylając się nieco do przodu. Z jego spękanych ust wypełzły rosły karaczan i runął w dół,

prosto na pozostawiony kawałek pizzy. Tomek spojrział na niego i zobaczył larwy i czerwie pelzające po spleśniałym chlebie, polanym krwią i spermą, zbrukanych kałem. Drgawki opanowały jego dało, oczy wyróciły się białkami. Odpłynął...

Uderzenie pojawiło się znikąd rozdzierając świat świetlistym błyskiem. Beata zatoczyła się na ścianę. Zanim zrozumiała, co się dzieje, nim opanowała zawrót głowy, otrzymała kolejny cios w żołądek Padła na ziemię, próbując złapać oddech. Łzy napłynęły jej do oczu. Zdażyła zobaczyć tylko biały adidas zbliżający się do jej twarzy z ogromną prędkością. Świat znów rozblęśił, tym razem krwistymi plamami.

Dwie minuty temu bawiła się na imprezie, w klubie, do którego chodziła od przynajmniej roku. Puszczali tu dobrą nutę, nie było zbyt wielu oszołomów, a nieraz zdarzyło jej się wyrwać niezłe ciacho na nocne igraszki. Dziś też przysła tu z dziewczynami z zamiarem odreagowania monotonii szarego żyda. Miały kilka pigulek, wypaliły trochę zioła, wypity po piwku dla lepszego humoru i ruszyły na tańce. Jak zwykle było ostro, zmysłowo i intensywnie. Wypatrzyła całkiem przystojnego gościa, nie miała wprawdzie pojadę, o czym z nim rozmawiała, trudno jej, bowiem było przekrzyczeć muzykę, w ogóle nie pamiętała, jak miał na imię, ale niezłe całował i miał całkiem niezły tyłek, przynajmniej tyle zdażyła namacać po drodze. Jemu też pozwoliła na drobne zapoznanie się z jej kształtami, ot, by pobudzić wyobraźnię i zaostrzyć apetyt. Wiedziała, że dziś nie wróci do domu, a jeśli już, to nie sama.

W pewnym momencie poczuła, że musi odetchnąć świeżym powietrzem, poza tym liczyła, że facet pójdzie za nią. Może wreszcie dowie się, jak jej dzisiejsza zdobycz ma na imię. Pomachała do dziewczyn i ruszyła w stronę tylnego wyjścia. Minęła kilka par obściskujących się w czerwonym świetle korytarza i otworzyła drzwi. Najpierw uderzyło ją w twarz ciepłe, W orzeźwiający powietrze, chwilę potem cios, który strzaskał jej kość policzkową. Kolejne obaliły ją na ziemię.

- Dawaj ją na kartony! - ryknął rozbawiony Seba, przeskakując z nogi na nogę, niczym dziecko, które nie może się doczekać otrzymania nowej zabawki. Tomek uśmiechnął się ponuro.

- Słyszeliście Sebę - zwrócił się do kumpli. - Ciągnąć szmatę na kartony. Nie będziemy jej jebać na chodniku.

- Nie... - jęknął Tomek — To się nie wydarzyło... To nie może być prawda...

- Dlaczego? - spytał spokojnie Michu — Dlaczego to nie mogło się wydarzyć?

Wydarzało się wielokrotnie i zawsze się przy tym dobrze bawiłeś. Ba, byłeś pierwszy do organizowania jakiegoś zajścia, jak to nazywałeś. A to kogoś pobiliśmy, raz mocniej, raz dużo mocniej, innym razem wzięliśmy w obroty jakąś laskę, tak jak tę wczoraj...

- Czy my ją... — Tomek wciąż wpatrywał się w kawałek pizzy, który co chwila stawał się spleśniałym chlebem.- Co my jej zrobiliśmy?

- Zgwałciliśmy - beznamiętnym tonem odparł Michu. - I pobiliśmy. Mocno. A potem zgwałciliśmy jeszcze raz. I pobiliśmy jej faceta, który przyszedł jej szukać. Bardzo mocno. Przyznam, że nawet jak na ciebie była to bardzo ostra akcja. Wsiadają nawet te z kasownikami. W zasadzie wątpię, by gościu w ogóle się podniósł... Nie, na pewno się nie podniesie - dodał po chwili, wciąż całkowicie wypranym z emocji głosem. — Kwestia, czy w ogóle to przeżyje. Laska raczej tak, chociaż lało się z niej ostro. I krew i gówno... i Przystań... - Tomek zasłonił oczy dłońmi. - To jest jakiś koszmar...

- Tak - potwierdził Michu. - Ale to ty go wywołałeś. Ty go stworzyłeś.

- To jest jakieś piekło? Jakaś kara?

- A według ciebie za co?

- No... - Tomek zająknął się. — Że niby ostro... Że wczoraj...

- Dlaczego udajesz? Przecież wiesz, że wczoraj. I nie tylko wczoraj. Bardzo często. I mógłbyś to zwalić na dragi i alk. Ale ty to po prostu lubisz. Prawda? Przyznaj to wreszcie i

powiedz, że lubisz rozpierdalać świat wokół, lubisz niszczyć ludzi, lubisz przemoc i ostrą jazdę...

Tomek zapadł się w sobie. Wtulił głowę w ramiona, łzy znów zaczęły płynąć po polikach.

- Boże... Wybacz mi...

- Nie jestem bogiem — odparł Michu. - W twojej głowie nie ma Boga. Nie ma go też w sercu. Nie ma tam nikogo. Jest tylko nienawiść i pogarda. Niczym nieuzasadnione, wynikające z kompletnej głupoty. A może kalectwa? Może ty po prostu nie potrafisz docenić innego człowieka...

- Agata... — szepnął Tomek. Michu zamilkł. Moment ciszy, który wówczas nastąpił oczekiwał napięciem, więc by je przerwać, Tomek powtórzył.

- Agata... - i dodał - ją kocham. Będę miał z nią dziecko...

- Nieprawda - uciął krótko Michu. Tomek podniósł gwałtownie głowę, by spojrzeć na rozmówcę. Znów odpłynął.

- Kici, kici, chodź tu maleńki! - rudy bękart o przyszczatej, zdeformowanej mieszanką genów twarzy szczyrzył się obleśnie do kulącego się pod ścianą kotka. Zwierzątko nie miało gdzie uciekać, było zbyt małe i bezbronne, by uniknąć swego losu, przeczowało niebezpieczeństwo, całe ciało drżało w spazmach lęku, gdy pełna kurzajek dłoń wyciągnęła się do jego karku.

- Mam gnoja! - bękart krzyknął tryumfalnie, podnosząc kota do góry w parodii zwycięskiego gestu. Grupka stojących wokół niego drabów zarechotała zachęcająco. Chłopak jedną ręką wydobyl z kieszeni scyzoryk i obnażył ostrze. Bez najmniejszych ceregieli pociągnął po gardle zwierzątka. Kotek skurczył się w sobie, szarpnął się agonicznie, ale oprawca nie ustępował. Ku radości swych towarzyszy piłował uparcie, starając się przezwyciężyć opór sierści i ostrza, które tępe nie sprawdzało się tak spektakularnie jak tego pragnął. Kicia dygotała, zwieracze popuściły, mocz i kał trysnęły na trzymającą go brutalnie broń. Rudzielec przycisnął zwierzątko do ziemi i agresywnie zaczął szarpać nożem. Dzikie okrzyki kolegów zachęcały go do coraz większego bestialstwa. Chłopak wyłupił po kolei oczy wdąż jeszcze żywego kota, następnie przystąpił do zdzierania mu skóry z głowy. Tępy scyzoryk nie ułatwiał zadania, tkanki nie chciały przerwać więzi zawartej tak niedawno, w dniu urodzin stworzenia. Rudzielec jednak nie odpuszczał. Zagryzając krzywe zęby na popękanych wargach szarpał i targał strzępami skóry, nie zwracając uwagi na tryskającą krew i fruujące wokół klaczki. Przerwał tylko na moment, gdy już odsłonił czaszkę, a kotek w straszliwych męczarniach, przy wtórze własnych wrzasków i ryków towarzyszy oprawcy, wyzionął ducha. Rudzielec krzyknął tryumfalnie i rozpoczął dalsze praktyki obielając ciało od kości, tak aż wreszcie oczom jego kompanów ukazała się naga, zakrwawiona czaszka z pustymi oczodołami. Spomiędzy zębów zwisał maleńki, różowy jęczyzek Bękart ponownie wznosił swą ofiarę nad głowę, trzymając zwłoki za zdartą skórę. Biedne stworzenie wyglądało groteskowo, jak halloweenowy przebieraniec, któremu ktoś ściągnął z głowy kaptur.

Agacie jednak nie było do śmiechu. Z trudem walczyła z torsjami, nie mogła jednak się zmusić, by zrobić cokolwiek, obserwując całą scenę przez okno swej kamienicy. Znała tych gnojków, znała ich rodziców. Znał ich także tutejszy dzielnicowy. I on także nigdy nic nie robił. Tak też i ona nie mogła w żaden sposób przerwać tego tragicznego spektaklu, spętana przez własne lęki, poczucie winy i bezsilności, gapiła się tępo na straszliwe okrucieństwo, jakie rozgrywało się na podwórku. Gdy Rudzielec rzucił zwłoki do piaskownicy, w której bawiły się małe dzieci, krzyknęła. Gdy zobaczyła, że dzieci rechoczą i obrzucają truchło piachem, dźgają kijami, wreszcie zachęczone przez tych gnoi zaczynają je kopać, nie wytrzymała. Pobiegła do łazienki. Zgięta wpół nad muszlą podjęła decyzję. Nie sprowadzi nigdy dziecka na ten świat. Usunie ciężę.

Nikt nie lubi, kiedy jego świat rozpada się na kawałki. A tak właśnie Tomek poczuł się, gdy

dowiedział się, że Agata usunęła ciążę. Nie po to dawał suce pieniądze na jej zachcianki. Wiedział, że nie powinien był tego robić. Zawsze starał się kupować jej co tylko chciała, niechętnie dawał gotówkę do ręki. Karty bankomatowe zabrał i zniszczył dawno temu. Nie miał pojęcia, jakim sposobem uciułała na pielęgniarkę. W jaki sposób wydostała się na zabieg, nie budząc podejrzeń chłopaków, których przy niej zostawił. Oczywiście, głęby myśleli, że suka poszła na jakieś badania kontrolnie, nie przypuszczali nawet, że w gabinecie tej piguły mogą zabić jego dziecko. Nie potrafił jeszcze pojąć, dlaczego to zrobiła. Dlaczego postanowiła zrobić coś wbrew jego woli. Szybko do wszystkiego mu się przyznała. Nie musiał nawet bić jej za mocno. Kiedy dowiedział się prawdy, przestał już miarkować ciosy. Przestała być opoką dla jego dziecka, nie musiał dbać o jej ciało. Oszczędzał je, ponieważ to z niego miał się narodzić jego syn. Teraz azyl dla tego sanktuarium przestał obowiązywać, a on użył całej swojej złości i żalu, by zmanifestować jej swój uraz i nienawiść, jaką ją w tej chwili obdarzył. Swą furią niemal wgniótł ją w płytki PCV w łazience. Nie oszczędzał rąk, nie hamował ciosów, nie żałował nóg. Kopał, bił i szarpał, nie myśląc o konsekwencjach, nie zwracał uwagi na jej krzyki i błagania, tak naprawdę nie docierało do niego nawet to, co sam wrzeszczał. Opanował się dopiero, kiedy w mieszkaniu zapadła cisza. Nieraz już oćwiczył w domu jakąś panienkę, więc sąsiedzi szybko oduczyli się reagować na tego typu odgłosy, szczególnie, gdy za pierwszym razem zrobił porządek z życzliwym i jego mieszkaniem. Teraz jednak panująca cisza okazała się złowieszczą. Jak z mgły zaczęły się wyłaniać obrazy, których znaczenie pojął dopiero po dłuższej chwili. Zakrwawione dłonie, zachlapana krwią wanna, ściany i podłoga. U jego stóp naga, skatowana, zakrwawiona Agata. A raczej jej ciało. Powyginane pod straszliwymi kątami, porozdzierane i zmiążdżone niepojętą siłą», trzymało się w kupie, zdawać by się mogło, jedynie dzięki węzowi od prysznicza owiniętemu brutalnie wokół jej szyi. Przerażone oczy wyszły z orbit, nadając sieniei twarzy upiornego wyrazu zdziwienia zmieszanego z grozą. Nabrzmiąły, fioletowy język opadł na brodę, kpiąc niemal ze zszokowanego w tej chwili Tomka.

Chłopak przez chwilę wpatrywał się bezrozumnie w leżące u jego stóp ciało, wreszcie sięgnął do kieszeni dresu i wyciągnął zeń telefon. Sprawnie wybrał numer.

- Seba? Tu Tomek... — rzekł beznamiętnym głosem do słuchawki. - Zgarniaj Micha. Musimy się spotkać. Sprawa jest pilna. I troszkę skomplikowana.

- Nie! - Tomek ryknął, zrywając się od stołu. - To nieprawda! To niemożliwe! To się nie dzieje naprawdę!

- Zgadza się - odparł Michu. - Ale czy to znaczy, że nie jest to prawdą?

- Nie! - znów krzyknął zapytany, a obraz świata zafalował. - To jakaś kompletna bzdura! To się nie wydarzyło! Chcę się obudzić! Muszę się obudzić!

- Niestety, akurat to jest niemożliwe.

- Nie wierzę w to co się dzieje! — Tomek zrzucił ze stołu talerz z niedojedzonym kawałkiem pizzy, który zanim uderzył o podłogę jeszcze raz zamienił się w spleśniały chleb. Schwycił blat obiema rękoma i szarpnął do góry. Drewniane nogi zawirowały w powietrzu i huknęły o ścianę. Michu nie drgnął. Siedział wciąż w bezruchu. Dłonie dla odmiany położył na kolanach. Tomek tymczasem szalał.

- To się nie dzieje! - krzyczał. - To nie jest rzeczywistość!

- A czym według ciebie jest rzeczywistość? — spytał niewidomy przyjaciel. - Jak ją widzisz?

- Nie jestem takim człowiekiem jak opowiadasz! - Tomek wykrzyczał te słowa w twarz ślepeca. - To nie jest prawda! Nigdy nie skrzywdziłbym Agaty! Nigdy nie skrzywdziłbym kobiety! W ogóle nie jestem takim typem!

- To skąd ta krew na rękach? Skąd wspomnienia? Jesteś brutalem, czy nie? Podnieca cię przemoc? Zniszczenie? Zło?

- Nie! Nienawidzę przemocy! Ja nie jestem taki! To nie ja! Nienawidzę brutalności!
Świat znów zafalował. Przez ściany błysnęło białe światło.

*

•••

- Kici, kici, chodź tu maleńki! - rudy bękart o pryszczatej, zdeformowanej mieszanką genów twarzy szczyrzył się obleśnie do kulącego się pod ścianą kotka. Zwierzątko nie miało gdzie uciekać, było zbyt małe i bezbronne, by uniknąć swego losu, przeczuwało niebezpieczeństwo, całe ciało drżało w spazmach lęku, gdy pełna kurzajek dłoń wyciągnęła się do jego karku.

- Mam gnoja! - bękart krzyknął tryumfalnie, podnosząc kota do góry w parodii zwycięskiego gestu. Grupka stojących wokół niego drabów zarechotała zachęcająco. Chłopak jedną ręką wydobył z kieszeni scyzoryk i obnażył ostrze. Bez najmniejszych ceregieli pociągnął po gardle zwierzątko. Kotek skurczył się w sobie, szarpnął się agonalnie, ale oprawca nie ustępował. Dzieciaki wrzasnęły radośnie, ale w krzyku małego Tomusia nie było wesołości, tylko strach. Bał się zrobić cokolwiek. Bardzo chciał, by to przerażające widowisko natychmiast się skończyło, przede wszystkim, by ten mały kotek nie cierpiał. Nie mógł jednak zrobić nic. Sparalizowany ogromnym lękiem dygotał na ciele, ale krzyczał wraz z innymi. Żeby tylko nie zobaczyli jego strachu, żeby tylko nie dostrzegli jak bardzo brzydzi się tego wszystkiego. Jak bardzo żałuje, że tu jest. Jak bardzo żałuje tego kotka.

Rudzielec przycisnął zwierzątko do ziemi i agresywnie zaczął szarpać nożem...

* * *

- Nie rozumiem... - Tomek upadł na podłogę. Świat migotał. Krwiste niebo pobladło. Ponure, fekalne bloki runęły na ziemię, rozbryzgując się falami brązowo-żółtej brei, w której wirowały białe larwy robaków. Mężczyzna spojrział na swoje ręce. Nie były umięśnione i pokaleczone, tylko gładkie i delikatne. Niemal kobiece. Skóra na nich świadczyła, że nie zaznały nigdy nadmiaru fizycznej pracy, co najwyżej kilka razy w życiu przeniosły jakieś meble. Zniknął dres, w miejsce którego pojawiła się wypłowiała koszula. Na nogach wisiały przetarte jasne jeansy, stopy zdobiły podniszczone mokasyny. - Co się dzieje?

- Ty mi powiedz - odpowiedział Michu, który w tym momencie stał się niewyraźnym cieniem, przez który Tomek mógł zobaczyć przeciwległą ścianę. Jasną, nieodrapaną, zadbaną. - Jesteśmy w twojej głowie. To twój świat...

- Ten kotek... - jęknął — Czyja tam byłem?

- Ty musisz mi odpowiedzieć. Co jest prawdą? Czy ten świat wokół nas? Czy ten, który widzieliśmy przedtem? Czy twoje wspomnienia są prawdą? Które z nich?

- Ja... Nie wiem... Nie wiem, kim jestem... Nie pamiętam już nic... ;

- Czy jesteś zwolennikiem przemocy? Czy podnieca cię siła i brutalność?

- Nie! Boję się tego! Brzydzę się!

- To dlaczego ciągle o niej myślisz? Dlaczego w swojej głowie kreujesz się na niezniszczalnego bandytę? Na bezmózgiego zakapiora? Po co ci to? — cień uniósł się w górę. - Co chcesz ukryć? Dziecko płaczące nad kotkiem? Wrażliwego frajera bojącego się echa własnych kroków? To twój świat. Lecz kim jesteś ty?

- Niebo za oknem było już śnieżnobiałe. Biel przebijała przez jasne ściany. Tomek musiał zmrużyć oczy, bowiem cały świat okazał się być bezkresną, niezwykle jasną bielą.

- Co się, do kurwy nędzy, dzieje?

-Wariujesz? Albo może wreszcie zaczynasz dostrzegać świat takim, jakim jest naprawdę? Sam oceń. Powiedz mi, czy rzeczywiście mieszkasz na osiedlu, latasz po mieście z kijem bejsbolowym i wymiatasz wszystkich z dwoma kumplami, Sebą i Michem? Czy jesteś pewien, że oni istnieją? Stworzyłeś własny świat, w którym to ty jesteś brutalnością i złem. Odciałeś się od tego, czego się bałeś. Odciałeś się od wszystkiego.

- Przecież ty...

- Jesteś pewien, że wiesz kim ja jestem? — Cień zaczął krążyć nad głową Tomka.

Świat nie istniał. Nie było już nic poza bielą, która była wszystkim. - Czy jesteś pewien, kim była Agata? Ty przecież nie wiesz, kim ty jesteś...

- Pokaż mi więc kim jesteś! Pokaż mi to! Przecież po coś, do jasnej cholery, to wszystko się dzieje!

- Oczywiście - odparł cień. - Przecież ty tu dowodzisz. To twoja głowa. Twój umysł. Nawet jeśli wydaje ci się, że nie masz nad nim kontroli, to jednak ty tu rządzisz. Więc jeśli coś się dzieje, to ma to jakiś cel, który sobie założyłeś. Izolacja oznacza stagnację, stagnacja oznacza śmierć. Śmierci towarzyszy gnicie. Twój świat gnije mój drogi. Toczy go zgnilizna i robactwo. Twoje imperium robali chyli się ku upadkowi...

- Pokaż mi więc cel! - Tomek ryknął, zadzierając głowę w stronę ciemnej chmury nad głową. - Pokaż mi się! Pokaż mi kim jesteś!

Cień spłynął w dół, niczym dym, otoczył mężczyznę ciemnością i duchotą, od której ścisnęło go w gardle. Tomek padł na kolana, potrząsnął głową jak wściekły byk. I wtedy, w dymie, przez który przebijały promienie jasnego światła, dostrzegł postać. Wrzasnął.

Ropiejący wrzód był najgorszy. Ta obrzydliwa faktura ropienia o mieszanych kolorach zgnilizny okazywała się najohydniejszą częścią twarzy mężczyzny. Tomek nie mógł oderwać od niego wzroku, walczył z przemożną chęcią, by podejść do nieznajomego i wycisnąć narośl. Oczyma wyobraźni widział jak nabrzmiała, miękka i oślizgła otoczka pęka, a z wnętrza tryska zielonkawożółta, niewątpliwie straszliwie śmierdząca maź. Jak rozlewa się po jego dłoniach, wlewa do gardła, zabiera oddech, gryzie nozdrza, ogarnia szaleństwem mózg. Wiedział, że wówczas zwymiotuje prosto na bosa stopy mężczyzny. Prosto na jego długie, przegniłe paznokcie wbite w brudne palce, spomiędzy których dochodził odór, który przebijał nawet pozostały smród, jaki roztaczał nieznajomy. Tomkowi kręciło się w głowie, czuł jak zjedzona niedawno pizza podchodzi mu do gardła, jak oliwki ślizgają się w przelyku, jak kapary rozpierają się, niemal drażniąc podniebienie.

Mężczyzna uśmiechnął się. Poorana, brudna i łuszcząca się skóra ponapinała się przy tej czynności, wyrzuszając wrzód, który nabrzmiął do granic wytrzymałości, jaśniejac żółcią ropy w najjaśniejszym punkcie. Spękane i owrzodzone wargi odsłoniły, a jakże, pożółkłe, w wielu miejscach niemal czarne, zęby. Tomek pomyślał, że to w zasadzie cud, że w ogóle jakieś zęby znajdują się w tych obrzydliwych ustach. Spodziewał się, że wraz z ich otwarciem owionie go kwaśna woń nieświeżego oddechu, nie był jednak przygotowany na otepiającą falę fetoru, która nie pochodziła z niemytych zębów, nieczystego podniebienia ^, zepsutego żołądka. Była to bezlitosna woń krzywiąca momentalnie kąciki warg i gwałcząca skrzydełka nosa, przebyła długą drogę przez cały przewód pokarmowy, całą dwunastnicę, by sięgnąć samego dna ostatniego odcinka jelita grubego i ze zdwojoną siłą uderzyć terrorem zgnilizny i fekaliiów. Wyziew miazmatów zdusił Tomka, wykręcił mu żołądek i przenicował na drugą stronę. Oliwki i kapary nie stawiały już oporu, gdy zostały popchnięte przez uciekający z żołądka w obie strony niestrawiony ser i ciasto. Kleista breja przebiła się przez przelyk, przetoczyła po podniebieniu i uderzyła o zęby, wytrysnęła na nagi tors nieznajomego, Tomek opadł na kolana targany torsjami. Mężczyzna nie drgnął nawet. Wymiociny spływały po jego piersi, jednak nie czyniło mu to większej różnicy, całe, bowiem ciało lepilo się od brudu, śluzu i mazi nieznanego pochodzenia. Odezwał się głosem niespodziewanie czystym i głębokim, o aksamitnym niemal brzmieniu.

- Kim więc jestem?

Tomek nie zareagował w pierwszej chwili, ale mężczyzna go nie poganiał. Chłopak podniósł więc głowę, tylko po to, by ujrzeć przed twarzą ponuro zwisającego fallusa znaczonego strupami i ropą.

- Mną - odparł cicho, przełykając łyzy, smarki i resztki pizzy, która po raz kolejny podjęła próbę dotarcia do żołądka.

Obrzydliwa postać rozpadła się nagle dziesiątkami larw, robaków i robali. Tysiącami

milionów maleńkich, oślizgłych i obłych stworzonek wijących się w obłąkańczym tańcu, ocierających się o siebie, wpełzających pomiędzy towarzyszy, by chwilę później wypłynąć na wierzch. Dziesiątki i setki tysięcy maleńkich ciałek pulsowało rytmicznie, przeplatając się i gniojąc. Fala białych istotek przelewała się na wszystkie strony w brzuchu

Agaty. Dziewczyny, której trupa Tomek znalazł, gdy miał dwanaście lat i wybrał się z kolegami z podwórka nad rzekę. Tam, wśród trzciny i tataraków, leżała naga piękność. Jej skóra była szara i popękana, zielone sutki sterczały sztywno ku niebu, filetowe żyły orały ścieżki na całym ciele. Zniszczone łono krzyczało ze zgrozy zaschniętą krwią. Ale najstraszniejsze były te robale wijące się, kopulujące i rozrastające w rozprutym żołądku zwłok, które wprawiały w drgania nadęty brzuch, niczym wulgarna i obmierzła parodia ruchów płodu w łonie matki... Była czternasta czterdzieści pięć.

- Świat jest obrzydliwy i zły... - Tomek usłyszał swój szept. Był sam, a wokół niego roztaczała się ta bezkresna biel. Wspomnienia mieszały się z marzeniami, urojona z rzeczywistością. Nie był już pewien, co jest prawdą, co nie. Nie widział siebie, nie widział nic poza tą rażącą w oczy bielą.

•••

- Świat jest obrzydliwy i zły, dlatego nie chcę się w niego bawić... - powiedział mały Tomek, patrząc na imperium robali szalejące w brzuchu jego martwej siostry.

•••

Przebłyski świadomości docierały do niego bardzo powoli, łapał je, drżąc z obawy by ich nie uронić, by nie przegapić żadnego momentu. Nie był brutalem. Nie krzywdził ludzi, był tego pewien. Nie potrafiłby, nie byłby do tego zdolny. To była reakcja obronna jego umysłu. Jego wymysł, jego odwet. Jak wiele, wiele innych.

Maski, kreacje, wcielenia i wymysły blakły coraz bardziej, twarda skorupa zmyślonych wspomnień odpadała, odsłaniając okaleczoną i wrażliwą prawdę. Jasność świata blakła, ukazując coraz więcej ciemnych, wreszcie czarnych kresek. Światło stawało się fakturą, otoczenie było okalającym go murem. Wielkim, ginącym w przestworzach murem z białych cegieł.

Ściany drżały. Jeszcze chwila i runą, a Tomek zobaczy, jaki naprawdę jest świat. I jaką rolę w tym świecie odgrywa.

A wówczas rzuci się ku temu światu.

A robale popłyną wraz z nim.

Jonathan Maberry (1958) — popularny amerykański pisarz. Wielokrotny zdobywca Bram Stoker Award. Jest nauczycielem pisania od 1978 autor wielu książek, opowiadań, komiksów, scenariuszy. Jest konsultantem Stowarzyszenia Autorów Horrorów i członkiem wielu amerykańskich stowarzyszeń literackich.

Jonathan Maberry

DUCH Z GRKNBMR

I.

Pod koniec listopada 1896 roku miałem przyjemność zostać towarzyszem podróży mojego bliskiego przyjaciela, Sherlocka Holmesa, który postanowił popłynąć do Ameryki. Pewien przedstawiciel tamtejszego rządu, przy zachowaniu pełnej dyskrecji, zgłosił się do niego z prośbą o pomoc w sprawie podejrzenia sfałszowania Deklaracji Niepodległości. Chociaż

sprawa to była zaiste poważna i mogła zatrzęść w posadach młodą i potężną nacją, zaledwie jedno popołudnie zajęło Holmesowi rozwiązanie jej i przekazanie władzom znanego kanadyjskiego fałszerza, DesBarnesa.

Sprawę tę wyciszono i wspominam o niej wyłącznie po to, by pokazać, że w istocie byliśmy z Holmesem w Ameryce pod koniec tamtego roku i postanowiliśmy skorzystać z okazji, poczynając od stolicy, Waszyngtonu, urządzić wyprawę przez południowe stany, bowiem panowała tam niezwykła dla tej pory roku doskonała pogoda.

Zgodnie z planem mieliśmy wrócić do Norfolk w Wirginii Zachodniej pod koniec lutego, a stamtąd wyruszyć do Anglii statkiem. Holmes niezwykle chwalił sobie pogodę i odpoczynek, a po apatii i małowówności sprzed paru miesięcy nie było już śladu. Jego nastrój dodatkowo poprawił się, gdy odkrył, że w południowej Ameryce, tak jak i w całym kraju, przestępczość ma się doskonale. W świeżo ustanowionych stanach, z przemysłem w powiatakach, miejsca na korupcję, zdradę i kradzież było równie wiele, co dla o wiele godniejszych dążeń do stabilnego rozwoju.

Szesnastego lutego znaleźliśmy się w biurze odpraw w Norfolk, gdzie właśnie omawialiśmy szczegóły wysyłki kilku potężnych skrzyń z chemikaliami, próbkami i książkami, które miały trafić do naszej kwatery przy 221-B Baker Street, kiedy młody mężczyzna w stroju telegrafisty przybiegł do nas przez nabrzeże, wołając Holmesa. Młodzieniec zatrzymał się z poślizgiem, zdjął czapkę i podał nam wiadomość.

Holmes sięgnął po nią z uśmiechem na twarzy. Nie była to ani pierwsza, ani dziesiąta pilna korespondencja, jaką otrzymaliśmy w czasie naszej podróży. Kiedy on wręczył chłopcu napiwek i rozłożył kartkę, ja wymamrotałem: - Holmes, nasz statek odpływa o świcie. Nie mamy czasu na żadne...

Wszedł mi w słowo, zadając jedno pytanie: - Wierzysz w duchy, Watsonie?

Zawahałem się, bowiem Holmes nie raz nabierał mnie w ten sposób, pytając o coś wyłącznie po to, by za chwilę odrzucić mą odpowiedź jakimś naukowym faktem. — Wielu ludzi wierzy - odpowiedziałem niejednoznacznie.

- Jesteś zdzienniały, ale ostrożny, Watsonie. - W jego oczach dostrzec można było figlarne błyski, kiedy przekazywał mi wiadomość. - Przeczytaj to i potem zdecyduj, czy nadal chcesz płynąć tą łodzią, czy czekać na następny przypływ.

Wyszedłem z cienia, żeby odczytać list, który był krótki i enigmatyczny.

Szanowny Panie Holmes,

Moja córka została zamordowana. Jej duch zdradził mi, kim jest zabójca. W imię Boga i sprawiedliwości, proszę mi pomóc.

Mary Jane Robinson Heaster Richlands, Hrabstwo Greenbriar, Wirginia Zachodnia
Podniosłem wzrok znad wiadomości i zauważyłem, że Holmes wpatruje się gdzieś zmrużonymi oczami, lecz nie we mnie, a w zbiorowisko cieni pod biurem.

- Duch córki zdradził tożsamość zabójcy? - zapytałem ironicznie. — Wygląda mi to na krzyk rozpaczliwej łatwowiernej kobiety, Holmes. Nie pierwszy raz słyszymy takie bzdury.

- A mimo to, Watson - powiedział, zabierając z powrotem list. - Mimo to...

Holmes zawiesił głos i odwrócił się na pięcie, żeby przejść przez nabrzeże na stację kolejową. Westchnąłem zrezygnowany i kręcąc ze znużenia głową poszedłem jego śladem.

2.
Amerykanie to naród lubujący się w podróżach koleją, może nawet tak bardzo jak Anglicy, chociaż na większe odległości. Po dwóch przesiadkach i dwóch dniach podróży jechaliśmy właśnie w rozklekotanym wozie ciągniętym przez dwa brązowe konie. Woźnica przeżuwał tytoń i co kilka minut wychylał się, by splunąć z godną podziwu dokładnością i szybkością.

- Powiedz mi, dobry człowieku - powiedział Holmes, przekrzykując dudnienie kół. — Dobrze znasz panią Heaster?

Woźnica odwrócił się i przez chwilę na nas spoglądał, przeżuając w ciszy. - Panowie

przyjechali dowiedzieć się, co z jej córką, prawda?

- Być może.

- Heasterowa mówiła, że Zonę ktoś zabił umyślnie - powiedział. - Ale doktor i szeryf mówili, że to wypadek.

- A pana zdaniem? - zapytał Holmes.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Ja myślę, że trochę za szybko to załatwili.

- Co załatwili? - zapytałem.

- Pogrzeb, dochodzenie, wszystko. Zrobili to tak szybko, jakby coś ukrywali.

- Czy pańskim zdaniem chcieli coś ukryć? - dopytywał Holmes.

- Zona to dziewczyna ze wsi, wie pan? Z tutejszych, to nawet tak wychowane jak Zona latają po wzgórzach i wiążą na drzewa. - Skrzywił się. - Nie wmówi mi pan, że jakaś wiejska dziewczucha potknęła się na schodach i skręciła sobie kark.

- Pańskim zdaniem nie był to wypadek? — odpowiedział Holmes.

- Ja się wczoraj nie urodziłem. - Spluwając po raz kolejny, odwrócił się i resztę drogi powoził w ciszy.

3-

Wysadził nas przed pięknym, wiejskim domem ogrodzonym płotem, z kurami przed gankiem i zielonymi wzgórzami w tle. W Londynie na ziemi leżałaby gruba warstwa śniegu, ale w hrabstwie Greebriar panowała rajska wiosna.

Mary Jane Heaster powitała nas przy bramie i od razu dało się zauważyć, że niedawne wydarzenia odcisnęły na niej swoje piętno. Była kobietą o wyrazistych rysach twarzy, które teraz znaczył smutek. - Panie Holmes - zawołała i pośpieszyła do wozu, by złapać go za rękę, gdy wysiadał. - Niech Bóg błogosławi za to, że pan przyjechał! Teraz wiem, że moja Zona odnajdzie spokój.

Zauważyłem, że na twarzy Holmesa pojawił się ten sam wyraz oziębłości, jaki towarzyszył mu zawsze, gdy ktoś przejawiał wobec niego zbyt wylewne uczucia, a już zwłaszcza kobiety. Cofnął dłoń tak szybko, jak tylko pozwalały na to dobre maniery. A potem mnie przedstawił.

-Wielkie nieba, doktorze - zawołała. - Przeczytałam wszystkie opowieści o pańskich przygodach z panem Holmesem. Moja kuzynka wyszła za londyńskiego bankiera i wysłała mi każdy numer „The Strand”. Wspaniały z pana pisarz, doktorze Watsonie. Tak doskonale opisuje pan szczegóły spraw pana Holmesa, że te zdają się prawdziwe.

Holmesowi nie udało się ukryć uśmiešku, który wyglądał niemal szyderczo. Jego zdanie o moich zdolnościach literackich było dobrze znane i często gromił mnie za zbytne przykładanie się do aspektów przygodowych, którym poświęcam więcej uwagi niż naukowym faktom. Już dawno temu porzuciłem wszelkie nadzieje w kwestii wyjaśnienia mu, że ludzie nie będą czytać zwykłej relacji z rozwiązania sprawy. Oprócz tego uznałem za mało taktowne zwracanie mu uwagi na to, że wiele z najciekawszych przypadków oddano w nasze ręce właśnie dzięki sławie, którą zdobył za sprawą moich publikacji.

- Ale co ze mnie za gospodyni - skarciła się pani Heaster. - Pozwalam swoim gościom prowadzić rozmowy na podwórzu. Zapraszam panów do salonu.

Kiedy już zasiadliśmy w wygodnych fotelach, a w naszych dłoniach znalazły się filiżanki, pani Heaster pochyliła się i złożyła ręce. - Może mi pan pomóc, panie Holmes? Pomoże mi pan wymierzyć oprawcy sprawiedliwość, żeby moja córka mogła odpoczywać w pokoju? Powiem wam jedno, mili panowie, spokoju jej teraz z pewnością brakuje. Snuje się po tym świecie, błagając o sprawiedliwość.

W pomieszczeniu zapadła ciężka cisza, a słowa gospodyni krążyły wokół nas niczym widma. Pani Heaster usiadła z powrotem, a po jej spojrzeniu poznałem, że zdawała sobie sprawę, jak musiały zabrzmieć te słowa. — Oczywiście tacy dżentelmeni nie mają żadnego

powodu, by uwierzyć w moją opowieść. Jednak zapewniam panów, że jest prawdziwa.

Holmes uniósł palec. — Mnie przyjdzie sądzić, co jest prawdą - oznajmił szorstko. - A teraz, pani Heaster, proszę opowiedzieć wszystko dokładnie. Proszę niczego nie pomijać, choćby nie wiem jak nieistotny wydał się pani jakiś szczegół. Musimy wiedzieć wszystko, żeby pani pomóc.

Powiedziawszy to odstawił filiżankę, rozsiadł się z powrotem w fotelu, splódł swoje długie palce i zamknął oczy. Pani Heaster spojrzała na mnie, a ja kiwnąłem zachęcająco głową.

- Moja córka nazywa się Elva Zona Heaster i urodziła się w hrabstwie Greenbriar w 1873 roku. Dobra była z niej dziewczyna, panie Holmes. Bystra, biegła w listach i szyciu. Ale... S głos jej się załamał. - Kilka lat temu wpadła w kłopoty. Powiła dziecko.

Przez chwilę nic nie mówiła, spodziewając się nagany, ale Holmes tylko machnął zniecierpliwiony dłonią. - Jestem detektywem, proszę pani, nie obrońcą moralności.

Pani Heaster odchrząknęła i kontynuowała porzucony wątek. - Panowie z pewnością zdają sobie sprawę, na jak niewiele w kwestii małżeństwa może liczyć panna z dzieckiem. Zdecydowała się żyć samotnie, ale wtedy, w październiku 1896 roku, poznała mężczyznę o imieniu Erasmus Stribbling Trout Shue. Ludzie w okolicy mówili na niego Edward, chociaż dla mnie zawsze był Troutem (z ang. pstrąg - przyp. tłum.) - zimnym i śliskim. Pojawił się w Greenbriar, żeby pracować jako kowal, mówiąc, że chce zacząć nowe życie. Wspominał coś o trudnej przeszłości, ale nie zdradzał szczegółów. Pracował w należącym do Jamesa Crookshanksa sklepie, który znajduje się zaraz przy szlaku. Trout był zdolnym kowalem, a na wsi jest sporo pracy dla kogoś, kto umie podkuwać konie i krowy. Krótco po tym, jak Trout zawitał w naszym mieście, spotkał moją córkę, kiedy poszła prosić o podkowy dla naszego byka, którego użyczaliśmy innym hodowcom do rozplodu. - Pani Heaster westchnęła. - To była miłość od pierwszego wejrzenia, panie Holmes. Słyszał pan na pewno takie określenie, że między dwojgiem ludzi coś „zaiskrzyło”? Cóż, w istocie, kiedy Zona weszła do kuźni i zobaczyła przy młocie Trouta, zaiskrzyło. To potężny i muskularny mężczyzna, silny, jak na kowala przystało, ale też na swój sposób przystojny. Może nawet bardziej czarujący niż przystojny, jeśli wiedzą panowie, co mam na myśli. Miał uśmiech, który mógł tę jego surową twarz zmienić w istic księżęcą rodem z bajki. A uwaga, jaką poświęcał Zonie sprawiała, że moja córka sama czuła się jak księżniczka. Poprosił mnie o jej rękę i chociaż miałam wątpliwości - chyba jestem zbyt stara, by ujęły mnie tylko bicepsy i miły uśmiech - zgodziłam się. W końcu moja córka miała już dość ograniczone perspektywy.

- Oczywiście - przyznałem.

- Trout zdawał się coś ukrywać, ale nigdy się nie zdradził a ja nie miałam żadnych dowodów na potwierdzenie swoich domysłów. Zaczęłam nawet myśleć, że może po prostu stać się jedną z tych „starych jędz”, dając się ponieść lękom i wtrącając w szczęście własnej córki... Ale moje obawy okazały się słuszne - powiedziała, a ja zauważyłem, że jej twarz staje się biała jak płótno. - Więcej niż słuszne, bowiem jak mogłam przewidzieć tak przerażającą przyszłość?

Holmes otworzył oczy i przyglądał jej się niczym kocur,

- Zona i Trout żyli ze sobą jako mąż i żona przez kilka kolejnych miesięcy. Potem, dwudziestego trzeciego stycznia tego roku - cóż za okropny, okropny był to dzień! — Andy Jones - młody czarnoskóry chłopak, którego Trout wysłał po coś do domu - pognął z powrotem do miasta z krzykiem, że znalazł moją Zonę martwą u podnóża schodów. Powiedział, że leżała rozciągnięta, ze złączonymi nogami i jedną dłonią spoczywającą na brzuchu, a drugą wzdłuż ciała. Jej głowa przechylona była lekko na bok. Oczy miała szeroko otwarte i wybałuszone. Chociaż Andy jest jeszcze dzieckiem, domyślił się, że Zona nie żyje. Pobiegł więc do miasta i kazał matce wezwać doktora George'a Knappa, który jest naszym

lekarzem i koronerem. Doktor Knapp był wtedy na jednej z odległych farm i podróż zajęła mu niemal godzinę.

Pani Heaster wzięła głęboki oddech, żeby nabrać siły na dalszą część opowieści. - Zanim pojawił się lekarz, Trout zdążył już wrócić ze sklepu Crookshanksa i zabrał dało Zony na górę, by położyć ją na łóżku. Zazwyczaj to kobiety z miasta zajmują się zmarłymi, szykując ich na pogrzeb. Kiedy jednak doktor Knapp zjawi się w domu, Trout zdążył już umyć Zonę i ubrać ją w jej najlepszą sukienkę, z wysokim kołnierzem i zakrywającą twarz woalkę. Holmes pochylił się do przodu. - Proszę opisać mi kołnierzyk i woalkę.

- Woalka była biała, uszyta z jej welonu ślubnego, żeby mogła nosić ją do kościoła.

“4 A kołnierzyk?

- Bardzo wysoki i sztywny.

Holmes zacisnął usta i przemyślał to. - Proszę kontynuować - powiedział po chwili. — Niech mi pani powie, co udało się ustalić doktorowi Knappowi po oględzinach córki.

- To wszystko, panie Holmes, nie było prawdziwych oględzin ciała. Doktor próbował, oczywiście, ale Trout przez cały czas nie puszczał Zony, zanosząc się od płaczu i przeklinając lekarza za to, że zakłóca spokój jego zmarłej małżonki.

- Była tam pani, pani Heaster? - zapytałem.

- Tak, stałam w progu, niezdolna do wymówienia choćby słowa, ze złamanym sercem.

- Gdzie znajdował się Trout Shue, kiedy lekarz badał ciało pani córki?

- Doskonale, Watson - powiedział cicho Holmes.

- Siedział przy górnej części łóżka, trzymając moją córkę za głowę i płacząc — odpowiedziała pani Heaster.

- Czy nakazał przerwanie oględzin? - zapytał Holmes.

- Nie, ale tak demonstracyjnie przeżywał swoją żalobę, że lekarz poddał się z litości i ograniczył się do najbardziej ogólnego badania. Ledwo wystarczyło, by stwierdzić, że istotnie jest martwa. Jednakże — dodała powoli — zauważył na szyi Zony siniaki.

- Siniaki? Jakież wnioski z nich wyciągnął?

- Żadnych, panie Holmes.

- Żadnych?

- Żadnych.

Po chwili ciszy Holmes zapytał - Jaką przyczynę śmierci wskazał doktor?

Pani Heaster uśmiechnęła się szyderczo. — Na początku orzekł wieczne omdlenie. Dadzą panowie wiarę!

- Oburzające - zawołałem. — To oznacza tylko tyle, że nie miał pojęcia, dlaczego umarła.

- To wzbudziło falę krytyki - przyznała pani Heaster. - Więc w oficjalnym raporcie doktor Knapp zmienił to na „kobiecą przypadłość”, co z miejsca położyło kres plotkom. Nikt nie będzie rozmawiał o takich rzeczach. - Skrzywiła się. - Ludzie są tacy staroświeccy.

- Pani córka miała w przeszłości jakieś problemy natury ginekologicznej? - zapytałem, ale ona tylko pokręciła głową.

- Nie było też żadnych komplikacji przy narodzinach syna. Była zdrową, silną dziewczyną.

Rzuciłem ukradkowe spojrzenie na Holmesa, który zupełnie jak wszyscy inni chętnie unikał spraw delikatnej natury, i w istocie twarz jego zdradzała napięcie, ale w oczach dostrzec można było żywe zainteresowanie. - W swoim liście sugeruje pani morderstwo - powiedział.

- Morderstwo, istotnie, panie Holmes. Brutalne i zuchwałe.

- A morderca? Wierzy pani, że jest nim Trout Shue?

- Ja wiem, że to on!

- Skąd ta pewność?

- Córka mi to powiedziała - rzekła pani Heaster bez sekundy wahania.

- Pani... zmarła córka?

- Tak, panie Holmes. Przez kilka kolejnych nocy przychodziła do mnie we śnie i powtarzała, że została zamordowana przez Trouta Shue. Utknęła między światami, skazana na wieczną wędrówkę z powodu krzywdy, którą jej wyrządzono. Dopóki sprawiedliwości nie stanie się zadość, moja córka przemierzać będzie świat jako widmo. I dlatego, mili panowie, błagam was o pomoc.

Holmes siedział przez chwilę bez ruchu, przyglądając się uważnie twarzy pani Heaster, poszukując - podobnie jak ja - oznak szaleństwa albo czekając na podejrzanę mrugnienie, zdradzające przebiegłość - jednak tak on, jak ja, nie zauważyliśmy nic takiego. Była opanowana, a jej wywód klarowny i przekonujący, czego żaden z nas nie spodziewał się po tak gwałtownej w swej naturze wiadomości. Holmes oparł się wygodnie i splótł palce. Długie sekundy jego niemych deliberacji odmierzał bogato zdobiony zegar, którego wskazówki musiały przebyć kawał drogi, zanim Holmes przemówił.

- Pomogę pani — oznajmił.

Pani Heaster zamknęła oczy i skinęła. Po chwili jej ramionami zaczął wstrząsać płacz.

4-

- Z pewnością jej nie wierzysz, Holmes — powiedziałem, kiedy jechaliśmy po bocznej drodze na koniach, które użyczyła nam gospodyni. Holmes, dosiadający kasztanowego wałacha, nie odpowiedział mi, tylko dalej podążaliśmy ścieżkami pokrytymi cętkami słonecznego światła.

Dopiero kiedy dotarliśmy do gospody w Lewisburg i oddaliśmy konie stajennemu, Holmes zatrzymał się i najpierw spojrzął na ciemniejącą już niebieską barwę amerykańskiego, południowego nieba, a potem na mnie.

-A ty? - odrzekł, jakbym zadał swoje pytanie minutę, a nie godzinę temu.

Otworzyłem usta do odpowiedzi, ale Holmes nie chciał już rozmawiać.

5-

Następny poranek przywitał nas na poczcie, gdzie Holmes podyktował tuzin telegramów, a mnie pozostawił kwestię ich opłacenia. Potem udaliśmy się do sądu miejskiego, gdzie Holmes zażądał widzenia z prokuratorem, niejakim Johnem A. Prestonem. Po krótkiej prezentacji, pan Preston uniósł z zaskoczenia bujne brwi i natychmiast podniósł się z fotela.

- A niech mnie! - powiedział.

Holmes posłał mu smutny uśmiech. - Rozumiem, że nawet tak daleko od Londynu nie jestem zupełnie nieznanym.

- Nieznany! Dobry Boże, panie Holmes, w całych Stanach nie ma jednego choćby prawnika, który nie słyszał o słynnym Detektywie. Nie dalej jak osiem miesięcy temu uczestniczyłem w Norfolk w wykładzie o nowoczesnych procedurach śledczych, gdzie prowadzący trzy razy cytował pańskie monografie. Nie przesadzając zupełnie, mogę stwierdzić, że przyszłość policji śledczej będzie panu wiele winna.

Słowa Prestona zdołały przedrzeć się przez szczególnie mocną barierę zwykle niewzruszonego Holmesa, który przez moment nie potrafił wykrztusić słowa. - Dziękuję bardzo. Gdyby tylko Scotland Yard myślał równie przyszłościowo.

- Proszę dać im trochę czasu, panie Holmes, trochę czasu. Nie można być prorokiem we własnym kraju. — Preston zaśmiał się z własnego dowcipu i gestem nakazał nam usiąść. - W czym mogę pomóc wspianemu Sherlockowi Holmesowi?

- Przejdę do razu do sedna — oznajmił Holmes i opowiedział Prestonowi wszystko, czego dowiedzieliśmy się od pani Heaster, a nawet przekazał mu list, by prokurator mógł mu się przyjrzeć. Preston przygryzł koniuszek swoich sumiastych wąsów i oddał wiadomość z powrotem.

- Pani Heaster już u mnie była — przyznał.

- I nic pan nie zrobił?

Preston chrząknął. — Szczerze mówiąc, panie Holmes, tutejsi nadal wierzą w przesady.

Chociaż Lewisburg jest raczej postępowy, większość Wirginii Zachodniej to ciągle dzikie tereny i wielu z jej mieszkańców jest mocno zabobonnych. Każdy zna jakąś opowieść o duchu albo skrzacie i nie pierwszy raz ktoś siedzi w tym właśnie fotelu, dzieląc się ze mną informacjami, które przekazał mu zmarły przed kilkoma miesiącami albo latami przyjaciel czy kuzyn. To wariaci z szaleństwem w oczach, panie Holmes, przesądne kmiotki.

- I pańskim zdaniem, panie Preston, pani Heaster również jest wariatką z szaleństwem w oczach? - Ton Holmesa był lodowaty, bowiem w istocie kobieta zrobiła na nim wrażenie spokojnej i rozsądnej.

- Cóż — zaczął ostrożnie Preston. — W końcu córka ukazała się jej jako duch...

- Nie wierzy pan w duchy?

- Chodzę do kościoła — powiedział Preston, jednak nie kontynuował.

-Ale przynajmniej, mam nadzieję, z grzeczności przeczytał pan chociaż raport ze sprawy, w tym uwagi miejscowego koronera?

-Nie, proszę pana... Przyznaję, że nie potraktowałem tej sprawy na tyle poważnie, by przyjrzeć się jej dokładnie.

-T_a natomiast traktuję ją zupełnie poważnie - powiedział Holmes surowo.

Siedzieli po dwóch przeciwnych stronach dębowego biurka I Prestona, a kiedy spojrzałem na prokuratora, zdałem sobie sprawę, że człowiek, nawet siedząc jest zdolny sprawiać wrażenie jakby stawał na baczność i wręcz salutował, nawet nie poruszając rękoma.

- Gdyby mógł pan być tak uprzejmy i wrócić tu jutro o dziesiątej - powiedział. - Do tego czasu zapoznam się ze wszystkimi | szczegółami sprawy.

Holmes wstał. - W takim razie do tego czasu nie mamy o czym rozmawiać, panie Preston. Miłego dnia. - Wyszliśmy, a za drzwiami Holmes mrugnął do mnie okiem. - Zdaje się, że puściliśmy maszynę w ruch, Watson.

6.

Preston nie tylko dotrzymał słowa i przeczytał akta sprawy, ale nawet oficjalnie otworzył ją ponownie. Ponaglany przez Holmesa, zdobył pozwolenie sądowe na ekshumację zwłok Zony Heaster -Shue. Razem z Holmesem wzięliśmy udział w autopsji, która miała miejsce w pustej salce szkolnej po tym, jak dzieci zostały odesłane do domów. Według zwyczajów Zachodniej Wirginii, a może nawet całej tej części Ameryki, rodzina zmarłego, świadkowie i oskarżeni również byli obecni przy sekcji zwłok. Dla mnie samego było to niezwykle niepokojące, ale Holmes ucieszył się na myśl, że będzie mógł na własne oczy zobaczyć Trouta Shue, którego nie mieliśmy jeszcze okazji poznać.

Pojawił się w towarzystwie dwóch krzepkich posterunkowych ale sam Shue był tak postawnym mężczyzną, że przy nim wydawali się karłami. Miał szerokie ramiona i potężne mięśnie, jak prawdziwy kowal. Jego oczy i włosy były ciemne, a usta zdawały się w okrutny sposób zmysłowe. Szczękę Trout wypchnął do przodu, ostentacyjnie obnosząc się swoją niewinnością i gniewem spowodowanym tą niepotrzebną profanacją dała jego zmarłej żony.

_ Spotkamy się za to w sądzie! - zaryczał, kiedy zebraliśmy się naokoło prowizorycznego stołu, na którym leżały doczesne szczątki Zony.

-Taką mam nadzieję — odpowiedział Holmes i dwaj mężczyźni patrzyli sobie przez dłuższą chwilę prosto w oczy. W powietrzu czuć było wędrujący od jednego do drugiego prąd, kiedy ich dusze walczyły na pioruny, rzucając je w siebie nawzajem na poziomie metafizycznym, podczas gdy pozostali czekali w świede materialnym.

W końcu Shue zacisnął usta i odwrócił się, przerywając kontakt wzrokowy. Machnął gwałtownie ręką w odrazie. - Róbcie, co musicie i niech was piekło pochłonie. Nigdy niczego nie udowodnicie.

Przerwałem następującą po tej kwestii ciszę, podchodząc do koronera. - Jestem do pańskich usług - powiedziałem. Kiwnął głową z wyraźną ulgą, rzucając Troutowi zaniepokojone spojrzenie.

Przystąpiliśmy do sekcji. Zone Heaster-Shue spędziła w ziemi kilka tygodni, ale jej ciało nie było nawet w połowie tak zgniłe, jak się spodziewałem, sądząc po tutejszym klimacie. W miejscach naznaczonych choćby odrobiną wilgoci tkanki w ogóle nie opierały się naszym skalpelom. Wytrącało to z równowagi i odważyć się przyznać, że było wręcz nienaturalne; jednak parliśmy do przodu.

Chcieliśmy zbadać całe jej dało, ale po jakimś czasie Holmes powiedział cicho - Szyja, panowie. Szyja.

Przedaliśmy tkanę, żeby obejrzyć ścięgna, chrząstki i kości. Koroner wciągnął głośno powietrze, ale kiedy podyktował swoje odkrycia sekretarzowi, jego głos był spokojny.

7-

„...z oględzin wynika, że kark został złamany, a tchawica zmiądzona — ogłosił koroner z pulpitu w sali sądowej. - Na szyi widać było ślady palców, co sugerowało uduszenie. Kręgosłup został skręcony między pierwszym i drugim kręgiem. Ścięgna były zerwane. Miejsce zmiądzienia tchawicy znajdowało się z przodu szyi”.

Z miejsca dla publiczności mogłem dostrzec, jakie wrażenie te informacje zrobiły na każdym z dwunastu przysięgłych, a kilka par oczu spojrzało w stronę Trouta Shue, który siedział na ławie oskarżonych z wymalowaną na twarzy lodowatą pogardą.

Czerwcowe słońce rozgrzewało Lewisburg, więc na sali sądowej było gorąco. Gdy Trout został aresztowany, razem z Holmesem powróciliśmy do Anglii, ale szybko otrzymaliśmy od pana Prestona prośbę o powrót. Mimo wyników autopsji, oskarżenie nie było pewne pomyślnego wyroku. Shue upierał się przy swojej niewinności, więc zgodnie z amerykańskim prawem to oskarżenie miało obowiązek udowodnić jego winę ponad wszelką wątpliwość. Dowody jednak dotychczas były głównie poszlakowe. Przytłaczające, jak mi się zdawało, ale w obliczu prawa oskarżenie balansowało nad przepaścią.

W czasie przerwy w procesie, pani Heaster zaczepiła pana Prestona. - Musi mi pan pozwolić zeznawać - domagała się.

- W jaki celu, droga pani? Nie była pani świadkiem zbrodni.
- Ale moja córka...

Zirytowany Preston wszedł w jej słowo, bowiem nie pierwszy raz się o to spierali. — Twierdzi pani, że córka przyszła we śnie. We śnie, droga pani. | To był jej duch. Jej duch domagał się sprawiedliwości.

Holmes taktownie się wtrącił. - Pani Heaster, to w najlepszym wypadku ledwie pogłoska, a prawo nie uzna jej za wiarygodną. Nie może pani udowodnić swoich zeznań.

Naskoczyła na Holmesa, jednocześnie wskazując na Prestona palcem. - Broni go pan? Twierdzi pan, że powinnam siedzieć cicho i pozwolić, żeby morderca mojej córki prześlizgnął się przez proces, jakby naprawdę był oślizgłą żmiją?

- Wręcz przeciwnie. Po prawdzie przekazałem panu Prestonowi pewne dowody, które mogą okazać się użyteczne.

- Cóż to za dowody? - zapytaliśmy z panią Heaster jednocześnie.

- Watsonie, pamiętasz telegramy, które wysłałem podczas naszej pierwszej wizyty w Lewisburgu?

- Oczywiście.

- Wysłałem zapytania do różnych naczelników poczt w całym regionie w sprawie adresu człowieka o nazwisku Erasmus Stribbling Trout Shue, albo jakiegokolwiek jego wariacji, i trafiłem na żyłę złota! Okazało się, że Trout Shue ma dość bogatą przeszłość. Odbył już karę więzienia za kradzież konia.

- To nie ma związku...

Holmes zignorował moje wtrącenie. - Zona Heaster nie była jego pierwszą żoną, Watson. Nawet nie drgnął. Shue był wcześniej żonaty dwukrotnie i w obu przypadkach mówiło się...

- ..nieoficjalnie - dodał Preston.

- Mimo wszystko — odburknął Holmes — mówiło się, że poprzednie żony cierpiały z powodu jego brutalnej natury. Pierwsza żona rozwiodła się z nim po tym, jak z powodu kłótni wyrzucił na ulicę cały jej dobytek. Ona jako jedyna z trzech pań Shue przetrwała związek z tym mężczyzną. Jej następczynie nie miały tyle szczęścia.

- Co ma pan na myśli? - dopytywała pani Heaster.

- Lucy Ann Tritt, jego druga żona, zmarła z powodu potwornego urazu głowy, najwyraźniej powstałego w wyniku upadku którego jedynym świadkiem był Shue. Dochodzenie w tamtej sprawie było równie niedbałe jak aktualne - powiedział Holmes, posyłając Prestonowi surowe spojrzenie. — Nie postawiono żadnych zarzutów, a Shue szybko się wyprowadził.

- Potem przyjechał tutaj i poznał moją Żonę. - Pani Heaster zadrżała i złapała Prestona za rękaw. - Musi pan udowodnić jego winę. Ten człowiek to diabeł wcielony. Diabeł. Na miłość boską, proszę pozwolić mi zeznawać. Proszę pozwolić mi opowiedzieć przysięgłym o mojej córce; o tym, co mi powiedziała. Proszę pozwolić mi powiedzieć prawdę!

Ale Preston tylko pokręcił głową. - Proszę pani, spróbuję przedstawić dowody znalezione przez nieocenionego pana Holmesa, ale nawet te są wyłącznie poszlakowe. Ten człowiek nigdy nie został oskarżony o pobicie kobiety. Nie mogę nawet wspomnieć o kradzieży konia, ponieważ to może wywołać niesłuszne uprzedzenia u przysięgłych, a na tej podstawie obrona może wnieść o unieważnienie wyroku. Muszę przestrzegać prawa. Oprócz tego - dodał zmęczonym głosem - sumienie nie pozwoli mi powołać pani na świadka, by zeznała pani, że we śnie duch córki wyjawiał, że została zamordowana. Stracimy resztki naszej wiarygodności, a i tak niewiele jej mamy w oczach przysięgłych. I tak muszę podziękować swojej szczęśliwej gwiazdzie, że obrona nie dowiedziała się o pani opowieściach, ponieważ z pewnością użyłaby ich, by rozszarpać nasze oskarżenie na strzępy.

- Ale wyniki autopsji...

- Dowodzą, że pani córka została zamordowana, ale w żaden sposób nie wskazują na tożsamość zabójcy. Przykro mi, ale proszę pamiętać, że przysięgli muszą ponad wszelką, wszelką wątpliwość przyznać, że to Shue jest mordercą. A ja nie wiem, czy mamy na to wystarczająco dużo dowodów. - Zaczął odciągać jej rękę od swojego rękawa, ale przytrzymał ją jeszcze na chwilę, a nawet delikatnie ucisnął. - Zrobię wszystko, na co tylko pozwala prawo, proszę pani. Wszystko*

Zabrała rękę. — Prawo! Gdzie jest sprawiedliwość w tym prawie, skoro pozwala na to, by dziewczyna została zamordowana, a jej zabójca odszedł wolny? — Spojrzała na Prestona, potem na Holmesa i w końcu na mnie. - Ile jeszcze kobiet poślubi i zabije? Jak prawo je ochroni?

Otworzyłem usta, żeby mruknąć kilka nic nie znaczących słów pocieszenia, ale pani Heaster odwróciła się szybko i uciekła do drugiego pomieszczenia, skąd poczęło dobiegać echo jej łkań, rozbrzmiewających w nieruchomym powietrzu korytarza niczym oskarżenie.

Preston posłał nam pełne żalości spojrzenie. - Mogę działać wyłącznie w ramach prawa - tłumaczył się. Holmes uśmiechnął się i poklepał go po ramieniu. - Musimy zatem ufać, że sprawiedliwości mimo wszystko stanie się zadość - powiedział. A potem spojrzał na zegarek - Mój Boże, spóźnię się na lunch.

I z tym enigmatycznym stwierdzeniem nas opuścił.

8.

Wraz z rozwojem procesu, zgodnie z przewidywaniami Prestona, dowody stawały się coraz mniej przekonujące, a adwokat oskarżonego, przebiegły mężczyzna o nazwisku Grimby, wydawał się zyskiwać sympatię przysięgłych. Gdybym nie spojrzał na twarz Shue w czasie autopsji i nie zauważył wymalowanej na niej zimnej kalkulacji, sam mógłbym podryfować w stronę wątpliwości.

Raz za razem pani Heaster prosiła Prestona, by wezwał ją na świadka, ale za każdym

razem prokurator odrzucał jej prośby i widziałem, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu tak samo jak optymizm.

Wtedy wydarzyła się katastrofa.

Kiedy sędzia zapytał, czy pan Grimby chce powołać jeszcze jakichś świadków, ten odwrócił się w stronę ławy oskarżenia i z najbardziej złośliwym uśmiechem, jaki kiedykolwiek widziałem, oznajmił: - Powołuję na świadka panią Mary Jane Robinson Heaster.

Cała sala pogrążyła się w ciszy. Preston zamknął oczy, sprawiając wrażenie chorego i pokonanego. Powiedział cicho: - Dobry Boże, już po nas.

Odwróciłem się w stronę Holmesa, ale mój przyjaciel nie przejawiał żadnych oznak niepokoju. Zamiast tego przybrał „twarz pokerzysty”, jak mawiają Amerykanie - nie wyrażał żadnych emocji, choćby sugestii tego, co działo się w jego umyśle w czasie takiej katastrofy.

- Pani Heaster? - ponaglił ją woźny, wyciągając do niej rękę.

Dobra kobieta wstała z wielką godnością, choć dostrzec mogłem jej zaciśnięte, drżące ze strachu dłonie. Oto odmówiono jej szansy na złożenie zeznań obciążających nikczemnika tylko po to, by teraz stała się narzędziem w rękach jego adwokata! Było to niesłychanie okrutne.

- Holmes - wyszeptalem. - Zrób coś!

Bardzo spokojnie odpowiedział — Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, Watsonie. Musimy zawierzyć duchowi sprawiedliwości.

Pani Heaster złożyła przysięgę i usiadła przy pulpicie dla świadków, a Grimby natychmiast zjawił się przy niej, rezygnując z uprzejmości na korzyść szybkiej egzekucji. - Proszę mi powiedzieć, czy wierzy pani, że Trout Shue miał coś wspólnego ze śmiercią pani córki?

- Tak, proszę pana - odpowiedziała cicho.

- Czy była pani świadkiem jej śmierci?

- Nie, proszę pana.

- Czy rozmawiała pani z kimś, kto był świadkiem jej śmierci?

- Nie, proszę pana.

- A więc nie ma pani żadnej wiedzy na temat okoliczności śmierci pańskiej córki? Zawahała się.

- Śmiało, pani Heaster, to proste pytanie. Posiada pani jakąś wiedzę na temat okoliczności śmierci córki?

- Tak - powiedziała wolno. - Posiadam.

W oczach Grimby'ego zapłonęły iskry i musiał pozbyć się uśmiechu z twarzy. - A jak zdobyła pani swoją wiedzę?

- Przekazano mi ją.

- Kto ją pani przekazał, proszę pani? - Jego głos ociekał protekcjonalnością.

- Moja córka.

Grimby uśmiechał się teraz otwarcie. - Pani... zmarła córka?

- Zgadza się.

- Mamy rozumieć, że pani zmarła córka w jakiś sposób przekazała pani te informacje?

- Tak, córka powiedziała mi, jak umarła.

Przysięgli wciągnęli głośno powietrze. Preston mógł wnieść sprzeciw, ale stracił nerwy, najwyraźniej nie wierząc już w powodzenie sprawy.

- Proszę powiedzieć mi, w jaki sposób?

Pani Heaster uniosła wzrok, żeby spojrzeć Grimbyemu w oczy - Jej duch odwiedził mnie we śnie, proszę pana.

- Jej duch? - zawołał Grimby. - We śnie?

Przez publiczność przetoczyła się fala śmiechu, a nawet wśród ławy przysięgłych pojawiło się kilka uśmiechów. Preston zacisnęła pięści tak mocno, że z jego knykci odpłynęła

cała krew; po drugiej stronie Holmes siedział spokojny, skupiony na twarzy pani Heaster.

Grimby już otwierał usta, żeby powiedzieć coś do sędziego, ale pani Heaster mu na to nie pozwoliła. - Może się pan śmiać, ile zechce. Wszyscy możecie się śmiać, bo może dla was to jest zabawne. Młoda kobieta umiera gwałtowną śmiercią, życie w niej zdławiono, każda kość jej karku została zgnieciona przez palce silnego mężczyzny. Może dla niektórych to powód do radości. - Cały śmiech na sali zamarł. - Moja córka była dobrą dziewczyną, którą życie mocno doświadczyło. Tak, popełniła błędy. Pan Grimby był na tyle uprzejmy, by szczegółowo omówić każdy z nich. Tak, miała nieślubne dziecko, a przecież wszyscy wiemy, że to rzecz niesłychana, takie coś się wprost nie zdarza.

Jej gorycz unosiła się w powietrzu niczym smuga dymu.

- Pan Grimby doskonale wykonał swoją pracę i zniszczył dobre imię mojej córki, tym samym podważając każdy dowód. Być może większość z was już podjęła decyzję i planuje uniewinnić Trouta Shue. - Zawahała się na moment i spojrzała na Holmesa. Czyżbym zauważył nieznaczny ruch jego głowy? - Prawo zabrania mi powiedzieć to, czego dowiedziałam się o życiu pana Shue i jego czynach przed przyjazdem do Greebriar. Dlatego nie będę o nim mówić. Pan Grimby zapytał mnie, jak poznałam szczegóły śmierci mojej córki, więc opowiem wam. Opowiem wam jak moja droga Zona przychodziła do mnie przez cztery kolejne noce. Jako duch nawiedzała mój pokój i stawała przy łóżku. Jak zrobiłoby to złęknione dziecko, kierujące swe kroki ku jedynej osobie, która kochać je będzie zawsze i bezwarunkowo. Przez cztery noce odwiedzała mnie i przywodziła ze sobą grobowy chłód. Powietrze wokół niej zdawało się zamarzać, a każdy mój przestraszony oddech zostawiał swój ślad, bowiem, owszem, bałam się. Przeraziłam się bałam. Nie jestem przesadną kobietą. Nie pukam w niemalowane drewno i nie sypię soli przez ramię. Jestem kobietą z gór, z hrabstwa Greenbriar. Pracuję na farmie i mam praktyczny umysł. A jednak leżałam wtedy w łóżku, patrząc na cień mojej zmarłej córki i drżałam z raptownego zimna.

Kiedy przemawiała, na sali było cicho jak na pogrzebie.

- Każdej nocy budziła mnie, by opowiedzieć, raz za razem, jak umarła. I jak żyła. Ile wycierpiała w ciągu kilku miesięcy małżeństwa z Edwardem Troutem Shue. Opowiedziała mi o ich niekończących się kłótniach o najdrobniejsze rzeczy. O jego nedorzeczej zazdrości, gdy choćby uśmiechnęła się w odpowiedzi na ukłon jakiegoś dzentelmena. O wszystkich ciosach, które tak sprytnie wymierzał, by nie zostawiać żadnych wystających spod kołnierza lub długich rękawów śladów. Moja córka żyła w piekle. Nieustanny strach, nieustanne przerażenie, że mogłaby urazić tego odrażającego człowieka. A potem opowiedziała mi, co się wydarzyło tamtego koszmarnego dnia. Trout Shue wrócił z kuźni, spodziewając się obiadu, a kiedy odkrył, że żona go nie przygotowała - chociaż przyszedł dwie godziny wcześniej niż zazwyczaj — rozłościł się i złapał ją za gardło. Jego oczy płonęły jakby był potworem, a ręce, jak mówiła, twarde były i niewzruszone niczym żelazo, nad którym codziennie pracuje. Nie tylko udusił moją córkę, ale roztrzaskał jej gardło. Kiedy odważyłam się odezwać, kiedy odważyłam się poprosić ją, by pokazała mi, co uczyniły jego ręce, Zona przechyliła głowę na bok. Na początku myślałam, że odwraca się do tyłu ze wstydu i z powodu okropieństwa, które się wydarzyło... ale kiedy przekręciła głowę, ta odchyliła się w lewo... zbyt daleko. Usłyszałam zgrzyt kości i Zona odkręciła głowę o sto osiemdziesiąt stopni. Jeśli istnieje coś gorszego, bardziej nienaturalnego, bardziej bolesnego dla ludzkiego serca, a już w szczególności serca pogrążonej w żałobie matki, to nie chcę wiedzieć, co by to mogło być.

Przerwała. Jej oczy skrzyły się od łez, ale w głosie ani na moment nie było słyhać hysterii, ani nawet wyższego niż normalny tonu. Dzięki temu jej słowa wywarły o tysiącokrotnie większe wrażenie. Perorowanie od razu zdyskwalifikowałoby ją, jako oszalałą z rozpacz albo szaloną, ale teraz wszyscy w sali sądowej chłonęli każde jej słowo. Nawet Grimby sprawiał takie wrażenie. Zaryzykowałam spojrzenie na Shue, który wyglądał - po raz

pierwszy - niepewnie.

- Krzyknęłam - powiedziała pani Heaster. - Oczywiście, że tak. Któż by nie krzyknął? Całe moje życie nie było w stanie przygotować mnie na taki potworny widok. Po pierwszej nocy udało mi się siebie samą przekonać, że to tylko histeryczny sen, a fantomy nie istnieją i moja Zona nie może mnie nawiedzać. Ale ona powróciła następnej nocy. Jeszcze raz błagała mnie, bym wysłuchała prawdy i jeszcze raz opowiedziała mi o straszliwej napaści. Bogu dziękować tylko mogę, że nie musiałam już oglądać demonstracji obrażeń, jakie zadano tej biednej, umiłowanej szyi. — Ucichła na chwilę i posłała przysięgłym smutny uśmiech. - Błagałam pana Prestona, by pozwolił mi opowiedzieć to w sądzie, ale on odmówił. Najwyraźniej obawiał się, że będę obiektem żartów. Jestem przekonana, że pan Grimby z tego właśnie powodu wezwał mnie na świadka. A jednak nie słyszę śmiechu, nie widzę uradowanych twarzy. Być może wy, tak jak ja, nie uważacie straszliwej, bolesnej śmierci młodej dziewczyny za powód do wesołości. W każdym razie skończyłam już swoją opowieść, za co dziękuję panu Grimby'emu i sądowi. Przynajmniej teraz, jakkolwiek zapadnie wyrok, moja córka została wysłuchana. Będzie mi to musiało wystarczyć.

Spojrzała na Grimby ego, który z kolei przeniósł wzrok na przysięgłych. Zobaczył to, co i ja widziałem: dwanaście twarzy z oczami pełnymi łez, ale których usta zaciśnięte były w gorzkie kreski, a wypchnięte do przodu szczęki wyrażały niemą wściekłość.

I wtedy ciszę przerwał sam Shue, który podniósł się i zawołał: - Opowiadaj ile chcesz bajek, kobieto, ale nigdy nie zdołasz udowodnić, że to ja to zrobiłem!

Strażnicy nakazali mu usiąść, a Holmes nachylił się do mnie i Prestona. - Czyż nie uważają panowie, że interesująco dobrał słowa, mówiąc o „udowadnianiu” jego winy? Brzmi to jak apel niewinnego człowieka czy wyznanie winnego? - I chociaż powiedział to cicho, nadał głosowi tak wysoki ton, że słyszeli go wszyscy znajdujący się w tamtym małym, zatłoczonym pomieszczeniu.

9-

Sprawa z Greenbriar miała się ku końcowi i wkrótce razem z Holmesem opuściliśmy Zachodnią Wirginię. Erasmus Stribbling Trout Shue został uznany za winnego po zaskakująco krótkich obradach przysięgłych. Sędzia, z wściekłością i odrazą w oczach, skazał Shue na dożywocie w Więzieniu Stanowym w Moundsville, gdzie ten zmarł jakieś trzy lata później na chorobę, której nigdy do końca nie zdiagnozowano. Pan Preston wysłał Holmesowi gazetę z Lewisburga, gdzie krótko po śmierci Shue dziennikarz relacjonował plotkę, jakoby więzień narzekał na nocne wizyty ducha, przez które nie mógł spać. Jego stan pogarszał się, a kiedy zmarł, pochowano go w nieoznakowanym grobie. Nikt, kogo znałem, nie pojawił się na pogrzebie ani nie obchodził po nim żałoby.

Zanim jednak opuściliśmy z Holmesem Lewisburg, przy późnym obiedzie w hotelu powiedziałem: - Jedna kwestia mnie nurtuje, Holmes.

- Tylko jedna? Jakaż to?

- Skąd Grimby wiedział, by zapytać panią Heaster o jej opowieść? O ile dobrze pamiętam, nikt o niej nie wiedział, a zwłaszcza w Lewisburgu. A już na pewno ani ona, ani pan Preston nie podzielili się tą informacją.

Holmes wziął kęs pieczonej kaczki i popił go winem, a potem odpowiedział. - Czy to ważne, skąd wiedział? Może sam dowiedział się tego od ducha, który odwiedził go we śnie.

Otworzyłem usta, by coś odrzec, że w istocie jest to ważne, ale wtedy nagle zdałem sobie z czegoś sprawę. Wpatrywałem się oskarżycielsko w Holmesa i rzuciłem sztucę na talerz.

- Jeśli ktoś ze świata materialnego go uprzedził, zrobił coś karygodnego! Ryzyko było ogromne. Co, jeśli straciłaby nad sobą kontrolę?

- Nawet raz nie straciła jej przy nas — zauważył spokojnie. - Wręcz przeciwnie.

- A co, jeśli przysięgli by jej nie uwierzyli? Co jeśli Grimby'emu udałoby się lepiej ją poprowadzić? Co jeśli..

Holmes wszedł mi w słowo. - Co jeśli raz na jakiś czas, Watson, sprawiedliwość byłaby ważniejsza na sali sądowej od samego prawa? - Wziął mały łyk wina.

Raz jeszcze otworzyłem usta, żeby zaprotestować, ale wtedy przez pokój jakby przepłynęło zimne powietrze, sprawiając, że zasłony zafalowały, a płomienie świec zamigotały. W tej samej sekundzie opuściło mnie całe moje oburzenie i gniew. Holmes odciął kolejny kawałek kaczki i zjadł go, a w jego oczach zaświeciły dziwne ogniki. Podążyłem za jego wzrokiem i zauważyłem, że patrzy na zasłony, które wracały do swojego normalnego położenia. A wtedy chłodna bryza dotknęła mojej piersi niczym zimna dłoń zmarłego dziecka. Chociaż dzień należał do ciepłych, w nocy było chłodno, a pokojówka zamknęła okno, by nie wiało zimne powietrze. Zasłony wisiały teraz jakby nigdy się nie poruszyły, bo w istocie nie mogły.

Kiedy odwróciłem się z powrotem do Holmesa, patrzył na mnie z lekkim uśmiechem.

Czy to podmuch wiatru zdołał przedrzeć się przez szparę w ramie okiennej albo może niewidzialne pęknięcie w ścianie? A może czyjeś nieme usta wyszeptały Holmesowi podziękowanie w języku zaświatów? Nie powiem ani nie napiszę o tym nawet słowa.

Resztę dnia spędziliśmy w milczeniu, a na drugi dzień rano popłynęliśmy do Anglii, zostawiając Greenbriar i duchy Zachodniej Wirginii daleko za sobą.

Przetłumaczyła Agnieszka Brodzik

Magdalena M. Kałużyńska (ur.1972) - z wykształcenia jest specjalistą ds. reklamy i marketingu. Powieściowo debiutowała w 2010 roku książką Ymar („horror roku 20x0 w kategorii książka polska” - tytuł nadany przez czytelników „Grabarza Polskiego”, „najlepsza książka na lato 2011” w kategorii thriller/kryminał/sensaga w plebiscycie organizowanym przez wortal literacki Granice.pl. Swoje opowiadania publikowała min w „Fahrenheitie”, „SFFiH” i „Qfant”. Obecnie pracuje nad powieścią pt. Aluethor. Oprócz literatury grozy uwielbia psy, tatuaże, samochody, motocykle cruisery, muzykę zespołu Dead Can Dance, kulturę Wikingów, Celtów, mitologię Słowian, kolor krwistoczerwony, broń białą, rekiny oraz wszelakiej maści potwory. Niosący światło to najnowsze opowiadanie autorki.

Magdalena Maria Kałużyńska

Niosący Światło

Uważaj, o czym marzysz, bo może się to spełnić...

Anonim

Wzywam Tego, który Panem jest moim!

„Inwokacja” (fragment) Zapis w Księdze Zgromadzenia

Spytał gdzie idzie.

- Przypudrować nos — odparła — zaraz wracam.

Powiódł za nią wzrokiem, patrzył jak znika mu z pola widzenia. Odczekał chwilę.

Upewniwszy się, że nie wraca, przysunął szklankę z jej niedopitym drinkiem. Ukradkiem wrzucił tam malutką, podłużną tabletkę, która w zetknięciu z płynem prawie natychmiast rozpadła się w drgającą plamę białego osadu. Kilka energicznych ruchów mieszadełka rozpuściło mgiełkę, przywracając klarowność drinka.

Pub tętnił późno wieczornym piątkowym życiem. Początek weekendu oznaczał również początek hucznych zabaw. W lokalu było głośno, tłoczno i mimo włączonych nawiewów

z klimatyzatorów, dusznawo. Dźwięczało szkło, niektórzy ludzie nawet śpiewali, przekrzykując i tak donośną muzykę dobiegającą z wiszących przy suficie głośników. Gdzieś nad stolikami unosiły się kłęby papierosowego dymu.

Będąc w łazience zamknęła drzwi, przekręciła klucz w zamku nacisnęła klamkę kilka razy, zajrzała do każdej kabiny i upewniwszy się, że jest sama, stanęła przy jednej z umywalk.

- A mama mówiła, żeby nie zostawiać samopas niedopitych drinków. Teraz ten... mój towarzysz... wrzuca tam tabletkę - szeptała, wyjmując z torebki małe, złote, płaskie puzderko, wyglądające niczym puderniczka, podłużne etui podobne do utwardzonego etui na okulary, książeczkę wyglądającą zupełnie jak książeczka do nabożeństwa, malutką, plastikową kosmetyczną szpatułkę. Położyła to wszystko na blacie okalającym umywalkę, spojrzała w lustro. Za sobą miała pustą ścianę. Bez żadnych półek, szafek i drzwi od kabiny, bez okna. Rozległo się kilka dudniących uderzeń. Ktoś się dobijał do łazienki. Musiała jakoś załagodzić sytuację. Zyskać trochę czasu. Przekrzykując muzykę, a raczej drąc się na całe gardło, przeprosiła za niedogodności. Krzyczała, że wypadły jej szkła kontaktowe, tu, gdzieś na podłodze. Zamknęła drzwi, bo podłoga biała, szkła przezroczyste, jeszcze by ktoś zdeptał...

Głos po drugiej stronie drzwi odchrząknął, żeby się nie śpieszyła. Pewnie gdzieś w pubie jest jakaś druga łazienka, może na piętrze. Bardzo dziękuję. Nie ma za co. Nie ma za co... Z całej siły kilkakrotnie uderzyła pięścią w wiszący na ścianie podajnik z papierowymi ręcznikami. Zamek w końcu odskoczył. Wyjęła wszystkie ręczniki i ułożyła je na podłodze, kilka kroków od umywalki.

Otworzyła książeczkę na stronie zaznaczonej czerwoną aksamitną zakładką. Uchyliła wieko puzderka. Końcówką szpatułki nabrała trochę znajdującej się w środku sypkiej, jasnoniebieskiej, błyszczącej substancji. Przyłożyła plastik do lewej dziurki nosa, przycisnęła prawą dziurkę palcem i wciągając powietrze, wciągnęła również proszek. Powtórzyła czynność, przykładając końcówkę szpatułki do prawej dziurki. Odchyliła głowę, żeby substancja mogła swobodnie spłynąć ze śluzem do gardła. Udsnęła nos obustronne kilka razy, kilka razy mocno wciągnęła powietrze, przełknęła ślinę.

Poszło.

Zdjęła buty, bluzkę i biustonosz. Z etui wyjęła szklaną dziesięciomililitrową strzykawkę, napełnioną do połowy czarnym, połyskującym płynem. Nałożyła jednorazową igłę na końcówkę strzykawki, puknęła palcem w szklaną ściankę, lekko docisnęła tłok, żeby wypuścić pęcherzyki powietrza. Odliczyła od trzech do jednego i wbiła prawie całą igłę w lewą pierś, powoli wstrzykując oleistą substancję. Czerń zniknęła z tuby strzykawki milimetr po milimetrze, w takim samym tempie wlewając w pierś niewyobrażalny ból. Jakby strzykawka napełniona była kwasem. Jednak zamiast krzyknąć, jęknąć, przerwać iniekcję, czy chociażby syknąć - kobieta milczała. Tylko lekko drżały jej usta. Kiedy skończyła ostrożnie wyjęła igłę z dała, zdjęła ze strzykawki, nałożyła plastikową osłonkę. Schowała strzykawkę do etui, etui do torebki. Schowała również puzderko i szpatułkę. Posprzątała po sobie. Sprawdziła jeszcze, czy nie zostawiła jakiś śladów, czarnych kropel albo śladów proszku. Oparła dłonie o chłodny blat. Czowała mdłości, zawroty głowy, mrowienie ust. Przynęła otwartą książeczkę. Zaczęła czytać na głos.

- Jedyne go wzywam. Wzywam oświeconego. Wzywam tego, który nic i wszystko stanowi. Który całość i pustkę tworzy. Tego, który początek i koniec czyni. Który życie i śmierć uwalnia. Wzywam tego, który odpowiedź i pytanie płodzi. Tego, który kłamstwem i prawdą rządzi — zawroty głowy stawały się coraz dokuczliwsze. Zamrugnęła kilka razy, próbując utrzymać uciekającą ostrość spojrzenia. Żeby nie upaść musiała się chwycić blatu. Bardzo mocno.

- Władcę świata wzywam. Tego, który tobą jest. Ciebie wzywam, który nim jesteś. Wzywam twoje i jego imiona wszystkie. Każde twoje i jego z osobna imię wzywam. Bez kres

wszechwiedzy, siły, potęgi i władzy — wypowiedanie słów zaczynało sprawiać jej trudność. Drętwiały usta, język.

- Wzywam tego, który nikim jest i każdym. Ciebie ja wzywam. .. żebyś sobą mnie... wypełnił!

Coś poczuła na ustach. Otarła je palcem. Dłoń zabrudziła krew ciekąca z nosa. Cofnęła się kilka kroków. Stała na rozłożonych papierowych ręcznikach, rozstawiła nogi, uniosła wyprostowane ręce, mocno pochyliła głowę, dotknęła brodą dała. Zamknęła oczy. Do drzwi łazienki dobijało się już kilka innych osób. Grupka dziewczyn. Te nie były takie cierpliwe, jak poprzednia odprawiona spod drzwi z kwitkiem. Wydierały się na całe gardło. Żeby jakaś głupia napita cipa nie wygłupiała się, bo wezwą ochronę albo nawet policję!

Wrzeszczały.

- Wyjdz stamtąd, krowo!

Waliły pięściami, nawet chyba kopały w drzwi. Chciały do kibla. Miała otworzyć, natychmiast!

Nie słuchała tych krzyków. Stała z uniesionymi rękami. Wzywam niosącego światło! Krocząc na jego drodze jedynej i słusznej | spokojnie recytowała w myślach.

Wzywam tego, który doda siłę, zabierze serce, rozgoni myśli, spali wspomnienia, zabije sumienie.

Okna w łazience były zamknięte. Klimatyzator działał, ale powietrze w pomieszczeniu stało. Mimo tego, długie włosy kobiety zafalowały, zupełnie jakby poruszone silnym podmuchem wiatru bądź przeciągiem. Zaraz potem wszystkie drzwi od toaletowych kabin jednocześnie otworzyły się i zamknęły ze zwiłokrotnionym trzaskiem.

Wzywam tego, który sprawi, że na krzyki ogłuchnę, na pokusy oślepnę i słabości odepchnę!

Krew z nosa wypływała coraz bardziej, ściekała między piersiami, wsiąkała w materiał spódnicy, pojedyncze krople skapywały na papierowe ręczniki. Kobieta stanęła na palcach. Po chwili jej stopy oderwały się od podłogi. Zaczęła lewitować.

Wzywam jedyne go obrońcę!

Wisiała na wysokości kilkunastu centymetrów około minuty. W ciszy. Nagle ucichły wrzaski dobijających się do łazienki pijanych kobiet. Wszystko zamarło, powietrze zastygło. Ale włosy kobiety nie przestały się poruszać.

Wzywam tego, który panem jest moim!

Szarpnęło ją na boki. Niczym szmacianą lalką. Ogromną szmacianą lalką potrząsaną przez rozzłoszczonego dzieciaka. Potem jej dałem rzuciło do tyłu. Przeleciała w powietrzu odległość dzielącą ją od umywalki do ściany, z głuchym tąpnięciem grzmotnęła plecami oraz tyłem głowy o mur i bezwładnie osunęła się na ziemię.

Przybywaj!

Kilka minut później, wychodząc z łazienki, nie była już tą samą osobą, która do tej łazienki wchodziła.

I pomóż mi, ojcze, proszę.

- Co ona tam robi? - Marszczył czoło, bębnił palcami o blat zaciskał usta, rozglądał się. - Cholera, co ona tam robi?

Żadna jego poprzednia towarzysza nie siedziała w toalecie tyle czasu! Dziwne? Dziwne. Iść do tej toalety, nie iść do tej toalety?! Tylko po co miałbym tam iść? Co jej powiem? Będę stał pod drzwiami jak dureń, gadał jakieś głupoty! Po co?! - denerwował się.

- Czekaj!

Uciekła! Na pewno uciekła! Wyszła tylnymi drzwiami albo oknem w kiblu!

- Wystawiła mnie — szepnął. - Pierwszy raz jakaś mnie wystawiła...

- Zawsze musi być ten pierwszy raz.

- Nie teraz! Nie dzisiaj!

- W takim razie czekaj spokojnie!

Już miał zamiar wstać, kiedy ją zobaczył. Podeszła do stolika, bez słowa sięgnęła po reszkę swojego drinka. Wypiła duszkiem.

- Jedziemy do mnie, czy do ciebie? — Odstawiła szklankę.

- Zaczynj mnie w końcu słuchać!

Był zaskoczony. Z tego wszystkiego zapomniał, co chciał powiedzieć. Patrzył się na kobietę. Stała bardzo blisko. Na tyle blisko, że od razu coś zauważył. Zmieniony kolor jej oczu.

Wcześniej, jeszcze zanim poszła do toalety, miała niebieskie.

- Świece na stołach, przygaszone światło w pubie. Trudno w takich warunkach dostrzec tego rodzaju szczegóły.

Mimo tego widział dokładnie. Miała oczy bardzo ciemne, prawie czarne. Poczł lekkie ukłucie niepokoju. Może zdjęła soczewki?

- To jest jakieś wytłumaczenie. Niektóre korekcyjne soczewki kontaktowe zmieniają barwę tęczówek.

Spytać się jej? Nie, nie. Nie chciał wyjść na durnia. O co niby miał spytać. O to, czy nosiła kolorowe soczewki kontaktowe? Może miał jeszcze spytać, czy aby na pewno wydepilowała nogi, pachy oraz miejsca intymne. Ma rozszerzone źrenice ponieważ wypila doprawiony alkohol i podskoczyło jej ciśnienie. Stąd ten kolor oczu - tłumaczył w myślach.

Potem jakiś inny impuls przeleciał mu przez głowę. Może mimo wsaystko odwołać całą zabawę? Powiedzieć jakąś naprędcie skleconą wymówkę, zostawić ją i wyjść. Wrócić do domu samotnie, mieć spokój. Najzwyczajniejszy, ludzki spokój. Ona miała w sobie coś do tego stopnia podniecającego... powodowała w nim emocje, jakich nigdy nie wywołała nawet w najmniejszym procencie żadna inna kobieta. Rozchylała usta, oddech jej przyśpieszył. Widział, że była rozpalona i chętna. Dlaczego w ogóle coś takiego przyszło mu do głowy, żeby zmieniać szczegółowo dopracowany plan. Dlaczego w ogóle przyszło mu do głowy, żeby... stchórzyć. Nie umiał znaleźć innego słowa. Nie usłyszał odpowiedzi na swoje gorączkowe wątpliwości.

- Chcesz ją?

Chciał. Oczywiście, że chciał. Wcale tego nie ukrywał.

- Ona wie, że ją chcesz.

Zresztą, odkąd zaczęli ze sobą rozmawiać była bardzo bezpośrednia. Również nie ukrywała na co ma ochotę, że przyszła do tego pubu tę ochotę zaspokoić. Na początku się zdziwił. Pierwszy raz w życiu stwierdzenie o podrywie na jedną noc usłyszał od kobiety. Powiedziała mu również, że owszem, rozważała możliwość skorzystania z agencji towarzyskiej dla kobiet. Żeby kupić sobie chłopaka na piętnaście minut. Albo kupić sobie chłopaka, co piętnaście minut i korzystać z silnych, młodych, namiętnych ciał, aż do totalnego zaspokojenia. Przez całą noc. Piękna wizja, prawda? Tak, kosztowałoby ją to dużo pieniędzy i pewnie byłoby warto. Ale nie o to jej chodziło. Nie chodziło o seks za pieniądze. Chociaż za pieniądze w dzisiejszym świecie można wszystko.

Podobała mu się jej rozbijająca szczerść.

- Seks za pieniądze jest ostatecznością. Miła, profesjonalny ale ostatecznością... — wrzuciła ramionami, odrzuciła włosy, rozglądając się po sali.

- Zupełnie jak w burdelu. Przychodzisz, wybierasz^ ponosisz koszty, konsumujesz. W międzyczasie albo odgrywasz przedstawienie, albo udajesz, że nie odgrywasz.

Odgrywał. Grał niezłym zawodowy aktor. I kłamał jak z nut.

- Tylko, że ty już masz dosyć udawania.

Miał dosyć udawania. Chciał... marzył, żeby podejść do jakiejś kobiety i bez żadnych wstępnych tekstów, zbędnych ceregieli, tej całej skomplikowanej gry w niby zawoalowane uwodzenie, zaproponować jej swoją zabawę. Bez pytań, odpowiedzi, tłumaczenia się. Dostał gęziej skórki na samo wyobrażenie.

- Tego, czego ty chcesz od tej kobiety żaden normalny człowiek nie robi. Ale nie martw się tym teraz.

Ta kobieta kusiła go w niespotykany wcześniej sposób.

- Spokojnie. Nie czyta w myślach. Jest zachwycająca, bardzo odważna i piekielnie inteligentna. ..ale w myślach nie czyta.

Piekielnie inteligentna. To było bardziej niż trafne określenie. On lubił takie kobiety. Właśnie takie i tylko takie stanowiły dla niego wyzwanie. Tylko wyzwanie stanowiło dla niego jakiś cel. Dzisiaj osiągnął cel. Kilka lat nauki, poszukiwań, podnoszenia poprzeczki, przestrzegania zasad i ostrej selekcji przyniosły efekt.

Podobasz się jej. To przecież widać. Pamiętaj, że jesteś bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Działasz na płęć piękną.

Działał na kobiety. Reagowały na niego. Wszystkie. Młode, stare, ładne, brzydkie, mężatki, wdowy. Leciły na niego niczym pszczoły do miodu.

- Bo zwracasz uwagę na ich... wnętrze.

Zwracał. Wnętrze kobiet to było coś, co go podniecało najbardziej. To było coś, co chciał poznać, poczuć...

- Każda kobieta marzy o facecie, który dostrzeże coś więcej niż walory cielesne, coś więcej niż tylko gładką i pachnącą, seksowną powierzchowność.

Marzenia... niektóre się spełniają, niestety.

- Kupujesz wino ze względu na wygląd butelki? Przecież jesteś koneserem zawartości, smaku... nie zbierasz nalepek.

Ale to nie znaczyło, że nie był wybredny co do wyglądu, czy też, że nie był wymagający. Nie brał byle kogo. Z prawie masochistycznym zadowoleniem przebierał w lgnących do niego kobietach jak w ulęgalkach. Miał swoje zasady, których rygorystycznie przestrzegał. Nie podrywał nastolatek albo kobiet wyglądających za młodo. Poza tym dowód osobisty można było z łatwością podrobić lub pożyczyć od starszej koleżanki, upodobnić się do wizerunku ze zdjęcia.

- Chyba nie chcesz, żeby przyłgnęła do ciebie łotka frajera albo pedofila. Hit wiadomo, który określnik gorszy. Wiadomo, nie chciał wpadki. Był ostrożny. Może niekiedy nawet za bardzo., ale ostrożności nigdy za wiele. Żadnych frustratek ani od dawna samotnych, spragnionych byle jakiego mężczyzny. Niekiedy nawet zdawkowa wymiana zdań pozwalała mu się, zorientować, czy miał do czynienia z tego rodzaju kobietą.

- Patrz na mowę ciała. Pamiętaj, że ciało nie kłamie. Nigdy.

Czytał z mowy ciała więcej niż ze słów. A jeżeli już rozmawiał...

- Jeżeli już rozmawiasz, to i słuchasz. Umiesz słuchać kobiet.

Dlatego często, niestety, potwierdzała się zasada, że piękno niekoniecznie idzie w parze z inteligencją. Dlatego nie podchodził do kobiet wyglądających jak porcelanowe lalki, z plastikową filmową urodą. Tak, były nad wyraz piękne, zadbane, wyglądały jak wycięte z żurnala. Tylko on już znudził się pustą rozmową z takimi kobietami, a raczej znudził się pustym tych lalek monologiem.

- Dlaczego niestety ? Przecież mężczyzna, który umie słuchać kobiet jest rzadkością w dzisiejszych czasach.

Nie oznaczało to jednak, że zwracał uwagę na kobiety nie- zadbane bądź nieatrakcyjne, czy kolokwialnie mówiąc - brzydkie. Ostatnimi czasy ciągnęło go jednak do kobiet dojrzałych, których twarz nosiła ślady upływającego czasu, czy targających emocji, a dało...

- Zostaw na deser.

Teraz stała przed nim taka kobieta. Dojrzała, dorodna.

- Ideałów nie' ma. Mówiłeś, że tego rodzaju istoty nie chodzą po ziemi. Jak widzisz, ona istnieje.

Tak. Uważał, że ideałów nie ma. Myślał tak jeszcze zanim wszedł do tego pubu. Potem

zobaczył tę kobietę. Siedziała na stołku przy barze. Przydała się jego wzrok niczym olbrzymi magnes przyciąga opilek metalu. I od razu mu się spodobała. Od razu do niej podszedł. Bez dłuższej obserwacji, bez czekania na jej ruch.

- Instynktownie ją znalazłeś.

Jeszcze do końca nie wierzył, że ją znalazł.

- To uwierz. Jest twoja.

Była posągowa, raczej przystojna niż klasycznie piękna, smukła, ale sporo od niego niższa. „To dobrze” - ucieszył się w myślach.

- To nawet lepiej, że jest od ciebie niższa. Nie będziesz musiał używać drabiny.

Biała koszula opinała jej bardzo duże piersi, wąska spódnica podkreślała talię, wybujałość bioder, uda. Na wyobrażenie dalszego ciągu wieczora i następnie nocy cieszył się zupełnie jak prawiczek stojący u progu spełnienia obietnicy rozkoszy, którą będzie wspominał do końca życia. To było ziszczenie marzenia. Skrywanego najgłębiej, najbardziej hołubionego. Marzenia idealnego. I kiedy spytała, czy jechać do niej, czy do niego, od razu i zdecydowanie odpowiedział.

- Jedziemy do mnie. - A gdzieżby indziej. Pojadą do niego. Poza tym wszystko już skrupulatnie przygotował. Dopiął na ostatni guzik. Wystrój, dodatki... „Dla ciebie, moja piękna — myślał, całując jej dłoń. - Wszystko dla ciebie”.

- Dla ciebie.

Noc zapadła błyskawicznie. Mimo ograniczeń prędkości w mieście, jechał samochodem bardzo szybko. Włączył radio i wybrał stację nadającą spokojną muzykę. Monotonną pościelową. Melodia leniwie sączyła się z głośników. On jako kierowca w ogóle nie słuchał tego rodzaju muzyki. To było specjalnie dla nich. Dla jego pasażerek. Tej nocy muzyka z samochodowych głośników leciała specjalnie dla niej... Zerknął na siedzącą obok kobietę i stwierdził, że w tym przypadku wcale nie musiał stosować tego rodzaju dodatkowych usypiaczy. Teraz mogła nawet wybuchnąć bomba. Widział, że pasażerka przegrywa walkę z sennością, z trudem utrzymuje otwarte oczy, coś mamrocze, ciężko zwiesza głowę. Idealnie zasypiał. Nawet jeżeli wcześniej był jakiś cień wątpliwości, czy aby cały misterny plan wypali, widząc zachowanie kobiety mężczyzna już tego rodzaju wątpliwości nie miał. Żadnych wątpliwości nie miał. Cieszył go fakt, że bardzo szybko zareagowała na słodkie чудо. Owo słodkie чудо robiło swoje. Tak nazywał pigułkę gwałtu. Oczywiście, proszek nie był w ogóle słodki w smaku. Za to miął cudotwórcze właściwości. Mężczyzna doskonale znał działanie otepiającego specyfiku, ponieważ już nie pierwszy raz z niego korzystał.

- Bo nikt... bo żadna mu się nie oprze.

No chyba, żeby tam w barze jednak nie wypila swojego zaprawionego pigułką drinka. Wtedy trzeba by było podjąć innego rodzaju działania.

- Ale przecież wypila, nic nie podejrzewając. Wypita duszkiem. Dziwne, że dała się nabrać.

Szczególnie dziwne, że gazety i telewizja co chwila informowały społeczeństwo o niebezpieczeństwie płynącym z coraz bardziej popularnego niechlubnego procederu stosowania pigułek gwałtu. Mimo tego, liczba kobiet, które co rusz wypijały doprawiony napój, wzrastała.

- Ładnie powiedział jeden z dziennikarzy...

Nie pamiętał nic takiego.

- Otumaniający środek jest używany celem zacieśnienia więzów damsko-męskich, jednakowoż bez zgody płci pięknej.

Bez zgody? Raczej bez jej wiedzy, skoro była nieprzytomna.

-Iza to powinieneś jej podziękować.

Że jest nieprzytomna? Bzdura!

- Powiedz tak. Wiesz, piękna, trzeba było uważać, bo przecież lichy nie śpi.

- Przecież lichy nie śpi. Mimo wszystko nie należy ufać ludziom. Szczególnie nie należy ufać obcemu mężczyźnie poznanemu pół godziny wcześniej w pubie. Może być?
-Może być.

Czyli co, miała być piekielnie inteligentna, okazała się głupia? Albo naiwna... Bo chyba nie ślepo spragniona wrażeń. To by było zbyt proste.

- To jest prawdziwa kobieta, a takie kobiety są nieprzewidywalne.

Wciąż o nich za mało wiedział. Chciał wiedzieć więcej. Pragnął, żeby ta wiedza była dla niego błogosławieństwem. Cały czas coś mówił. Praktycznie o wszystkim. Paplał, co tylko ślina mu na język przyniosła. Na pewno nie mówił do niej. Przecież ona już od dawna i tak nic nie słyszała. Gadał do siebie, z nieukrywanego podniecenia. Cieszył się na samą myśl o tym, co miał już niedługo zrobić. Co sobie skrupulatnie zaplanował...

Jednak radość została nagle przerwana. Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Na poboczu stał samochód policyjny. Trzeba było zwolnić do przepisowej szybkości. Nic to nie dało... Funkcjonariusz wyszedł na jezdnię, machnął podświetlanym lizakiem, zatrzymując auto. Widząc zbliżającego się policjanta zacisnął dłonie na kierownicy tak mocno, że zbieleły mu kostki. Wbił paznokcie w plastik.

- A teraz niechaj twoim błogosławieństwem będzie kłamstwo.
- Prawo jazdy i dowód rejestracyjny poproszę.
- Co przeskrobałem? - podając dokumenty, próbował być zabawny
- Przekroczył pan dozwoloną prędkość.
- O ile kilometrów na godzinę ją przekroczyłem?
- Nie przesadzaj z poczuciem humoru.

- Dwukrotnie — policjant zajrzał do środka samochodu.

- Co z pasażerką?

- Jeżeli powiesz prawdę, będziesz musiał zabić tego człowieka. A zwykle, bezsensowne zabijanie nie leży przecież w twoich zamiarach.

Tak, miał wielką ochotę zabić. Takie było jego życzenie.

- Ochotę zaspokoisz. Ale pamiętaj, że zabijanie to wyrafinowana sztuka, twoja pasja i twórczość.

Ale nie tego policjanta.

- Poza tym w radiowozie jest jego kolega. Śledzi twój każdy ruch. A teraz powiedz, że dziewczyna śpi. Trochę za dużo wypila.

- Ona śpi. Trochę za dużo wypila.

Funkcjonariusz spojrzał mu prosto w oczy. Patrzyli na siebie długo w milczeniu. Kierowca tak mocno zagryzał zęby, że zaczynała boleć go szczęka. Funkcjonariuszowi kropla potu spłynęła po policzku.

- A pan? Pił... alkohol?

- Nabiera podejrzeń!

Głos policjanta drżał.

- Mów do niego! Tylko łagodnie...

- Nie, skądże. Naprawdę, nie piłem. Oczywiście, że nie piłem. Ja nigdy nie jeżdżę po alkoholu.

- To jest do sprawdzenia.

- O to chodzi! Mów do niego!

- A tak między nami... wie pan, to nawet lepiej, że moja narzeczona śpi.

- Narzeczona. Dobrze. Patrz się na niego, nie spuszczaaj wzroku. Tylko nie rób głupich min.

Funkcjonariusz ściągnął brwi.

- Daj mu pomyśleć... Wyglądacie na szczęśliwą parę. Całuski,

papuski, cukiereczki i ciasteczka. Śniadanie do łóżka, róża w "zębach, truskawki, szampan i

białe puchate szlafroki. Słodko, aż do wyrzygania. Różowy miłosny kicz zalewany różowym lukrem. Wyobraźnia mu działa. Dobrze, bardzo dobrze!

- Dlaczego lepiej, że pana narzeczona teraz śpi?
- Spytaj go, czy jest żonaty.
- Jest pan żonaty?

Funkcjonariusz kiwnął głową. Ale zrobił to bardzo niechętnie.

- Wie, jak to jest mieć kobietę na stałe... potrafi sobie wyobrazić. ... mów do niego!
- Znaczy, wie pan, jak to jest. Zna pan kobiety.
- Nie przesadzaj z poczuciem humoru! Nie przesadzaj również z podlizywaniem!
- Potrafi pan sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby teraz moja narzeczona nie spała.

Zaczęłyby się zrzęczenie. Wpadłaby w szal.

- Raczej tak...
- I wtedy nie mogliśmy spokojnie rozmawiać.
- Pana narzeczona słusznie by się zdenerwowała - policjant cały czas ściągał brwi, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał. Bardzo wolno, z widocznymi oporami, podał mężczyźnie alkomat. - Na jezdni nie należy szarżować, a przepisy ruchu drogowego są po to, żeby tych przepisów przestrzegać.
- Głos nie przestaje mu drżeć, zauważyłeś?

Zauważył.

- Mimo, że się siebie boi... to jesteście do siebie podobni. Obydwaj służycie.
- Proszę wdmuchać powietrze, tak długo, aż usłyszysz pan sygnał dźwiękowy.
- Z tym, że on służy utrzymaniu bezpieczeństwa na drogach, ty zaś służysz sztuce... Wyświetlacz urządzenia pokazało trzy zera. Nie było promili w organizmie mężczyzny. Kilka minut później odjechał z miejsca policyjnej kontroli. Dostał kilkusetzłotowy mandat za przekroczenie prędkości oraz punkty karne i ustnik od alkomatu na pamiątkę.

- Chyba na wieczną pamiątkę.

Spojrzał we wsteczne lusterko. Funkcjonariusz bardzo wolno zszedł z jezdni. Cały czas patrząc w kierunku odjeżdżającego samochodu. Mężczyzna przyśpieszył dopiero za zakrętem. Za drzewami. Nacisnął pedał gazu. Nieprawda. Depnął pedał gazu do dechy. Chciał jak najszybciej... Nie, on musiał jak najszybciej wydostać się z miasta i jak najszybciej znaleźć się w domu ze swoją idealną wybranką.

- Zapamiętał numery rejestracyjne tego samochodu. Poza tym, oni przecież wiedzą jak wyglądasz. Jesteś pewien?

Kiwnął głową.

- Teraz to tylko kwestia czasu. Tylko kwestia czasu... którego nie masz za dużo. Czas uciekał. Prawie tak samo szybko jak on.

Policjant wsiadł do samochodu. Zdjął czapkę, chusteczką otarł spocone czoło.

- Co się stało? - spytał kolega.
- Zadzwoń do wydziału zabójstw i powiedz, że właśnie wręczyłem mandat temu psychopatycznemu seryjnemu mordercy, który przerabia ludzi na te swoje... na te tak zwane dzieła sztuki nowoczesnej - funkcjonariusz był bardzo zdenerwowany. Drżał mu głos, dłonie, oddychał szybko. Słyszając te słowa drugi policjant najpierw zasłonił usta dłonią, następnie jego oczy zrobiły się okrągłe.

- I powiedz albo nie... albo ja to im powiem... że mam numery rejestracyjne wozu, którym odjechał.

Ogromny i zwalisty facet siedział na miejscu pasażera, cały czas patrząc przez lornetkę. Praktycznie nie odrywał urządzenia od oczu. Natomiast chudszy, a raczej o wiele szczuplejszy, a na pewno drobniejszy kolega tkwił za kierownicą, wpatrując się w ekran laptopa zamontowanego nad przekładnią skrzyni biegów.

- I jak?

- Nijak. Ale nie ma jeszcze dwudziestej drugiej.
 - Głodny jestem - mruknął olbrzym, majstrując przy pokrętle lornetki.
 - Przecież niedawno jadłeś.
 - Dwie godziny temu, to niedawno?
 - Raczej.
 - No to co, że jadłem. Jestem głodny!
 - Człowieku, jeżeli będziesz tyle żarł to niedługo nie zmieścisz się do służbowego samochodu.
 - Na mieście nie mówi się człowieku, tylko człeni, i zmienimy samochód na większy.
 - Gównu mnie obchodzi, jak się mówi na mieście! Samochód na większy? To chyba już tylko na ciężarówkę.
 - Na patrolowego tira. Jestem głodny!
 - Powtarzasz się.
 - Nie powtarzam!
 - W takim razie majaczysz.
 - Z głodu. Paradoks polega na tym, że stoimy pod całodobowym sklepem. Tam jest tona żarcia na samie i pięć tysięcy knajpek po drodze. Gdyby nie okoliczności, tu mógłby być dla nas raj.
 - Dla ciebie raj, ja głodny nie jestem. Nie mogę w takiej chwili myśleć o jedzeniu.
 - Ja mogę. To mnie uspokaja.
 - Co ty nie powiesz?! Uspokaja...
 - Żebyś wiedział.
 - Nie wiedziałem, ale już wiem! I jakie okoliczności? Człowieku, my jesteśmy w pracy! I nie możemy się ruszać z miejsca bez powodu! Musisz wytrzymać. Nie masz innego wyjścia,
 - Jak to ruszać się z miejsca bez powodu? Powód jest! Poważne zagrożenie życia funkcjonariusza! — zwalisty próbował żartować.
- Szczupły nie odpowiedział. Trzęsły mu się dłonie ze zdenerwowania. Westchnął ciężko.
- Nie, że od rany postrzałowej. Nie, że od ran odniesionych w starciu z psychopatą. Padł z głodu na służbie — zwalisty perorował. - Marnie to będzie wyglądało w moich aktach...
 - Kiedy już padniesz, nic nie będzie ciebie obchodziło. Nawet zawartość twoich akt. A jeżeli chodzi o marny wygląd, to mamie wyglądają twoje próby poetyckie. Majaczysz!
 - Mówiłem, że z głodu.
 - W schowku powinny być jakieś słodycze! — warknął kolega. - Batoniki, chyba.
- Do dupy. Słodycze są dla bab, pedałów i bachorów. Dobra, koniec żartów. Bo mi coś rozrzedzanie atmosfery nie wychodzi. Mimo wszystko, to miło z twojej strony, że próbowałeś.
- Obserwowali główne wejście do centrum handlowego, mieli również ogląd na część parkingu. Oprócz ich samochodu na terenie stało jeszcze siedem nieoznaczonych wozów policyjnych, po dwóch funkcjonariuszy w każdym. Dwudziestu nie umundurowanych policjantów, udając klientów, chodziło po centrum handlowym. Wszyscy byli w stanie najwyższej gotowości. Z rozpoczęciem oficjalnej obławy czekali tylko na sygnał z komendy głównej.
- A propos bachorów — już smutnym głosem powiedział zwalisty - przysłali coś?
 - Nadal nic - kolega zerknął na ekran laptopa.
 - Ja bym tego złamanego chuja teraz zgarnął i wtedy dopiero czekał. Razem z nim sobie bym czekał w celi. Oj czekałbym z nim, im dłużej tym lepiej.
 - Jeżeli nie będzie potwierdzenia? Pomyśl trochę. Facet trafi do celi, współwięźniowie go poszlachtują, że pedofil. Jeżeli to nie on? Nie wypłacimy się do końca życia z odszkodowania.
 - Żartujesz teraz?

- Nie, nie żartuję. Jest kuty na cztery nogi. Dlatego potrzebujemy potwierdzenia tych dowodów!

Mówił o wynikach analizy porównawczej materiału genetycznego, a dokładniej spermy pobranej z dała zgwałconej czteroletniej dziewczynki. Dziecko doznało bardzo poważnych obrażeń wewnętrznych i krwotoku. Nie przeżyło. Człowiek podejrzany o ten brutalny gwałt robił właśnie zakupy w centrum handlowym. Pedofil był podejrzany również o inne gwałty, dokonane łącznie na piętnastu dzieciach. Ciążyły na nim podejrzania o rozpowszechnianie i sprzedawanie dziecięcej pornografii w Internecie oraz o sprzedawanie chłopców i dziewczynek napalonym pedofilom za granicę. Jedna z obserwujących go funkcjonariuszek powiedziała przez krótkofalówkę, że podejrzany kupuje ogromne ilości słodyczy. Całe pudła.

- Robi zapasy, przygotowuje się - szepnął duży. - Będzie mamił słodyczami i na pewno znowu zgwałci jakieś dziecko. Sfilmuje to i wrzuci do netu. Ja bym go zgarnął. Teraz!

- Za kupowanie cukierków?

- Za kupowanie cukierków.

- To żaden powód do zgarnięcia, niestety.

- Bardzo szkoda, że żaden! Uwierz mi, że ja bym mu znalazł powód... na poczekaniu! A tym, że jest kuty na cztery nogi mógłby się najwyżej podetrzeć!

- Wierzę.

Szczupły spojrział na zegarek.

- Wyniki analizy będą o dziesiątej. Kiedy przyślą maila...

- Wiem - przerwał mu kolega — słuchaj, obiecałeś mi. - Niby, co?

- Ze będę mógł tego pojeba odwieźć. Ładniej powiedziawszy, eskortować, do aresztu.

Pamiętasz?

- Nie wiem, czy to jest dobry pomysł, żebyś z nim siedział w samochodzie. Żeby z tobą jechał. Wiesz, że musimy go dostarczyć do aresztu żywego?

- Oczywiście.

- Oczywiście, ale co?

- Dojedzie żywy.

- Mhm.

- Leciutko poobijany. Naprawdę leciutko - stwierdził ogromny kolega - ale na pewno... żywy.

- Tak czy inaczej, musimy jeszcze poczek...

Szczupły przerwał, ponieważ zadzwonił jego telefon komórkowy. Błyskawicznie go odebrał. Prawie jednocześnie na ekranie laptopa wyświetliła się koperta nowej wiadomości. Tej wiadomości, na którą wszyscy czekali. Zwalisty kliknął na ikonę maila i przeczytał na głos dwa słowa:

- To on.

Mail wyświetlił się również na każdym laptopie w każdym policyjnym samochodzie na parkingu. Policjanci oczekujący w środku centrum handlowego dostali potwierdzającą informację przez krótkofalówki. Momentalnie po obu stronach szklanych rozsuwanych drzwi zaroiło się od ludzi. Zwalisty chwycił za klamkę, żeby otworzyć drzwi samochodu, ale cofnął rękę, ponieważ nagle szarpnięcie wcisnęło go w fotel. Jego kolega przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył autem z piskiem opon. W międzyczasie cisnął komórką na kokpit.

- Co ty, kurwa robisz?!

Chudy wyjeżdżał z parkingu.

- Stój! Stój!

Centrum handlowe, w którym funkcjonariusze otoczyli wyraźnie zaskoczonego pedofila, a filigranowa policjantka jednym sprawnym ruchem założyła mu kajdanki, zniknęło za drzewami.

- Zatrzymaj się!

Nie słuchał kolegi. Przyśpieszył.

Stanął przed bardzo wysokim murem, gęsto porośniętym zielenią. Wystawił rękę z pilotem i otworzył ażurową, kutą, ogromną bramę.

- To twój pierwszy raz - szepnął, patrząc na kobietę - i ostatni.

Na co dzień mieszkał i pracował w mieście oddalonym o trzydzieści kilometrów. Miał tam wygodne trzypokojowe, przestronne lokum w strzeżonym apartamentowcu. Do swojego mieszkania jednak nikogo nie zapraszał. Nie miewał żadnych gości, proszonych lub nieproszonych. Nie odwiedzał sąsiadów ani sąsiedzi nie przychodzili do niego. Prawdę mówiąc nie wiedział nawet, kim są jego sąsiedzi. Unikał innych mieszkańców budynku, nie wdawał się w rozmowy, tym bardziej nie sprowadzał do mieszkania żadnych kobiet. Nigdy.

Do posiadłości również nie przywoził żadnych kobiet, nie przyjmował tu gości ani nikt go nie odwiedzał.

- Ona jest twoją wybranką. Jest godna tego miejsca. Jest godna tego, co dla niej przygotowałeś.

W głębi majączył dwukondygnacyjny dom otoczony krzakami. Kiedyś tak nie wyglądał. Kiedyś tu było inaczej. Mężczyzna kupił zrujnowane siedlisko, otoczone szarym, betonowym murem wyglądającym jak mur cmentarny. Dom bardzo szybko wyremontował, doprowadził instalacje do prawie idealnego stanu, wewnątrz przerobił i urządził na miarę swoich potrzeb. Przy murze posadził krzaki ostrokrzewu kolczastego oraz dzikie wino. Po kilku latach ta mieszanka roślin dała hipnotyzujący efekt. Prawie cała, wysoka na pięć metrów szorstka szarość betonu ogrodzenia pokryła się grubą warstwą zieleni. Natomiast pola i łąki otaczające posiadłość zarosły wszystkimi możliwymi rodzajami chwastów, krzaków i samosiejek drzew z oddalonego kilkaset metrów lasu. Nawet na placu podwórka wyrosły jakieś krzaki. Nie wiadomo skąd. Przecież on tam ich nie sadił.

- Teraz ogrodzenie wygląda jak żywcem wyjęte z baśni o śpiącej królewnie.

To określenie bardzo mu się spodobało.

- Żywcem wyjęte... - szepnął.

Bramę garażową też otworzył za pomocą pilota. Wprowadził auto. Nie wyłączył silnika ani nie zgasił świateł. Garaż był ogromny, z łatwością mogłyby się tu zmieścić trzy takie samochody. Ustawione wzdłuż albo w szerz. Zamknął bramę wjazdową. Skierował pilota przed siebie. Na ścianę. A raczej na to, co było tam zamiast ściany. Kolejna karbowana powierzchnia. Kolejna garażowa brama. Jednak o wiele szersza od tej, przez którą tu wjechał. Patrzył jak tajemnicze wejście majestatycznie się uchyla, stopniowo odsłaniając ogromną, prostokątną dziurę. Wprowadził tam samochód. Bardzo powoli, ostrożnie. Następnie wyłączył silnik i światła. Zamknął wewnętrzną bramę. Kiedy otoczyła go prawie namacalna ciemność nachylił się w stronę pasażerki.

- Stań przede mną - szepnął, wciągając głęboko powietrze. Czuł jej zapach. Smakował go. Perfumy zmieszane z wonią potu oraz utrzymującym się na włosach i ubraniu zapachem papierosowego dymu.

- Dotknij mnie.

- Czy takie jest twoje życzenie?

Takie było jego marzenie. Najbardziej skrywane. Nieśmiałe. Trzymał je w tajemnicy. Z ukrywaniem tej fantazji zachowywał się jak dziecko, które nie chce zapeszyć i nic o swoim marzeniu nikomu nie mówi. Nawet o tym najbardziej nierealnym.

Schował pilota do kieszeni spodni. Wysiadł z samochodu. Odwrócił się i - mimo ciemności - zrobił kilka dużych, zdecydowanych kroków. Do ściany. Wiedział, że tam znajdowało się kilkanaście metalowych dźwigni, starych przekładni elektrycznych. Skierowanych do dołu. Z wysiłkiem podnosił je kolejno, jedną po drugiej i za każdym razem, kiedy zmieniał położenie archaicznego przełącznika, rozlegał się charakterystyczny metaliczny trzask. Dopiero po chwili startowały jarzeniowe lampy. Długą chwilę trwało,

zanim rozbłysły wszystkie trzy rzędy jarzeniówek.

Dwa biegnące po krańcach sufitu, jeden zamontowany mniej więcej w połowie wysokości ścian. Wszelchobecne chłodne światło w mgnieniu oka przegoniło gęstą ciemność.

- Lubisz to światło, ponieważ jest martwe.

Lubił też tę swoją nową pracownię. Była zupełnie dziewicza. Dzisiaj miał dokonać inauguracji pomieszczenia. Dokonać tu swojego największego dzieła.

Takie miał życzenie.

Zwalisty policjant nazywał się Mateusz Wiśniewski, jego kolega - Artur Hofman. Pracowali razem od trzech lat, dużo razem przeszli i obaj mieli już wyrobione zdanie na swój temat. Wiśniewski przypiął koledze konkretną łatkę schorowanego marudzącego flegmatyka z inklinacjami do przesadnego filozofowania. W rzeczywistości Artur nie był ani schorowany, ani tym bardziej flegmatyczny. Tylko raczej drobnej budowy ciała, a z charakteru najzwyczajniej w świecie zrównoważony i opanowany. Mimo tego opanowania koledze dłużny w kwestii epitetów nie został.

- Masz jeden zwój mózgu, wścieklicznę, należy ci się kilkumiesięczna kwarantanna i kaganiec zamontowany w szczęce na stałe.

Na pozór Mateusz sprawiał wrażenie niezdarne i dobrodusznego. Ale tylko na pozór. Oprócz epitetu jednozwójowca Hofman trafnie opisał kolegę. Wiśniewski często wpadał w gniew, krzyczał, rzucał mięsem, nie uznawał kompromisów, nie było z nim żadnej dyskusji ani nie stosował taryfy ulgowej podczas ataku szału. Żadnej taryfy ulgowej. Dla nikogo.

Kiedy Hofman, zamiast pozwolić koledze wysiąść z samochodu, czy też samemu wyjść, bez słowa odjechał z parkingu centrum handlowego, Mateusz oczywiście się wściekł. Ale wrzeszczał i kłął tylko przez kilkadziesiąt metrów.

- Pedofil przyskrzyniony! Olej go! Artysta mignął drogówce! Arturowi udało się wtrącić kilka słów między wrzaski kolegi.

Począł na jego reakcję. Zwalistego policjanta zamurowało. Opadł w fotelu.

- Zhaltowali go, bo śmigał. Potem dmuchał w balonik, nawet dostał mandat - kontynuował Hofman. - Chłopaki są w ciężkim szoku. Wciąż stoją na wylotówce z miasta. Jedziemy tam.

- Tylko my?

- Też pytanie! Będą wszystkie jednostki z miasta.

- Nie wszystkie, a pedofil?

- Nie przejmuj się nim już!

Mateuszowi serce waliło niebezpiecznie mocno. Czuł również rozsadzający ból głowy w okolicach skroni, ucisk w klatce piersiowej, duszność. Jakby za moment miał dostać zawału. Uchylił okno, wbił wzrok w ciemną szybę, zacisnął pięści.

- Ej, ja też się boję - westchnął Artur.

- Weź, kurwa, mam kisiel w gaciach!

- Sobie wyobrażam, co miał w gaciach ten chłopak, który psychola zatrzymał.

- Zatrzymał Artystę i przeżył. Nie wierzę...

- Ten chłopak z drogowej pewnie też w to nie wierzy.

- Coś mi tu nie pasuje. Nagle niebezpieczny, nieobliczalny i nieuchwytny psychopata pokazał się społeczeństwu?! - Mateusz pstryknął palcami. — Tak po prostu? I dał się skontrolować na drodze?

- Dziwne.

- Nie uciekał ani nikogo nie wypatroszył...

- Zmienił obiekt swoich zainteresowań.

Mateusz milczał.

- Kiedyś szlachtował wszystkich, mężczyzn i kobiety, od pewnego czasu tylko kobiety. Dlatego policjant z drogówki przeżył! Poza tym ten chłopak, który do mnie dzwonił

powiedział że psychol był w towarzystwie jakiejś blondynki.

- Czyli ma kolejną ofiarę - Wiśniewski jęknął. - Rany boskie!

- Artur, ale coś tu jest nie tak. Coś tu jest cholernie nie tak!

Wpadł przez głupią kontrolę drogową?! Męczy mnie to.

- Jeszcze przecież nie wpadł... — stwierdził Hofman cicho - może on się chciał tylko nam pokazać.

- Ale dlaczego? Miał takie widzimisię? Kaprys?

W samochodzie zapadła cisza.

Człowiek o łagodnie brzmiącym przydomku Artysta od kilku lat figurował w policyjnych kartotekach. A raczej figurowała jego podobizna, którą zresztą zostawiał na miejscu zbrodni w charakterze, jak się okazało, podpisów swoich... dzieł.

- Pierwszy zginął ten młody listonosz - powiedział Wiśniewski grobowym tonem - a potem było już tylko gorzej.

Kilka lat wcześniej policja otrzymała zgłoszenie o przerażającym znalezisku. Wczesnym rankiem pewien grzybiarz natknął się w lesie na powieszony na drzewie ciało. Ściślej mówiąc, połowę ludzkiego ciała, powieszoną na gałęzi za nogę. Zamordowany został młody mężczyzna, a raczej z istic chirurgiczną precyzją przepołowiony wzdłuż kręgosłupa. Jedna połowa — ta, którą znalazł grzybiarz, wisiała w lesie. Na pośladku denata widniała pieczęć z wizerunkiem męskiej twarzy. Sprawiała wrażenie pieczęci, jakimi znaczy się świńskie półtusze. Jednak później i przy dalszych znaleziskach, podobnie oznaczonych, okazało się, że zarys twarzy mężczyzny na tych dziwnych pieczęciach może być wizerunkiem mordercy - autora zbrodni. Druga połowa ciała młodego listonosza została precyzyjnie poćwiartowana i posłużyła jako materiał do przerażającej gipsowej, surrealistycznej rzeźby, którą sprawca, już wtedy ochrzczony Artystą, zostawił na przystanku autobusowym linii podmiejskiej.

- Z mężczyzn robi rzeźby, kobiety traktował inaczej - stwierdził Wiśniewski smutno — w jego skali raczej łagodniej...

Do przedstawielek płci pięknej Artysta miał rzeczywiście inne podejście. Na początku wyglądało, że malował portrety, podobizny oraz akty swoich ofiar. Ale nie były to zwykłe obrazy, mimo że rozpinał zagruntowane płótno na drewnianych kanwach, stawiał na sztalugach. Zamiast farb używał krwi tych kobiet. Na początku tak wyglądało. Tylko obrazy. Później się okazało, w jaki sposób psychopatyczny morderca tę krew uzyskiwał. Jemu nie wystarczyło przeciąć tętnicę, żeby krew spływała do pojemniczka. Otwierał swoje ofiary, rozcinał najczęściej brzuch, zanurzał pędzel w ciepłej krwi kobiety ogarniętej agonią. Policja doskonale знаła metody jego działania. Był wyrafinowanym sadystą. Wyrafinowanym do tego stopnia, że przysyłał listy - wyklejanki literami z gazet - zawierające szczegółowe opisy swoich metod pozyskiwania twórczych surowców.

Czuł się bezkarny. Jeżeli wpadnie w moje łapy - wrzeszczał kiedyś Wiśniewski na wieść, że Artysta znowu zostawił swoje makabryczne dzieło gdzieś w mieście - a na pewno wpadnie, na pewno się pomyli, potknie, coś spierdoli! Jeżeli wpadnie, to go, kurwa, od razu zastrzelę! Zastrzelę jak psa! Ale przedtem go rozkroję na żywca! Zanim straci przytomność, zmuszę go, żeby wrzucił swoje wnętrzności do wanny z kwasem!

— Nie zrobisz tego - stwierdził Hofman - nie jesteś aż do tego stopnia pojebany. Nie jesteś aż tak pojebany jak on.

- Szkoda. Naprawdę bardzo szkoda!

— Jakoś nie żałuję.

Przez kilka lat policja była bezradna. Na próżno ustalano profil psychologiczny Artysty. Na próżno doszukiwano się jakiegoś szablonu wybierania ofiar. Na początku swojej niechlubnej działalności szlachtował mężczyzn, bez konkretnego upodobania do typu urody, wieku, tuszy. Kroił młodych i starych, chłopców, nawet kiedyś poćwiartował dziecko. Dzieci... W któreś Boże Narodzenie to właśnie dzieci znalazły choinkę przystrojoną

kawałkami ludzkiego ciała nawleczonymi na srebrne łańcuszki. Następnie psychopata nagle i bez wyraźnego powodu zmienił obiekty swoich twórczych zainteresowań. Zaczął porywać kobiety, malować obrazy. Działał nie tyle chaotycznie, co w sposób niemożliwy do przewidzenia.

- Prawdziwych artystów cechuje nieprzewidywalność - twierdził psychiatra współpracujący z policją oraz rodzinami ofiar.

- Co artystów ogranicza? Paradoksalnie wyobraźnia i kreatywność. Niektórzy mają przez to poczucie wyższości nad tak zwanymi zwykłymi ludźmi. Niektórzy mają jakąś misję do spełnienia, której motywów tylko oni są w stanie pojąć. Tak robił na przykład Zodiak.

Artysta też wydawał się niewidzialny. Nieuchwytny. Podejrzewano, że jest nadprzeciętnie inteligentny, ktoś nawet zaryzykował stwierdzenie, że jest oszalałym geniuszem przekonanym o boskości swoich czynów i takim w nich zawartym przesłaniu.

- Pojeb - skomentował Wiśniewski - do odstrzału.

Na żadnym jego makabrycznym dziele nie znaleziono odcisków palców, włosów. Nie znajdowano niczego, co by pozwoliło ustalić tożsamość sprawcy. Był tylko ten natrętnie powracający wizerunek twarzy, jakim morderca podpisywał swoje dokonania. Na podstawie tej dziwnej ogromnej pieczęci policja opracowała symulowany portret pamięciowy. Upublicznienie tego portretu zaowocowało lawiną zgłoszeń od przerażonych ludzi. Wybuchła panika. Policja otrzymywała sprzeczne zgłoszenia, że w tym samym czasie, ale na przykład w miejscach oddalonych od siebie o kilkanaście kilometrów, widziano osobę podobną do poszukiwanego psychopaty. Trzeba było sprawdzić wszystkie zgłoszenia. Nawet te najbardziej nieprawdopodobne.

Nagle, po latach masakrycznej działalności, morderca znikł. Spokój do miasta jednak nie wracał. Spekulowano, że może Artysta umarł, zginął tragicznie albo na przykład, został zlin-czowany. Niestety, żadna z tych plotek nie okazała się prawdziwa. Po kilku miesiącach przerwy morderca powrócił.

- Następnie z głupia frant wsiadł w samochód i wyruszył na nocną przejażdżkę po mieście.

— On nic nie robi z głupia frant — Artur Hofman zwolnił auto. Dojeżdżali do miejsca postoju patrolu drogówki. Nie tylko oni tam parkowali. Na drodze wylotowej z miasta zaroilo się od radiowozów — on wszystko robi po coś.

- Szkoda, że tylko on wie, po co...

Z zewnątrz budowla wyglądała zupełnie jak standardowa dwukondygnacyjna willa, ze spadzistym dachem, tarasem, garażem. Jak stary dom otoczony wyraźnie zaniedbanym ogrodem. Jednak wewnątrz tego domu, a dokładniej większa część piętra i parter - tam, gdzie mężczyzna wjechał z garażu samochodem - stanowiły jedno wielkie pomieszczenie przypominające hangar na mały samolot.

— Trójprojekt wymaga przestrzeni.

Nie było tu ścian działowych, schodów, mniejszych lub większych pokoi, nie było tu nawet okien. Pomalowana na białą pustą przestrzeń wyglądała przerażająco. Białe były nawet terakotowe płytki, a raczej płyty podłogowe. Prawie pusta przestrzeń, ponieważ na środku gigantycznego pomieszczenia coś się jednak znajdowało. Coś zwisało z sufitu tuż nad podłogą. Dwa łańcuchy złączone na końcach długim prętem. Wyglądały jak szkielet ogrodowej huśtawki.

- Dobrze, że wszystko wcześniej przygotowałeś.

Nigdy bez tego nie pracował. Bez przygotowania. Przygotował specjalnie dla niej. Wszystko. Wystrój, dodatki. Już w pubie tak pomyślał. Wystrój, dodatki... zabrzmiało jak zaproszenie na romantyczną kolację.

- Nie pomyliłeś się zbyt.

Ale i nie powiedział prawdy. Romantyczna kolacja najczęściej odbywa się przy pięknie

zastawionym stole. Nakrytym atłasowym obrusem, z gustownie dobraną zastawą, błyszczącymi sztućcami, świecznikami, wazonem pełnym obezwładniająco pachnących kwiatów, półmiskiem pełnym filuternie kolorowych słodyczy. Na takim stole koniecznie powinny stać pękate kieliszki napełnione w jednej trzeciej czerwonym winem, które z każdym łykiem wlewa do umysłu pijącej go osoby porcję romantycznego nastroju oraz zachętę błogiej, upojnej nocy.

Rozejrzał się. W ogromnej, pustej, przeraźliwie białej, oświetlonej jarzeniowym światłem sali nie było ani odpowiednio nakrytego stołu, ani nic podobnego, co by mogło wskazywać na ukryte zamiary amanta

- W takim razie powiedz, że zaprosiłeś ją na deser. Bardzo smaczny, słodki, długotrwały, wykwintny i całkowicie tobie należny deser. Będzie brzmiało tajemniczo. Kobiety lubią tajemnice...

Podszedł do samochodu i otworzył drzwi od strony pasażera. Zdjął kobiecie buty. Wystawił jej stopy za próg auta, tak, żeby przy wyciąganiu ciała nie uderzyć nimi o podłogę. Nie chciał być brutalny.

- Paradoksalnie.

Wystrój... To słowo kojarzyło się z jakimś konkretnym wyposażeniem. W ogromnej sali niczego nie było. Żadnego wyposażenia, mebli, żadnych półek na ścianach. Niczego oprócz przekładni wysokiego napięcia, dziesiątek lamp jarzeniowych, zwisających z sufitu łańcuchów, samochodu. Ściany i sufit oraz podłoga pozbawione były kolorów. Mężczyzna tygodniami wybielał ogromną salę. Raz za razem, starał się malować spokojnie, długimi, posuwistymi ruchami pędzla i wałka, poprawiał niedociągnięcia, zakrywał załamujące światło smugi, starał się przez to osiągnąć efekt bieli idealnej.

- Zgodnej z twoją wizją.

Zgodnej z jego artystycznym projektem, do którego potrzebował właśnie ogromnej, zamkniętej przestrzeni pozbawionej kolorów, jakichkolwiek barw, cieni. Zamarzył mu się ogromny prostopadłościan. Dlatego mężczyzna sam przerobił wnętrze domu. Dostosowanie przestrzeni trwało pół roku. Wyburzył ściany pomieszczeń na parterze, ścianki działowe, zlikwidował schody wiodące na piętro, połączył pomieszczenia parteru i połowy piętra w wielką salę zatopioną w martwej bieli, przesadnym oświetleniu. Ten prostopadłościan miał być zimny, martwy, sterylny. Nawet terakotowe ogromne płyty podłogowe spajała biała fuga.

- Twoja wybranka jest tego warta.

Wydał usta.

- Hasto zupełnie jak z kiepskiej reklamy.

Ujął jej ciało pod pachy i wyjął z samochodu. Wolno pociągnął ją po podłodze na środek hali. W miejsce, gdzie zwisały łańcuchy. Położył wybrankę i zaczął bardzo delikatnie rozbiierać. Najpierw zdjął jej bluzkę, potem stanik, spódnicę, rajstopy, majtki. Każdą część jej ubrania starannie składał w kostkę i układał w równy stosik Nieporządek go drażnił.

— Widzisz?

Widział. Była idealna. Wiedział o tym, zanim zobaczył jej nagie dało. A teraz się jedynie utwierdził. Patrzył na jej szerokie ramiona, bardzo duży biust, mocno zarysowane wdęcie w talii, szerokie biodra, silnie umięśnione uda, smukłe łydki, zgrabne stopy. Tak, nabrał stuprocentowej pewności, że dobrze wybrał. Co jeszcze się mu w niej podobało? Miała bardzo jasną karnację. Niespotykaną. Tak jasną, że prawie białą. Koloryt jej skóry niewiele się różnił od koloru podłogowych płytek, na których kobieta leżała. Martwa błądź. Jakby jej skóra nigdy nie zaznała słońca.

— Czyli nadaje się bardziej niż przypuszczałeś.

Nadaje się bardziej niż przypuszczał. Dostał gęziej skórki z podniecenia. Wiedział już, gdzie natnie skórę kobiety, w których miejscach zanurzy ostrze, żeby krew popłynęła tak, jak on chciał. Miała kreślić wzory, łączyć drżące linie strużek, raz szerszych, raz węższych...

Tworzyć na bladym ciele wybranki coraz to nowe kształty, zakrywać coraz więcej powierzchni bladej skóry. Wyobraził sobie krople zwisające z jej sutków, krew skapującą ze stóp, palców. Wyobraził sobie krew wsiąkającą w jej długie, jasne włosy, sklezione i zabarwione krwią złote pasma przywierające do skóry. Już widział jak stopniowo rażąca biel ustępuje ciemnej czerwieni, jak z nią kontrastuje. O to mu chodziło! Jego serce, przyspieszyło. Chciał to zobaczyć! Chciał w tym być!

- W takim razie zabieraj się do pracy. Bo nie zdążysz.

Spojrzał w górę. Dodatki... Dodatki zwisające z sufitu.

A dokładniej dwa łańcuchy. Kończyły się zamocowanym w poprzek stalowym prętem, długości około metra. Pręt wyglądał jak część cyrkowego trapezu. Z tym, że po jego obu stronach było jeszcze coś. Szerokie obejmy, kajdany. Na podłodze leżał luzem drugi pręt. Też zakończony kajdanami, lecz bez doczepionych łańcuchów.

- Jesteś dumny.

Jego własny projekt. Tak, był z niego dumny. Sam wszystko zaplanował, przygotował, wykonał. Długo nad tym pracował. Skrupulatnie, mozolnie, konsekwentnie i cierpliwie. Środkiem sufitu biegły dwie stalowe szyny, do których, na wysięgnikach i metalowej półce, zamocowana była szpula z nawiniętym na nią łańcuchem. Stalową konstrukcję otaczała płatanina kabli wysokiego napięcia, doprowadzających prąd do silniczków i czujnika na podczerwień. Natomiast czujnik został dostrojony do pilota - tego samego urządzenia, którym mężczyzna otworzył obie bramy garażowe. Zewnętrzna i działowa.

- Masz wszystko pod kontrolą. Jak chciałeś.

Chciał. Mógł jednym naciśnięciem guzika sterować obrotami szpuli, bez żadnego wysiłku skracać oraz wydłużać łańcuch. Łańcuch kolorystycznie pasował do bieli pomieszczenia, biel pasowała do koloru skóry kobiety, kobieta pasowała do tego, co mężczyzna chciał zrobić.

-Zupełnie jakby została do tego stworzona. - Została stworzona, aby stać się dziełem prawdziwego artysty. Wszak ty jesteś prawdziwym artystą...

Był nim.

—Jest twoja.

-Jesteś moja.

— Dla ciebie.

- Dla ciebie - szepnął, kucając przy głowie kobiety.

Uniósł jej ręce i włożył jej dłonie w kajdany, objął metalem nadgarstki, zacisnął obejmy, trzasnęły. Szarpnął łańcuchami, sprawdzając czy obejmy na pewno trzymają. Sprawdzał też, czy są odpowiednio ciasne. Nie chciał, żeby dłonie wysunęły się z okowów. Nie chciał, żeby kobieta spadła. To by przecież zepsuło zarówno efekt, jak i długi czas przygotowań do dzisiejszej nocy. Rozstawił kobiecie nogi na odpowiednią szerokość, umieścił drugi pręt na wysokości kostek, na kostkach zatrzasnął obejmy, sprawdzał, czy trzymają. Teraz ciało kobiety wyglądało jeszcze piękniej. Bardzo mu się podobało, w jaki sposób układają się zapięte kajdanami dłonie, lekko zgięte palce, w jaki sposób napinają się mięśnie łydek. Podobał mu się wygląd jej stóp w kajdanach. Z nieukrywanym podziwem patrzył na uniesione i przypięte do metalowego pręta, szeroko rozstawione ramiona. Widok powodował kolejne ciarki przebiegające mu po kręgosłupie. W porównaniu do jasnych, stalowych ogniw, jej skóra wydawała się jeszcze bardziej blada. Idealna!

— Powtarzasz się!

To było silniejsze od niego. Nie mógł przestać się nią zachwycać. Nie mógł oderwać od kobiety wzroku. Chciał jej dotknąć. Polizać jej skórę. Smakować jej pot. Tak bardzo chciał jej dotknąć! Ale nie było czasu na pieszczoty. Musiał wziąć się do pracy. Wyjął pilota z kieszeni i skierował w górę, w stronę błyskającej na czerwono diody. Nacisnął przycisk. Usłyszał dźwięczny trzask, łańcuchem szarpnęło, zabrzączał, szpula zaczęła się wolno obracać, przypięte do metalowego pręta ręce leżącej kobiety zaczęły się podnosić. Zatrzymał

szpulę dopiero, kiedy stopy nieprzytomnej wybranki zawisły kilkanaście centymetrów nad podłogą. Schował pilota do kieszeni. Obok miejsca, gdzie niedawno leżały pręty, leżało również opakowanie białej folii malarskiej, złożona w równą kostkę płachta białego materiału oraz nóż do tapet. Mężczyzna najpierw rozłożył pod nogami kobiety folię. Na folii ułożył materiał. Cofnął się kilka kroków i dał sobie kilkanaście sekund na podziwianie realizującej się artystycznej wizji.

- Gdyby można zatrzymać czas...
- Nie żądaj rzeczy niemożliwych.

Kobieta wisiała w takiej samej pozycji, w jakiej lewitowała w łazience. Z tą różnicą, że w łazience miała na sobie dolną część garderoby, nie była zakuta w kajdany przyspawane do metalowych prętów i nie straciła przytomności. Ale tego obserwujący ją teraz mężczyzna nie wiedział. Ani nie był świadomy niektórych, mających tu nastąpić, zdarzeń. Za to był świadomy czegoś innego...

Rozebrał się do naga. Ułożył swoje ubranie obok ubrania kobiety. Podniósł nóż i ostrożnie stanął na materiale.

— Czy takie jest twoje życzenie?

Stanął za wybranką, przesunął dłonią po jej włosach, powąchał je, następnie odchylił jej głowę, najpierw przystawił czubek ostrza do szyi, z całej siły pchnął, przebijając krtań. Potem jednym, zdecydowanym ruchem poderżnął kobiecie gardło. Kolejne cięcia wykonał na całej długości jej ramion. Ciął skórę od miejsca, w którym kajdany obejmowały nadgarstki, aż do pach. Wbijał nożyk z całej siły, najgłębiej jak się dało. Przeciął skórę na głowie, zaczynając od czubka, na szyi, wzdłuż kręgosłupa, w pachwinach, pod kolanami, wzdłuż łydek, aż do kajdan obejmujących kostki. Krew tryskała na wszystkie strony. Z kobiety uchodziło życie.

— Że już się nie obudzi...

Pigułka gwałtu działała doskonale. Kobieta się nie obudziła. Widział, że coraz wolniej oddychała. Miał jej krew na sobie, na twarzy i ustach. Oblizwał się. Nie mógł dłużej ukrywać zadowolenia. Jęknął z rozkoszy. Tak smakowała. Jak najdelikatniejsza i najbardziej wykwinna czekolada, otaczająca język mgiełką wysublimowanego smaku, którego jednak mężczyzna nie mógł do niczego przyrównać. Tak smakowało jej wnętrze.

- Całkowicie tobie należy deser...

Jakby próbował płynnego aksamitu. Znał ten smak aż za dobrze. Męska krew smakowała inaczej i wywoływała u niego zupełnie inne doznania estetyczne. Dlatego nie był zadowolony z rzeźb, jakie mu wychodziły z męskich organów wewnętrznych. Szorstkie, kanciaste... Zresztą, odkąd rozplątał brzuch młodej dziewczyny, zanurzył w niej dłoń, mężczyźni jako źródło twórczego natchnienia przestali go interesować. Ich ciała nie były doskonałe. A on przecież poszukiwał materiału idealnego, idealnych doznań, uniesienia graniczącego z ekstazą.

— Aż do utraty przytomności.

Tak. Chciał się w procesie tworzenia zatracić. Tylko kobiety dawały mu taką możliwość. Oczywiście nie wszystkie. Tylko te szczególne. Kobieta, która wisiała na łańcuchach była szczególna. Stanął przed nią i poczuł dreszcze. Jeszcze nigdy, odkąd zaczął tworzyć, nie udało mu się dokonać czegoś tak pięknego. Jego zachwyty nie znał granic. — Teraz najważniejsze.

Przyłożył ostrze do mostka kobiety i przesunął po skórze, aż do jej łona. Na razie nie ciął głęboko, tylko tyle, żeby rozwarstwić skórę. Do pełnego rozplątania brzucha potrzebował większego noża. Kuchennego, z długim, mocnym ostrzem. Narzędzie leżało na podłodze, tam, gdzie wcześniej leżał nóż do tapet. Żeby dosięgnąć kuchennego noża mężczyzna musiał podejść do krańca materiału, nachylić się. Kiedy to zrobił, usłyszał znajome metaliczne trzaski przekładni wysokiego napięcia. Spojrzał w tamtym kierunku.

Wcześniej, żeby zastartować świetlówki musiał zmienić położenie przekładni z dołu do góry. Nie bez wysiłku. Jeszcze czuł napięcie w mięśniu przedramienia prawej ręki wywołane szarpnięciem metalowej, grubej wajchy.

- Przecież to niemożliwe.

Przekładnie szalały. Zmieniały swoje położenie. Podnosiły się i z metalicznym trzaskiem uderzały w ścianę. Albo z równie głośnym trzaskiem opadały.

Same.

- Przecież to niemożliwe - powtórzył szeptem. Ciarki przebiegły mu po skórze. Ale nie z podniecenia wielkością swojego dzieła, tylko ze strachu.

Mimo niewytłumaczalnego zachowania włączników światła, jarzeniówki nie gasły. Niektóre świeciły o wiele mocniej.

—Nie jesteście tu sami.

- Czy takie jest twoje życzenie? - usłyszał kobiecy głos.

Krzyknął.

To był głos jego wybranki! Znał jej głos, przecież długo ze sobą rozmawiali w pubie. Ale dlaczego się odezwała?! Przecież ona umiera! Wypiła zaprawionego drinka! Miała się nie obudzić! Powinna nie żyć! Straciła dużo krwi... Żadna jej poprzedniczka się nie obudziła! Chaos ogarniał jego myśli.

— To niemożliwe! Niemożliwe! Ma podcięte gardło, przedziurawiłeś jej krtań. Nie powinna mówić!

Nóż wysunął się z jego dłoni i upadł na podłogę, rozcinając skórę stopy. Mężczyzna syknął.

—Zabolało?

Tak! Zabolało. Wciąż brocząca krwią, uznana przez niego za umierającą, kobieta podniosła głowę, otworzyła oczy i spojrzała mężczyźnie prosto w twarz. - Czy takie jest twoje życzenie?

Policjant z drogówki zanotował numer rejestracyjny samochodu, w którym siedział mężczyzna podobny do Artysty. Zgodnie z przewidywaniami Hofmana auto zostało wypożyczone. Pojechali do tej wypożyczalni, po drodze ściągając tam wyraźnie poruszonego właściciela. Właściciel wypożyczalni, wyrwany ze snu, mimo późnej pory, od razu przystał na współpracę z policją. Udostępnił dane osoby, która widniała w systemie komputerowym jako najemca samochodu. Okazało się, że dane te są nieaktualne.

- Jak bardzo nieaktualne?! — denerwował się Wiśniewski.

- Bardzo. Podano dane osoby zmarłej - twierdził Hofman.

- O kurwa jego mać!

- I to zmarłej jakieś dziesięć lat temu.

- Mimo tego, że dokumenty były fałszywe, wydał pan samochód?

- Przyznam się, nie sprawdzam szczegółowo. Dla mnie najważniejsze jest, żeby klient zapłacił, najlepiej gotówką. I z góry - tłumaczył się właściciel wypożyczalni.

- Rozumiem - Wiśniewski sposepniał jeszcze bardziej. O ile to było w ogóle możliwe - czyli jesteśmy z powrotem w dupie!

Hofman nie odpowiedział. Odebrał rozmowę telefoniczną. Już którąś z kolei. Zresztą, od pewnego czasu nie robił nic innego, tylko rozmawiał przez telefon. Co chwila przekazywano mu bieżący raport ze zorganizowanych na szybko poszukiwań. Dodatkowo odbierał też telefon Wiśniewskiego, kolega był za bardzo wkurwiony, żeby rozmawiać.

- Ale, chwileczkę... - właściciel uniósł palec - ale chwileczkę. .. chwileczkę - mamrotał, siadając przy komputerze.

- Nie wiem, czy mamy tyle czasu! - warknął Mateusz.

- Chwileczkę... chwileczkę... - facet się zaciął. Zmarszczył czoło i zaczął się wpatrywać w ekran komputera, nerwowo przesuwając pokrętłem myszki - chwileczkę... chwileczkę...

Ten wypożyczony na trupa samochód był troszkę inny... chwileczkę, jak to inny? Miał tylko

jedno koło? - spytał Wiśniewski. Nie czekał na odpowiedź. Zacisnął usta tak mocno, aż mu zbieleły.

- Nie. Cztery koła i piąte zapasowe. Już wyjaśniam. Kiedy drogówka zadzwoniła w pierwszym momencie myślałem, że rąbnęli mi auto — właściciel wypożyczalni nie odrywał wzroku od komputera — miałem kilka razy takie zdarzenia, właśnie. Co kupiłem nowy samochód do firmy, zanim się zdążył ubrudzić, czy trochę zetrzeć opony, trafiał w ręce złodziei. Się w pewnym momencie wkurwiłem, rozumie pan, mocno trochę, że każda inwestycja idzie w cholerę. Mimo ubezpieczenia, to jednak strata.

- Pierdol, pierdol, ja się zdrzemnę - myślał Mateusz. Już nie tylko zaciskał usta, ale i pięści.

- To się, jak już mówiłem, wkurwiłem, i do każdej nówki sztuki postanowiłem kupować zabezpieczenia. Pal sześć, jeżeli traciłem starsze modele, bo wie pan, głównie samochody używane wypożyczam... Ale nówka sztuka to co innego. Ten wypożyczony na trupa był nowiusieńki, właśnie. Proszę, to dane tego zabezpieczenia - klasnął w dłonie - chodzi jak w zegarku! Wszystko widać! Jak na dłoni, wszystko widać!

Wiśniewski zerknął na ekran komputera i w mgnieniu oka cała kipiąca w nim złość uleciała. Tak błyskawicznie, że aż nogi mu zmiękły. Mimo tego dopadł Hofmana jak oparzony i dosłownie przestawił kolegę tak, żeby tamten również widział rewelację wyświetlaną na ekranie.

- Kurwa, mamy go! Mamy go! - darł się Mateusz.

- Mówiłem, ten mój zainwestowany GPS się przydaje - właściciel wypożyczalni był zadowolony do tego stopnia, że błyszczały mu oczy - a tym bardziej się przydaje, że klienci nie mają bladego pojęcia o systemie naprowadzania satelitarnego. I tak sobie żyją w błogiej nieświadomości, ci moi klienci. I moje samochody są bezpieczne. Można je w każdym momencie namierzyć, znaczy gdzie stoją...

Obaj policjanci już go nie słuchali. Gorączkowo wystukiwali numery na klawiaturze telefonów. Zarówno dotychczas opanowany Hofman, jak i błyskawicznie przeproszony ze swoim aparatem, wiecznie wkurwiony Wiśniewski.

- Czy takie jest twoje życzenie?

Powtórzyła pytanie. Jej głos, mimo przebitej tchawicy, był normalny, taki jak w pubie.

Zamurowało go. Zakrwawiona kobieta wyglądała pięknie. Ale również... strasznie! Chaos w jego głowie ustąpił dwóm przeciwstawnym uczuciom. Mężczyzna miotał się teraz między zachwytem nad efektem swojej pracy, a paraliżującym strachem. Z jednej strony wciąż go przepełniał zachwyty nad tym, co stworzył. Z drugiej strony działo się teraz coś, co się dziać nie powinno.

- Czy takie jest twoje życzenie?

Powtórzyła to pytanie. Takim samym tonem. Bez żadnych emocji, mechanicznie.

Cały czas na niego patrzyła. Stał blisko. Widział, że nadal jej oczy były ciemnego koloru, nie wrócił błękit źrenic. Dodatkowo

miała krew w oczach, między powiekami. Nie widział jej białek. Mimo strachu nie mógł od niej oderwać wzroku. Stał jak zaczarowany. Był zaczarowany, zauroczony... I przerażony.

Krew spływająca z przeciętej skóry głowy skleiała jej włosy, które przylgnęły do oblepionego krwią ciała. Przecięta skóra na szyi wciąż broczyła. Tak samo jak jej ramiona, tułów, pachwiny, wnętrze nóg. Błada skóra kobiety przebłyskiwała tylko na palcach dłoni. Już nie trzymała ich bezwładnie. Kilka razy zacisnęła i wyprostowała.

Głos w głowie mężczyzny nie pojawił się, mimo nawoływań. Zaległa cisza.

Artysta został sam na sam ze swoim dziełem.

— Czy takie jest twoje życzenie?

Powtórzyła pytanie. Tak samo jak poprzednio. Mechanicznie. Potem zobaczył coś, co sprawiło, że oblał go lodowaty pot. Od czubka głowy po duży palec u nogi. Nadal patrzył, ale

zimne krople spływały mu po twarzy. Wzdrygnął się.

Zobaczył, że kobieta porusza dłońmi, jakby chciała je wyswobodzić z objęć kajdan. Bez wysiłku wyjęła dłonie z wciąż zamkniętych okowów. Wysunęła stopy z wciąż zamkniętych metalowych obejm. Opuściła ramiona, złączyła nogi, ale... nie spadła. Jej stopy nie dotknęły podłogi!

Wciąż się unosiła! Mimo, że nie była już przykuta do wiszącego wysoko pręta! Lewitowała kilkanaście centymetrów nad podłogą. Z jej stóp krew wciąż skapywała na rozłożony wcześniej materiał. Krople na palcach, krople na sutkach. Było tak, jak sobie zamarzył, jak sobie wyobrażał.

- Czy takie jest twoje życzenie?

Po raz pierwszy w życiu nie słyszał głosu w głowie. Nie było przy nim jego doradcy. Ucichł, odszedł. Boże, spraw, żeby wrócili

Boże spraw, żeby wrócił! Co mam robić? Co ja mam teraz robić? Uciec? Którędy? Pomóż mi! Wróć! Nie usłyszał odpowiedzi na swoje gorączkowe prośby. Nikt go już nie słuchał.

Został sam. Pamiętał, że w pubie miał przeczucie. Przez chwilę rozważał, żeby zostawić tę kobietę i wrócić do domu. Dlaczego tego nie zrobił? Dlaczego zagłuszył intuicję? Dlaczego wtedy głos w głowie również milczał?

Teraz też nie znalazł odpowiedzi na żadne z tych pytań.

Kobieta wciąż unosiła się nad podłogą. Mężczyzna wciąż stał sztywno, przerażony. Nóż kuchenny leżał przy jego krwawiącej stopie. Pomyślał, że powinien się schylić, podnieść narzędzie, dopaść kobietę i wbić jej ostrze prosto w serce. Wielokrotnie, głęboko, wbić ostrze aż po drewnianą rączkę. Taki cios na pewno by ją zabił! Skoro się jeszcze nie wykrwawiła. Cios prosto w serce. To by ją na pewno zabiło! Nie ruszył się jednak. Ręce miał odrętwiałe i sztywne. Pocił się coraz bardziej. Nogi mu ciążyły, jakby były z żelaza.

- Czy takie jest twoje życzenie?

Zabić ją? Przypomniał sobie, co do niej mówił w ciemnościach. Wtedy, w samochodzie. Przecież chciał, prosił ją o to, żeby przed nim stanęła. Żeby go dotknęła. Zabić swoje życiowe dzieło? Jak to zabić?! Przecież ona nie powinna żyć! Wykrwawiła się! Nie powinna się odzywać! Nie powinna lewitować!

- Czy takie jest twoje życzenie?

Słowa kobiety wpadały mu do głowy i dźwięczały boleśnie. Odczuwał je tak, jak wrażliwe ucho odczuwa skrzywienie kawałka styropianu o szybę.

Był bliski szaleństwa.

Niech coś się stanie!

Niech coś się stanie!

Niech coś się stanie!

Teraz!

Jakby w odpowiedzi na jego gorączkowe prośby, gdzieś z oddali odezwały się policyjne syreny. Mężczyzna, po raz pierwszy w życiu, szczerze się ucieszył, słysząc ten dźwięk. Mało brakowało, a zacząłby krzyżeć, ale nie ze strachu. Wzywać o pomoc. W ostatnim momencie dotarła do niego perfidia tej sytuacji. To on był psychopatycznym mordercą. To on miał wywołać strach. A ta drastycznie poraniona kobieta, mimo wszystko wciąż niewytłumaczalnie żywa, była przecież jego ofiarą... ;

- Stań przede mną! Dotknij mnie!

Tak brzmiało jego życzenie. Głos w głowie odezwał się nagle, niezapowiedziany, niespodziewany. Raczej nie głos się odezwał, nie był to ten znajomy doradzający szept, tylko przeraźliwy wrzask. Powodował ból. Ktoś obcy siedział w mózgu! Ktoś nieproszony. Intruz! Jego obecność wywołała potężne dreszcze, aż do mdłości. Tak silne, że prawie zwalające z odrętwiałych nóg. Artysta, odruchowo, na moment zamknął oczy.

Kiedy je otworzył o mało nie krzyknął!

Kobieta już nie lewitowała. Stała na posadzce. Kilka kroków od niego. Wyciągała ręce równoległe do podłogi. Jej stopy otaczała kałuża krwi. Materiał był już cały czerwony. Prawie całe ciało wybranki pokrywała krew. Oprócz dłoni. Sprawiały wrażenie rozjaśnionych, świetlistych.

Mężczyzna był przerażony. Wciąż krzyczał w myślach, żeby coś się stało! I stało się. Tak jak chciał! Ona wysłuchiwała jego gorączkowych modłów i prośb.

- Stań przede mną! Dotknij mnie!

Krzyknęła i zacisnęła kilka razy dłonie, jak pianista, przygotowujący się do koncertu. Z opuszków sączyła się delikatna poświata. Otaczała palce małymi, mglistymi obłoczkami. Mężczyzna patrzył. Ten widok, mimo że wciąż niewytłumaczalny, dziwny, wlał narkotyczne otępienie do jego umysłu. Powieki zaczęły ciężać. Poddał się, przymknął je. Zwieszał głowę, tracił poczucie otaczającej go rzeczywistości, coś mamrotał. Nie był świadomy zdarzeń, które miały nastąpić. Zachowywał się zupełnie jak otumaniona pigułką gwałtu kobieta, którą tu przywiózł. Na tym polegała perfidia sytuacji. Również na tym, że ta kobieta już nie była tą samą osobą, z którą rozmawiał w pubie...

- Jedyne go wzywam!

Wystawiła palce wskazujące. Poruszyła nimi. Zostawiała ulotne świetliste linie. W ułamku sekundy ślady znikaly. Kobieta zbliżyła dłonie do mężczyzny, jednak go nie dotykając. Zatrzymała opuszki tuż przy nim. Przesuwając palcami w powietrzu zostawiała na jego skórze białe, ulotne, cienkie linie. Znaczyła w ten sposób te same miejsca, z których na jej ciele wciąż broczyła krew.

- Wzywam niosącego światło!

Otworzył oczy, podniósł głowę, spojrział na nią. Wcześniej miał oczy koloru zielonego, teraz jego źrenice przybrały czarną barwę. Bez słowa schylił się, podniósł kuchenny nóż, wciąż leżący przy jego stopie i bez najmniejszego mrugnięcia, z kamiennym wyrazem twarzy, zaczął dąć...

- To ogrodzenie wygląda jak żywcem wyjęte z baśni o śpiącej królownie.

- Żywcem wyjęte... - mruknął Hofman, wysiadając z samochodu - nader trafne określenie. Nie wiedziałem jednak, że z ciebie taki filozof, Wiśnia!

- To nie ja, tylko Charles Perrault.

- Nie przeginaj!

GPS zainstalowany w wypożyczonym samochodzie zadziałał z zegarmistrzowską dokładnością. Kilkadziesiąt radiowozów otoczyło zarośniętą posesję. Czerwona kropka na wyświetlaczu migiała, co do centymetra pokazując położenie samochodu, którym wcześniej jechał Artysta z nieprzytomną blondynką. Wszystko wskazywało na to, że z kolejną ofiarą.

- Założę się, że już ją wypatroszył. Jeżeli jednak jakimś cudem tak się nie stało, to zjem własne majtki — Wiśniewski stanął przed domem.

- Ty jak coś powiesz...

Policjanci wyważyli drzwi do domu, ale okazało się, że za drzwiami była ściana.

- Zamurował. Okna pewnie też.

Weszli przez bramę garażową. Przecięli pneumatycznymi nożycami bramę wewnętrzną. Światło w ogromnej, białej sali wydawało się nie do wytrzymania. Któryś z policjantów wyłączył połowę jarzeniówek. Na środku nieskazitelnie białego pomieszczenia w wielkiej kałuży krwi leżała jakaś zakrwawiona sterta czegoś... Ostrożne wstępne oględziny wykazały, że jest to poszatkowane ciało, zmieszane z podartym zakrwawionym materiałem i pociętą na drobne kawałeczki folią malarską. Po przewiezieniu do policyjnego laboratorium okazało się, że są to fragmenty ciała mężczyzny. Biorąc pod uwagę miejsce znaleziska oraz okoliczności, stwierdzono, że tym poszatkowanym mężczyzną był psychopatyczny morderca zwany Artystą.

Miasto odetchnęło z ulgą.

Kilka miesięcy później, będąc już po służbie, Mateusz Wiśniewski siedział w zatłoczonym pubie i sączył swoje ulubione piwo.

Umówił się tu z koleżanką z pracy. Zwykle tego nie robił, nie chodził na randki z policjantkami, ale tym razem zrobił wyjątek. Ta aspirantka została oddelegowana z innego miasta, nie znała ani tej okolicy, ani panujących tu zwyczajów. Poza tym nie ukrywał, bardzo mu podpasowała wizualnie. No i była singielką, tak jak Mateusz. Nie miał nic do stracenia. A jak to powtarzał Hofman, trzeba dać szczęściu szansę.

-Założę się, że nic z tego nie wyjdzie - stękał Wiśniewski, szykując się do randki.

- Jeszcze wisi nad tobą zakład dotyczący zjedzenia majtek.

-No, ale miałem je zjeść, jeżeli jakimś cudem kobieta by przeżyła spotkanie z Artystą.

Ciała tajemniczej pasażerki nie znaleziono. Na samym początku poszukiwań wysnuto wiele teorii, w tym kompletnie nielogicznych. Co nie zmieniało faktu, że domniemana ofiara znikła. Wyparowała jak kamfora. Na podłodze w białej sali - jak ją nazwał Artur - była krew artysty oraz jakaś inna, ale nikt nie miał pewności do kogo ta druga krew należała. Teorie o tajemniczej anonimowej blondynce w natłoku innych policyjnych zajęć umarły śmiercią naturalną. Zresztą, Wiśniewski nie chciał tego wieczora ani rozmawiać, ani rozmyślać na temat pracy. Chociaż, przyznał, praca stanowiła jego motor napędowy. Była całym jego światem. Może dlatego nie miał kobiety...

Pub tętnił późnorwiecznym piątkowym życiem. Początek weekendu oznaczał również początek hucznych zabaw. W lokalu było głośno, tłoczno i mimo włączonych nawiewów z klimatyzatorów, dusznawo. Dźwięczało szkło, niektórzy ludzie nawet śpiewali, przekrzykując i tak donośną muzykę dobiegającą z wiszących przy suficie głośników. Gdzieniedzie nad stolikami unosiły się kłęby papierosowego dymu.

Mateusz Wiśniewski wyprostował się jak struna, widząc idącą do jego stolika nową koleżankę. Odkąd ją zobaczył na posterunku, w mundurze, bardzo mu się spodobała. A teraz podobała mu się jeszcze bardziej. Była posągowa, raczej przystojna niż klasycznie piękna, smukła, ale sporo od niego niższa. To dobrze — ucieszył się w myślach - lubię niższe. Biała koszula opinała jej bardzo duże piersi, wąska spódnica podkreślała talię, wybujałość bioder, uda... Miała długie jasne włosy, piękne zielone oczy. Przysiadła się, długo rozmawiali. Wiśniewskiemu praktycznie się gęba nie zamykała. Oszałał dla tej kobiety. Do tego stopnia, że złamał swoją zasadę i zaczął oczywiście rozmawiać o pracy. Zeszło na tematy ciężkie. Zielonooka kobieta słuchała uważnie. Mateusz opowiedział tajemniczą historię psychopatycznego mordercy, zwanego Artystą. Opowiedział również o tym, że przez obławę na patroszącego ludzi pojeba przegapił aresztowanie i uwięzienie niebezpiecznego pedofila, mającego na swoim sumieniu ciężkie...

— Gdzie on teraz jest, ten pedofil? - spytała kobieta nagle.

— Pod nadzorem elektronicznym. Wyłgał się od więzienia - paplał Wiśniewski. - Ma bardzo dobrego prawnika. Innymi słowy jest kuty na cztery nogi. Zresztą, jutro ma się stawić u nas na kontrolę. Jeżeli komendant pozwoli, żebyś była przy jego przesłuchaniu...

— Uwierz mi, że ja bym mu znalazła takie dowody, żeby się nie wyłgał z więzienia do końca życia. O ile w tym więzieniu by przeżył - zachnęła się kobieta, przerywając mu w pół zdania. - A tym, że jest kuty na cztery nogi mógłby się najwyżej podetrzeć!

Wiśniewski o mało nie zakrztusił się piwem. Był zachwycony

1 zdumiony. Nie znał tej kobiety, a przecież cytowała jego słowa.

Chciał o tym pogadać, ale blondynka wstała. Odruchowo spytał gdzie idzie.

* - Przypudrować nos - odparła - zaraz wracam.

Będąc w łazience zamknęła drzwi, przekręciła klucz w zamku, nacisnęła klamkę kilka razy, zajrzała do każdej kabiny i upewniwszy się, że jest sama, stanęła przy jednej z umywalk.

- Ten pedofil jest kuty na cztery nogi, powiadasz, młodzieńcze... - szeptała, wyjmując z

torebki małe, złote, płaskie puzderko, wyglądające niczym puderniczka, podłużne etui podobne do utwardzonego etui na okulary, książeczkę wyglądającą zupełnie jak książeczka do nabożeństwa, malutką, plastikową kosmetyczną szpatułkę...

- Co ona tam robi tyle czasu? - denerwował się Wiśniewski, bębniąc palcami o stół.
- Wzywam niosącego światło!